

SAVE

MONA KASTEN

ME

POWIEŚĆ

mona kasten

SAVE ME

tłumaczenie Ewa Spirydowicz



Tytuł oryginału: *Save Me*.

Redakcja: Karolina Wąsowska
Korekta: Renata Kuk
Skład i łamanie: Robert Majcher
Projekt okładki: Sandra Taufer, München
Tło: © Shutterstock/Shebeko

Copyright © 2018 by Bastei Lübbe AG, Köln
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-770-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
snapchat:jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

Dla Lucie

*Byłem miastem, którego nigdy nie chciałem widzieć,
Byłem huraganem, którym nigdy nie chciałem być.
GERSEY, ENDLESSNESS*

1

Ruby

Moje życie dzieli się na kolory:

Zielony – ważne!

Turkusowy – szkoła.

Różowy – komitet organizacyjny Maxton Hall.

Fioletowy – rodzina.

Pomarańczowy – odżywianie i sport.

Fioletowy (zrobić Ember fotki nowych ciuchów), zielony (kupić nowe markery) i turkusowy (po lekcji zapytać panią Wakefield o materiał na sprawdzian z matematyki) już dzisiaj załatwione. To z całą pewnością najwspanialsze uczucie na świecie: móc odhaczyć kolejny punkt na liście zadań do wykonania. Czasami nawet zapisuję na niej coś, co zrobiłam już dawno, tylko po to, żeby po chwili móc z przyjemnością wykreślić ten punkt, jednak używam do tego dyskretnej szarości, żeby nawet we własnych oczach nie być aż taką totalną kujonką.

Każdy, kto zajrzy do mojego notesu, natychmiast się zorientuje, że moja codzienność w ogromnej części składa się z zieleni, turkusów i różu. Jednak tydzień temu, na początku roku szkolnego, pojawił się nowy kolor.

Złoto – Oksford.

Pierwsze zadanie, które zapisałam nowym flamastrem, to: odebrać referencje od pana Suttona.

Przesuwam palcami po metalicznie połyskujących literach. Jeszcze tylko rok. Ostatni rok w szkole Maxton Hall. Nie chce mi się wierzyć, że to się wreszcie wydarzy. Być może już za trzysta sześćdziesiąt pięć dni będę siedziała na wykładzie o polityce, otoczona najinteligentniejszymi ludźmi na świecie.

Na samą myśl przeszywa mnie dreszcz podniecenia, bo już naprawdę

całkiem niedługo okaże się, czy moje największe marzenie się spełni. Czy naprawdę mi się uda i będę mogła studiować. I to w Oksfordzie.

W mojej rodzinie jeszcze nikt nigdy nie studiował, więc rozumiem, dlaczego moi rodzice tylko uśmiechnęli się pod nosem, gdy po raz pierwszy oznajmiłam, że chcę studiować w Oksfordzie – i to filozofię, politologię i ekonomię. Miałam wtedy siedem lat. Ale nawet teraz, dziesięć lat później, niewiele się zmieniło poza tym, że mój cel jest coraz bliżej. Na wyciągnięcie ręki. Cały czas wydaje mi się, że to sen, że w ogóle dotarłam tak daleko. Ciągłe towarzyszy mi przerażająca myśl, że nagle się obudzę i okaże się, że to wszystko nieprawda, że dalej uczęszczam do swojej starej szkoły w Gormsey, nie do Maxton Hall, jednej z najlepszych prywatnych szkół w całej Anglii.

Rzucam okiem na zegar nad masywnymi drewnianymi drzwiami do klasy. Jeszcze trzy minuty. Już wczoraj wieczorem zrobiłam zadania, nad którymi teraz pracujemy, więc nie pozostaje mi nic innego, jak czekać, aż lekcja wreszcie się skończy.

Niespokojnie poruszam nogą i natychmiast ktoś dyskretnie szturcha mnie w bok.

– Au! – Reaguję instynktownie, chcę odpowiedzieć tym samym, ale Lin jest szybsza i robi unik. Ma niewiarygodny refleks. Pewnie dlatego, że od podstawówki trenuje szermierkę. W tym sporcie trzeba atakować błyskawicznie jak kobra.

– Uspokój się wreszcie – odpowiada, nie odrywając wzroku od zapisanej kartki. – Działasz mi na nerwy.

Zaskakuje mnie. Lin nigdy się nie denerwuje. W każdym razie nigdy tego nie okazuje ani się do tego nie przyznaje. Jednak w tej chwili naprawdę dostrzegam w jej oczach cień niepokoju.

– Przykro mi, ale nie kontroluję tego. – Ponownie muskam palcami litery. Przez ostatnie dwa lata robiłam wszystko, co w mojej mocy, by dotrzymać kroku pozostałym uczniom. Żeby być coraz lepsza. Żeby udowodnić wszystkim, że mam prawo chodzić do Maxton Hall. Teraz, gdy zaczynają się procedury rekrutacyjne na studia, emocje biorą górę. Nie jestem w stanie nad nimi zapanować. Jednak odrobinę uspokaja mnie świadomość, że Lin czuje się podobnie.

– Plakaty dotarły? – pyta. Pochyla się w moją stronę i kosmyk prostych czarnych włosów opada jej na twarz. Odgarnia go, poirytowana.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Jeszcze nie. Pewnie przywiozą je dzisiaj po południu.

– Dobra. Rozwiesimy je jutro po biologii, tak?

Wskazuję odpowiednią różową kropkę w swoim notesie i Lin z zadowoleniem kiwa głową. Ponownie zerkam na zegar. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymuję się, by ponownie nie poruszyć nogą. Zamiast tego, najdyskretniej jak potrafię, zaczynam pakować flamastry. Wszystkie muszą mieć skuwkę z tej samej strony, dlatego chwilę mi to zajmuje.

Złotego jednak jeszcze nie chowam, tylko z przejęciem wsuwam w wąską gumową pętelkę notesu. Oczywiście skuwką do przodu. Tylko tak wszystko jest w najlepszym porządku.

Kiedy wreszcie rozlega się dzwonek, Lin podrywa się z krzesła szybciej, niż wydawało mi się to możliwe.

Spoglądam na nią spod uniesionych brwi.

– Nie patrz tak na mnie – odpowiada i zarzuca sobie torbę na ramię. – Ty zaczęłaś!

Nie odpowiadam, tylko z uśmiechem pakuję swoje rzeczy.

Wychodzimy z sali jako pierwsze. Szybkimi krokami przemierzamy zachodnie skrzydło Maxton Hall i na najbliższym rozwidleniu skręcamy w lewo.

Podczas pierwszych tygodni nauki ciągle gubiłam się w ogromnym gmachu i nieraz spóźniałam się na lekcje. Było mi cholernie głupio, chociaż nauczyciele w kółko zapewniali mnie, że większość nowych uczniów błądzi w liceum podobnie jak ja. Szkoła przypomina zamek: pięć pięter, południowe, zachodnie i wschodnie skrzydła i jeszcze trzy dodatkowe budynki, w których odbywają się zajęcia z przedmiotów takich jak muzyka czy informatyka. Labirynt korytarzy i zakamarków, w którym można się pogubić, a także fakt, że nie każde schody prowadzą na kolejne piętro, mogą doprowadzić człowieka do szału. Na początku byłam jak dziecko we mgle, ale teraz znam Maxton Hall jak własną kieszeń. Jestem gotowa się założyć, że do gabinetu pana Suttona trafiłabym nawet z zawiązanymi oczami.

– Też powinnam była poprosić go o referencje – mamrocze Lin pod nosem, gdy wędrujemy długim korytarzem. Ścianę po naszej prawej stronie zdobią weneckie maski, projekt artystyczny zeszłorocznych maturzystów.

Już nieraz zatrzymywałam się przy nich i podziwiałam dopracowane szczegóły.

– Dlaczego? – pytam i notuję w głowie, aby zwrócić uwagę dozorczy, żeby zabezpieczył maski, zanim w weekend odbędzie się bal pod hasłem „powrót do szkoły”.

– Bo nas polubił, odkąd w zeszłym roku zorganizowałyśmy bal maturalny, i wie, jak bardzo jesteśmy zaangażowane i jak ciężko pracujemy. A poza tym jest młody, ambitny i sam dopiero co skończył Oksford. Jezu, jestem na siebie wściekła, że sama na to nie wpadłam.

Dotykam jej ramienia.

– Przecież pani Marr też studiowała w Oksfordzie. Poza tym może się okazać, że lepsze wrażenie robią referencje od kogoś, kto ma nieco więcej doświadczenia zawodowego niż pan Sutton.

Przygląda mi się podejrzliwie.

– Żałujesz, że zwróciłaś się akurat do niego?

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami. Pod koniec zeszłego roku szkolnego pan Sutton niechętny dowiedział się, jak bardzo zależy mi na studiach w Oksfordzie, i sam zaproponował, że opowie mi o wszystkim, co mnie interesuje. Chociaż wybrał inny kierunek niż ten, który mi się marzy, i tak udzielił mnóstwo przydatnych informacji, które chciwie chłonęłam, a później starannie spisałam w notesie.

– Nie – odpowiadam w końcu. – Jestem pewna, że wie, co się liczy w referencjach.

Na końcu korytarza Lin skręca w lewo. Umawiamy się na telefon, a potem szybko się żegnamy. Nerwowo zerkam na zegarek – trzynasta dwadzieścia pięć – i przyspieszam kroku. Jestem umówiona z nauczycielem o trzynastej trzydzieści i za żadne skarby nie chcę się spóźnić. Szybkim krokiem przechodzę obok wysokich renesansowych okien, przez które złote wrześnie światło zalewa korytarz, i przeciskam się przez grupę uczniów, w takich samych niebieskich mundurkach jak ja.

Nikt mnie nie zauważa. Tak już jest w Maxton Hall. Chociaż wszyscy nosimy te same uniformy – spódniczki w niebiesko-zieloną kratę dla dziewcząt, beżowe spodnie dla chłopców i szyte na miarę granatowe marynarki dla wszystkich – nie sposób nie zauważyć, że tak naprawdę wcale tu nie pasuję. Moi rówieśnicy przychodzą do szkoły z eleganckimi torbami od znanych projektantów, podczas gdy mój zgniłozielony plecak jest miejscami tak przetarty, że każdego dnia obawiam się, że w końcu pęknie. Staram się tym nie przejmować, podobnie jak tym, że niektórzy zachowują

się, jakby szkoła należała do nich, tylko dlatego że pochodzą z zamożnych rodzin. Dla nich jestem niewidzialna i robię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak zostało.

Pod żadnym pozorem nie rzucać się w oczy. Do tej pory świetnie mi się to udawało.

Ze spuszczoną głową mijam pozostałych uczniów i po raz ostatni skręcam w prawo. Trzecie drzwi po lewej stronie to kantorek pana Suttona. Przy ścianie, między dwoma gabinetami, stoi masywna drewniana ława. Wodzę wzrokiem między nią a zegarkiem. Jeszcze dwie minuty.

Nie wytrzymam ani chwili dłużej. Zdecydowanym gestem wygładzam spódniczkę, poprawiam marynarkę, sprawdzam, czy krawat jest na swoim miejscu. A potem podchodzę do drzwi i pukam.

I nic.

Z głośnym westchnieniem siadam jednak na ławie i rozglądam się. Może poszedł po coś do jedzenia. Albo po herbatę. Albo po kawę. Co przypomina mi, że dzisiaj niepotrzebnie ją wypiałam.

I bez tego byłam zdenerwowana, ale mama zaparzyła za dużo i nie chciałam jej wylać. Teraz drżą mi ręce, gdy po raz kolejny zerkam na zegarek.

Trzynasta trzydzieści. Co do minuty.

Ponownie rozglądam się po korytarzu. Nikogo nie widać. Może za cicho pukałam. Albo... Na samą myśl serce bije mi szybciej – może to ja się pomyliłam. Umówiliśmy się nie na dzisiaj, tylko na jutro.

Nerwowo rozpinam plecak i wyjmuję notes. Zaglądam do środka. Nie, wszystko w porządku. Właściwy dzień i właściwa godzina.

Potrząsam głową i ponownie zapinam plecak. Zazwyczaj tak łatwo nie tracę nad sobą panowania, ale na samą myśl, że w procesie rekrutacji coś pójdzie nie tak i nie dostanę się do Oksfordu, wpadam w panikę.

Z najwyższym trudem biorę się w garść. Podejmuję decyzję, wstaję, podchodzę do drzwi i pukam kolejny raz. Tym razem coś słyszę. Jakby coś spadło na ziemię. Delikatnie otwieram drzwi i zaglądam do środka.

Serce podchodzi mi do gardła.

Dobrze słyszałam.

Pan Sutton tam jest.

Tylko że... nie sam.

Na jego biurku siedzi kobieta i całuje go namiętnie, a on stoi między jej

nogami, trzyma za uda. Po chwili przyciąga ją mocniej do siebie, na skraj blatu. Gdy ich wargi ponownie się odnajdują, kobieta jęczy cicho w jego usta, wplata palce w jego ciemne włosy.

Sama nie wiem, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie.

Chciałabym móc oderwać od nich wzrok.

Ale nie jestem w stanie, ani wtedy, gdy on wsuwa dłonie coraz dalej pod jej spódnicę, ani wtedy, gdy słyszę jego ciężki oddech i jej cichy szept:

– Boże, Graham.

Kiedy szok wreszcie odrobinę ustępuje, nie bardzo pamiętam, jak się chodzi.

Potykam się o próg, otwieram drzwi tak energicznie, że uderzają o ścianę. Pan Sutton i kobieta odsuwają się od siebie gwałtownie. On odwraca głowę i widzi mnie w progu. Otwieram usta, żeby się wytłumaczyć, ale jedyne, na co mnie stać, to suchy kaszel.

– Ruby – mówi pan Sutton bez tchu. Ma rozczochrane włosy, rozpięte górne guziki koszuli, rumieńce na twarzy. Wydaje się obcy, w niczym nie przypomina mojego nauczyciela.

Czuję, jak moje policzki stają w ogniu.

– Ja... Przepraszam. Myślałam, że się umówiliśmy...

Wtedy kobieta się odwraca i reszta zdania grzęźnie mi w gardle. Otwieram szeroko usta, ogarnia mnie fala lodowatego zimna. Przyglądam się dziewczynie. Jej turkusowe oczy są tak samo szeroko otwarte jak moje. Odruchowo opuszcza wzrok, wbija go w drogie szpilki, przesuwa na podłogę, a potem bezradnie patrzy na pana Suttona... Czy raczej Grahama, jak jeszcze przed chwilą go nazywała.

Znam ją. A konkretnie znam jej rdzawozłoty, starannie upięty koński ogon, który zawsze mam przed nosem na lekcjach historii.

Na lekcjach z panem Suttonem.

Dziewczyna, która przed chwilą całowała się z naszym nauczycielem, to Lydia Beaufort.

Kręci mi się w głowie. Poza tym jestem święcie przekonana, że lada chwila dopadną mnie mdłości.

Patrzę na nich i za wszelką cenę staram się wymazać z pamięci ostatnie minuty, ale to niemożliwe.

Wiem o tym ja i wiedzą pan Sutton i Lydia, widzę to na ich twarzach wyrażających szok. Cofam się o krok, a pan Sutton wyciąga rękę i rusza

w moim kierunku. Kolejny raz potykam się o próg. W ostatniej chwili odzyskuję równowagę.

– Ruby... – zaczyna, ale szum w moich uszach przybiera na sile.

Odwracam się na pięcie i uciekam. Za plecami słyszę, jak pan Sutton kolejny raz powtarza moje imię, jeszcze głośniej.

Ale ja po prostu biegnę. Coraz dalej, byle dalej.

2

James

W mojej czaszce szaleje młot pneumatyczny.

To pierwsze, co do mnie dociera, gdy powoli wracam do rzeczywistości. Drugie to ciepłe nagie ciało koło mnie.

Dyskretnie zerkam w bok, ale jedyne, co widzę, to fala złotych włosów. Nie pamiętam, bym z kimś wychodził z imprezy Wrena. Zamykam oczy i usiłuję przypomnieć sobie cokolwiek, co jeszcze zostałyby mi w głowie, ale przypominam sobie tylko niepowiązane ze sobą strzępki obrazów. Ja, pijany na stole. Głośny śmiech Wrena, gdy spadam i ląduję na ziemi u jego stóp. Ostrzegawczy wzrok Alistaira, gdy tańczę wtulony w jego starszą siostrę i napieram biodrami na jej pośladki.

O kurwa.

Delikatnie odgarniam dziewczynie włosy z twarzy.

O kurwa, kurwa, kurwa.

Alistair mnie zabije.

Siadam gwałtownie. Moją czaszkę przeszywa ostry ból, przez chwilę robi mi się czarno przed oczami. Elaine – siostra Alistaira – mamrocze coś niewyraźnie i przewraca się na drugi bok. Ja tymczasem orientuję się, że młot pneumatyczny to moja komórka, która leży na stoliku przy łóżku i wibruje. Nie zwracam na nią uwagi. Szukam swoich ubrań.

Jeden but znajduję koło łóżka, drugi tuż przy drzwiach, pod moimi czarnymi spodniami i paskiem. Koszula poniewiera się na fotelu obitym brązową skórą.

Wkładam ją, chcę zapiąć i wtedy zauważam, że brakuje kilku guzików. Wzdycham głośno. Oby Alistaira już nie było. Lepiej, żeby nie widział ani podartej koszuli, ani czerwonych zadrapań, które różowe paznokcie Elaine zostawiły na mojej klatce piersiowej.

Telefon nie daje za wygraną. Zerkam na wyświetlacz – dzwoni mój ojciec. Fantastycznie. Dochodzi druga po południu w środku tygodnia, boję się, że lada chwila pęknie mi głowa, i prawie na pewno poprzedniej nocy uprawiałem seks z Elaine Ellington. Ostatnie, czego mi jeszcze trzeba, to rozmowa z ojcem. Zdecydowanie odrzucam połączenie.

Oddałbym majątek za prysznic. I czyste ciuchy.

Ukradkiem wychodzę z pokoju gościnnego Wrena i najciszej jak potrafię zamykam drzwi. Schodzę na parter. Wszędzie widzę ślady ostatniej nocy – na poręczy wiszą stanik i inne sztuki odzieży, w całym salonie poniewierają się kubki, kieliszki i talerze z resztkami jedzenia. Powietrze wciąż pachnie alkoholem i tytoniem. Nie sposób się nie zorientować, że jeszcze kilka godzin temu trwała tu impreza.

W salonie zastaję Cyrila i Keshava. Cyril siedzi na eleganckiej białej kanapie, a Kesh na fotelu przy kominku. Dziewczyna na jego kolanach wplotła dłonie w jego długie ciemne włosy i całuje go namiętnie. Ci dwoje wyglądają, jakby impreza lada moment miała zacząć się na nowo. Kiedy Kesh odrywa się od niej na chwilę i mnie zauważa, odrzuca głowę do tyłu i śmieje się w głos. Pokazuję mu środkowy palec.

Przeszklone drzwi prowadzące do ogrodu państwa Fitzgerald stoją otworem. Wychodzę na dwór i natychmiast mrużę oczy. Choć słońce nie jest przesadnie intensywne, i tak mam wrażenie, że to ostrze przesywające mi mózg. Rozglądam się ostrożnie. Na dworze jest gorzej niż w domu.

Na leżakach przy basenie zastaję Wrena i Alistaira. Spletli ręce pod głowami i ukryli twarze za okularami przeciw słonecznymi. Waham się tylko przez moment, a potem powoli idę w ich kierunku.

– Beaufort – rzuca Wren radośnie i przesuwając okulary na ciemne kręcone włosy. Uśmiecha się szeroko, ale i tak widzę zmęczenie na jego ciemnobrązowej skórze. Ma potężnego kaca, jak ja. – Jak noc?

– Nie bardzo pamiętam – odpowiadam i z ukosa zerkam na Alistaira.

– Pieprz się, Beaufort – mruczy, nie patrząc na mnie. W południowym słońcu jego włosy mieniają się złociście. – Mówiłem ci, że masz się trzymać z dala od mojej siostry.

Spodziewałem się tej reakcji. Niewzruszony unoszę brew.

– Przecież nie zaciągnąłem jej siłą do łóżka. Zachowujesz się, jakby nie miała własnego rozumu i nie mogła sama decydować, z kim chce spać.

Alistair krzywi się z niesmakiem i mamrocze coś pod nosem.

Mam nadzieję, że szybko weźmie się w garść i nie będzie miał do mnie o to wiecznie pretensji. Jakkolwiek by było, czasu nie cofnę. A poza tym naprawdę nie mam ochoty tłumaczyć się przed przyjaciółmi. Wystarczająco często robię to w domu.

– Obyś tylko nie złamał jej serca – mówi w końcu Alistair i patrzy na mnie przez lustrzane szkła okularów. Chociaż nie widzę jego oczu, domyślam się, że jest w nich nie tyle złość, co raczej rezygnacja.

– Elaine zna Jamesa, odkąd miała pięć lat – zauważa Wren. – Dobrze wie, czego się po nim spodziewać.

Ma rację. Oboje z Elaine wiedzieliśmy, na co się decydujemy. I choć niewiele pamiętam z minionej nocy, cały czas mam w uszach jej zdyszany szept: tylko jeden raz, James. Jeden, jedyny raz.

Alistair nie chce przyjąć tego do wiadomości, ale jego siostra jest w gruncie rzeczy równie imprezowa jak ja.

– Jeśli dowiedzą się o tym twoi rodzice, zapewne od razu ogłoszą wasze zaręczyny – rzuca rozbawiony Wren.

Krzywię się lekko. Moi rodzice od dawna marzą o tym, żebym związał się z Elaine Ellington... Albo inną dziewczyną z równie dobrej rodziny, z równie wielkim majątkiem. Ale ja mam tylko osiemnaście lat i lepsze rzeczy do roboty niż zawracanie sobie głowy tym, co mnie czeka po ukończeniu szkoły.

Także Alistair prycha pogardliwie. Perspektywa, że powita mnie w gronie swojej rodziny, podoba mu się równie mało, jak mnie. Dramatycznym gestem kładę sobie rękę na piersi.

– Jezu, czyżbyś nie chciał mnie za szwagra?

Teraz i on przesuwając okulary na jasne kręcone włosy i patrzy na mnie ciemnymi oczami. Powoli, jak drapieżny kot, unosi się z leżaka. Choć jest szczupły i drobny, wiem doskonale, jaki jest szybki i silny. Nieraz przekonałem się o tym na własnej skórze podczas treningów.

Jego spojrzenie zdradza, co planuje.

– Ostrzegam cię, Alistair – mruczę i cofam się o krok.

Jest szybszy, niż można to sobie wyobrazić. Nagle stoi tuż przede mną.

– Ja też cię ostrzegałem – syczy. – Niestety nic sobie z tego nie robiłeś.

Wymierza mi solidny cios w klatkę piersiową. Zataczam się do tyłu, prosto do basenu. Uderzenie pozbawia mnie tchu, w pierwszej chwili nie wiem, gdzie jest powierzchnia, a gdzie dno. Woda szumi mi w uszach, ból głowy

jeszcze przybiera na sile.

A jednak nie wypływam od razu. Pozwalam, by wszystkie mięśnie się rozluźniły. Wpatruję się w kafelki na dnie, choć widzę je niewyraźnie, i w myślach liczę sekundy. Na moment zamykam oczy. Otacza mnie niemal idealna cisza. Po pół minucie brakuje mi powietrza, ucisk w klatce piersiowej przybiera na sile. Po raz ostatni wypuszczam powietrze, czekam chwilę, a potem...

Alistair wskakuje do basenu i mnie chwytą. Wyciąga moją głowę z wody, a kiedy otwieram oczy i widzę jego przerażone spojrzenie, jednocześnie parskam śmiechem i chciwie nabieram powietrza.

– Beaufort! – krzyczy wściekły i rzuca się na mnie.

Trafia mnie pięścią w bok – Jezu, ależ potrafi przywalić – i usiłuje założyć mi nelsona. Ponieważ jest ode mnie drobniejszy, nie jest to takie proste, jak mu się wydawało. Mocujemy się przez chwilę, a potem biorę górę. Bez wysiłku podnoszę go i odrzucam jak najdalej od siebie.

Mam w uszach śmiech Wrena, gdy Alistair z głośnym pluskiem wpada do wody. Wypływa po chwili i patrzy na mnie z taką wściekłością, że ponownie parskam śmiechem. Alistair, jak wszyscy Ellingtonowie, ma twarz anioła. Nawet kiedy chce wyglądać groźnie, jasnobrązowe oczy w połączeniu ze złotymi lokami i naprawdę idealnymi rysami twarzy najzwyczajniej w świecie mu to uniemożliwiają.

– Straszny z ciebie fiut – stwierdza i pryska we mnie wodą.

Ocieram twarz dłonią.

– Przykro mi, stary.

– W porządku – odpowiada, ale nadal opryskuje mnie wodą.

W końcu przestaje. Patrzę na niego. Ze śmiechem kręci głową.

I wtedy wiem, że między nami wszystko gra.

– James? – rozlega się znajomy głos.

Odwracam się gwałtownie. Moja siostra bliźniaczka stoi na krawędzi basenu, zasłaniając sobą słońce. Wczoraj nie było jej na imprezie i w pierwszej chwili myślę, że urządzi mi awanturę, że ani ja, ani moi kumple nie poszliśmy dzisiaj do szkoły. Ale potem przyglądam się jej uważnie i przeszywa mnie lodowaty dreszcz: jest spięta, bezradnie zwiesiła ręce wzdłuż ciała. Unika naszego wzroku, wpatrzona we własne stopy.

Najszybciej jak potrafię podpływam do krawędzi basenu i wychodzę na brzeg. Nieważne, że jestem mokry, chwytam ją za barki i zmuszam, by

podniosła głowę i na mnie spojrzała.

Mój żołądek robi salto. Jej twarz jest czerwona. Płakała.

– Co jest? – pytam i mocniej zaciskam dłonie na jej barkach. Chce odwrócić głowę, ale nie pozwalam na to. Przytrzymuję jej podbródek, żeby nie uciekała wzrokiem.

Ma łzy w oczach. Coś ściska mnie za gardło.

– James... – szepcze ochryple. – Ale narobiłam.

3

Ruby

– Tu będzie idealnie – orzeka Ember i staje między jabłonką a janowcem. W naszym malutkim ogrodzie wszędzie leżą jabłka, które musimy pozbierać. Co prawda rodzice upominają się o to od wielu dni, ale zbieranie jabłek, zapisane w kalendarzu na fioletowo, zaplanowałam dopiero na czwartek.

Już teraz wiem, że ledwie ja i Ember wniesiemy kosze do domu, rodzice zaczną się kłócić, które z nich przejmie więcej owoców. Jak co roku mama będzie chciała piec ciasta i naleśniki, które wyłoży w piekarni na spróbowanie, podczas gdy tata wymyśli sobie setki dżemów w najdziwniejszych smakowych wariacjach. Niestety, w meksykańskiej restauracji, w której pracuje, nie ma nikogo, kto chciałby ich spróbować. A to oznacza, że rolę królików doświadczalnych znowu odegramy Ember i ja. Ma to swoje zalety – jesteśmy zachwycone, gdy tata wymyśli przepis na nową tortillę, jednak zdarzają się i niewypały, jak na przykład dżem jabłkowy z kardamonem i chili.

– A teraz?

Ember przybiera wyćwiczoną pozę. Za każdym razem zaskakuje mnie, jak naturalnie jej to wychodzi. Stoi swobodnie, lekko potrząsa głową, żeby jasnobrązowe loki rozsypały się jeszcze bardziej niesfornie. Kiedy się uśmiecha, jej zielone oczy dosłownie błyszczą, a ja zastanawiam się, jak to możliwe, że o tak wczesnej porze tak promienieje.

Ja jeszcze nawet nie zdążyłam się uczesać, grzywka sterczy mi zapewne na wszystkie strony. A moje oczy, tego samego koloru co Ember, wcale nie błyszczą. Wręcz przeciwnie, są puste i zmęczone, więc mrugam co chwila, licząc, że tym sposobem pozbędę się nieprzyjemnego pieczenia.

Jest kilka minut po siódmej rano, przez pół nocy nie spałam i rozmyślałam o tym, co widziałam wczoraj po południu. Kiedy godzinę temu Ember weszła

do mojego pokoju, wydawało mi się, że dopiero co zasnęłam.

– Super wyglądasz – komplementuję ją. Dzisiaj ma na sobie sukienkę z czarnym okrągłym kołnierzykiem, w charakterystyczny niebieski wzór. Podkrađa ją mamie i odrobinę przerobiła, wyraźniej zaznaczając talię.

Odkąd sięgam pamięcią, Ember ma nadwagę i uparcie szuka ciuchów z zaznaczoną talią w swoim rozmiarze. Niestety, niewiele takich kreacji jest na rynku i ciągle musi improwizować. Na trzynaste urodziny dostała od rodziców pierwszą maszynę do szycia i od tego czasu tworzy stroje odzwierciedlające jej gust.

Wie już doskonale, w czym jej najlepiej. Ma fantastyczne wyczucie stylu. Dzisiaj na przykład połączyła sukienkę vintage z dżinsową kurtką i białymi sneakersami ze srebrnymi wykończeniami. Namalowała je sama, tak na marginesie.

Kilka dni temu widziałam w czasopiśmie kurtkę uszytą z materiału, który wyglądał jak worek na śmieci. Na jej widok skrzywiłam się z niesmakiem i szybko przewróciłam kartkę, ale jestem przekonana, że na mojej siostrze ta kurtka wyglądałaby jak na supermodelce. To zapewne kwestia poczucia własnej wartości, którym emanuje, zarówno przed kamerą, jak i w rzeczywistości.

Nie zawsze tak było. Doskonale pamiętam czasy, gdy załamana ukrywała się w swoim pokoju, bo po raz kolejny nabijano się z niej w szkole. Wtedy wydawała się krucha i wrażliwa, ale z czasem nauczyła się akceptować siebie i ignorować to, co mówią inni. Nie ma problemu z tym, by mówić o sobie: gruba.

– To zupełnie jak w *Harrym Potterze* – powtarza, ilekroć kogoś zaskakuje, że używa tego określenia. – Imię Voldemorta budzi grozę tylko dlatego, że nikt nie śmie go wypowiedzieć. Tak samo jest ze słowem „gruby”, a przecież to tylko przymiotnik, niczym się nie różni od „szczupły” czy „chudy”. To tylko słowo, i to wcale nienaznaczone negatywnie.

Ember pokonała długą drogę i między innymi dlatego zdecydowała się prowadzić blog. Chciała pomóc innym, którzy znajdują się na początku tej wędrówki, nauczyć się akceptować siebie. I tak od ponad roku ogłasza całemu światu, że lubi siebie taką, jaka jest. Jej pełne pasji wpisy na temat mody w rozmiarze XXL przyciągnęły tyle czytelniczek, że moja młodsza siostra stała się kimś w rodzaju guru i źródła inspiracji w tych sprawach.

Także rodzice i ja dużo się od niej nauczyliśmy, między innymi dlatego, że

ciągle podsuwa nam artykuły na ten temat. Jesteśmy bardzo dumni z jej osiągnięć.

– Chyba to mamy – mówię, gdy po raz trzeci zmieniła pozę. Ember podchodzi do mnie i wyjmuję mi aparat z rąk. Krzywi się, przeglądając kolejne ujęcia, ale gdy widzi zdjęcie, na którym ogląda się przez ramię, w końcu się uśmiecha.

– To jest to. – Cmoka mnie w policzek. – Wielkie dzięki.

Razem wracamy do domu i staramy się przy tym nie rozdeptywać leżących jabłek.

– Kiedy nowy wpis trafi do sieci? – pytam.

– Chyba jutro po południu. – Zerka na mnie z ukosa. – Jak myślisz, znajdziesz wieczorem chwilę, żeby na niego spojrzeć?

Szczerze mówiąc, nie bardzo. Dzisiaj po lekcjach muszę rozwiesić plakaty na weekendową imprezę, a później doszlifować referat na historię. Co ważniejsze, muszę się też zastanowić, jak zdobyć referencje, nie zamieniając ani słowa z panem Suttonem. Na samo wspomnienie wczorajszego popołudnia, na myśl o Lydii Beaufort na jego biurku, tego, jak stał między jej nogami, czuję, jak ponownie ogarniają mnie mdłości.

Odgłosy, które wydawali... Usiłuję wymazać to wspomnienie, energicznie kręcąc przy tym głową, na co Ember przygląda mi się ze zdumieniem.

– Bardzo chętnie – zapewniam pospiesznie i wymijam ją w drodze do salonu. Nie mogę spojrzeć jej w oczy. Gdyby zobaczyła cienie pod moimi, wiedziałaby od razu, że coś jest nie tak, a ostatnie, czego mi w tej chwili trzeba, to jej pytania. Zwłaszcza że cały czas mam w uszach stłumione jęki pana Suttona, chociaż oddałabym wszystko, żeby już ich nie słyszeć.

– Dzień dobry, skarbie. – Wzdrygam się, słysząc głos matki, i robię, co w mojej mocy, żeby zapanować nad mimiką. Żeby wyglądać normalnie. A w każdym razie tak normalnie, jak może wyglądać człowiek, który poprzedniego dnia przyłapał koleżankę z klasy w ramionach nauczyciela.

Mama podchodzi do mnie i całuje w policzek.

– Wszystko w porządku? Wydajesz się zmęczona.

Najwyraźniej normalny wyraz twarzy w moim wykonaniu pozostawia wiele do życzenia.

– Tak, po prostu potrzebuję kofeiny – mamroczę pod nosem i pozwalam, by skierowała mnie do stołu. Nalewa mi kawy i czule gładzi po włosach, a potem stawia mi parujący kubek przed nosem. Ember tymczasem

podchodzi do taty i pokazuje mu fotografie, które zrobiliśmy tego ranka. Tata natychmiast odkłada gazetę i pochyła się nad wyświetlaczem. Uśmiecha się, aż pogłębiają się drobne zmarszczki w kącikach jego ust.

– Bardzo ładne.

– Poznajesz tę sukienkę, skarbie? – pyta mama. Pochyla się nad nim od tyłu i kładzie rękę na jego ramieniu.

Tata podnosi aparat i jego twarz za szklami okularów do czytania poważnieje.

– Zaraz, zaraz... Czy to nie jest ta sukienka, którą miałaś na sobie w dziesiątą rocznicę ślubu? – Mama i Ember są podobnej postury, dzięki czemu na początku swojej kariery krawieckiej Ember miała do dyspozycji sporo ciuchów, na których mogła eksperymentować. Początkowo mama cierpiała, ilekroć Ember popełniła błąd i, powiedzmy sobie szczerze, bezpowrotnie zniszczyła kolejną sukienkę, ale dzisiaj to już się prawie nie zdarza. Teraz cieszą ją cuda, które moja młodsza siostra wyczarowuje z jej starych sukienek i bluzek.

– Zaznaczyłam w niej talię i doszyłam kołnierzyk – tłumaczy Ember. Siada przy stole i wysypuje płatki kukurydziane do jednej z miseczek, które postawiła na nim mama.

Na twarzy ojca pojawia się uśmiech.

– Jest naprawdę bardzo ładna – mówi i bierze mamę za rękę. Ciągnie ją lekko, aż jej twarz znajduje się na wysokości jego ust, i całuje delikatnie.

Wymieniamy z Ember znaczące spojrzenia. Wiem, że myśli to samo co ja: fuj. Nasi rodzice są do tego stopnia w sobie zakochani, że czasami człowiekowi robi się aż niedobrze. Ale znosimy to z godnością. A ilekroć sobie przypomnę, co się stało z rodziną Lin, na nowo doceniam, że nadal są sobie bliscy. Chociaż zbudowanie tak silnej więzi sporo nas wszystkich kosztowało.

– Daj mi znać, kiedy nowy wpis trafi do internetu – prosi mama, siadając koło taty. – Muszę go od razu przeczytać.

– Jasne – odpowiada Ember z pełnymi ustami.

Jeżeli chcemy zdążyć na szkolny autobus, musimy się pospieszyć, rozumiem więc, czemu tak łapczywie je.

– Ale rzucisz na niego okiem, zanim go opublikuje? – upewnia się tata, patrząc na mnie.

Nawet teraz, po roku, sceptycznie traktuje bloga Ember. Podchodzi do

internetu jak pies do jeża, zwłaszcza jeżeli jego własna córka publikuje w nim swoje myśli i zdjęcia. Ember musiała się niezłe natrudzić, żeby przekonać go, że blog o modzie w rozmiarze XXL to dobry pomysł. Podeszła do projektu Bellbird – tak nazywa się jej blog – z takim entuzjazmem i odwagą, że tata właściwie nie miał innego wyjścia, musiał jej na to pozwolić. Postawił jeden warunek: ja, jako rozsądna starsza siostra, mam czytać jej wpisy i akceptować fotografie, zanim je opublikuje, żeby do sieci nie trafiły żadne szczegóły z naszego życia prywatnego. Niepotrzebnie się martwi. Ember jest bardzo uważna, podchodzi do prowadzenia bloga profesjonalnie. Podziwiam to, jak wiele udało jej się osiągnąć w stosunkowo krótkim czasie.

– Oczywiście. – Ja też nabieram łyżkę płatków i popijam sporym łykiem kawy. Teraz to na mnie Ember patrzy z obrzydzeniem, ale ignoruję jej spojrzenie. – Tylko uprzedzam, wrócę dzisiaj trochę później, więc się nie denerwujcie.

– Pewnie w szkole sporo się dzieje, co? – pyta mama.

Żebyś tylko wiedziała.

Najchętniej opowiedziałabym rodzicom i Ember, co się wydarzyło. Poczulałabym się lepiej. Ale nie mogę. Mój dom i Maxton Hall to dwa różne światy, które nie mają punktów stykowych. Przysięgłam sobie, że nigdy ich nie połączę. I dlatego w szkole nikt nic nie wie o mojej rodzinie, a moi najbliżsi nie mają pojęcia, co się dzieje w Maxton Hall. Wyzaczyłam tę granicę pierwszego dnia w nowej szkole i to była najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć. Zdaję sobie sprawę, że Ember często irytuje moje wycofanie, i za każdym razem dopadają mnie wyrzuty sumienia, kiedy rodzicom nie do końca udaje się ukryć rozczarowanie, gdy na pytania o szkołę odpowiadam tylko zdawkowym: w porządku.

Ale dom to moja oaza spokoju. Tutaj liczy się rodzina, lojalność, wierność i miłość. W Maxton Hall liczy się tylko jedno: pieniądze. Boję się, że zniszczę naszą oazę, kiedy sprowadzę tutaj sprawę stamtąd.

Abstrahując od tego, że nic mnie nie obchodzi, co pan Sutton wyprawia z Lydią Beaufort, nigdy w życiu bym na nich nie doniosła. W Maxton Hall nikt niczego o mnie nie wie tylko dlatego, że konsekwentnie przestrzegam zasady, którą wypracowałam sobie sama: pod żadnym pozorem nie rzucać się w oczy. Od dwóch lat robię, co w mojej mocy, by dla większości uczniów być niewidzialna i przemykać się korytarzami niezauważona.

Gdybym opowiedziała komuś, co widziałam, a zwłaszcza gdybym poszła z tym do dyrektora szkoły, wywołałabym skandal. Nie mogę ryzykować, zwłaszcza teraz, gdy jestem o krok od najważniejszego celu.

Lydia Beaufort i jej cała rodzina, a zwłaszcza jej obrzydliwy brat, to dokładnie ten typ ludzi, od których powinnam trzymać się jak najdalej. Beaufortowie prowadzą najstarszy, najdroższy dom towarowy z modą męską w Anglii. Nie tylko w całym kraju, ale też przede wszystkim w całym Maxton Hall mają swoje wpływy. Nawet nasze mundurki szkolne powstały według ich projektu. O nie. Pod żadnym pozorem nie powinnam zadzierać z Beaufortami. Będę po prostu udawała, że nic się nie stało.

W końcu uśmiecham się do mamy półgębkiem i mruczę pod nosem:

– Całkiem dużo. – Sama zdaję sobie sprawę, jak nienaturalnie to brzmi. Tym bardziej jestem jej wdzięczna, że nie drąży i bez słowa dolewa mi kawy.

W szkole przeżywam istny horror. Usiłuję koncentrować się na lekcjach, ale myślami cały czas odpływam gdzie indziej. Na przerwach umieram ze strachu, że na korytarzu spotkam pana Suttona albo Lydię, i dosłownie przebiegam z klasy do klasy. Lin co chwila obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem, więc upominam się w duchu, że powinnam wziąć się w garść. Ostatnie, czego mi trzeba, to jej dociekliwe pytania, które niestety pozostałyby bez odpowiedzi. Zwłaszcza że jestem niemal na sto procent pewna, że nie łyknęłaby mojego wytłumaczenia, że pomyliłam daty i dlatego do tej pory nie dostałam referencji.

Po ostatniej lekcji idziemy razem do sekretariatu i odbieramy plakaty, które wczoraj w końcu dotarły. Najchętniej poszłabym od razu do stołówki – na biologii tak głośno burczało mi w brzuchu, że nawet nauczyciel zerknął na mnie ukradkiem – ale Lin wymyśliła, że po drodze powiesimy kilka z nich i tym samym zaoszczędzimy trochę czasu.

Zaczynamy od auli, przyklejamy pierwszy plakat do masywnej kolumny. Po upewnieniu się, że taśma utrzyma jego ciężar, cofam się o kilka kroków i krzyżuję ręce na piersi.

– I co ty na to? – Zwracam się do Lin.

– Idealnie. Każdy, kto wchodzi głównym wejściem, musi go zauważyć. – Odwraca się do mnie z uśmiechem. – Wyszło naprawdę fajnie, Ruby.

Patrząc na artystycznie powykręcane litery, zapowiadające imprezę z okazji powrotu do szkoły. Doug wyczarował naprawdę fantastyczną grafikę, słowa w połączeniu z dyskretnymi złotymi akcentami na srebrnym tle wyglądają

elegancko i jednocześnie bardzo *glamour*, a także na tyle nowoczesnie, że pasują na szkolną imprezę.

Maxton Hall słynie z legendarnych przyjęć. W tej szkole świętujemy wszystko: początek i koniec roku szkolnego, rocznicę założenia szkoły, Halloween, Boże Narodzenie, Nowy Rok, urodziny dyrektora Lexingtona... Budżet, którym dysponuje komitet organizacyjny, przyprawia o zawrót głowy, ale co w kółko powtarza Lexington, wizerunek, który tworzymy udanymi imprezami, jest bezcenny. Bo przyjęcia w Maxton Hall tylko teoretycznie są dla uczniów. W pierwszej kolejności chodzi o przyciągnięcie rodziców, sponsorów, polityków i wszystkich innych z grubymi portfelami, którzy finansują naszą szkołę i swoim wsparciem sprawiają, że ich dzieci mają najlepszy możliwy start w dorosłe życie i ułatwiony wstęp do Cambridge albo Oksfordu.

Kiedy trafiłam do Maxton Hall, musiałam wybrać zajęcia pozalekcyjne i natychmiast zdecydowałam się na komitet organizacyjny; lubię planować i organizować, a jednocześnie mogę wtedy działać za kulisami, nie zwracając na siebie uwagi. Nie spodziewałam się jednak, że sprawi mi to aż tyle radości. A tym bardziej że dwa lata później stanę, razem z Lin, na czele komitetu. Lin odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem.

– Fantastyczne uczucie, że w tym roku nikt nie może nami komenderować, prawda?

– Szczerze mówiąc, nie wytrzymałabym ani jednego dnia dłużej pod kierownictwem Elaine Ellington. Dałabym jej w twarz – odpowiadam.

Lin śmieje się cicho.

– Chciałabym to zobaczyć.

– A ja chciałabym to zrobić.

Elaine była fatalną przewodniczącą, władczą, niesprawiedliwą i leniwą, ale prawda jest taka, że nigdy w życiu nie podniosłabym na nią ręki. Abstrahując od tego, że gardzę przemocą, złamałabym tym samym zasadę: robić wszystko, co w mojej mocy, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Na szczęście sprawa rozwiązała się sama. Elaine skończyła szkołę. Jej dyktatorskie zapędy budziły w innych równie mało entuzjazmu co w nas, a okazało się to dopiero, gdy mnie i Lin wybrano na jej następczynię. Do dzisiaj wydaje mi się to nierzeczywiste.

– Powiesimy jeszcze te dwa plakaty i dopiero wtedy pójdziemy na obiad – proponuję. Lin kiwa głową.

Na szczęście, kiedy w końcu docieramy do stołówki, jest niemal pusta. Większość uczniów idzie na zajęcia popołudniowe albo w szkolnym parku chwyta ostatnie promienie słońca. Tylko pojedyncze stoliki są zajęte, więc nawet udaje nam się zająć dobre miejsce przy oknie.

Niosąc tacę przez duże pomieszczenie, staram się nie odrywać wzroku od lasagne na talerzu. Dopiero kiedy usiadłam i odstawiłam pozostałe plakaty na podłodze za krzesłem z moim plecakiem, pozwoliłam sobie rozejrzeć się dokoła. Lydii Beaufort nigdzie nie widać. Naprzeciwko mnie Lin wyjmuje kalendarz i wpatruje się w niego uważnie, sącząc sok pomarańczowy. Widzę chińskie znaki, trójkąty, koła i inne symbole, i po raz kolejny podziwiam jej system, o wiele bardziej imponujący niż kolory, którymi sama się posługuję. Zaraz jednak przypominam sobie, że kiedy poprosiłam Lin, żeby mi wyjaśniła, co oznaczają poszczególne symbole i w jakim celu je stosuje, po półgodzinie się pogubiłam i dałam sobie spokój.

– Zapomnialiśmy zostawić jeden plakat do wglądu dyrektora Lexingtona – mruczy i zakłada ciemne pasmo za ucho. – Musimy to zaraz zrobić.

– Oczywiście – odpowiadam z pełnymi ustami. Pewnie mam na brodzie sos pomidorowy, ale jest mi wszystko jedno. Umieram z głodu dlatego, że od wczorajszego popołudnia nie zjadłam prawie nic, poza garścią płatków kukurydzianych.

– Muszę jeszcze dzisiaj pomóc mamie w galerii – zauważa Lin i wskazuje chiński znaczek.

Jej mama niedawno otworzyła w Londynie galerię artystyczną, która co prawda radzi sobie całkiem nieźle, ale Lin musi jej tam pomagać, także w tygodniu.

– Jeżeli się śpieszysz, sama powieszę pozostałe plakaty – mówię, ona jednak kręci przecząco głową.

– Kiedy brałyśmy na siebie to zadanie, obiecałyśmy sobie, że będziemy się dzielić pracą sprawiedliwie. Robimy to albo razem, albo w ogóle.

– W porządku. – Uśmiecham się.

Już na początku roku szkolnego powiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu, żeby raz na jakiś czas wykonać także jej część pracy. Lubię pomagać innym. Zwłaszcza przyjaciołom, bo nie mam ich zbyt wielu. Wiem też, że jej sytuacja domowa nie jest prosta i często ma na głowie więcej, niż właściwie powinna. Zwłaszcza że cały czas musi chodzić do szkoły i szykować się do lekcji. Ale Lin jest co najmniej równie ambitna i uparta jak ja, i zapewne

między innymi dlatego tak dobrze się dogadujemy. A jednak to, że się zaprzyjaźniłyśmy, właściwie graniczy z cudem. Kiedy trafiłam do Maxton Hall, ona obracała się w zupełnie innych kręgach. Wtedy podczas przerwy obiadowej siedziała przy jednym stoliku z Elaine Ellington i jej przyjaciółkami, i nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby ją zagadnąć, chociaż obie pracowałyśmy w Komitecie Organizacyjnym i rzuciło mi się w oczy, że prowadzi swój kalendarz równie skrupulatnie jak ja.

A potem jej ojciec wywołał głośny skandal i rodzina Wangów straciła nie tylko pieniądze, lecz także znajomych i przyjaciół.

Nagle na przerwach Lin była sama, choć nie wiem, czy to jej przyjaciele nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, czy to ona tak bardzo wstydziła się tego, co zaszło, że trzymała się od nich z daleka. Wiem tylko, jak to jest, gdy nagle traci się przyjaciół. To samo spotkało mnie, gdy ze szkoły w Gormsey trafiłam tutaj. Przerastało mnie wszystko: wysokie wymagania, zajęcia pozalekcyjne, fakt, że ludzie wokół byli inni. Dlatego początkowo nie byłam w stanie utrzymywać kontaktów ze znajomymi z Gormsey. Wtedy jasno dali mi do zrozumienia, co o tym sądzą.

Z perspektywy czasu wiem, że prawdziwi przyjaciele nie nabijają się z kogoś tylko dlatego, że się dużo uczy. Zawsze zbywałam śmiechem słowa „kujonka” i „mądralińska”, chociaż wcale mnie nie bawiły. Wiem też, że o przyjaźni nie może być mowy, kiedy druga osoba nie jest w stanie wykazać się zrozumieniem w skomplikowanej sytuacji. Nikt mnie ani razu nie zapytał, jak sobie radzę, jak mogą mi pomóc. Wtedy bardzo przeżywałam utratę tamtych przyjaźni, zwłaszcza że w Maxton Hall nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego, nikt mnie w ogóle nie zauważał. Nie pochodzę z bogatej rodziny. Zamiast eleganckiej torby od znanego projektanta noszę przeszło sześćioletni plecak, zamiast lśniącego nowością MacBooka mam laptopa, którego rodzice kupili mi w komisie przed początkiem roku szkolnego. W weekendy nie bawię się na imprezach, o których cała szkoła rozprawia przez kolejny tydzień; dla większości uczniów w tej szkole po prostu nie istnieją. Teraz mi to odpowiada, ale przez pierwsze tygodnie w Maxton Hall czułam się bardzo samotna i wyizolowana. Póki nie poznałam Lin. Połączyły nas nie tylko doświadczenia z dawnymi przyjaciółmi. Lin jest też do mnie podobna, bo tak samo jak ja starannie organizuje swoje życie i uwielbia mangę.

Nie mam pojęcia, czy zbliżyłybyśmy się do siebie, gdyby nie ta sprawa

z jej rodzicami. I choć chwilami wydaje mi się, że tęskni za czasami, gdy jej nazwisko dużo znaczyło w tej szkole, gdy zadawała się z ludźmi pokroju Ellingtonów, jestem wdzięczna, że jest teraz przy mnie.

– Więc idź do dyrektora i po drodze powieś plakaty w bibliotece i przy centrum komputerowym. Ja zajmę się resztą, może tak być? – proponuję.

Wystawiam rękę do piątki. Przez chwilę Lin ma taką minę, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale potem uśmiecha się z wdzięcznością i przybija mi piątkę.

– Jesteś aniołem.

Ktoś odsuwa krzesło koło mnie i siada. Lin w ułamku sekundy staje się blada jak ściana.

Patrzę ze zmarszczonym czołem, jak wodzi wzrokiem ode mnie do osoby, która zajęła sąsiednie krzesło.

Powoli odwracam się... I patrzę prosto w turkusowe oczy.

Jak wszyscy w szkole znam te oczy, tylko że jeszcze nigdy nie widziałam ich z tak bliska. To część charakterystycznej twarzy o ciemnych brwiach, wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i arogancko wygiętych, pięknych ustach.

To James Beaufort siedzi obok.

I patrzy na mnie.

Z bliska wydaje się jeszcze bardziej niebezpieczny niż z daleka. To jeden z tych, którzy zachowują się, jakby całe Maxton Hall należało do nich. Tak właśnie wygląda. Pewna siebie, dumna postawa. Jego krawat nie przesunął się ani o milimetr. Na nim nawet w gruncie rzeczy przeciętny szkolny mundurek wygląda elegancko, jakby się w nim urodził. Zapewne dlatego, że zaprojektowała go jego matka. Jedyne, co nie jest w nim starannie ułożone, to rudoblond włosy. W przeciwieństwie do gładko ulizanej fryzury jego siostry, włosy Jamesa wiją się niesfornie.

– Cześć – zaczyna.

Czy ja już kiedyś słyszałam jego głos? Owszem, kiedy wrzeszczał na boisku podczas meczu lacrosse albo krzyczał coś pijany na jednym ze szkolnych przyjęć, ale nigdy z tak bliska. To „cześć” jest równie przyjacielskie jak iskierki w jego oczach. Jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że podczas przerwy obiadowej siada koło mnie i zaczyna ze mną rozmawiać. A przecież nigdy nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa. I oby tak dalej.

Rozglądam się ostrożnie i z trudem przełykam ślinę. Kilka głów odwraca się w naszą stronę. Jakby czapka niewidka, którą noszę od dwóch lat, nieco się zsunęła.

Niedobrze, niedobrze, bardzo niedobrze.

– Słuchaj, Lin, miałabyś coś przeciwko temu, gdybym na chwilę porwał twoją przyjaciółkę? – pyta, cały czas nie odrywając ode mnie wzroku. Patrzy tak intensywnie, że przeszywa mnie dreszcz. Chwilę trwa, zanim dociera do mnie znaczenie jego słów. Błyskawicznie odwracam głowę do Lin i usiłuję bez słów dać jej do zrozumienia, że ja miałabym coś przeciwko temu, ona jednak wcale nie patrzy na mnie, tylko na Jamesa.

– Jasne – odpowiada ochryple. – Idźcie.

W ostatniej chwili porywam plecak z podłogi, a potem James Beaufort kładzie mi dłoń u nasady pleców i prowadzi do drzwi stołówki. Przyśpieszam kroku, żeby nie czuć na sobie jego dotyku, ale i tak czuję się, jakby naznaczył mnie przez materiał zakietu. Prowadzi mnie dokoła wielkich schodów we foyer i zatrzymuje się dopiero w miejscu, z którego nie widzą nas już uczniowie, ciągle kręcący się w okolicach stołówki.

Domyślam się, czego chce. Ponieważ w ciągu minionych dwóch lat ani razu nawet na mnie nie spojrzął, zapewne chodzi o jego siostrę i pana Suttona.

Dopiero kiedy mam pewność, że nikt nas nie słyszy, odwracam się do niego.

– Chyba wiem, czego chcesz.

Jego usta wyginają się w lekkim uśmiechu.

– Czyżby?

– Posłuchaj, Beaufort...

– Niestety, w tym momencie muszę ci przerwać, Robyn. – Robi krok w moją stronę. Nie cofam się, tylko patrzę na niego spod uniesionych brwi. – Jeżeli się dowiem, że komukolwiek pisnęłaś choćby słówko, dopilnuję, żebyś wyleciała ze szkoły.

Wciska mi coś w dłoń. Zaskoczona opuszczam wzrok i sztywnieję, gdy zdaję sobie sprawę, co to jest.

Trzymam w ręce gruby plik banknotów pięćdziesięciofuntowych. Z trudem przełykam ślinę. Nigdy w życiu nie trzymałam tylu pieniędzy.

Podnoszę głowę. Pogardliwy uśmiech Jamesa mówi wszystko. Daje mi jasno do zrozumienia, że doskonale wie, jak bardzo przydałyby mi się te

pieniądze. I że nie po raz pierwszy kupuje czyjeś milczenie. Jego spojrzenie i postawa są tak pewne siebie, że nagle ogarnia mnie wściekłość.

– Mówisz poważnie? – cedzę przez zęby i podnoszę plik pieniędzy. Jestem tak wściekła, że ręce mi drżą.

Poważnieje, zastanawia się. Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjmując drugi plik banknotów i podaje mi go.

– Na więcej niż dziesięć tysięcy nie możesz liczyć.

Nie wierzę własnym uszom. Wodzę spojrzeniem między jego twarzą a pieniędzmi.

– Jeżeli utrzymasz język za zębami do końca semestru, dostaniesz drugie tyle. Jeżeli uda ci się do końca roku szkolnego, cztery razy tyle.

Bez końca powtarzam jego słowa w głowie, aż krew wrze mi w żyłach.

Jak on śmie stać tak przede mną, wciskać mi dziesięć tysięcy funtów, chcąc kupić moje milczenie. Jakbym nie była nic warta. Jakby to było najnormalniejsze na świecie, kiedy człowiek rodzi się w luksusie. Nagle uświadamiam sobie, że nie chodzi tylko o to, że nie lubię Jamesa Beauforta. Ja nim gardzę. Nim i wszystkim, co sobą reprezentuje. Tym, jak żyje, bez namysłu, nie licząc się z konsekwencjami. Jeśli człowiek ma na nazwisko Beaufort, jest nietykalny. Nieważne, co robi, pieniądze tatusia wszystko załatwią. Podczas gdy ja od dwóch lat stoję na rzesach, by mieć choćby szansę na studia w Oksfordzie, dla niego szkoła średnia to zabawa. To niesprawiedliwe. Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej mnie wkurza.

Zaciskam palce na banknotach. Zaciskam też zęby i zsuwam wąski pasek papieru opasujący pieniądze.

James marszczy czoło.

– Co...

Zuchwale podnoszę rękę i ciskam banknoty w powietrze.

James odwzajemnia moje spojrzenie bez mrugnięcia okiem, jego napięcie zdradza jedynie mięsień drgający na szczęcie.

Kiedy banknoty powoli opadają na podłogę, odwracam się na pięcie i odchodzę.

4

Ruby

Rudozłoty koński ogon kołysze mi się przed oczami. Koncentruję na nim całą swoją wściekłość. To wszystko wina Lydii. Gdyby nie obściskiwała się z nauczycielem, nie przyłapałabym ich na gorącym uczynku i nie poskarżyłaby się na mnie swojemu braciszкови. Wtedy mogłabym spokojnie skupić się na lekcjach i nie oburzać w myślach, że zwrócił się do mnie: Robyn. Ani że rzuciłam mu w twarz dziesięć tysięcy funtów.

Ukrywam twarz w dłoniach. Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę to zrobiłam. Oczywiście postąpiłam słusznie, nie przyjmując pieniędzy. Ale mimo to... Od wczorajszego popołudnia nie mogę przestać myśleć o sprawach, które mogłabym załatwić za te pieniądze. Na przykład nasz dom. Od wypadku taty przed ośmiu laty przebudowujemy go kawałek po kawałku i stopniowo staje się domem bez barier, ale sporo można jeszcze poprawić. Co dalej? Nasz samochód ledwo zipie, a wszyscy jesteśmy na niego skazani. Zwłaszcza tata. Za czterdzieści tysięcy, które James zaoferował mi na koniec roku szkolnego, mogłabym kupić nowego vana.

Energicznie kręcę głową. Nie, nigdy w życiu nie przyjąłabym brudnych pieniędzy od Beaufortów. Nie dam się kupić.

Wsuwam kalendarz pod podręcznik do historii i otwieram dyskretnie. Odhaczam wszystkie punkty zaplanowane na dzisiaj. I tylko jeden kłuje mnie w oczy: odebrać referencje od pana Suttona.

Z zaciśniętymi zębami wpatruję się w litery. Najchętniej wymazałabym je korektorem, podobnie jak wspomnienie pana Suttona i Lydii Beaufort.

Po raz pierwszy od początku lekcji odważam się zerknąć przed siebie, wyrzeć zza jej głowy. Pan Sutton stoi przy tablicy. Ma na sobie koszulę w kratę, grafitowy sweter i okulary, które zawsze zakłada podczas lekcji. Trzydniowy zarost jest starannie przycięty. Na jego policzkach rysują się

dołączki, w których zakochały się wszystkie dziewczyny.

Wokół mnie nagle rozlega się śmiech – powiedział coś zabawnego. To jeden z powodów, dla których zawsze darzyłam go sympatią.

Teraz nawet nie jestem w stanie na niego spojrzeć.

Nie pojmuję tego – pan Sutton jest na tyle zdolny, że dostaje się do Oksfordu, tuż po studiach trafia do jednej z najlepszych prywatnych szkół w całej Anglii, a pierwsze, co robi, to wdaje się w romans z uczennicą? Dlaczego, na miłość boską?

Napotyka mój wzrok i jego uśmiech blednie. Przede mną Lydia sztywnieje. Napina barki i kark, jakby ze wszystkich sił starała się nie odwrócić.

Tak energicznie opuszczam głowę nad kalendarz, że włosy opadają mi na twarz ciemną zasłoną.

Do końca lekcji trwam w tej pozycji.

Kiedy wreszcie rozlega się dzwonek, mam wrażenie, że minęły całe dni, a nie dziewięćdziesiąt minut. Pakuję się powoli. Jak w zwolnionym tempie wkładam książki do plecaka i starannie układam.

Potem zasuвам zamek tak powoli, że słyszę trzask każdego ząbka. Dopiero kiedy głosy i kroki pozostałych uczniów ucichły na korytarzu, wstaję. Pan Sutton w roztargnieniu wkłada papiery do tekturowej teczki. Wydaje się spięty, humor, który demonstrował na zajęciach, zniknął bez śladu. W sali oprócz nas jest jeszcze tylko Lydia Beaufort. Ustawicznie wodzi wzrokiem między panem Suttonem i mną.

Serce podchodzi mi do gardła, gdy zarzucam plecak na ramię i idę w kierunku katedry. Zatrzymuję się i chrząkam. Pan Sutton podnosi na mnie wzrok. W jego złotobrazowych oczach maluje się smutek. Niemal fizycznie czuję jego wyrzuty sumienia. Porusza się jak robot.

– Lydia, zostawisz nas samych? – pyta, nawet na nią nie patrząc.

– Ale...

– Proszę – dodaje cicho i rzuca jej przelotne spojrzenie.

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę kiwa głową i odwraca się na pięcie. Cicho zamyka za sobą drzwi klasy.

Pan Sutton ponownie koncentruje się na mnie. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzędam go.

– Przyszłam po referencje do Oksfordu – mówię szybko.

Mruga nerwowo, wyraźnie zbity z tropu, i reaguje dopiero po dłuższej

chwili.

– Ja... oczywiście. – Chaotycznie szuka czegoś w teczce, do której przed chwilą wsunął materiały z lekcji. Nie znajduje, więc pochyla się, podnosi brązową aktówkę z podłogi i stawia na pulpicie. Otwiera ją, zagląda do środka. Ręce mu drżą, widzę rumieniec na jego policzkach. – O, jest kopia – mamrocze, kiedy w końcu wyciąga foliową koszulkę z kartką papieru w środku. – Właściwie najpierw chciałem to z tobą omówić, ale kiedy... – Odchrząka. – Już to wysłałem, bo nie wiedziałem, czy przyjdiesz.

Zdrętwiałymi palcami chwytam cienki arkusik. Z trudem przełykam ślinę.

– Dziękuję.

Znowu chrząka. Sytuacja robi się coraz bardziej nieprzyjemna.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że ja...

– Nie – odpowiadam ochryple. – Proszę, nie.

– Ruby... – Nagle dostrzegam w jego oczach nie tylko żal, ale coś jeszcze: strach. On się mnie boi. Czy raczej tego, co mogłabym zrobić, mając taką wiedzę o nim i o Lydii. – Ja tylko...

– Nie – powtarzam i tym razem mój głos brzmi bardziej stanowczo. Pojedynawczo rozkładam ręce. – Nie mam zamiaru nikomu o tym powiedzieć. Naprawdę. Ja... Po prostu chcę o tym zapomnieć.

Otwiera usta i zaraz znowu je zamyka. W jego wzroku zdumienie miesza się ze zwątpieniem.

– To nie moja sprawa – podkreślam. – To w ogóle nie jest niczyja sprawa.

Zapada cisza. Pan Sutton przygląda mi się intensywnie, aż sama nie wiem, gdzie patrzeć. Jakby starał się wyczytać z moich oczu, czy mówię poważnie. W końcu zauważa cicho:

– Wiesz, że nadal będę twoim nauczycielem.

Oczywiście, że wiem. I bynajmniej nie jestem zachwycona perspektywą kilku godzin w tygodniu w tym samym pomieszczeniu z Lydią i panem Suttonem. Ale jedyne, co mogłabym zrobić, to iść do dyrektora, a spotkanie z Jamesem Beaufortem było przedsmakiem tego, jak mogłaby wyglądać taka rozmowa. Zwłaszcza że naprawdę uważam, że prywatne życie pana Suttona to tylko i wyłącznie jego sprawa.

– Po prostu chcę o tym zapomnieć – powtarzam kolejny raz.

Głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– I nie stawiasz... żadnych warunków? – Widząc moje oburzenie, dodaje szybko: – Chociaż i tak doskonale sobie radzisz na moich zajęciach. Jesteś

jedną z najlepszych uczennic i dobrze o tym wiesz. Myślałem po prostu, że...
– Wzdycha rozpaczliwie, nie kończy zdania. Jest czerwony na twarzy, brakuje mu pewności siebie, niemal widzę rozpacz w jego oczach.

Nagle wydaje mi się bardzo młody i po raz pierwszy zastanawiam się, ile on właściwie ma lat. Chyba nie więcej niż dwadzieścia pięć.

Usiłuję się uśmiechnąć, ale nie wychodzi mi to najlepiej.

– Proszę posłuchać, chcę tylko w spokoju skończyć szkołę – mówię i wsuwam kopię referencji do plecaka. Nie odpowiada, więc podchodzę do drzwi. Jeszcze raz odwracam się przez ramię. – Proszę traktować mnie tak samo, jak do tej pory.

Patrzy na mnie, jakbym była duchem, i to niezbyt przyjemnym. Widzę nieufność w jego oczach i wcale mu się nie dziwię.

– Dziękuję za referencje.

Z trudem przełyka ślinę, a potem kiwa głową.

Odwracam się i wychodzę. Zamykam za sobą drzwi, opieram się o nie plecami, zamykam oczy i oddycham głęboko.

Dopiero po chwili orientuję się, że nie jestem sama. Cichy odgłos sprawia, że natychmiast unoszę powieki.

Naprzeciwko mnie stoi James Beaufort. Skrzyżował ręce na piersi, oparł stopę o ścianę. Patrzy na mnie – bardziej ponuro niż wczoraj, bardziej mrocznie. Nie ma śladu po znaczącym uśmiešku, z jakim proponował mi pieniądze.

Odrywa się od ściany i podchodzi do mnie. Idzie powoli, niemal groźnie.

Czas ciągnie się, jakby wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie. Serce bije mi coraz szybciej. To jest jego królestwo. Czuję się jak intruz.

Zatrzymuje się tuż przede mną. Patrzy na mnie bez słów i na chwilę zapominam, na czym właściwie polega oddychanie. Kiedy ta umiejętność wraca, dociera do mnie, jak on fantastycznie pachnie. Anyżkiem. Korzennie, wytrawnie, ale przyjemnie. Najchętniej przysunęłabym się jeszcze bliżej, ale po chwili przypominam sobie, kto to właściwie jest. James sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wtedy wracam na ziemię. Mrużę oczy i łypię na niego groźnie.

– Jeżeli znowu chcesz mi proponować pieniądze, wiesz, gdzie ci je wsadzę.

Jego ręka nieruchomieje, a potem wysuwa ją spod marynarki. W jego oczach pojawia się mroczny błysk.

– Daruj sobie te numery à la Matka Teresa i powiedz mi otwarcie, czego chcesz od mojej rodziny. – Ma aksamitny, niski głos, stanowiący dziwny kontrast dla ostrych słów.

– Od twojej rodziny nie chcę niczego – zaczynam i dziękuję opatrności, że mam drzwi za plecami. – Poza jednym: dajcie mi spokój. A tak à propos, Matka Teresa wzięłaby pieniądze i rozdała w stołówce albo podzieliła się z biednymi na ulicy, sam wiesz, miłość bliźniego i tak dalej.

Patrzy na mnie z kamienną miną.

– Twoim zdaniem to takie zabawne? – pyta z wściekłością, doskonale słyszalną w jego głosie. Robi kolejny krok w moją stronę, jest już tak blisko, że stykamy się czubkami butów. Jeżeli zbliży się jeszcze odrobinę, kopnę go w klejnoty, choćbym tym sposobem miała zwrócić na siebie uwagę całego Maxton Hall.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Beaufort – mówię z wymuszonym spokojem. – Ani z twoją siostrą. Ale przede wszystkim nie chcę waszych pieniędzy. Jedyne, czego chcę, to szczęśliwie dobrać do końca roku szkolnego.

– Ty naprawdę nie chcesz pieniędzy – stwierdza z takim niedowierzaniem, że odruchowo zastanawiam się, czego on i jego rodzina musieli doświadczyć w przeszłości. Albo z kim mieli do czynienia. Ale to nie moja sprawa, nie moja sprawa, nie moja sprawa!

– Nie, naprawdę nie chcę pieniędzy. – Może w końcu mi uwierzy, jeżeli powtórzę to jeszcze kilka razy, patrząc mu głęboko w oczy.

Przygląda mi się przez całą wieczność, jakby analizował moją twarz i zamiary. A potem kieruje wzrok na moje usta, podbródek, szyję i dalej. Centymetr po centymetrze.

Kiedy ponownie unosi głowę, w jego oczach pojawia się zrozumienie. Cofa się o krok.

– Rozumiem. – Z westchnieniem rozgląda się na boki. – Gdzie chcesz to zrobić?

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Słucham?

– Gdzie chcesz to zrobić? – Drapie się w tył głowy. – Tam chyba jest puste pomieszczenie. Mam wytrych do wszystkich drzwi. – Przygląda mi się badawczo. – Jesteś bardzo głośna? Bo tuż obok jest gabinet pani Wakefield, a ona często zostaje po godzinach.

Przyglądam mu się pustym wzrokiem i usiłuję zrozumieć, o co mu, do

cholery, chodzi.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Drwiąco unosi brew.

– Jasne. Słuchaj, znam te numery pod tytułem: nie chcę twoich pieniędzy.

– A potem energicznie bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą korytarzem. Zatrzymuje się przed drzwiami, wyjmując klucz z kieszeni spodni i otwiera je. Drugą ręką rozluźnia krawat pod szyją.

Gdzie chcesz to zrobić?

Kiedy w końcu dociera do mnie, co miał na myśli, oburzona głośno nabieram powietrza. I wtedy on ciągnie mnie za rękę przez otwarte drzwi. Chwytam się framugi i wrywam dłoń z jego uścisku.

– Co to ma znaczyć? – Zwracam się do niego.

– Pertraktujemy od nowa – odpowiada. Zerka na zegarek na rękę. Podążam za jego wzrokiem: czarny pasek, brązowy cyferblat, wszystko bardzo eleganckie. I zapewne nieziemsko drogie. – Niedługo mam trening, więc byłoby super, gdybyśmy mogli się pospieszyć. – Cały czas przytrzymuje mi drzwi i kiwa na mnie głową, a jednocześnie drugą ręką rozwiązuje do końca krawat i zaczyna rozpinąć koszulę. Kiedy odsłania klatkę piersiową i kątem oka widzę wyraźnie zarysowane mięśnie, w moim mózgu zachodzi krótkie spięcie. Nagle zasycha mi w gardle.

– Czy tobie już zupełnie odbiło? – rzucam ochryple i cofam się o krok, zanim rozepnie koszulę do końca.

Przygląda mi się badawczo.

– Nie udawaj, że nie wiesz, jak tutaj załatwia się takie sprawy.

Prycham pogardliwie.

– Chyba naprawdę postradałeś zmysły, jeżeli sądzisz, że skłonisz mnie do milczenia, świadcząc usługi cielesne. Za kogo ty się właściwie uważasz, ty nadęty dupku?

Kilka razy mruga. Otwiera i zaraz znowu zamyka usta. W końcu tylko wzrusza ramionami.

Policzki mi płoną. Sama nie wiem, czy powinnam być bardziej zniesmaczona, czy zawstydzona. Ogarnia mnie mieszanka obu emocji.

– Co jest z tobą nie tak? – pytam, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Teraz to on prycha.

– Każdy ma swoją cenę, Robyn. Jaka jest twoja?

– Mam na imię Ruby, do jasnej cholery! – syczę i zaciskam pięści. – Jaka

jest moja cena? Daj mi spokój, rozumiesz? Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie z tobą widziano.

Z jego oczu sypią się iskry.

– Nie możesz sobie pozwolić na to, by cię ze mną widziano? – Niedowierzenie w jego głosie powinno teoretycznie rozjuszyć mnie jeszcze bardziej, ale teraz właściwie czuję do niego już tylko litość. No, prawie.

– Wystarczy, że rozmawiałeś ze mną w stołówce. Nie chcę stać się częścią twojego świata.

– Mojego świata – powtarza sucho.

– No wiesz, imprezy, narkotyki i te wszystkie bzdury. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Nagle w korytarzu rozlegają się kroki. Serce najpierw zamiera mi w piersi, a potem bije jak oszalałe. Wpycham Jamesa do pustego pomieszczenia i zamykam za nami drzwi. Wstrzymuję oddech, nasłuchuję i modłę się, żeby ten, kto idzie korytarzem, nie zmierzał do tego właśnie pokoju.

Nie, nie, nie, nie.

Kroki są coraz głośniejsze. Zaciskam powieki. Słyszę, jak osoba na korytarzu mija drzwi, a potem się oddala. Odgłos kroków zupełnie umilkł. Oddycham z ulgą.

– Ty mówisz poważnie. – Ton Jamesa jest równie nieprzenikniony jak jego spojrzenie.

– Jak najbardziej – zapewniam. – Więc proszę, zapnij w końcu koszulę.

Powoli spełnia moją prośbę, ale cały czas patrzy mi w oczy. Jakby szukał furtki, którą zapomniałam domknąć, ale chyba niczego nie znajduje.

– Dobrze.

Ucisk w piersi wreszcie staje się lżejszy.

– Świetnie. Fantastycznie. Słuchaj, muszę wracać do domu, rodzice na mnie czekają. – Odwracam się. James milczy, więc macham mu na pożegnanie i ruszam do drzwi.

– Nadal ci nie ufam. – Jego mroczny głos przyprawia mnie o gęsią skórę. Naciskam kłamkę.

– Wzajemnie.

5

James

Atmosfera w szatni jest napięta, powietrze aż skrzy się od adrenaliny, która buzuje w naszych żyłach. Te chwile, zanim trener do nas przemówi i wreszcie wybiegniemy na boisko, są zarazem najgorsze i najwspanialsze. W tych minutach wszystko wydaje się możliwe: zwycięstwo i porażka, duma i wstyd, szaleńcza radość i deprymująca frustracja. W żadnej innej chwili poczucie jedności w drużynie nie jest silniejsze, a motywacja większa.

Z zewnątrz dobiegają krzyki innych uczniów i doping rywali. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze pięć lat temu w Maxton Hall nikt nie interesował się lacrosse. Wówczas był to sport dla nieudaczników: kto nie załapał się do drużyny rugby ani piłki nożnej, trafiał do lacrosse, dlatego zespół był naprawdę słaby. Stanowił barwną mieszaninę dojrzewających chudzielców o pryszczatych twarzach i za długich rękach i nogach, nad którymi nie panowali.

Uznałem, że zabawnie będzie trafić właśnie do tej drużyny. Przede wszystkim jednak chciałem doprowadzić ojca do szału. W życiu nie pomyślałbym, że ten sport naprawdę przypadnie mi do gustu. Ani że po zaledwie kilku tygodniach ambicja weźmie górę i będę chciał, by moja ekipa osiągnęła coś więcej. Przekonałem przyjaciół, by do nas dołączyli, zagroziłem dyrektorowi Lexingtonowi, że straci przychyłność moich rodziców, jeżeli nie zatrudni lepszego trenera, i poprosiłem naszego czołowego projektanta, żeby stworzył nam nowe stroje.

Po raz pierwszy w życiu zainteresowałem się czymś na serio. I było warto. Dzisiaj, pięć lat później, po treningach kilka razy w tygodniu, po hektolitrach wylanej krwi, potu i łez, po kilku złamanych kościach i trzech wygranych w mistrzostwach, jesteśmy symbolem szkoły. Stawaliśmy na głowie, żeby dotrzeć tam, gdzie dzisiaj jesteśmy. Za każdym razem przepiękna mnie duma,

gdy przed meczem patrzę w twarze członków mojej drużyny.

Tak jak teraz.

Jednak dzisiaj towarzyszy mi jeszcze inne uczucie. Mroczne, bolesne, sprawia, że po tylu latach po raz pierwszy z ciężkim sercem zakładam kask na głowę.

To będzie pierwszy mecz podczas mojego ostatniego roku w szkole. Koniec sezonu oznacza dla mnie koniec wszystkiego. Lacrosse jest częścią powolnego, nieubłaganego odliczania, którego nie mogę zatrzymać. Nieważne, jak bardzo się staram.

– Wszystko w porządku? – pyta Wren i szturcha mnie w bark.

Ze wszystkich sił odpycham od siebie ponure myśli. Jeszcze do tego nie doszło, jeszcze mam cały rok, podczas którego mogę robić wszystko, co chcę. Z tylko połowicznie wymuszonym uśmiechem odwracam się do kumpla i mówię:

– Damy popalić tym dupkom z Eastview.

– McCormack jest mój – rzuca Alistair, jakby tylko czekał na hasło. – Mam z nim porachunki.

– Alistair – zaczyna Keshav po mojej lewej stronie. Dotyka palcami nasady nosa, dokładnie w tym miejscu, gdzie rok temu mu go złamano. – Opuść. – Jego ton i znaczące spojrzenie, którym obrzuca Alistaira, nie pozostawiają wątpliwości, że nie po raz pierwszy rozmawiają na ten temat.

– Nie – ucina Alistair.

McCormack, niestety mój imiennik, podczas ostatniego meczu z rozmysłem z całej siły uderzył Kesha kijem w twarz, i to już po tym, jak ten zdjął kask. Nadal pamiętam, w jakim byłem szoku, patrząc na Kesha osuwającego się na ziemię i krew buchającą z jego nosa aż na koszulkę. Pamiętam minuty, gdy nieprzytomny leżał na murawie.

McCormack kolejne trzy mecze spędził na ławce rezerwowych, ale na wspomnienie twarzy Kesha wściekłość uderza mi do głowy. Najwyraźniej Alistair czuje to samo. Cały czas przygląda się Keshowi.

– Po prostu nie rób żadnych głupstw – mówi ten i wkłada niebieską koszulkę, a potem związuje długie ciemne włosy w niesforny kucyk i zamyka swoją szafkę.

– Znasz go przecież – mamrocze Wren i opiera się o szafkę z krzywym uśmiechem na ustach.

– Wszystko mi jedno, czy resztę sezonu spędzę na ławce. McCormack

musi zapłacić. – Alistair klepie Kesha po ramieniu. – Powinieneś się cieszyć, że tak walczę o twój honor.

Zanim zdąży cofnąć rękę, Kesh przytrzymuje ją na swoim barku. Zerka przez ramię.

– Mówię poważnie.

Bursztynowe oczy Alistaira przypominają wąskie szparki.

– Ja też.

Przyglądają się sobie odrobinę zbyt długo i atmosfera, i tak już napięta, staje się nie do zniesienia. Czas wkroczyć do akcji.

– Zachowajcie siłę na boisko – mówię tonem, który nie pozostawia wątpliwości, że w tej chwili przemawiam nie jako przyjaciel, lecz jako kapitan. Czuję na sobie dwa gniewne spojrzenia, ale zanim koledzy zdążą cokolwiek odpowiedzieć, klaszczę w dłonie.

Cała drużyna gromadzi się pośrodku szatni. W biegu naciągam koszulkę z numerem siedemnaście. Materiał jest znajomy, stanowi część mnie. I znowu powraca ponura myśl o końcu, ale ze wszystkich sił odpycham ją od siebie i koncentruję się na trenerze Freemanie, który w tym momencie wchodzi do szatni. Idzie w naszą stronę. Jest to wysoki, potężny mężczyzna, choć jego długie nogi i ręce pasują raczej do biegacza długodystansowego albo lekkoatlety, a nie do gracza lacrosse. Poprawia niebieską czapeczkę na ostatnio coraz jaśniejszych włosach, podchodzi do nas, obejmuje ramionami mnie i Cyrila – swojego kapitana i jego zastępcę.

Wędruje wzrokiem po pomieszczeniu.

– Dla części z was jest to pierwszy, dla wielu ostatni sezon. Naszym celem jest zdobycie mistrzostwa – zaczyna. – Nic innego nie wchodzi w grę. Więc do roboty.

Trener Freeman nie jest wielkim mówcą, ale też nikt tego od niego nie wymaga. Kilka zdań wystarczy, żeby z naszych gardeł wydobył się głośny pomruk aprobaty.

– To ma być najlepszy sezon w historii Maxton Hall – dodaję odrobinę głośniej niż trener. – Jasne?

Chłopcy pomrukują ponownie, ale według Cyrila niewystarczająco entuzjastycznie. Przykłada rękę do ucha.

– Jasne?

Tym razem ryk jest tak głośny, że aż dźwięczy mi w uszach, dokładnie tak, jak być powinno. A potem zakładamy kaski i sięgamy po kije. Droga z szatni

przez wąski tunel przypomina nurkowanie; odgłosy z zewnątrz docierają z trudem, jakby coś blokowało mi uszy. Zaciskam dłoń na kiju i prowadzę swoją drużynę na boisko.

Trybuny pękają w szwach. Rozlega się krzyk, gdy wybiegamy na boisko. Cheerleaderki tańczą. Muzyka dudni z głośników i sprawia, że ziemia drży mi pod nogami.

Świeże powietrze wypełnia mi płuca, od wielu tygodni nie czułem się tak pełen życia. Rezerwowi i trener zajmują miejsca na skraju boiska, a my wybiegamy na środek i stajemy przed drużyną przeciwną, równie zmotywowaną jak my.

– To będzie dobry mecz – mruczy Cyril u mego boku i tym samym wypowiada na głos moje myśli.

Czekamy na sędziego, więc błędę wzrokiem po trybunach. Z tej odległości prawie nikogo nie rozpoznaję, poza Lydią, która siedzi wysoko w otoczeniu przyjaciółek i udaje, że ma w nosie cały ten mecz. Patrzę niżej, na skraj boiska, na rezerwowych drużyny przeciwnej, na ich trenera, który podchodzi do Freemana, żeby się przywitać.

I wtedy moją uwagę zwraca ciemna fryzura. Między trenerami stoi dziewczyna. Mówi do nich, wskazuje coś w dłoni. Kiedy wiatr odgarnia jej włosy z twarzy, rozpoznaję ją.

Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie z tobą widziano.

Wspomnienie jej słów jest jak cios w żołądek. Jeszcze nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Zazwyczaj sytuacja ma się dokładnie odwrotnie. Ludzie za wszelką cenę chcą być ze mną widziani. Odkąd po raz pierwszy przekroczyłem próg Maxton Hall, inni uczniowie dosłownie depczą mi po piętach i za wszelką cenę usiłują zwrócić moją uwagę. To normalne, kiedy ma się na nazwisko Beaufort. Odkąd rodzina mojej matki sto pięćdziesiąt lat temu otworzyła dom towarowy z tradycyjną odzieżą męską i tym sposobem zarobiła miliardy, w całej Anglii nie ma nikogo, kto nie znałby naszego nazwiska. Beaufort kojarzy się z bogactwem. Z wpływami. Z władzą. A w Maxton Hall wielu osobom wydaje się, że mogę załatwić im to wszystko – a przynajmniej okruchy – jeżeli wystarczająco długo będą mi się podlizywać.

Nie starczyłoby mi palców u rąk, by policzyć, ile razy po imprezowej nocy znajdowałem w kieszeni szkice garniturów. Ile razy podczas niby niezobowiązującej rozmowy ktoś nagle wypytywał o znajomych moich

rodziców. Ile razy różni ludzie usiłowali trafić do grona moich przyjaciół, tylko po to, żeby później przekazywać informacje o Lydii i o mnie do prasy. Najlepszym, ale bynajmniej nie jedynym przykładem jest zdjęcie z szesnastych urodzin Wrena, sprzed dwóch lat, na którym wciągam nosem kreskę koki. Nie wspomnę już, przez co musiała przejść Lydia.

Dlatego moich przyjaciół wybieram bardzo starannie. Wren, Alistair, Cyril i Kesh mają w nosie moje pieniądze, bo wystarczą im własne. Alistair i Cyril pochodzą ze starych arystokratycznych angielskich rodzin, ojciec Wrena zbił nieziemski majątek na giełdzie, ojciec Keshy to znany producent filmowy. Wszystkim zależy na znajomości z nami.

Wszystkim poza...

Zatrzymuję wzrok na Ruby. Ciemne włosy lśnią w blasku słońca, rozwiane przez wiatr. Walczy z grzywką, przygląda ją dłonią, chociaż to niczego nie daje, bo dwie sekundy później ta znowu rozsypuje się niesfornie. Jestem święcie przekonany, że przed tą aferą z Lydią nigdy w życiu jej nie widziałem.

Teraz zastanawiam się, jak to możliwe.

Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie z tobą widziano. Dosłownie wszystko w niej budzi nieufność, ale na pierwszy plan wysuwają się jej przenikliwe zielone oczy. Chcę do niej podejść, przekonać się, czy na innych patrzy tak samo jak na mnie: z pogardą.

Ta dziewczyna widziała, jak moja siostra całowała się z nauczycielem. Zastanawiam się, co planuje. Czy po prostu czeka na odpowiedni moment, żeby odpalić bombę? Nie po raz pierwszy nasza rodzina trafiłaby na okładki brukowców.

Mortimer Beaufort romansuje z dwudziestolatką.

Cordelia Beaufort w odmętach depresji.

Czy nałóg go złamie? James Beaufort uzależniony!

Wystarczyło, by mój ojciec poszedł na kolację ze współpracownicą, a media już ogłosiły romans. Z przygnębienia po kłótni rodziców zrobiono ostrą depresję, a ze mnie narkomana, który lada dzień przedawkuje i rozpaczliwie błaga o pomoc. Wolałem się nie zastanawiać, co wymyślą, gdy usłyszą o Lydii i Suttonie.

Cały czas przyglądam się Ruby. Wyjęła aparat fotograficzny z plecaka, robi zdjęcia trenerom, którzy po raz drugi podają sobie ręce. Zaciskam dłoń na kiju tak mocno, że aż trzeszczą rękawiczki. Nie potrafię jej rozgryźć, nie

mam pojęcia, czy mówiła prawdę, czy jej zachowanie to chłodna kalkulacja.

Może powinienem zaproponować jej więcej pieniędzy. A może chce czegoś innego i po prostu czeka na odpowiedni moment, żeby tego zażądać.

Nie podoba mi się, że los mojej rodziny, a szczególnie Lydii, spoczywa w dłoniach tej dziewczyny.

Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie z tobą widziano.

Jeszcze się przekonamy.

Ruby

Nie daję rady.

Lacrosse to szybki sport. Piłka błyskawicznie przelatuje z jednej siatki do drugiej, z trudem orientuję się w przebiegu meczu, czy to przez obiektyw aparatu, czy gołym okiem. Powinnam była od początku wiedzieć, że bez Lin nie dam rady, nie uda mi się uwiecznić gry. Zazwyczaj dzielimy się artykułami o wydarzeniach sportowych: jedna opisuje przebieg rozgrywki, druga robi zdjęcia. Ale dzisiaj, w ostatniej chwili, mama znowu ściągnęła ją do Londynu, a w tak krótkim czasie nie udało nam się sprowadzić nikogo z komitetu organizacyjnego, kto mógłby ją zastąpić.

Ponieważ relacje z meczów lacrosse to najczęściej czytane wpisy na blogu komitetu organizacyjnego, nie mogliśmy sobie odpuścić. Problem w tym, że aby napisać coś o meczu *Maxton Hall kontra Eastview – pojedynek gigantów*, musiałabym jeszcze rozumieć, co się dzieje na boisku. Jednak wśród wrzasków graczy, przekleństw trenerów, okrzyków radości i frustracji z trybun, nie sposób uważnie obserwować przebiegu gry, nie wspominając o fotografowaniu najważniejszych momentów. Zwłaszcza że mój aparat ma już co najmniej dziesięć lat.

– W dupę! – krzyczy trener Freeman nad moim uchem tak głośno, że odruchowo się wzdygam. Odrywam wzrok od aparatu i okazuje się, że przegapiłam drugą bramkę Eastview. Lin mnie zabije.

Robię kolejny krok w kierunku trenera. Niestety podczas meczu na żywo nie można, jak w telewizji, liczyć na powtórkę, ale może on mi wyjaśni, co się dzieje. Jednak zanim zdążę otworzyć usta, by o to poprosić, na nowo zaczyna wrzeszczeć.

– Podaj dalej, Ellington, do jasnej cholery!

Odwracam się w stronę boiska. Alistair Ellington biegnie w kierunku połowy przeciwnika tak szybko, że nawet nie próbuję utrzymać na nim obiektywu, bo nie sposób objąć okiem kamery całego boiska. Usiłuję wyminąć dwóch obrońców i wtedy nie wiadomo skąd zjawia się trzeci przeciwnik, blokując mu drogę. Ellington jest co prawda niezmiernie zwinny, ale w przeciwieństwie do innych graczy bardzo drobny. Nawet ja wiem, że przeciwko trzem nie ma szans. Jeden z obrońców napiera na niego barkiem. Ellington nie ustępuje, choć przesuwa się dobre pół metra w tył.

– Podaj! – ryczy ponownie trener Freeman.

Alistair go nie słucha, sam mierzy się z przeciwnikami. Nawet tutaj, na skraju boiska, słyszę, jak obrzucają się obelgami. Nagle i tak spięty Alistair prostuje się jeszcze bardziej, przez ułamek sekundy on i przeciwnik zdają się zamierać w tych samych pozycjach.

Trener Freeman nabiera głęboko powietrza, zapewne żeby znowu coś wrzasnąć, ale wtedy Alistair powoli wypuszcza powietrze z płuc i z całej siły wali przeciwnika w bok.

Przerażona, głośno wciągam powietrze. Alistair uderza po raz drugi, tym razem prosto w żołądek. Przeciwnik wrzeszczy z bólu i osuwa się na kolana. Drugi obrońca tymczasem rzuca się na Alistaira, pociąga go na murawę i dłońmi w rękawiczkach wymierza ciosy. Alistair broni się kijem. Rozlega się przenikliwy gwizd, ale potrzeba kilku chłopaków z drużyny, żeby rozdzielić walczących. Słyszę mroczny głos Jamesa Beauforta. Wrzeszczy na Ellingtona i już sobie wyobrażam, że w tej chwili, jako kapitan drużyny, najchętniej urwałby mu głowę.

U mojego boku trener Freeman klnie nieprzerwanie. „W dupę” to najłagodniejsze wyrażenie, pozostałe nie nadają się do druku. Ściągnął czapkę z głowy i tak wściekle przeczesał włosy palcami, że chyba naprawdę widziałam, jak kilka z nich opada na ziemię. Po chwili sędzia odsyła Alistaira na ławkę rezerwowych.

Podchodzi do nas, ściąga kask z głowy, wyjmując ochraniacz z ust. Jedno i drugie ciska na ziemię.

– Co to miało być, do cholery, Ellington! – warczy trener.

Dyskretnie cofam się o krok, żeby nie znaleźć się na polu bitwy.

– Zasłużył sobie na to – odpowiada. Bardzo spokojnie, jakby przed chwilą wcale nie brał udziału w bójce.

– Masz...

– Szlaban na kolejne trzy mecze? – Alistair wzrusza ramionami. – Jeżeli pana zdaniem drużyna to wytrzyma, proszę bardzo.

A potem nonszalancko mija trenera, ciska kij na ziemię, ściąga rękawiczki. Kiedy dostrzega mój wzrok, nieruchomieje.

– Co jest? – rzuca zaczepnie.

Ja tylko kręcę głową.

Na szczęście gwizdek sędziego ratuje mnie z opresji i nie muszę odpowiadać. Najszybciej jak potrafię wracam na poprzednie miejsce. Chwilę trwa, zanim udaje mi się namierzyć piłkę – w tej chwili jest w siatce na kiju Wrena. Facet nie jest tak szybki jak Alistair, za to silniejszy. Barkiem spycha gracza Eastview z drogi, zaraz jednak ktoś inny odbiera mu piłkę. I wtedy do akcji wkracza Beaufort, przechwytuje ją, zanim przeciwnik zdąży podać dalej.

Krzywię się podejrzliwie. Beaufort jest naprawdę dobry. Cholernie dobry. Porusza się zwinnie, płynnie, dopasowuje się do kroków przeciwników, brutalnie usuwa ich z drogi. Nie widzę jego twarzy pod kaskiem, ale jestem przekonana, że gra sprawia mi przyjemność. Kiedy gra, wygląda, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko uganiał się po okolicy z kijem do lacrosse.

– Co ty właściwie robisz? – pyta Alistair tuż przy mnie. Wzdrygam się po raz kolejny, ale jednocześnie przypominam sobie, czemu tu właściwie jestem. Nerwowo otwieram notes.

– Piszę artykuł o meczu na szkolny blog – odpowiadam, nie patrząc na niego. – Jak się nazywa ten obrońca, który przed chwilą odebrał piłkę Wrenowi?

– Harrington – odpowiada Alistair. Czuję na sobie jego wzrok, podczas gdy trener Freeman wyrzuca z siebie kolejny potok przekleństw. Najwyraźniej Beaufort stracił piłkę, kiedy notowałam. Eastview znowu jest w posiadaniu. – Dawaj, Kesh – szepcze Alistair.

Napastnik Eastview wyrzuca piłkę do przodu. Wszystko dzieje się tak szybko, że w pierwszej chwili nie jestem w stanie określić, czy trafiła do siatki, czy nie. Ale potem rozlegają się radosne krzyki naszych trybun, a Keshav tryumfalnie unosi kij. Najwyraźniej wsparcie Alistaira pomogło i zatrzymał napastnika.

– Nie obsmaruj mnie za bardzo w tym artykule – mruczy Alistair, gdy

nerwowo zapisuję, że Keshav uratował nas w ostatniej chwili. Po raz pierwszy przyglądam się Alistairowi z tak bliska i zauważam, że ma oczy koloru szkockiej whisky.

– Bez powodu zaatakowałeś gracza przeciwnej drużyny. Niby jak mam cię nie obsmarować?

Wracam wzrokiem do Keshava i przez jego twarz przebiega mroczny cień.

– Skąd wiesz, że bez powodu?

Wzruszam ramionami.

– Z mojej perspektywy nie wyglądało na to, żebyś się szczególnie długo zastanawiał nad tym, co robisz.

Alistair przygląda mi się spod uniesionych brwi.

– Od wielu miesięcy czekałem na okazję, żeby dowalić McCormackowi. Kiedy zaczął obrażać mnie i moich przyjaciół, wreszcie miałem pretekst.

Jasny kosmyk opada mu na czoło. Odgarnia go niecierpliwie. Wtedy dostrzega moje notatki. Krzywi się.

– Jak niby chcesz to rozszyfrować, pisząc artykuł? Przecież to straszne bazgroły.

Chciałabym zaprotestować, ale ma rację. Zazwyczaj piszę czytelnie, a kiedy się postaram, nawet ładnie. Ale w takim tempie, w jakim muszę wszystko dokumentować, bazgrzę jak kura pazurem.

– Zazwyczaj robimy to we dwie – tłumaczę się, choć właściwie powinno być mi obojętne, co Alistair Ellington sądzi o moim charakterze pisma. – Naprawdę niełatwo jest jednocześnie robić zdjęcia, obserwować grę i spisywać wszystkie ważne momenty, żeby później powstał z tego artykuł.

– Dlaczego po prostu nie nakręcisz meczu? – pyta. Wydaje się autentycznie zainteresowany i nie sądzę, że robi to tylko po to, żeby później się ze mnie nabijać.

Bez słowa podnoszę aparat.

Alistair krzywi się.

– Jezu, ile to ma lat?

– Obstawiam, że moja mama kupiła go przed urodzinami mojej siostry – odpowiadam.

– A ile lat ma twoja siostra? Pięć?

– Szesnaście.

Alistair mruga kilka razy, a potem na jego twarzy pojawia się uśmiech. W tej chwili nie wygląda już wcale jak zahartowany zawodnik lacrosse, który

zaledwie kilka minut temu zaatakował kijem przeciwnika. Nie, w tej chwili wygląda jak... anioł. Ma piękne, regularne rysy, które w połączeniu z jasnymi lokami sprawiają, że przypomina ucieleśnienie niewinności.

Wiem jednak, że to nieprawda. Alistair to jeden z najbliższych przyjaciół Jamesa Beauforta, a zatem o niewinności mowy być nie może.

– Poczekaj chwilę – mówi nagle, odwraca się na pięcie i znika za drzwiami prowadzącymi do szatni. Zanim zdążę się zastanowić, co właściwie planuje, ponownie staje przede mną. W dłoni trzyma czarnego iPhone'a. – Mam za mało pamięci, żeby nagrać cały mecz, ale mogę pstryknąć kilka fotek – proponuje. Odblokowuje telefon, włącza aparat i ustawia obiektyw w kierunku boiska. Kiedy widzi, że ciągle stoję jak wryta, pytająco unosi brew. – O ile wiem, miałaś obserwować mecz, a nie mnie.

Mrugam zaskoczona. Jestem w takim szoku, że nawet nie jest mi głupio, że po raz kolejny przyłapał mnie na tym, jak mu się przyglądam.

– Chcesz mi pomóc?

Wzrusza ramionami.

– W tej chwili i tak nie mam nic lepszego do roboty.

– To... naprawdę miło z twojej strony. Dziękuję. – Staram się ukryć podejrzliwość w głosie, ale nie najlepiej mi to wychodzi.

Ta sytuacja jest po prostu absurdalna. Nie mieści mi się w głowie, że to naprawdę brat Elaine Ellington. Ona nie pomogłaby mi za żadne skarby. Przeciwnie, wyśmiałaby mój aparat i zadbała o to, by już jutro wszyscy o tym wiedzieli.

Obserwuję Alistaira kątem oka, ale chyba naprawdę zaangażował się w swoje zadanie. Pstryka fotki jedna za drugą, opuszcza telefon tylko na chwilę, żeby krzykiem wesprzeć swoją drużynę albo obrzucić przeciwników obelgami.

Zajmuję się notowaniem, co teraz idzie mi o wiele łatwiej. Kiedy podchodzi do nas trener Freeman, obawiam się, że każe Alistairowi zejść z boiska, słysząc z jego ust potok przekleństw pod adresem przeciwników. On jednak staje koło mnie i tłumaczy zasady gry, opisuje poszczególne zagrania taktyczne.

Pod koniec meczu zaczyna padać, ale deszcz nie tłumi entuzjazmu ani na trybunach, ani na boisku. Wręcz przeciwnie. Kiedy Maxton Hall obejmuje prowadzenie po dobrym podaniu Cyrila Vegi do Beauforta, trybuny eksplodują radością. Trener wydaje okrzyk radości, odwraca się w stronę

naszych trybun i triumfalnie unosi pięści.

Pośpiesznie zamykam notes i chowam go do plecaka. Mokra włosy oblepiają mi czaszkę, grzywka żałośnie przylega do czoła. Poprawianie jej nie ma sensu, a nie chcę jej też odgarnąć do tyłu, bo odziedziczyłam wysokie czoło taty.

Nasi zawodnicy zbiegają z boiska i przybijają piątki z Alistairem – wszyscy poza Keshavem, który wchodzi do szatni, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Przez moment na twarzy Alistaira maluje się emocja, której nie potrafię zdefiniować. Na ułamek sekundy znika uśmiech, oczy mu ciemnieją, stają się nieprzeniknione. Zaraz jednak mruga i chwila mija tak szybko, że wydaje mi się, że sobie to wszystko wyobraziłam.

Alistair znowu przechwytuje mój wzrok. Pytając unosi brwi.

– Wielkie dzięki za pomoc – mówię szybko, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć. Nie jestem pewna, czy będzie dla mnie miły także wtedy, gdy w pobliżu są jego kumple, i wolę nie ryzykować. – No wiesz, ze zdjęciami.

– Nie ma sprawy. – Dotyka wyświetlacza i podaje mi telefon. Otworzył książkę adresową. – Wpisz mi swój numer, żebym przesłał ci fotki.

Biorę od niego telefon. Zanim skończę wpisywać swój numer, rozlega się głos, który znam już aż za dobrze.

– A wy co robicie?

Podnoszę głowę.

Przede mną stoi James Beaufort. Przemókł do suchej nitki: rudozłote włosy są ciemniejsze niż zwykle, przez co jego rysy wydają się ostrzejsze. W jednej ręce trzyma kij do lacrosse, w drugiej kask i chyba w ogóle nie czuje, że strugi deszczu spływają mu po twarzy, barkach i całym ciele, wtapiając się w błoto, które po meczu zostało na jego koszulce.

Wbrew sobie wpatruję się w jego ciało.

I nagle budzi się we mnie coś, co nie ma nic wspólnego z nieufnością i niechęcią. Uczucie, którego nie znam, ale jestem pewna, że James Beaufort to ostatnia osoba, w której obecności chciałabym go doświadczać.

Rezolutnie odpycham od siebie wszelkie myśli i rozważania na temat, co to może oznaczać, i usiłuję zachować obojętną minę.

Na szczęście na jego pytanie odpowiada Alistair.

– Ona pisze sprawozdanie z meczu na szkolnego bloga. – Bierze ode mnie aparat, patrzy na mój numer i imię, pod którym go zapisałam. Wcześniej zapewne nie wiedział, jak się nazywam. – Później prześlę ci fotki, Ruby.

– Super, wielkie dzięki – odpowiadam, choć w myślach przygotowuję się już na to, że wcale tego nie zrobi. Nieważne, jak bardzo mnie zaskoczył w ciągu ostatnich trzydziestu minut, to cały czas Alistair Ellington.

– Idę zobaczyć, jak bardzo wściekły jest Kesh – mówi do Jamesa.

– Bardzo – odpowiada ten i kieruje zimne spojrzenie na przyjaciela i kolegę z boiska. – Tak samo jak ja i wszyscy pozostali. Mówiłem ci, że masz się trzymać z daleka od McCormacka.

– A ja cię nie posłuchałem. – Alistair wzrusza ramionami. – James, może i jesteś moim kapitanem, ale na pewno nie moją matką. – Sądząc po jego głosie, nie interesuje go, co Beaufort sobie o nim pomyśli, ale kiedy po chwili klepie go po ramieniu, odbieram to jako gest przeprosin. Potem odwraca się na pięcie i znika w szatni.

A James wraca wzrokiem do mnie. I jego spojrzenie jest jeszcze chłodniejsze. Nie wiem, czy chodzi o mnie, czy o spięcie z Alistairem, ale wiem na pewno, że muszę stąd jak najszybciej zniknąć.

– Co to ma być? – rzuca.

Nagle deszcz wydaje mi się jeszcze bardziej lodowaty.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiadam głosem silniejszym, niż czuję się w rzeczywistości.

Wydaje dźwięk, który zapewne miał być śmiechem. A może warknięciem? Sama nie wiem. Widzę tylko, że jest jeszcze bardziej spięty, a wyraz jego twarzy stanowczy.

– Trzymaj się z daleka od moich przyjaciół, Ruby.

Zanim zdążę cokolwiek odpowiedzieć, odchodzi w kierunku szatni przy akompaniamencie tryumfalnych okrzyków naszych kibiców.

6

James

– Ta impreza jest beznadziejna. – Wren upija spory łyk ze swojej piersiówki i podaje ją dalej, Cyrilowi, który opiera się o balustradę z taką samą znudzoną miną.

U naszych stóp rozciąga się Weston Hall, ogromna, elegancka sala balowa z charakterystycznymi dla Maxton Hall wysokimi oknami, drewnianym parkietem i stiukami na ścianach. Podobnie jak w pozostałych budynkach, także tutaj panuje atmosfera rodem z XV wieku, w każdym razie zazwyczaj.

Dzisiaj czuję się jak na kinderbalu. Dekoracje są zabawne, poczęstunek to bezalkoholowy poncz i przystawki w malutkich miseczkach ozdobionych kolorowymi wstążkami. Muzyka jest makabryczna. Nie pojmuję, co wyprawia didżej za konsolą. Nie ma żadnych sensownych przejść między kolejnymi kawałkami, brzmi to tak, jakby najzwyczajniej w świecie odpalił playlistę ze Spotify na chybił trafił. Lada chwila spodziewam się reklamy beznadziejnej płyty. Poza tym goście chyba nie do końca wiedzieli, co włożyć na dzisiejszą imprezę. Niektórzy się wystroili, inni ubrali się zbyt nonszalancko. Krótko mówiąc, to przyjęcie to jedna wielka katastrofa. Jakby ktoś próbował wpuścić do Maxton Hall powiew świeżości, ale jednocześnie nie śmiał do końca pożegnać się z tradycją. Rezultat to dziwaczna mieszanina innowacji i elegancji, która zbija gości z tropu i skutecznie tłumi w zarodku choćby cień dobrej zabawy.

– Nie przesadzaj, nie jest aż tak źle. – Głos Alistaira wytrąca mnie z zadumy. Wkłada ręce w kieszenie i kołysze się na palcach, ze wzrokiem wbitym w parkiet pod nami, gdzie rzeczywiście zebrała się mała grupa.

– Tylko ty masz ochotę chodzić na te imprezy. – Kesh przewraca oczami. Alistair wzrusza ramionami.

– Bo są zabawne.

Kesh krzywi się, bierze piersiówkę od Cyrila i podaje mi. Sam nie upił ani kropli.

– Tutaj też będzie zabawnie, uwierz mi. – Upijam spory łyk i rozkoszuję się przyjemnym pieczeniem szkockiej w gardle.

Wren wodzi wzrokiem między mną a Alistairem. Nagle jego oczy robią się wielkie i okrągłe.

– Zaplanowałeś coś?

Puszczam jego słowa mimo uszu i tylko wruszam ramionami, ale Alistair jak zawsze nie panuje nad mimiką. Nie trzeba go specjalnie dobrze znać, żeby zorientować się od razu, że coś ukrywa. Szelmowski błysk w oku i napięte mięśnie zdradzają właściwie wszystko.

– Nie do wiary. Zaplanowałeś coś i powiedziałeś jemu, a mnie nie? – Wren kieruje oskarżycielski palec najpierw w stronę Alistaira, potem w moją. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Odbieram to jako zdradę.

– Zdradę? – Uśmiecham się pod nosem.

Energicznie kiwa głową.

– Zdradę zasad braterstwa, które łączy nas od wczesnego dzieciństwa.

– Co za bełkot.

W nagrodę za suchy ton obrywam bokierski cios w bark.

– Spójrz na to inaczej, Wren: czeka cię fantastyczna niespodzianka – zauważa Alistair i szczypie go w policzek.

Wren uśmiecha się krzywo.

– Oby okazała się tego warta.

Już mówi niewyraźnie i bełkotliwie, a przecież to dopiero trzecia rundka piersiówki. Nie protestuję, kiedy ponownie unosi ją do ust, choć wiem, że Wren sięga po nią za często. Właściwie to marnotrawstwo pić dobrą, drogą whisky Bowmore tutaj, ukradkiem, zamiast z kryształowej szklanki, ale na imprezach Maxton Hall tylko rodzice i absolwenci dostają alkohol. Uczniom nie wolno się nawet zbliżyć do baru. Co jednak nigdy nam nie przeszkadzało w zapewnieniu sobie dobrej zabawy, a większość nauczycieli przymyka oko, kiedy się orientują, że piliśmy. Najgorsze, co nas do tej pory spotkało, to ostrzeżenie. Moi rodzice co roku przekazują na rzecz szkoły takie sumy, że zarząd nie ma innego wyjścia, musi traktować mnie ulgowo. Nie mogą sobie najzwyczajniej w świecie pozwolić na to, żeby zdrzeć z nami, Beaufortami, czy naszymi przyjaciółmi.

– Gdzie właściwie jest Lydia? – pyta Cyril. Sili się na nonszalancki ton, ale

nas nie oszuka. Od wielu lat jest beznadziejnie zadurzony w mojej siostrze. A odkąd dwa lata temu na chwilę coś ich połączyło, sprawa naprawdę się skomplikowała. Lydia, która wtedy chciała się tylko zabawić, zerwała z nim po kilku tygodniach, nie mając pojęcia, że biedny Cyril jest w niej po uszy zakochany. Złamała mu serce.

Czasami jest mi go autentycznie szkoda. Zwłaszcza kiedy sobie pomyślę, że od ponad dwóch lat z nikim nie był i najwyraźniej jeszcze o niej nie zapomniał.

– Nie uważasz, że już najwyższy czas, żeby, że tak powiem... przestać patrzeć wstecz? – zauważa Alistair.

Cyril mrozi go spojrzeniem jasnoniebieskich oczu.

– Miała się najpierw spotkać z przyjaciółką, chyba zjawi się dopiero później – odpowiadam szybko, zanim sytuacja się zaogni. Ilekroć jeden z nas choćby najdelikatniej porusza temat Lydie, Cyril reaguje, jakbyśmy obrazili go w najgorszy sposób.

Pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć, że moją siostrę łączy coś z nauczycielem. Co przypomina mi, że muszę zamienić z nim parę słów. Ma się trzymać od niej z daleka, bo inaczej dopilnuję, żeby jego praca w Maxton Hall zamieniła się w piekło.

Robię sobie wyrzuty, że nie zająłem się nim wcześniej, ale priorytetem było zadbanie, żeby Ruby trzymała język za zębami. Bo ta dziewczyna ma w sobie coś, co budzi moją nieufność.

Kilka dni temu spotkałem ją na korytarzu, kiedy szliśmy z Lydią na filozofię. Moja siostra natychmiast spojrzała w podłogę, a ja odszukałem spojrzenie Ruby.

Nasze oczy się spotkały, ale nie patrzyła na mnie nawet przez ułamek sekundy. Ja przeciwnie, odprowadzałem ją wzrokiem tak długo, że aż musiałem się odwrócić. Moją uwagę zwróciła jej dumna postawa. Sposób, w jaki trzymała pod pachą segregator, zdecydowany krok, uniesiona głowa.

Wyglądała, jakby ruszała do boju. Odruchowo się za nią rozglądałem. Chyba jestem na nią wyczulony, bo w tłumie ponad stu osób potrzebuję zaledwie kilku sekund, żeby ją odnaleźć. Opieram się o balustradę i wychylam do przodu.

Ruby stoi przy bufecie i notuje coś gorączkowo. Podnosi głowę, rozgląda się dookoła i znowu pochyla nad notatnikiem. Potem odwraca się gwałtownie i rusza w kierunku stanowiska didżeja. Rozmawia z nim przez chwilę

i wskazuje swoje notatki.

Nagle doznaję olśnienia.

O cholera.

Zapewne jest w Komitecie organizacyjnym.

Kąciki moich ust drżą. To dopiero będzie zabawa. Ruby mówi jeszcze coś do didżeja, który kiwa głową. A potem przechodzi przez parkiet, znowu podchodzi do bufetu i staje z boku. Sięga do kieszeni ciemnozielonej sukienki i coś wyjmuje. Komórkę. Uruchamia aparat i zaraz znowu go wyłącza. W tej chwili podchodzi do niej mężczyzna w garniturze. Kiedy go rozpoznaję, z całej siły zaciskam dłoń na drewnianej balustradzie.

Graham Sutton.

Abstrahując od tego, że odnoszę się nieufnie do każdego typu, który za bardzo zbliża się do mojej siostry, w przypadku Suttona rozbrzmiewa całe mnóstwo innych dzwonek alarmowych. Zwłaszcza kiedy teraz widzę, w jaki sposób rozmawia z Ruby.

Co prawda ona unika jego wzroku, ale nie wydaje się szczególnie poruszona.

Mrużę oczy i klnę na czym świat stoi, że jestem tu, na górze, a nie na dole, przy bufecie, gdzie mógłbym usłyszeć, o czym rozmawiają. Może to coś totalnie banalnego, jak to całe przyjęcie, ale może rozmawiają o mojej siostrze.

A co, jeśli tkwią w tym razem? Co, jeżeli Sutton dogadał się z Ruby? Do tej pory nie przyszło mi to do głowy i nie sądzę, by także Lydia rozważała taką możliwość. Nie wyjaśniła mi jeszcze, jak doszło do tego, że całowała się z nauczycielem, ale znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ten mężczyzna znaczy dla niej więcej niż odrobina adrenaliny w nudnym tygodniu.

Odruchowo chcę chronić siostrę. Jak automat sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjmuję komórkę. Odblokowuję ją kciukiem, dotykam wyświetlacza, włączam aparat fotograficzny.

Ruby i Sutton stoją w ciemnym kącie. Położył jej dłoń na ramieniu, mówiąc, pochyla się nad nią. Dopiero po dłuższej chwili orientuję się, że między nimi jest jej notatnik i że oboje się w niego wpatrują. Najwyraźniej naprawdę rozmawiają o imprezie.

W rzeczywistości wygląda to totalnie niewinnie. Ale na wyświetlaczu mojego telefonu, pod odpowiednim kątem, przy odrobinie edycji, będzie można tę sytuację zinterpretować zupełnie inaczej. Naciskam przycisk

migawki. Raz za razem.

– Co ty robisz? – rozlega się za mną głos Alistaira. Zagląda mi przez ramię.

– Zabezpieczam się – odpowiadam.

Marszczy czoło.

– Co masz do niej?

Oddycham głęboko. Najchętniej wypiłbym jeszcze więcej whisky, żeby całkowicie się wyłączyć. Od wielu dni mi się to nie udało.

– Widziała coś, czego nie powinna.

Alistair przygląda mi się przez dłuższą chwilę, aż w końcu kiwa głową.

– W porządku.

– Jeżeli komuś o tym powie, Lydia będzie miała megakłopoty.

Spogląda w dół, na Ruby, która cały czas rozmawia z panem Suttonem.

– Rozumiem.

Po raz ostatni robię zdjęcie i wsuwam komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. A potem wędruję wzrokiem ku wejściu na salę.

– Przyszli moi goście. – Na twarzy Alistaira pojawia się szeroki uśmiech. – Showtime, panowie.

Ruby

Impreza udała się wyśmienicie. O dwudziestej trzeciej sala balowa pęka w szwach, goście Maxton Hall jedzą i piją, rozmawiają i tańczą. Do tej pory nie było żadnej większej wpadki i przed chwilą dyrektor Lexington pogratulował mi i Lin kolejnego udanego wieczoru. Do tego stopnia mi ulżyło, że przez chwilę rozważałam nawet, czy nie iść na parkiet i trochę nie potańczyć. Ale powiedziałam już Dougowi i Camilli, że mają wolne na resztę wieczoru, a jedno z nas musi mieć oko na wszystko, zwłaszcza na bufet, żeby nikomu nie przyszło do głowy dolać alkoholu do ponczu.

Przez pierwsze dwie godziny parkiet świecił pustkami i trochę mnie to martwiło. Ale Kieran, który także jest członkiem komitetu organizacyjnego i był odpowiedzialny za muzykę, uważał, że to normalne.

I chyba miał rację. Od pół godziny goście tańczą przy akompaniamencie remiksów różnych piosenek z list przebojów. Mnie osobiście nie za bardzo

się podobają, ale tutaj chyba trafiają w gust gości.

Rozglądam się. Nie znam wielu osób, co w sumie jest normalne. Celem tych imprez jest ściąganie absolwentów, szukanie sponsorów i werbowanie rodziców potencjalnych uczniów. To była pierwsza rzecz, jaką usłyszałam od dyrektora Lexingtona, kiedy dwa lata temu starałam się dostać do komitetu organizacyjnego. Dopiero na dalszym planie jest zapewnienie miłego wieczoru uczniom Maxton Hall.

Nagle światło gaśnie. Muzyka milknie.

Na ułamek sekundy zamieram przerażona, ale zaraz sięgam energicznie do stanika, po komórkę.

– Cholera, cholera, cholera – mamroczę i usiłuję włączyć latarkę.

Po sali rozchodzi się gniewny pomruk, który odbija się echem w mojej głowie. Ta impreza musi się udać. Wszystko musi pójść doskonale. Nawet jeżeli zabrakło prądu, dyrektor zarzuci to Lin i mnie. W wyobraźni już słyszę nudną tyradę rozczarowanego Lexingtona, który będzie bez końca truł o planowaniu, przewidywaniu i szkodach na wizerunku, które z naszej winy poniosła szkoła.

Przeciskam się przez tłum przy bufecie. Nie ma sensu szukać Lin, muszę sama natychmiast pobiec do pana Jonesa, naszej złotej rączki. Musi natychmiast iść do piwnicy i naprawić...

Rozbłyska światło. Oddycham z ulgą i przyciskam dłoń do rozszalałego serca. Ale kiedy odwracam się i widzę Jamesa Beauforta na stanowisku didżeja, serce ponownie podchodzi mi do gardła.

James rozmawia z didżejem i wciska mu coś w dłoń, zapewne pieniądze. Zaciskam zęby. Stoję za daleko, żeby szybko do niego podbiec.

Patrzę na parkiet. Kilku gości rozgląda się z zaciekawieniem, zastanawiają się zapewne, co się stało z muzyką. Ruszają w kierunku baru i bufetu. Fakt, że część z nich bynajmniej nie wygląda na typowych gości przyjęć w Maxton Hall, rzuca mi się w oczy, kiedy jest już za późno.

– Moi drodzy – rozlega się głos didżeja. – Przed chwilą dostałem informację, że czeka was dzisiaj jeszcze wyjątkowa niespodzianka. Gotowi? – Mój żołądek robi salto. Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie parkietu, dostrzegam Lin i Kierana. Są bladzi jak ściana, wyglądają jak duchy. – Bawcie się dobrze!

Światło przygasa na tyle, że salę spowija półmrok. Rozlega się pomruk zdumienia, kiedy ponownie rozbrzmiewa muzyka. Piosenka ma głębokie

basy i powolny bit, od którego aż drżą żyrandole.

Wpatruję się w parkiet. Kilka kobiet i mężczyzn zaczyna bardzo zmysłowy taniec. Nagle atmosfera diametralnie się zmienia. Nie jest już elegancka i wyrefinowana, tylko brudna i lepka. Ruszam w kierunku Beauforta, ale wtedy ktoś kładzie mi rękę na ramieniu.

– Ruby Bell? – pyta typ, który stanął koło mnie. Odruchowo kiwam głową. W przeciwległym kącie sali jedna z młodych kobiet podchodzi do dwóch nauczycieli, pana Suttona i pana Cabota, i ciągnie ich za sobą na środek parkietu. – Specjalny prezent od twojego przyjaciela Jamesa Beauforta – mówi i podsuwa mi krzesło, niemal nim podcina, więc mimo woli siadam. Przyglądam mu się zdumiona.

Jasnobłond włosy, zaczesane do tyłu i poskromione żelem, jasnoniebieskie oczy. Ma najwyżej dwadzieścia pięć lat. Zajmuje pozycję przede mną... I zaczyna tańczyć. Zasycha mi w ustach.

Myślę gorączkowo. Nie mieści mi się w głowie, że to się dzieje naprawdę. Ale tak właśnie jest. Koleś najpierw bardzo powoli zsuwa marynarkę z barków, potem nonszalancko rozwiązuje czarną muchę. Kiedy rzuca ją za siebie, kilka kobiet piszczy z zachwytem. Później bawi się szelkami, zsuwa jedną, uśmiecha się do mnie uwodzicielsko. Przy drugiej szelce obraca się wokół własnej osi i z głośnym trzaskiem puszcza elastyczny pasek. A potem pochyla się nade mną i kołysze biodrami w powolnym rytmie piosenki.

– Nie chcesz mi pomóc, Ruby? – pyta ochryple, bierze moją dłoń w swoją, zadziwiająco ciepłą, i kładzie na szelce.

– Dalej, rozbierz go! – krzyczy ktoś.

To wytrąca mnie z transu.

Podrywam się gwałtownie. Typ cofa się o krok. Przez chwilę wydaje się zbity z tropu, ale zaraz wraca uwodzicielski uśmiech. Zdecydowanym gestem sam zsuwa drugą szelkę i tańczy dalej, jak gdyby nigdy nic.

Przesuwam wzrok na środek parkietu i serce staje mi w gardle. Dwie młode kobiety tańczą przed panem Cabotem niemal nagie, nie licząc koronkowych staników i brokatowych majteczek.

To nie może być prawda, to musi być koszmarny sen, z którego obudzę się lada chwila złana potem. Ale wtedy dostrzegam Alistaira Ellingtona, na którego kolanach siedzi mężczyzna. Zdążył już zsunąć sobie szelki i teraz rozpina koszulę, w czym Alistair ochoczo mu pomaga. I wtedy do mnie dociera. Nie mogę się dłużej oszukiwać. To wszystko dzieje się naprawdę.

Rozjuszona odwracam się na pięcie. Widzę go od razu. James Beaufort stoi przy drzwiach i obserwuje show. Trzyma w dłoni szklaneczkę z brązowym płynem. Na jego twarzy maluje się niemal błogi wyraz. Głos rozsądku podpowiada, że bym najpierw znalazła Lin, a później zwróciła się do nauczycieli, żebyśmy natychmiast położyli kres temu idiotyzmowi. Ale emocje radzą, że bym najpierw zrobiła Jamesowi straszne rzeczy, sprawiła mu ogromny ból. I chociaż ten głos jest zdecydowanie silniejszy, ostatek sił panuję nad sobą i odwracam się.

Jeszcze zdążę zadać Jamesowi Beaufortowi ból.

Bo dokładnie wiem jak.

7

James

W poniedziałek rano wszyscy rozmawiają tylko o jednym, o przyjęciu. W weekend szkolne forum pękało w szwach od wiadomości, fotografii i filmików, którymi wszyscy chcieli się podzielić i które chcieli skomentować. Teraz chcą o tym rozmawiać. Biją nam brawo i dziękują za fantastyczny wieczór. Nasza akcja nie tylko trafiła na łamy naszego dziennika, ale także rozeszła się echem po innych angielskich szkołach.

Rodzice oczywiście nie uwierzyli mi, kiedy zaklinałem się, że nie miałem z tym nic wspólnego, ale w sumie byli bardziej wściekli na Lydię, która na imprezie w ogóle się nie pojawiła. W sumie wszystko dobrze się skończyło.

Przynajmniej tak sądziłem, dopóki nie rozległ się trzask w głośnikach w korytarzu i na całą szkołę nie rozległ się komunikat:

– James Beaufort ma się natychmiast stawić w gabinecie dyrektora Lexingtona.

Spodziewałem się tego. Już rano, podczas cotygodniowego apelu przed początkiem lekcji w Boyd Hall, Lexington wyraził swoje zdanie na temat niesmacznego zajścia i głosem pełnym oburzenia przypominał nam kodeks wartości Maxton Hall. W kółko to samo: wykręcamy jakiś numer, Lexington opowiada przed całą szkołą, jak bardzo jest poruszony, a potem wzywa nas do siebie, ostrzega i grozi, a pięć minut później daje nam spokój.

– Ciekawe, czy będzie mówił to samo, co zwykle – mruczy Wren i obejmuje mnie ramieniem. Przyciąga mnie do siebie. – Nie daj się zgnoić.

– Nigdy w życiu – odpowiadam, żegnam się z kumplami i ruszam w kierunku gabinetu dyrektora. Jego sekretarka bez słowa wskazuje mi drzwi. Bez wahania dwukrotnie pukam.

– Proszę wejść.

Wchodzę, zamykam za sobą drzwi. Odwracam się i nagle nieruchomieję.

Przy biurku dyrektora siedzi trener Freeman, a bezpośrednio naprzeciwko Lexingtona... Ruby. Zerka na mnie przez ramię, a potem ponownie wbija wzrok przed siebie.

– Chciał pan ze mną rozmawiać? – pytam. Trochę mnie dziwi zebrana publiczność. Lexington macha ręką, wskazuje mi miejsce obok Ruby.

– Proszę usiąść – mówi zupełnie inaczej niż zwykle. Zazwyczaj wydaje się zdenerwowany i zirytowany, kiedy ze mną rozmawia, jakby to wszystko działało mu na nerwy i wołałby jak najszybciej zająć się naprawdę ważnymi sprawami. Tym razem jego głos jest niebezpiecznie spokojny. Także bruzdy na twarzy wydają się głębsze niż zazwyczaj. Najwyraźniej wybrałem sobie kiepski dzień na taki numer. Powoli opadam na krzesło przed jego biurkiem. – Czy to prawda, że to pan... że to pan zaprosił... specyficznych artystów... na piątkowe przyjęcie? – Odchrząka. Najwyraźniej długo szukał odpowiedniego słowa.

Przy słowie „artyści” z trudem powstrzymuję uśmiech.

– To zależy, co pan przez to rozumie – odpowiadam powoli. – Przysięgam, że nie miałem nic wspólnego z didżejem.

Lexington kiwa głową i przygląda mi się uwżnie stalowymi oczami.

– Czy dla pana wszystko jest żartem, panie Beaufort?

Nonszalancko wzruszam ramionami.

– Czasami tak, proszę pana.

Oburzona Ruby głośno nabiera powietrza w płuca. Spoglądam na nią, ale unika mojego wzroku.

Dyrektor Lexington pochyła się nad ciemnym mahoniowym biurkiem. Światło wpadające przez okno oświetla tylko połowę jego twarzy. Cisza w gabinecie wydaje mi się nagle niemal upiorna.

– Jak pan sądzi, panie Beaufort, w jaki sposób to zajście odbije się na wizerunku szkoły?

Zastanawiam się chwilę nad odpowiedzią.

– Myślę, że dobrze. Tutaj wszystko jest zawsze takie sztywne, nie zaszkodzi odrobina luzu raz na jakiś czas.

– Ty naprawdę jesteś rąbnięty – syczy Ruby.

– Panno Bell! – krzyczy dyrektor Lexington. – To nie jest pani kolej.

Ruby jest blada jak ściana. Zaciska usta w wąską linię i wbija wzrok w zielony plecak na swoich kolanach. Wygląda, jakby lada chwila miał rozpaść się na kawałki.

– Panie Beaufort, pana występki przekroczył wszelkie granice. Nie mogę tolerować takich wybryków w Maxton Hall.

...I niniejszym udzielam panu ostrzeżenia. Jeżeli jeszcze raz dojdzie do czegoś podobnego, będzie pan musiał liczyć się z konsekwencjami.

Na pamięć znam jego przemówienie. Najchętniej mówiłbym razem z nim i obserwował jego reakcję.

– Jest pan dorosłym mężczyzną, to pana ostatni rok w murach naszej szkoły. Musi pan się w końcu nauczyć ponosić odpowiedzialność za swoje czyny i mieć świadomość, że mają one swoje konsekwencje – ciągnie Lexington.

No proszę. Coś nowego.

– Ponieważ zepsuł pan pierwsze duże wydarzenie tego roku szkolnego, uważam, że słusznym będzie, by do końca semestru pracował pan w Komitecie organizacyjnym. Nazwijmy to pracą społeczną na rzecz szkoły pod nadzorem panny Bell.

Chwila ciszy, a potem...

– Co? – krzyczymy jednocześnie z Ruby.

A potem patrzymy na siebie.

– To absolutnie nie wchodzi w grę – zaczynam.

– Proszę pana, nie sądzę... – mamrocze Ruby.

Lexington gestem daje nam znać, że mamy milczeć. Patrzy na mnie znad szkieł okularów bez oprawek i mam wrażenie, że świdruje mnie wzrokiem.

– Panie Beaufort, jest pan uczniem naszej szkoły od pięciu lat. W tym czasie dopuszczał się pan niewyobrażalnych rzeczy, ale ani razu nie poniósł należytych konsekwencji – zaczyna. – Przymykałem oczy, kiedy urządził pan wyścigi samochodowe na szkolnym dziedzińcu. Odpuściłem panu, kiedy pan i pańscy przyjaciele uznaliście, że świetnym pomysłem jest ubrać posąg naszego założyciela w strój cheerleaderki i perukę. Albo kiedy założyliście mi i innym nauczycielom profile na portalu randkowym. Albo kiedy zorganizował pan nielegalną imprezę w Boyd Hall. Już nie wspomnę o niezliczonych razach, gdy przychodził pan pijany na szkolne uroczystości. Ale musi się pan w końcu nauczyć, że pańskie akcje wywołują reakcje. Maxton Hall przez ostatnie stulecia wypracowało sobie określoną reputację. Stawiamy na wybitność, ale i na dyscyplinę i nie mogę dopuścić, żeby pan i pańska młodzieńcza lekkomyślność raz za razem nadszarpywała tę opinię. – Teraz Lexington patrzy na trenera Freemana, który energicznie kiwa głową.

Dyrektor wraca do mnie wzrokiem. Robi mi się nieprzyjemnie w żołądku. – Panie Beaufort, od chwili obecnej do końca semestru zawieszam pana udział i członkostwo w drużynie lacrosse.

Krew szumi mi w uszach. Widzę, że usta Lexingtona poruszają się i mówi dalej, ale nie dociera do mnie ani jedno słowo.

W zeszłym sezonie przeciwnik zdzielił mnie kijem tak mocno, że obaj runęliśmy na ziemię w pełnym biegu, aż przywalił mnie swoim ciężarem. Jeszcze nigdy nie czułem równie potężnego bólu, przez pół minuty nie byłem w stanie oddychać. Tak samo czuję się teraz, kiedy to wszystko się dzieje.

– Nie... Nie może pan tego zrobić – szepczę ochryple i jestem na siebie wściekły o rozpaczliwe błaganie w głosie. Odchrząkam, oddycham głęboko i zmuszam się, by przybrać obojętną minę, tak, jak mnie uczył ojciec.

– Ależ owszem, panie Beaufort, mogę – odpowiada dyrektor spokojnie i splata ręce na brzuchu. – A zanim pan mi zagrozi reakcją pańskich rodziców, uprzedzam, że dzisiaj rano rozmawiałem z pana ojcem. Zapewnił mnie, że zaaprobuje każdą karę, jaką uznam za stosowną.

Tego też się nie spodziewałem.

– Z całym szacunkiem, panie dyrektorze, to jest nasz ostatni sezon. Jestem kapitanem drużyny, moi chłopcy mnie potrzebują. – Błagalnie zerkam na trenera Freemana.

Żal w jego oczach jest jak cios w żołądek.

– Sam jesteś sobie winien, Beaufort.

– Alistair ma szlaban na trzy najbliższe mecze. Kiedy mnie nie będzie...

– Cyril zostanie kapitanem, a na twoją pozycję na boisku wpuścimy jednego z nowych.

Zasycha mi w gardle. Czuję, jak rumieniec wściekłości zalewa mi policzki, a ręce zaczynają drżeć.

Zaciskam pięści, wbijam paznokcie w skórę, do bólu, aż bieleją mi kłykcie.

– Proszę, trenerze. – Kątem oka widzę, że Ruby niespokojnie wierci się na krześle. Chyba czuje się strasznie nieswojo w tej sytuacji, ale teraz jest mi absolutnie obojętne, co sobie o mnie pomyśli.

To mój ostatni rok w szkole. Ostatnie miesiące, zanim moje życie naprawdę się skończy. Za lacrosse, za ostatnie miesiące bez troski i swobody z przyjaciółmi oddałbym wszystko. Nawet jeżeli to oznacza, że muszę błagać na oczach Ruby Bell.

Ku mojemu przerażeniu trener Freeman jest nieugięty. Kręci przecząco głową. Splótł ręce na piersi.

– Panno Bell, liczę, że zaznajomi pani pana Beauforta z zadaniami komitetu organizacyjnego – ciągnie dyrektor Lexington jak gdyby nigdy nic, jakby przed chwilą wcale nie zniszczył mi życia. – Ma brać udział w każdym posiedzeniu, uczestniczyć w organizowaniu każdej uroczystości aż do końca semestru. Gdyby stawiał opór albo sprawiał pani problemy, przyjdzie pani z tym do mnie, zrozumiano?

– Tak jest – odpowiada Ruby cicho, ale zdecydowanie.

– Na kiedy zaplanowaliście następane posiedzenie komitetu? Niech pan Beaufort od razu wpisze je sobie w kalendarz.

Ruby odchrząka i choć wcale nie mam na to ochoty, odwracam głowę w jej stronę.

Ma twardy wzrok, ale mój jest jeszcze twardszy.

– Kolejne spotkanie komitetu odbędzie się dzisiaj, po przerwie obiadowej, w sali numer jednaście w bibliotece – odpowiada bez żadnych emocji w głosie.

Z całej siły zaciskam zęby. Gorączkowo szukam jakiegokolwiek wyjścia z tej sytuacji, ale to niemożliwe. Poza tym nie mam pojęcia, jak wytłumaczyć to wszystko rodzicom. Tym razem naprawdę przegiałem.

Ruby

– Co takiego?! – Lin krzyczy tak głośno, że słyszą ją chyba wszyscy ludzie w bibliotece.

Pozostali członkowie komitetu organizacyjnego przyglądają mi się tylko z niedowierzaniem.

– Od dzisiaj James Beaufort jest członkiem naszego komitetu – powtarzam równie spokojnie, jak za pierwszym razem.

Lin parska głośnym śmiechem. Po chwili, kiedy mniej więcej wzięła się w garść, mówię dalej:

– Bardzo was proszę, zachowujmy się normalnie, kiedy tu zaraz przyjdzie.

– Przy tych słowach zerkam znacząco na Jessalyn Keswick, która akurat w tej chwili poprawia sobie usta błyszczkiem. Pastelowy róż pasuje idealnie

do jej ciemnej skóry, podobnie jak ten makijaż. Jessalyn to przepiękna, charyzmatyczna dziewczyna, której czar działa na wszystkich, na mnie także. Mogłabym godzinami się jej przyglądać.

– No co? – odpowiada z niewinnym uśmiechem. – Chcę wyglądać jak najlepiej, kiedy Beaufort tu przyjdzie.

Posyła mi całusa. Przewracam oczami, ale chwytam go w powietrzu i starannie chowam do kieszeni. Pozostali członkowie komitetu parskają śmiechem.

– Na co właściwie liczy dyrektor Lexington? – pyta Kieran Rutherford, uczeń z klasy niżej niż my. Błady, o intensywnie onyksowych oczach i odrobinę za długich włosach, wygląda jak wampir, jak młody Dracula o wyrazistych, ostrych rysach. On także jest w Maxton Hall dzięki stypendium i poza mną i Lin pracuje w naszym Komitecie Najciężej, jest najbardziej zaangażowany. – Że go zmienimy i nawrócimy na właściwą drogę?

Lin prycha pogardliwie.

– Uwierz mi, nie ma czego nawracać.

No właśnie. Właśnie dlatego jest moją najlepszą przyjaciółką w Maxton Hall.

– Ej! – protestuje Camille. Wcale mnie to nie dziwi, jakkolwiek by było, to jedna z najlepszych przyjaciółek Elaine Ellington, a tym samym jedna z osób z paczki Jamesa. Co więcej, nie znosi Lin i mnie i jest wściekła, że to my stanęliśmy na czele komitetu. Nie pojmuję, dlaczego nadal z nami pracuje, ale domyślałam się, że chodzi tylko o wpis na świadectwie. Bo na pewno nie ma to nic wspólnego z pracowitością i pasją.

– Zresztą to nieważne – zauważam szybko, bo widzę, że Lin otwiera usta, by coś odpowiedzieć. – Będzie pracował z nami w Komitecie, czy nam to się podoba, czy nie. Chciałam was tylko uprzedzić. Poza tym do końca semestru nie może grać w drużynie lacrosse.

Jessalyn gwizdże z podziwem.

– No to się Lexington postawił.

Po sali rozchodzi się pomruk aprobaty.

– Beaufort sam sobie nagrabił – zauważa Lin. – Przez połowę wakacji szykowaliśmy to przyjęcie, a on jednym głupim wybrykiem wszystko zepsuł. A poza tym Ruby dzisiaj przez ponad pół godziny musiała wysłuchiwać marudzenia Lexingtona.

– Naprawdę? – pyta Kieran z niedowierzaniem.

Potwierdzam ruchem głowy, na co zauważa oburzony:

– Ale to przecież nie twoja wina, że Beaufort wprowadził tych ludzi na imprezę.

Wzruszam ramionami.

– Organizacja przyjęcia spoczywała na naszych barkach, więc to wina Lin i moja. Poza tym trzeba było rzeczywiście bardziej zwracać uwagę na to, kto wchodzi do szkoły. Pod tym względem rzeczywiście jesteśmy współwinni. Lexington kazał zamieścić oficjalne przeprosiny na szkolnym blogu, żeby wszyscy wiedzieli, że myśmy tego nie zaplanowały.

Przez to jestem jeszcze bardziej wściekła na Beauforta. Odkąd uczęszczam do Maxton Hall, jeszcze nikt nigdy mnie nie zganił, żaden nauczyciel, że już nie wspomnę o dyrektorze.

Jeżeli mam mieć choć cień nadziei, że dostanę się do Oksfordu, moje akta muszą być czyściutkie, a tym głupkowskim wybrykiem James temu zagroził. Nie pozwolę, by moją przyszłość przekreślił kretyn, który ma za dużo czasu i pieniędzy, za to zero pojęcia, co z nimi zrobić.

– Idiotyczny pomysł, zupełnie bez sensu. Jesteś ostatnią osobą, którą powinno się za to pociągnąć do odpowiedzialności. – Kieran gniewnie marszczy czoło.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością i ignoruję znaczące spojrzenie Lin. Od końca zeszłego roku szkolnego powtarza mi, że Kieran jest we mnie beznadziejnie zakochany. Ale to przecież bzdura. Jest po prostu miłym kumplem.

Odchrząkam.

– To co, zaczynamy?

Pozostali kiwają głowami. Wskazują tablicę, na której Lin zapisała poszczególne punkty do omówienia na dzisiejszym spotkaniu.

– Zacznijmy od piątkowej imprezy: co poszło dobrze, co nie? Oczywiście poza wybrykiem Beauforta. Camille, możesz protokołować?

Camille piorunuje mnie wzrokiem, ale potem otwiera notatnik i sięga po długopis. Lin opowiada swoje wrażenia z przyjęcia, a ja dyskretnie zerkam na zegarek. Jest kilka minut po drugiej. Przerwa obiadowa dobiegła końca. A więc Beaufort zjawi się lada chwila. W moim brzuchu pojawia się nowe uczucie. Niepokój i zdenerwowanie, jakbym była... podekscytowana.

Natychmiast odpycham od siebie tę myśl i włączam się do rozmowy.

Feedback i sformułowanie rzeczy do zrobienia w przyszłości zajmują nam tak dużo czasu, że kolejne punkty z agendy przekładamy na koniec tygodnia. Dzielimy się zadaniami i spotkanie dobiega końca. Wszyscy wychodzą, w sali zostajemy tylko Lin i ja. Musimy jeszcze napisać przeprosiny.

James Beaufort nie pokazał się przez całe dwie i pół godziny.

Po zredagowaniu i wysłaniu listu Lexingtonowi, rozstajemy się. Lin idzie do samochodu. Co prawda mieszka niedaleko szkoły, ale w tamtą stronę nie jeździ żaden autobus, dlatego w zeszłe wakacje mama kupiła jej używane auto.

Ja mieszkam pół godziny od Maxton Hall. Gormsey ze zniszczonymi domami i wyboistymi uliczkami nie jest bynajmniej eleganckie, ale lubię tam mieszkać. Nawet codzienna podróż autobusem do Pemwick, gdzie mieści się Maxton Hall, nie jest problemem. Przeciwnie, to jedne z najmielszych chwil całego dnia. Podczas jazdy nie jestem ani tą Ruby, która nikomu nie opowiada o swojej rodzinie, ani tą, która w domu zataja przed najbliższymi wydarzenia ze szkoły. Wtedy jestem po prostu... sobą.

W drodze na przystanek mijam boisko, na którym właśnie odbywa się trening drużyny lacrosse. Przechodząc, zerkam na graczy, którzy w pełnym rynsztunku biegają wokół boiska. Od razu zauważam zawodnika w koszulce z siedemnastką.

Zatrzymuję się gwałtownie. A potem podchodzę do ogrodzenia i wbijam palce w oczka siatki.

Koleś jest niewiarygodny.

Z otwartymi ustami patrzę na Beauforta, który w biegu podaje piłkę Cyrilowi. Nawet stąd słyszę ten jego idiotyczny śmiech.

Co za... Co za... dupek!

Dokładnie w tej chwili Beaufort odwraca się i mnie zauważa. Ma na sobie kask, więc nie widzę jego twarzy, ale dostrzegam, jak zmienia się jego postawa. Sztywnieje, niemal zaczepnie unosi brodę.

Cholerny idiota! Za moimi plecami rozlega się warkot silnika szkolnego autobusu. Mimo gorąca, które rodzi się w moim żołądku, odrywam wzrok od Jamesa i idę na przystanek.

Niech sobie robi, co chce.

Ruby

Ember czyta moje podanie do Oksfordu, a ja obrysowuję jej imię złotym flamastrem w kalendarzu. Teraz zapis, że Ember przejrzy mój esej, wygląda o wiele bardziej elegancko.

– Żywe zainteresowanie polityką, poczynając od postaw filozoficznych po bardziej praktyczne aspekty ekonomiczne, dowodzi, że filozofia, polityka i ekonomia to dla mnie idealny kierunek studiów. Łączy on wszystkie dziedziny, którymi się interesuję, i z niecierpliwością czekam na czas, gdy będę mogła zgłębiać najważniejsze, z punktu widzenia dzisiejszego społeczeństwa, zagadnienia, bo Oksford da mi taką szansę – czyta na głos moja siostra. Nagle urywa. Wyjmuje długopis z ust, przewraca się na brzuch i patrzy na mnie.

Wstrzymuję oddech.

Ember się uśmiecha. Podnoszę z podłogi jeden z jej sandałów na platformie i ciskam w nią.

– Błagam cię – szepczę. Jest druga w nocy, właściwie od dawna powinniśmy spać. Ale dopiero kilka minut temu skończyłam pisać ten esej, a ponieważ moja siostra i tak jest nocnym markiem i często aż do rana pracuje nad swoim blogiem, poszłam do jej pokoju i poprosiłam, by go przeczytała.

– Trochę nadęty – odpowiada cicho i niewyraźnie, bo ponownie włożyła długopis do ust.

– Taki powinien być.

– Bardzo samochwalczy. Jakbyś chciała się pochwalić, co już wiesz i ile fachowej literatury przeczytałaś.

– Tak też powinno być. – Wstaję i podchodzę do niej.

Mruczy coś pod nosem i zaznacza ołówkiem kilka miejsc.

– To moim zdaniem powinnaś wykreślić – mówi i podaje mi kartkę. – Nie musisz się im podlizywać i co chwila powtarzać, że ubiegasz się o miejsce w Oksfordzie. Przecież oni wiedzą, jak się nazywają. Nie musisz tego powtarzać dwadzieścia razy.

Czerwienię się po uszy.

– Masz rację. – Biorę od niej pismo i odkładam na biurko razem z notesem. – Prawdziwy z ciebie skarb, wielkie dzięki.

Ember się uśmiecha.

– Nie ma sprawy. Zresztą sama wiesz, jak możesz mi się odwdzińczyć.

Zawsze tak było między nami. Jedna robi coś dla drugiej i wypowiada życzenie, które siostra spełnia, wskutek czego z kolei ona znowu prosi o przysługę. To taki system barterowy, wieczna wymiana usług. Choć szczerze mówiąc, najfajniejsze w tym wszystkim jest to, że sobie wzajemnie pomagamy.

– Wal.

– Mogłabyś mnie w końcu zabrać na jedno z tych waszych przyjęć – mówi z udawanym luzem.

A ja sztywnieję.

Nie po raz pierwszy Ember mnie o to prosi i za każdym razem cierpię na nowo, kiedy muszę sprawić jej zawód. Bo prosi mnie akurat o tę jedną jedyną rzecz, na którą nie mogę się zgodzić.

Nigdy nie zapomnę dnia otwartego w Maxton Hall, na którym stawili się moi rodzice, żeby przedstawić się nauczycielom i poznać bliskich moich kolegów. To był koszmar. Abstrahując od tego, że główny gmach naszej szkoły ma kilkaset lat i można powiedzieć o nim wiele, ale na pewno nie to, że to budynek bez barier, cały czas pamiętam pogardliwe spojrzenia innych uczestników tamtego zebrania. Mama i tata wyszykowali się, ale tamtego dnia przekonałam się, że elegancja w rozumieniu Bellów nie ma nic wspólnego z elegancją w rozumieniu Maxton Hall. Inni rodzice zjawili się w świetnie skrojonych kostiumach i garniturach od Beauforta, a mój tata miał na sobie dzinsy i luźną marynarkę. Mama włożyła sukienkę, co prawda piękną, ale ciągle obsypaną mąką z piekarni, co zauważyliśmy dopiero, kiedy starsza pani posłała jej pogardliwe spojrzenie i odwróciła się do swojej towarzyszki, by złośliwie to skomentować.

Do dzisiaj pęka mi serce, gdy przypomnę sobie ból na twarzy mamy, choć starała się go zamaskować sztucznym uśmiechem. Albo dumnie uniesioną

głowę taty, gdy po raz kolejny nie udało mu się na wózku inwalidzkim przejechać przez próg i musiał prosić mnie i mamę o pomoc. Oboje starali się nie dać tego po sobie poznać, ale widziałam, jak bardzo bolały ich zadarte nosy i rozbiegane spojrzenia innych rodziców.

Tamtego dnia postanowiłam, że od teraz będę funkcjonować w dwóch światach: w rodzinie i w szkole, i zrobię wszystko, by trzymać je od siebie z daleka. Moi rodzice nie należą do brytyjskiej elity, i bardzo dobrze. Nigdy więcej nie postawię ich w tak niezręcznej sytuacji. Po wypadku taty na łodzi przeszli wystarczająco dużo, a bagno Maxton Hall to ostatnie, czym powinni sobie zawracać głowę.

To samo dotyczy Ember. Moja siostra jest jak świetlik, swoją osobowością i otwartością ściągą na siebie powszechną uwagę.

Doskonale wiem, co się może wydarzyć w Maxton Hall, na własnej skórze przekonałam się, do czego zdolni są tamtejsi uczniowie, tylko dlatego że wydaje im się, że należy do nich cały świat. Historie, które w ciągu minionych dwóch lat słyszałam w damskiej łazience, nieraz sprawiały, że żołądek podchodził mi do gardła. Coś takiego nie może spotkać Ember. Chcę dla mojej siostry jak najlepiej. A tego na pewno nie można powiedzieć o mojej szkole i jej uczniach.

– Wiesz doskonale, że na szkolne imprezy osoby z zewnątrz nie mają wstępu – odpowiadam nieco za późno.

– Coś takiego, a w zeszły weekend Maisie była na przyjęciu otwierającym nowy rok szkolny w waszej szkole – odpowiada sucho Ember. – Mówiła, że było spektakularne.

– Czyli wślizgnęła się ukradkiem, bez wiedzy ochroniarzy. A poza tym mówiłam ci już, że to była totalna klapa.

Ember marszczy czoło.

– Zdaniem Maisie wręcz przeciwnie.

Zaciskam usta w wąską linię i zamykam kalendarz.

– Zlituj się, Ruby! Jak długo chcesz mnie trzymać pod kloszem? Obiecuję, że będę grzeczna. Naprawdę. Będę udawała, że jestem jedną z was.

Jej słowa są jak cios w serce. Boli mnie, że uważa, że nie chcę jej tam zabrać, bo obawiam się, że mnie skompromituje. Gardło ściska mi się boleśnie, gdy widzę jej pełne nadziei spojrzenie.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – odpowiadam cicho.

W ułamku sekundy wściekłość zajmuje miejsce nadziei.

– Jesteś okropna, wiesz?

– Ember...

– Powiedz szczerze, że po prostu nie chcesz mnie na tej swojej cholernej imprezie! – rzuca z wyrzutem.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie mogę kłamać, a prawda byłaby zbyt bolesna.

– Gdybyś wiedziała, co się dzieje w tej szkole, wcale nie chciałabyś tam iść – mówię szeptem.

– Wiesz co? Jeżeli jeszcze kiedyś będziesz czegoś chciała w środku nocy, zwróć się do swoich cudownych szkolnych przyjaciół – syczy. A potem naciąga sobie kołdrę na głowę i odwraca się twarzą do ściany.

Staram się nie zwracać uwagi na bolesne pulsowanie w piersi. Bez słowa podnoszę z biurka swój notes i pismo, gaszę światło i wracam do siebie.

Następnego dnia jestem ledwo żywa i potrzebuję więcej podkładu niż zwykle, żeby zamaskować cienie pod oczami. Po kłótni z Ember nie mogłam zasnąć. Wierciłam się i rzucałam przez prawie całą noc. Lin oczywiście jak zwykle zauważa, że coś jest nie tak, ale sądzi, że do tej pory gryzą mnie ta sprawa z Beaufortem i katastrofa na przyjęciu. Nie wyprowadzam jej z błędu.

Po lekcjach idę prosto do biblioteki. Chcę wykorzystać pół godziny przed kolejnym zebraniem, żeby oddać wypożyczone książki i wybrać sobie kilka kolejnych, których ostatnio nie było.

Biblioteka to moje ulubione miejsce w całym Maxton Hall. Spędzam tu najwięcej czasu.

Wysoko sklepiony sufit i otwarta galeria sprawiają, że mimo regałów z ciemnego drewna nie odstrasza, lecz kusi. Od samego progu wyczuwa się przyjazną atmosferę pracowitości; nie sposób nie czuć się tu dobrze. Że już nie wspomnę o ogromnym księgozborze, który mamy na wyciągnięcie ręki. W malutkiej bibliotece w Gormsey nie ma ani jednej książki, po którą mogłabym sięgnąć, pisząc esej do Oksfordu, a tutaj początkowo nie byłam w stanie zdecydować, od której pozycji zacząć. Całymi dniami przesiadywałam w ulubionym kąciku przy oknie, po pierwsze dlatego, że to jedyne miejsce w Maxton Hall, w którym czuję się dobrze, a po drugie dlatego, że stuletnich woluminów nie wypożyczają do domu. Czasami, kiedy tu przesiaduję, chciałabym zostać na zawsze, nie tylko do końca lekcji. Dla mnie to przedsmak tego, co czeka w Oksfordzie. Z tą różnicą, że tamtejsza biblioteka, jeżeli wierzyć stronie internetowej, jest jeszcze większa i lepiej

wyposażona. I otwarta przez całą dobę.

Sporo czasu zajmuje mi przebrnięcie przez literaturę polecaną na stronie uniwersytetu. Wiele z tych książek to bardzo skomplikowane pozycje i nieraz muszę kilkakrotnie czytać jeden akapit, zanim go zrozumiem. Ale to sprawia mi także przyjemność. Nabrałam nowego zwyczaju. Po lekturze każdej pozycji sporządzam notatki w małym notesiku, osobnym dla każdej książki, zapisuję treść i swoje przemyślenia na jej temat.

Mam szczęście, trzy książki, na których mi szczególnie zależało, są dostępne. Wypożyczam je i idę do sali, w której odbędzie się zebranie komitetu. Jestem trochę za wcześnie, ale dzięki temu zdążę zapisać punkty programu spotkania na tablicy i uporządkować notatki.

Ponieważ w poniedziałek spędziliśmy tyle czasu na omawianiu piątkowego przyjęcia, dzisiaj musimy się pośpieszyć.

Jedną ręką przyciskam książki do piersi, drugą otwieram drzwi. Kładę stertę podręczników na stoliku, ale zanim zdążę odłożyć plecak, przesuwam palcami po grzbiecie *Patterns of democracy* Arenda Lijpharta.

– Czeka nas wspólny weekend – szepczę.

Ktoś parska pogardliwie. Odwracam się gwałtownie. W tej samej chwili plecak zsuwa mi się z ramienia i z głuchym odgłosem upada na podłogę. James stoi po przeciwnej stronie pomieszczenia, przy oknie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Przygląda mi się spod uniesionych brwi.

– To trochę żalosne, nie uważasz?

Chwilę trwa, zanim wezmę się w garść.

– Co niby jest żalosne? – pytam, podnosząc plecak z podłogi i kładąc obok książek na stole. Przy upadku dziura na dnie powiększyła się. Przeklinam w myślach. Będę musiała poprosić Ember o pomoc przy zaszyciu.

– Że spędzasz weekend nad książkami. Przychodzą mi do głowy lepsze sposoby spędzania wolnego czasu.

– Co tu robisz? – odpowiadam niewzruszona. Puszczam jego uwagę mimo uszu.

– Nie słyszałaś, co mówił Lexington? Muszę się nauczyć ponosić konsekwencje swoich czynów – cytuje słowa dyrektora z ironicznym uśmiechem.

Otwieram plecak i wydaję kalendarz, piórniki i segregator z notatkami na temat pracy komitetu.

– I nagle postanowiłeś robić wszystko, co ci powiedział?

James zatrzymuje się przede mną z nieprzeniknioną miną. W tej chwili nie jestem w stanie powiedzieć, co myśli.

– Nie miałem specjalnego wyboru, prawda?

Przyglądam mu się sceptycznie.

– Przedwczoraj chyba jednak miałeś.

Wzrusza tylko ramionami. Zapewne trener był na niego zły, gdy dowiedział się, że był na treningu. I bardzo mu tak dobrze.

– Jestem tu dzisiaj, w porządku? Ciesz się z tego. – Przy tych słowach pochyla się i podnosi coś z podłogi – flamaster. Chyba wypadł z plecaka. Podaje mi go. Ten gest wydaje się niemal przyjacielski. Odchrząkam i zastanawiam się gorączkowo, co teraz powiedzieć.

– Twoja kara trwa tylko jeden semestr, James – zauważam. Po raz pierwszy zwracam się do niego po imieniu.

Nagle zmienia się wyraz jego twarzy. Nagle nie mam już wrażenia, że mnie nie zauważa, teraz patrzy prosto na mnie. W jego oczach jest ogień, który mnie rozpala, przyprawia o dreszcze. Czuję, jak w żołądku wzbiera podniecenie. James gwałtownie ucieka wzrokiem, odwraca się na pięcie, podchodzi do okna.

– Co wcale nie zmienia faktu, że bardzo mi się to nie podoba.

Serce wali mi jak szalone, z trudem przełykam ślinę, gdy z rękami splecionymi na piersi opada na krzesło i wbija wzrok w okno.

Nie bardzo wiem, co ma na myśli. Czy chodzi o to, że nie może grać w lacrosse? Czy może o to, że musi być tutaj teraz? A może po prostu chodzi o mnie. Ale z tym sobie poradzę.

Stawka jest dla mnie za wysoka, żebym pozwoliła, by jeden rozpieszczony paniczyk wyprowadził mnie z równowagi. Musimy przez to przejść, razem, i im szybciej się z tym pogodzimy, tym łatwiej będzie nam przetrwać ten czas.

Bez słowa podchodzę do tablicy i zapisuję plan dzisiejszego spotkania. Kręci mi się w głowie, bo nie wiem, czy James na mnie patrzy, czy nie, ale duma nie pozwala mi się obejrzeć.

Na szczęście chwilę później otwierają się drzwi.

– Jezu, przepraszam, drukarka w domu oszalała i musiałam drukować kilka razy, ale w końcu go mam i... – Lin urywa w połowie zdania na widok Jamesa.

– Hej – rzuca ten nonszalancko.

Intryguje mnie, czy w ten sam sposób wita się ze wszystkimi ludźmi na świecie. Pewnie tym samym uraczy profesorów, gdy pojedzie do Oksfordu na rozmowę wstępną.

– Co on tu robi? – pyta mnie Lin, nie odrywając wzroku od Jamesa.

– Odbywa karę – odpowiadam zgodnie z prawdą. James milczy. Pochyla się, otwiera torbę i wyjmuje notes. Kładzie go na stole przed sobą. Jest czarny, oprawiony w skórę, na obwolucie widnieje zamaszyste B, logo firmy Beaufortów. Zapewne kosztował majątek. Byliśmy raz w domu towarowym Beaufort w Londynie, gdy szukaliśmy nowego garnituru dla taty, bo w tamtym okresie jeszcze często musiał stawiać się w sądzie w związku z wypadkiem. Do dziś pamiętam czterocyfrowe ceny, które sprawiły, że po dwóch minutach chyłkiem uciekliśmy, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

U mego boku Lin chrząka znacząco. Przyłapaną na gorącym uczynku, odrywam wzrok od Jamesa i przeklinam falę gorąca, która kolejny raz zalewa mi policzki. Na szczęście Lin jest na tyle taktowna, że tego nie komentuje.

– Proszę. – Podaje mi foliową koszulkę z plikiem kartek. – Mój esej.

Wyjmuję swój segregator i podaję go jej.

– A to mój. Ale jeszcze nie jest idealny.

– Mój też nie – odpowiada. – Właśnie dlatego mamy je sobie przeczytać. Jak myślisz, dasz radę wieczorem do niego zajrzeć?

– Oczywiście. Pogadamy o nich jutro, na wolnej godzinie po matematyce.

– Natychmiast sięgam po złoty flamaster i zapisuję: przeczytać i poprawić esej Lin.

– Jestem zaszczyczona, że zapisałaś moje imię specjalnym flamastrem – mówi Lin cicho i uśmiecha się.

Odpowiadam tym samym i wracam do zapisywania planu spotkania na tablicy, a tymczasem do pokoju wchodzi kolejni członkowie komitetu. Wszyscy dyskretnie obserwują Jamesa, poza Camille, która wita się z nim całusami w oba policzki.

Kiedy przyszli już wszyscy, zaczynamy posiedzenie.

– Dzisiaj najważniejszym punktem jest drugie duże wydarzenie w tym roku szkolnym – zaczyna Lin i nagle jej twarz rozpromienia się. – Halloween.

Kieran zawodzi piskliwie jak duch i wszyscy uśmiechają się pod nosem.

– Zeszłoroczny bal maskowy spotkał się z bardzo ciepłym przyjęciem –

ciągnie Lin i odpala na laptopie pokaz slajdów z imprezy sprzed roku. Odwraca komputer tak, żebyśmy wszyscy widzieli fotografie.

– Nie możemy tego powtórzyć? Skoro wyszło tak dobrze? – mówi Camille. – Zaoszczędziłoby to nam mnóstwo pracy.

– Nie ma mowy. – Lin patrzy na nią z oburzeniem, na co Camille reaguje wzruszeniem ramion. Ja tymczasem stoję po prawej stronie tablicy, ciągle pustej, i na środku piszę: Halloween. Zakreślam słowo kółkiem.

– Musimy dzisiaj wymyślić motyw przewodni imprezy – oznajmia Lin. – Zaczniemy od burzy mózgów, dobrze?

Początkowo zapada cisza.

– Ja wiem tylko, czego nie chcę – odzywa się w końcu Jessalyn.

– Wal śmiało. To też ograniczy nam wybór – zapewniam i gestem zachęcam ją do mówienia.

– Broń Boże kolor pomarańczowy. Czarno-pomarańczowe dekoracje wyglądają jak z imprezy u pięciolatka, a to w ogóle nie pasuje do Maxton Hall.

Bez słowa kiwam głową i zapisuję w prawym górnym rogu tablicy: gustowne dekoracje.

– A co powiemy na: black-and-white? – proponuje Doug. To najbardziej milczący członek naszej ekipy, prawie nigdy nie zabiera głosu, dlatego pozytywnie zaskakuje mnie jego zaangażowanie. Uśmiecham się i odwracam do tablicy.

– Black-and-white to zużyty koncept.

W pomieszczeniu zapada cisza jak makiem zasiał.

Odwracam się powoli. James rozpiera się na krześle, jego luz mocno kontrastuje z napięciem, które nie wiadomo kiedy pojawiło się wśród nas.

– Słucham? – Lin mówi to, co mam na końcu języka.

– Black-and-white to zużyty koncept – powtarza James równie sucho, jak za pierwszym razem.

– Zrozumiałam od razu – syczy Lin.

Przygląda jej się spod uniesionych brwi.

– W takim razie ja nie zrozumiałem pytania.

– To jest burza mózgów, Beaufort. Przerzucamy się pomysłami, zapisujemy wszystkie, nie komentujemy, żeby dzięki spontanicznym koncepcjom wpaść na najlepsze rozwiązanie – tłumaczę najspokojniej jak potrafię.

– Wiem, czym jest burza mózgów, Bell – odpowiada i wskazuje brodą w kierunku tablicy. – I mówię ci, że nic z tego nie będzie.

– Twierdzi typ, który uważa, że bez striptizu nie ma mowy o dobrej zabawie – mruczy Kieran pod nosem.

– Ściągnąłem ich tylko dlatego, że wiedziałem, że wasza impreza będzie beznadziejna.

Choć wszyscy milczą, wyczuwam, że atmosfera w pomieszczeniu gęstnieje z każdą chwilą. Poza Camille wszyscy wpatrują się w Jamesa z wściekłością, chociaż na nim nie robi to chyba najmniejszego wrażenia. Unosi brew i rozgląda się wokół.

– Litości. Chyba sami to zauważyliście.

– Jeżeli naprawdę tak uważasz, jesteś ostro rąbnięty – odpowiada Kieran, a Jessalyn energicznie kiwa głową.

– Słuchajcie, weźcie się w garść. – Muszę wkroczyć do akcji. Kąciki ust Jamesa drgają podejrzenie. Celuję w niego z długopisu jak z pistoletu. – Nie ma się z czego śmiać. Planowaliśmy tę imprezę przez połowę wakacji. Nie była beznadziejna.

Pochyla się, opiera łokciami o stół.

– Kwestia dyskusyjna.

Obawiam się, że lada chwila pęknie mi żyłka na skroni.

– Czyżby?

Kiwa głową.

– A niby dlaczego, jeżeli można zapytać? – włącza się Lin podejrzenie słodkim głosem. Znam ten ton. Nie zapowiada niczego dobrego i przyprawia mnie o gęsią skórkę.

James podnosi rękę i odlicza na palcach.

– Bufet wyglądał tandetnie. Muzyka była do bani. Brakowało ściśle określonego dress code’u, a luźna atmosfera pojawiła się zdecydowanie za późno.

Dosłownie czuję, jak u mojego boku Lin zaczyna drżeć. Gdybyśmy byli sami, skoczyłabym Jamesowi do gardła za te słowa. Włożyliśmy w to przyjęcie tyle wysiłku, że nie fair jest totalnie je deprecjonować. Zwłaszcza że to nieprawda. Ale jako przewodnicząca komitetu muszę zachować spokój. I trzeba przyznać, że nie wszystko poszło zgodnie z planem, sami doszliśmy do tego wniosku podczas poniedziałkowego posiedzenia.

– Zgadzam się, jeśli chodzi o muzykę – przyznaję spokojnie. – Nie była

idealna, ale ludzie i tak tańczyli, więc o całkowitej klęsce nie może być mowy.

– A co niby mieli robić na imprezie? Ale atmosfera nie była tak dobra, jak mogłaby być przy porządnej muzyce.

Trzy lata temu, jeszcze w starej szkole, chodziłam na zajęcia z negocjacji w sytuacji konfliktowej. Przez pięć dni uczyliśmy się metod rozwiązywania konfliktów. Nie wszystko już pamiętam, ale jedno zostało mi w głowie; trzeba każdemu dać poczucie, że został wysłuchany, i energię, która doprowadziłaby do kłótni, zamienić w coś pozytywnego.

Z tą myślą nabieram głęboko tchu i patrzę Jamesowi prosto w oczy.

– Przyjmuję twoją krytykę i biorę ją sobie do serca. To jednak nie zmienia faktu, że w tej chwili szukamy motywu przewodniego na tegoroczną imprezę halloweenową. Uważam, że Doug miał fajny pomysł, i zaraz go zapiszę. Podobnie jak wszystkie inne, żebyśmy na końcu dzisiejszego zebrania mogli zdecydować, co nam odpowiada, a co nie. – Z tymi słowami odwracam się do tablicy i zapisuję: black-and-white. Potem ponownie patrzę na zebranych.
– Jeszcze jakieś pomysły?

– Tak. – Jessalyn podnosi rękę, jakby wpadła na odkrywczy pomysł. – Klasyczna elegancja z odrobiną grozy. Znicze, czarne kwiaty. Współczesna wersja tradycyjnej imprezy halloweenowej.

Skrzętnie wszystko zapisuję.

– Równie nudne.

– Beaufort, jeżeli nie masz nic konstruktywnego do powiedzenia, zamknij się – warczy Lin.

– Czarno-czerwony bal wampirów – proponuje Kieran.

– Beznadziejne – komentuje James.

Wytrzymam to, naprawdę. I wcale nie wbiję mu długopisu w oko.

– Beznadziejne jest przede wszystkim to, że cały czas zbijasz nasze pomysły – odzywa się Jessalyn – ale sam niczego nie proponujesz. Wymyśl coś, zamiast tylko rozsiewać wokół negatywną energię.

James prostuje się i zagląda do swojego notesu. Wątpię, by było w nim choć jedno słowo związane z planowaniem imprezy halloweenowej.

– Proponuję bal wiktoriański. Weston Hall to idealne miejsce. Można wypożyczyć oryginalną zastawę z epoki, misy do ponczu, koronkowe serwetki i tak dalej. Najlepiej czarne. Głównym źródłem światła byłyby, jak w tamtych czasach, świece, co zapewniłoby niesamowitą atmosferę.

Oczywiście trzeba uważać, żebyśmy przy tym nie podpalili całej szkoły, ale przy odpowiednich zabezpieczeniach powinno dać się to zrobić. Dress code byłby rodem z epoki, dekadencji i elegancji. Znamy mnóstwo zabaw halloweenowych z epoki wiktoriańskiej. Można by je włączyć w przebieg wieczoru.

Kiedy skończył, zapadła długa cisza.

– To jest... naprawdę świetny pomysł – mówię z wahaniem.

W jego oczach pojawia się błysk, gdy na mnie patrzy.

– Wydawało mi się, że tylko zapisujemy, nie komentujemy?

Uciekam przed jego wzrokiem i zapisuję pomysł na tablicy.

– Czytałem gdzieś, że w dziewiętnastym wieku na takie imprezy pieczono ciasta, w których ukrywano pięć różnych przedmiotów – odzywa się Kieran.

– Kto znalazł jeden z nich, mógł liczyć na wielkie szczęście w nadchodzącym roku. Moglibyśmy to unowocześnić i wymyślić nagrodę dla każdego, kto coś znajdzie.

– Ale trzeba wszystkich uprzedzić. Nie chcemy, żeby ktoś się udławił – zauważa Camille i marszczy nos.

– Co z muzyką? – pyta Jessalyn.

– Może odrobinę zmiksowana klasyka? – proponuję.

– Oby to nie były twoje dziwaczne remiksy klasyki, electro i dubstepa. – Lin wzdycha głośno.

– Ej! Wcale nie są takie złe. Poza tym pomagają mi się skoncentrować. – Wszyscy zebrani przyglądają mi się sceptycznie. Błagalnie spoglądam na Kierana, który w większości wypadków podziela mój gust muzyczny. – Proszę cię, powiedz im.

– Można znaleźć całkiem niezłe remiksy muzyki wiktoriańskiej. Niedawno słyszałem coś takiego.

Uśmiecham się z wdzięcznością i bezgłośnie szepczę:

– Prześlij mi link.

– Moim zdaniem orkiestra byłaby lepsza – zauważa James. – A bal powinien się zacząć wyćwiczonym wcześniej tańcem.

Zebrani pomrukują z aprobatą, a mnie robi się troszeczkę niedobrze. W ogóle nie potrafię tańczyć.

– Słuchajcie, rozmawiacie, jakbyście już podjęli decyzję – zauważa Lin i wydaje się równie zaskoczona, jak ja w tej chwili. Wskazuje tablicę. – Mimo to chciałabym głosować. Kto jest za tematem black-and-white?

Nikt.

– Kto za klasycznym szykiem?

Nikt.

– Kto za balem wampirów?

I znowu nikt się nie zgłasza.

– A co powiecie na bal w stylu wiktoriańskim? – wtrącam się. Jeszcze nie kończę tego pytania, a już cztery osoby podnoszą ręce. James przez chwilę wygląda, jakby głupio było mu się zgłosić, ale w końcu i on podnosi rękę.

Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy na posiedzeniu komitetu. Zerkam na Lin spod uniesionych brwi.

– A zatem wybraliśmy motyw tegorocznego przyjęcia z okazji Halloween w Maxton Hall.

James

Percy zaparkował rolls-royce'a przy głównym wejściu do szkoły. Stoi przy samochodzie oparty o drzwiczki, z komórką w jednej dłoni i czapką w drugiej. Wydaje się, że każdego dnia przybywa siwych kosmyków w jego ciemnych włosach. Kiedy mnie widzi, natychmiast wsuwa telefon do kieszeni, zakłada czapkę na głowę i prostuje się. Właściwie wcale nie musi tego robić i dobrze o tym wie.

Zbiegam ze schodów. Wszyscy schodzą mi z drogi. Najwyraźniej wyglądam równie fatalnie, jak się czuję. A to wszystko wina tego cholernego komitetu organizacyjnego! Już teraz żałuję, że nie mogłem po prostu trzymać języka za zębami i zachować dla siebie pomysłu z balem wiktoriańskim.

Na samo wspomnienie listy rzeczy do zrobienia, którą później ułożyli, robi mi się słabo. Gdybym organizował to przyjęcie u siebie w domu, kazałbym służbie zająć się wszystkim i sam nie musiałbym nawet kiwnąć palcem. Ale w tym wypadku to ja jestem służbą, co Ruby dała mi jasno do zrozumienia.

Na samą myśl, że przede mną jeszcze cały semestr takich posiedzeń, chce mi się wyć. Że już nie wspomnę o tym, że doprowadza mnie do szału świadomość, że nie mogę uczestniczyć w treningach. Zdecydowanie nie tak wyobrażałem sobie ostatni rok w szkole.

Dochodzę do samochodu. Najchętniej po prostu opadłbym na tylne siedzenie, ale zanim wsiądę, Percy chwyta mnie za ramię.

- Nie wygląda pan najlepiej.
- Doprawdy, Percy, co za zmysł obserwacji.

Niespokojnie wodzi wzrokiem między mną a drzwiczkami samochodu.

– Może byłoby rozsądniej, gdyby poskromił pan emocje. Panna Beaufort nie jest w najlepszej formie.

W ułamku sekundy zapominam o tym całym idiotycznym Komitecie

organizacyjnym.

– Co się stało?

Percy waha się, jakby nie wiedział, ile może mi powiedzieć. W końcu robi krok w moją stronę i mówi cicho:

– Przed chwilą z kimś rozmawiała. Z młodym mężczyzną. To wyglądało jak kłótnia.

Kiwam głową. Percy przytrzymuje mi drzwiczki, gdy wsiadam do samochodu.

Dzięki Bogu za przyciemniane szyby. Lydia wygląda fatalnie. Ma czerwone oczy i nos, rozmazany tusz znaczy jej policzki szarymi smugami.

Jeszcze nigdy nie płakała tyle, ile w ciągu minionych tygodni, i szaleję na myśl, że widzę ją w takim stanie i jednocześnie nie potrafię jej pomóc.

Zawsze byliśmy nierozłączni. W takiej rodzinie jak nasza człowiek nie ma innego wyjścia, po prostu. Przypominam sobie tylko kilka dni z całego mojego życia, podczas których nie widziałem siostry bliźniaczki.

Ilekcio jest w kiepskiej formie, czuję dziwny ucisk w klatce piersiowej. Ona doświadcza tego samego. Mama tłumaczyła, że coś takiego często zdarza się wśród bliźniąt, i już we wczesnym dzieciństwie wymusiła na nas obietnicę, że przez całe życie będziemy pielęgnować tę więź i nie zrobimy niczego, by ją naderwać.

– Co jest? – pytam, gdy Percy odpalił silnik.

Nie odpowiada.

– Lydia...

– To nie twoja sprawa – syczy.

Unoszę tylko brew i przyglądam się jej, aż ucieka wzrokiem do okna. Najwyraźniej to koniec rozmowy.

Ja też opadam na oparcie i wbijam wzrok w scenerię za oknem.

Barwne drzewa przemykają za szybą tak szybko, że zlewają się w jedną smugę. Percy mógłby jechać wolniej. Nie tylko dlatego, że na samą myśl o powrocie do domu robi mi się niedobrze, lecz także, a może przede wszystkim po to, abym miał więcej czasu, by przełamać milczenie Lydi. Chciałbym jej pomóc, ale nie mam pojęcia jak. W ciągu minionych tygodni próbowałem wszystkiego, żeby się dowiedzieć, co zaszło między nią a Suttonem, ale natychmiast zmieniała temat rozmowy. Właściwie nie powinno mnie to dziwić. To prawda, jesteśmy nierozłączni, ale nigdy nie rozmawiamy o naszym życiu uczuciowym. Są pewne rzeczy, których

człowiek nie powinien wiedzieć o własnej siostrze, i odwrotnie.

Ale tym razem jest inaczej. Jest zdruzgotana, w takim stanie widziałem ją do tej pory tylko raz, a konkretnie dwa lata temu. Wtedy niemal zniszczyło to naszą rodzinę.

– Graham oszalał – mówi nagle, gdy w ogóle już na to nie liczyłem.

Odwracam się do niej i czekam, co jeszcze powie.

Po raz kolejny wzbiera we mnie wściekłość na tego dupka, ale nie daję jej ujścia. Nie chcę, żeby Lydia znowu się wycofała. I tak robi to wystarczająco często.

– Bardzo się boję, że Ruby powie o wszystkim Lexingtonowi – szepcze ochryple, przez nos.

– Nie zrobi tego.

– Skąd ta pewność? – W jej wzroku widzę taki sam sceptycyzm wobec Ruby, jaki ja odczuwałem, gdy rozmawiałem z nią po raz pierwszy.

– Bo cały czas mam ją na oku – odpowiadam po dłuższej chwili.

Lydia nie wydaje się przekonana.

– Nie możesz śledzić jej każdego kroku, James.

– I wcale nie muszę. Jest w Komitecie Organizacyjnym.

Lydia patrzy na mnie ze zdumieniem. Uśmiecham się krzywo. Dobrze jest widzieć, jak jej napięcie ustępuje, chociaż odrobinę. Odzywa się dopiero po dłuższej chwili.

– Na śmierć zapomniałam o tej sprawie z komitetem organizacyjnym. Strasznie cię to wkurza?

Prycham tylko.

– Rozmawiałeś już z tatą? – pyta ostrożnie.

Zaprzeczam ruchem głowy i wbijam wzrok w okno w tym samym momencie, gdy rolls-royce się zatrzymuje. Przed nami w niebo wzbija się fasada naszej rezydencji, a kłębiące się chmury stanowią idealne odzwierciedlenie mojego nastroju i tego, co mnie jeszcze dzisiaj czeka.

* * *

– Jak opisałbyś mnie w trzech słowach? – głos Alistaira zagłusza muzykę płynącą z głośników.

Siedzi na kanapie, pochylony nad telefonem komórkowym. Jasne włosy opadają mu na czoło, gdy ze skupieniem wpatruje się w wyświetlacz.

Przygotowałem nam gin z tonikiem i wracam do przyjaciela. Alistair nie podnosi głowy, wyciąga rękę i bierze szklankę z napojem.

To już trzecia kolejka i wreszcie czuję w głowie przyjemny szum, na który czekałem od początku. Dzięki niemu zapomnę, że pozostali są w tej chwili na treningu lacrosse. A przede wszystkim wyprę z pamięci wspomnienie minionych dwóch godzin. Głos ojca w tej chwili jest już tylko cichym pomrukiem.

– Co powiesz na: żałośnie napalony dupek?

Alistair uśmiecha się pod nosem.

– W sumie prawda. Ale z odrobiną skromności zajadę dalej.

Ze śmiechem opadam na kanapę obok niego. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że był już po kilku drinkach, gdy do niego napisałem i zapytałem, czy może do mnie wpaść. Najwyraźniej tego, że on także został zawieszony, nie przeżył tak bezboleśnie, jak usiłuje nam wszystkim wmówić.

W każdym razie wpadł do mojego pokoju i od progu oznajmił, że od dzisiaj trzyma się z daleka od chłopaków z Maxton Hall i zamiast tego skupi się na randkowaniu w sieci. Powiedział to z takim uśmiechem, jakby nie traktował tej sprawy poważnie i chciał założyć sobie profil tylko dlatego, że się nudzi. Ale znam go na tyle, by wiedzieć, że to dla niego naprawdę poważna sprawa. Ma dosyć chłopaków z Maxton Hall, bo spotykają się z nim tylko potajemnie. W przeciwieństwie do większości z nich Alistair już od dwóch lat otwarcie przyznaje się do swojej orientacji seksualnej, ku wielkiemu niezadowoleniu jego beznadziejnych rodziców, którzy od tego czasu traktują go jak pariasa. Więc jeżeli w sieci znajdzie kogoś, przy kim nie będzie się czuł jak nieprzyzwoity sekret, trzymam za niego kciuki. Zwłaszcza że w tej chwili dzięki niemu mogę zapomnieć o własnych problemach.

– A muszą być dokładnie trzy słowa? – pytam. Kręci przecząco głową. – No to piszemy: fajny, lacrosse, wysportowany, szuka intrygującej znajomości, bla, bla, bla.

Uśmiecha się krzywo.

– Oczywiście, bla, bla, bla i wszystko jasne.

Przysuwam się bliżej, przy czym odrobina ginu z tonikiem wylewa się z mojej szklanki na dłoń. Klnę głośno, wycieram rękę o spodnie i patrzę na telefon Alistaira. Widzę pierwsze słowa wpisane do jego profilu i parskam śmiechem.

– No co? – rzuca zaczepnie.

– Stary, przecież ty nie masz stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

– A właśnie że mam – upiera się.

– Człowieku, ja mam metr osiemdziesiąt cztery, a jesteś ode mnie o pół głowy niższy. Odejmij z dziesięć centymetrów, będziesz bliżej prawdy.

Szturcha mnie w bok. Znowu oblewam sobie rękę alkoholem.

– Nie bądź takim nadętym dupkiem.

– Dobrze, już dobrze. – Upijam trzy spore łyki ze szklanki i odstawiam ją na stół. A potem biorę komputer ze stolika, unoszę klapę i szukam w miarę sensownych profili.

Miałem rację, zapraszając dzisiaj Alistaira. Poprosił ojca, żeby go podrzucił, i odkąd się pojawił, oderwał moje myśli od nieprzyjemnych spraw, a jednocześnie nie zadał ani jednego niewygodnego pytania.

– O Boże – mamroczę.

Alistair posyła mi pytające spojrzenie i pochyla się nad ekranem mojego komputera.

Odwracam go w jego stronę.

– Szukałem inspiracji dla twojego profilu, ale teraz żałuję, że kliknąłem w ten link. Błagam cię, kto pisze takie rzeczy? „Najchętniej robiłbym to ze swoim bratem bliźniakiem, ale ponieważ jestem jedynakiem, ty musisz mi wystarczyć”.

Alistair parska śmiechem.

– Mnie też przeszła ochota. Napiszę po prostu: osiemnaście lat, lacrosse, otwarty na wszystko.

– Nie, stary. – Energicznie kręcę głową. – „Otwarty na wszystko” aż się prosi o dziwaczne propozycje od świrów.

W odpowiedzi kumpel tylko wzrusza ramionami. Kilka minut później rzuca, ciągle pochylony nad wyświetlaczem telefonu:

– Elaine o ciebie pytała.

Pytająco unoszę brew, ale nic nie mówię. Po raz pierwszy od imprezy u Wrena Alistair porusza ten temat. Nie jestem w stanie ocenić po jego głosie, czy to ma być poważna rozmowa, czy nie.

– Martwi się o twoje młode, wrażliwe serce i dopypywała, czy często o niej myślisz.

Dzięki Bogu, na pewno nie na poważnie.

– Jasne – odpowiadam ironicznie. Nie sądzę, żeby Elaine poświęciła

choćby jedną myśl naszej wspólnej nocy. Prędzej to Alistair nie może o niej zapomnieć, bo śpiąc z jego siostrą, obudziłem w nim braterski instynkt.

– Nadal nie mieści mi się w głowie, że poszedłeś do łóżka z moją siostrą. – Kręci głową i krzywi się z niesmakiem. – Nie możesz się z nią przynajmniej zaręczyć? Wtedy chyba byłoby mi łatwiej się z tym pogodzić.

Ze śmiechem klepię go po ramieniu.

– Słuchaj, jeżeli nawet się z kimś zaręczę, to nie po to, żebyś ty mógł spać spokojnie.

Wzdycha z komicznym smutkiem. A potem podsuwa mi telefon pod nos.

– W takim razie przynajmniej pomóż mi wybrać fotografię.

Pokazuje mi dwie. Na jednej leży bez koszuli, z rękami splecionymi za głową, druga, biało-czarna, to selfie w lustrze. Na tym zdjęciu ma na sobie garnitur.

– To na łóżku – decyduję. – Na tamtej masz na sobie za dużo ciuchów.

– Podoba mi się twoje podejście, Beaufort.

Tym samym temat Elaine jest na szczęście zamknięty. Idę po dolewkę ginu z tonikiem. Wznosimy toast i Alistair ponownie zajmuje się swoim profilem, podczas gdy ja bez entuzjazmu przeglądam pocztę elektroniczną.

Sztywnieję, gdy widzę zaproszenie wysłane z adresu biura Beaufort. Wbrew sobie otwieram wiadomość. Jest bardzo lakoniczna:

Następny piątek, o dziewiętnastej, kolacja z zarządem w Londynie. Nie spóźnij się.

Mój dobry humor znika w mgnieniu oka. Nagle przeszywa mnie lodowaty dreszcz, a wraz z nim powracają wspomnienia z dzisiejszej kłótni z ojcem.

Przynosisz nam wstyd.

Mamy określoną reputację.

Głupi, dziecinny szczeniak.

Jestem na siebie wściekły, że skuliłem się, gdy szedł w moją stronę z uniesioną ręką. Powinienem być mądrzejszy: w obecności Mortimera Beauforta nie okazuje się ani słabości, ani strachu.

Ta kolacja to kolejna część kary. Wie doskonale, że tym samym dotknie mnie boleśniej, niż zrobiłyby to jego słowa czy razy. Mamy niepisaną umowę: póki uczęszczam do Maxton Hall, daje mi spokój ze wszystkim, co dotyczy firmy. Fakt, że mam wziąć udział w tej kolacji, to przypomnienie. Jakby chciał mi powiedzieć: To ja decyduję o twoim życiu i jeżeli nie weźmiesz się w garść, wolność skończy się szybciej, niż ci się wydaje.

Zdenerwowany zdejmuję laptopa z kolan i podchodzę do baru. Nalewam sobie szklaneczkę whisky i przez chwilę wpatruję się w bursztynowy płyn. A potem odwracam się i wracam na kanapę ze szklanką w dłoni.

Alistair mnie obserwuje. Na jego twarzy nie pozostał nawet cień uśmiechu.

– Wszystko w porządku?

W odpowiedzi wzruszam ramionami. Chciałem, żeby Alistair do mnie przyjechał, żeby zapomnieć o sprawie z ojcem, a nie, żeby o niej rozmawiać.

Alistair nie nalega. Zamiast tego podsuwa mi komórkę.

– Znalazłem ideał. – Na wyświetlaczu widnieje zdjęcie muskularnego bruneta.

Zsuwam się na siedzeniu tak, żeby położyć głowę na oparciu.

– Co o sobie napisał?

– Że szuka kogoś, kto zajmie się jego sercem. Oraz ptakiem.

– Szczyt kreatywności.

– No właśnie. A poza tym... Właśnie w tej chwili przysłał mi zdjęcie swojego ptaka. Stary, może na początek zdradziłbyś mi, jak masz na imię, zanim pokażesz mi genitalia? – mamrocze Alistair pod nosem, a ja śmieję się wbrew sobie.

Między innymi dlatego jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. Gdybym chciał, mógłbym z nim pogadać o tym, co cały czas bębni w uszach jak zacięta taśma. Mogę z nim rozmawiać o wszystkim, ale nie muszę. Znamy się od tak dawna, że rozumiemy się bez słów i wzajemnie szanujemy granice, co nie znaczy, że czasami ich nie naruszamy. Nie wierzę, że przydarzy mi się jeszcze kiedyś taka przyjaźń.

– Jesteś głodny? – pytam po jakimś czasie.

Alistair kiwa twierdząco głową. Dzwonię do kuchni. Po starciu z ojcem absolutnie przeszedł mi apetyt i dlatego teraz żołądek ściska mi się boleśnie.

Czekamy, aż coś nam przyniosą, Alistair w tym czasie przegląda zdjęcia półnagich typów, a ja sprawdzam listę blogów na moim laptopie. Oprócz stron poświęconych lacrosse i blogów moich przyjaciół od kilku miesięcy interesują mnie głównie blogi podróżnicze. Nic nie pomaga równie skutecznie oderwać się od rzeczywistości, jak opisy dalekich krajów i piękne fotografie. Zaznaczam nowe wpisy do przeczytania później – w tej chwili jestem zbyt pijany.

Na mojej liście jest też szkolny blog. Właściwie tylko dla beki, kiedy jednak machinalnie przebiegam wzrokiem stopkę redakcyjną, nagle przed

oczami staje mi twarz Ruby. Mój żołądek robi salto. Sam nie wiem: z głodu, przez alkohol czy może z zupełnie innego powodu.

Mój palec wskazujący niejako wbrew mnie odnajduje przycisk myszki. Otwieram blog.

Przeoglądam kolejne wpisy poświęcone szkolnym imprezom, wszystkie bez wyjątku nudne; przebiegam wzrokiem artykuły – niewiarygodnie odtwórcze; patrzę na zdjęcia i cały czas szukam twarzy Ruby. Chociaż jej nazwisko widnieje pod wieloma postami i nieraz jest wymieniana podczas relacji ze szkolnych imprez, nie ma jej na ani jednej fotografii. Tuż po tym, jak Lydia opowiedziała mi, że Ruby przyłapała ją i Suttona na gorącym uczynku, szukałem jej w internecie, chcąc dowiedzieć się o niej jak najwięcej. I nic. Nie ma konta na żadnym portalu społecznościowym: ani na Facebooku, ani na Instagramie, ani na Twitterze, przynajmniej nie pod własnym nazwiskiem.

Ruby Bell to duch.

Przewijam dalej. Zdążyłem już przejrzeć cały zeszły rok szkolny i nadal nie znalazłem tego, czego szukam. Chociaż sam nie wiem, co to jest. Im dłużej to robię, tym bardziej się złościę. Dlaczego, do jasnej cholery, nie mogę o niej niczego znaleźć?

– Przeoglądasz szkolnego bloga? – pyta nagle Alistair. Przyłapany na gorącym uczynku, podnoszę głowę. Alistair z obrzydzeniem patrzy na ekran mojego laptopa. Kiedy jednak dostrzega, co wpisałem w małe okienko wyszukiwarki, nagle się rozpromienia. – Ach, więc to tak.

– Niby jak?

Uśmiecha się szerzej.

– Niech no tylko powiem chłopakom.

Energicznie zamykam komputer.

– Nie ma czego opowiadać.

Jego odpowiedź wyprzedza pukanie do drzwi i do pokoju wchodzi nasza pokojówka, Mary. Wprowadza stolik na kółkach, uginający się pod ciężarem jedzenia. Wstaję i na chwiejnych nogach podchodzę do barku, żeby dolać sobie whisky. Teraz chcę wyprzeć z pamięci nie tylko głos ojca, lecz także pewną siebie minę Ruby.

Ruby

Różowa notatka w kalendarzu zdaje się ze mnie kpić. Przypomina, że mam poprosić Beauforta o wiktoriańskie stroje z epoki. Niestety nie mam na to najmniejszej ochoty. W tym tygodniu przedawkowałam Jamesa Beauforta i jestem już gotowa na weekend. Odkąd wybraliśmy motyw przewodni tegorocznej imprezy halloweenowej, na naszych spotkaniach zrobił się nie do zniesienia. Albo co chwila rzuca beznadziejne komentarze, albo ignoruje nas całkowicie. I nie miałoby to dla mnie najmniejszego znaczenia, gdybyśmy wczoraj nie zdecydowali, że na plakacie reklamującym imprezę będzie para w autentycznych strojach z epoki. A najprostszy sposób, żeby szybko i przede wszystkim bez zbędnych kosztów zdobyć takie kreacje, to dostać się do magazynów rodziny Beaufortów.

Po posiedzeniu komitetu losowałyśmy z Lin, która z nas dwóch ma poprosić Jamesa o przysługę. Oczywiście przegrałam. Od tego czasu kombinuję, jak najlepiej to załatwić. Może po prostu napiszę do niego mejla. Wtedy nie musiałabym go pytać przy świadkach, co zapewne zainspiruje go do rzucenia niejednej złośliwości.

Energicznie zamykam kalendarz i chowam z powrotem do plecaka.

– Jeszcze możemy się zamienić – proponuje Lin i zarzuca sobie plecak na ramię. A potem bierze moją tacę, kładzie na swojej i rusza w kierunku punktu zwrotu brudnych naczyń.

Przez chwilę zastanawiam się, co jest gorsze: spotkanie z Beaufortem czy godzinny wykład w wykonaniu Lexingtona na temat zabezpieczeń przeciwpożarowych.

– Wiesz co? Jednak nie – mówi Lin, gdy idziemy w kierunku lewego skrzydła. – Cofam propozycję. Nie chcę się zamieniać.

– Szkoda. Zgodziłabym się od razu.

Cały kampus spowija złotoczerwone jesienne światło. Pierwsze liście wiekowych dębów zmieniają już kolory, nasycona zieleń przechodzi w delikatną żółć i ciemną czerwień.

– Daj spokój, nie będzie aż tak źle.

– I mówi to osoba, która po losowaniu krzyczała: „Wygrałam!”, gdy się okazało, że musi iść na wykład pożarniczy – zauważam sucho.

Uśmiecha się, przyłapaną na gorącym uczynku.

– Nie trawię go po prostu. No wiesz, do końca semestru ma być jednym z nas. Mógłby się chociaż trochę postarać, prawda? Zwłaszcza że temat balu to był jego pomysł.

– Tak. Niestety był to naprawdę dobry pomysł. – Przykładam szkolny identyfikator do czytnika przy drzwiach, póki nie zapala się zielone światełko. Naciskam kławkę i przepuszczam Lin przodem.

Wchodzimy do centrum naukowego, małego budynku, z którego korzystają tylko uczniowie ostatniej klasy. Tutaj można w spokoju pisać referaty albo uczyć się do egzaminów. W tym miejscu dzisiaj po raz pierwszy spotyka się grupa naukowa, której zadaniem jest przygotować się do kolejnych etapów rekrutacji do Oksfordu.

– Och – szepcze Lin, gdy wchodzimy do sali. Ja w tym samym momencie cała sztywnieję. O wilku mowa.

W pomieszczeniu znajduje się dwadzieścia miejsc, ale zajętych jest tylko kilka. Są tu Keshav, Lydia, Alistair, Wren, Cyril i... James. Do tego jeszcze dwie dziewczyny, chłopak, którego znam tylko z widzenia, i młoda kobieta, jak się domyślam, nasza koordynatorka. Tylko ona się z nami wita.

Zajmuję miejsce jak najdalej od paczki Beauforta. Lin siada koło mnie. Odruchowo wyjmuję kalendarz, flamastry i nowy notes, który kupiłam specjalnie na te zajęcia. Układam to wszystko na biurku; przedmioty muszą leżeć równolegle do krawędzi blatu. Robię, co w mojej mocy, by udawać, że w ogóle nie zauważam tamtych osób. Nie chcę mieć nic wspólnego z Jamesem, a już na pewno nie z jego przyjaciółmi. Na samą myśl, że podczas ubiegania się o miejsce w Oksfordzie będę miała do czynienia z ludźmi ich pokroju – pochodzącymi z obrzydliwie bogatych rodzin, które od wielu pokoleń studiowały w Oksfordzie – robi mi się niedobrze.

Sama nie wiem, co o tym wszystkim sądzi Lin. Co prawda nie należała do paczki Jamesa, ale nie tak dawno obracała się w tych samych kręgach, bo przyjaźniła się z Elaine Ellington i kilkoma innymi dziewczynami z rocznika

wyżej. Ale potem jej ojciec zostawił jej matkę dla innej kobiety, która wkrótce okazała się oszustką matrymonialną. W ciągu roku stracił przez nią cały majątek, co wywołało gigantyczny skandal, i nagle nikt nie chciał mieć do czynienia z rodziną Wangów. Ani w sprawach biznesowych, ani towarzyskich, ani szkolnych.

Żeby Lin mogła się tu dalej uczyć, jej matka musiała sprzedać rodzinną rezydencję. Przeprowadziły się do małego domku niedaleko Pemwick. Co prawda nadal mieszkają na powierzchni czterokrotnie większej niż my, ale wyobrażam sobie, że dla Lin to musiał być nie lada szok. Straciła nie tylko rodzinę i jedyne życie, jakie do tej pory znała, ale przede wszystkim starych przyjaciół.

Przez większość czasu nie daje po sobie poznać, że cokolwiek się wydarzyło. Jak gdyby nigdy nic. Ale czasami dostrzegam w jej spojrzeniu tęsknotę, co każe mi sądzić, że jednak brakuje jej dawnego życia. Zwłaszcza kiedy widzę, jak smutno patrzy na wolne miejsce koło Cyrila. Od dawna się zastanawiam, czy coś ich nie łączyło, jednak ilekroć kieruję rozmowę na ten temat, Lin zmienia go błyskawicznie. Nie dziwię się jej, przecież ja właściwie też nie mówię niczego o sobie. Mimo to bywam czasami bardzo ciekawska.

Niemal odruchowo przesuwam wzrok na Jamesa. Jego przyjaciele rozmawiają i wydają się poruszeni, on jednak siedzi spokojnie. Wren coś do niego mówi, ale James wcale go nie słucha, jestem tego pewna. Zastanawiam się, jakie myśli wywołują u niego tak ponurą minę.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteście – zaczyna prowadząca. Odrywam wzrok od Jamesa. – Nazywam się Philippa Winfield, ale mówcie do mnie Pippa. W tej chwili jestem na drugim semestrze studiów w Oksfordzie, więc zupełnie niedawno także musiałam pokonać trudną drogę rekrutacji i wiem doskonale, jak się w tej chwili czujecie.

Wren mamrocze coś pod nosem, na co James reaguje śmiechem i próbuje ukryć to chrząknięciem. Pewnie komentują urodę Pippy. Z ciemnoblonde włosami, układającymi się miękko wokół twarzy o nieskazitelnej cerze, wygląda jak lalka. Bardzo piękna, bardzo droga lalka.

– W ciągu najbliższych tygodni pomogę wam przygotować się do Thinking Skills Assessment oraz do rozmowy kwalifikacyjnej.

TSA, Thinking Skills Assessment, to dwugodzinny egzamin, wymagany na niektórych kierunkach w Oksfordzie. Dzięki niemu władze uczelni mogą

ocenić, czy kandydat posiada zdolność krytycznego myślenia, niezbędną, by tam studiować.

Egzamin widnieje w moim kalendarzu niedługo po Halloween i już teraz umieram ze strachu, ilekroć myślę o czekających mnie zadaniach. Przez kolejne pół godziny Pippa tłumaczy nam, na czym polega i ile czasu potrzebujemy na poszczególne części, chociaż oczywiście ja już od dawna wiem to wszystko. Nie interesuje mnie struktura egzaminu, chcę się dowiedzieć, jak go zdać. Pippa zdaje się czytać w moich myślach, bo w pewnym momencie klaszcze w dłoń.

– Teraz spójrzmy na przykładowe pytanie, które mogłoby się znaleźć na egzaminie. Kiedy przygotowywałam się do studiów, bardzo pomagała mi rozmowa z innymi kandydatami, bo przecież każdy z nas rozumuje inaczej, a cudzy punkt widzenia czasami autentycznie otwiera człowiekowi oczy. Pomyślałam więc, że właśnie od tego zaczniemy. – Otwiera segregator, wyjmując plik karteczek, rozdaje nam. – Na stronie drugiej znajdziecie pierwsze pytanie. Ty – wskazuje Wrena, który znowu coś szeptał – przeczytasz je na głos.

– Z największą przyjemnością – odpowiada chłopak z bezczelnym uśmiechem, a potem unosi kartkę i czyta: – Pierwsze pytanie brzmi: czy sam fakt, że potrafisz nazwać powody swojego działania, oznacza, że rzeczony działanie jest racjonalne?

Lin podnosi rękę.

– Nie musisz się zgłaszać, to ma być otwarta dyskusja – mówi Pippa i zachęca ją skinieniem, by zabrała głos.

– U podstaw wszystkich działań leżą przesłanki emocjonalne – zaczyna moja przyjaciółka. – Co prawda zawsze się mówi, że powinno się wszystko przemyśleć i dokonać rozsądnego wyboru, a nie słuchać głosu serca, ale koniec końców naszymi decyzjami kierują emocje, a tym samym nie są one racjonalne.

– No i mamy najkrótszy esej w historii – mówi Alistair, a jego przyjaciele parskają śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Jamesa. Mruga szybko, jakby dopiero się obudził.

– To teza, którą możemy albo rozwinąć, albo z nią polemizować – zauważa Pippa.

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw dokładnie zdefiniować, co w tym kontekście rozumiemy przez pojęcie „racjonalne” –

zauważa Lydia. Wsunęła długopis za ucho, w dłoni trzyma karteczkę z pytaniem. Ciekawe, na jakie studia się wybiera.

– Racjonalność to myślenie i działanie, u którego podstaw leży rozsądek – mruczy Kesh pod nosem.

– W tym znaczeniu racjonalność rzeczywiście oznacza rozsądek – zauważam. – Ale rozsądek to rzecz subiektywna. Jak zdefiniować rozsądek, skoro każdy człowiek kieruje się innymi zasadami, wartościami i ideologią?

– Chwileczkę, możemy chyba założyć, że wszyscy mają mniej lub bardziej podobny system wartości – odzywa się Wren.

Wzruszam ramionami bez przekonania.

– Wszystko chyba zależy od tego, w jakim środowisku się wychowujesz i kto cię otacza.

– Każdy od dziecka wie, że nie wolno zabijać innych ludzi i tak dalej. Jeżeli wszyscy kierujemy się tymi podstawowymi zasadami, są one obiektywnie racjonalne – odpowiada.

– Ale nie wszystko można sprowadzić do podstaw – wtrąca się Lin.

– Czyli jeżeli zrobiłam coś, co mnie zniszczy, choć wiem, że opiera się na właściwych wartościach, dokonałam racjonalnego wyboru? – Lydia znowu zabiera głos. Patrzą na nią zdumiona, ona jednak uparcie wbija wzrok w karteczkę z pytaniem.

– Jeżeli to mieści się w twoim rozumieniu rozsądku, tak – odpowiadam po dłuższej chwili. – Tym samym widzimy wyraźnie, jak bardzo mogą się różnić systemy wartości poszczególnych ludzi. Ja nigdy w życiu nie zrobiłabym z własnej woli niczego, co mogłoby mnie zniszczyć.

– Czy w takim razie moja definicja, moje rozumienie rozsądku jest mniej wartościowe niż twoje? – Nagle Lydia wydaje się wściekła. Biel jej policzków niknie pod czerwonymi plamami.

– Chciałam tylko powiedzieć, że moim zdaniem nie może być mowy o działaniu racjonalnym, jeżeli jego konsekwencją jest czyjeś cierpienie, nieważne, moje czy cudze. Ale to tylko moje zdanie.

– A twoje zdanie jest oczywiście ważniejsze niż innych, prawda?

Zaskoczona podnoszę wzrok na Jamesa. Powiedział to tak cicho, że w pierwszej chwili go nie usłyszałam. Już nie wydaje się być myślami gdzieś indziej. Jest dokładnie tu i teraz, i świdruje mnie lodowatym spojrzeniem.

Z całej siły zaciskam dłoń na długopisie.

– W tym pytaniu nie chodzi o mnie, tylko o ogólne założenie, że każdy

myśli i działa inaczej.

– Załóżmy, że ukradkiem wprowadzam striptizerów na przyjęcie, żeby rozluźnić atmosferę i sprawić gościom miłą niespodziankę – mówi James powoli. – Kierując się twoim rozumieniem, była to decyzja racjonalna.

Lada chwila przełamie długopis na pół.

– To nie była żadna racjonalna decyzja, to było niemoralne i durne.

– Radziłabym unikać w eseju i podczas rozmowy kwalifikacyjnej takich słów – wtrąca się Pippa.

– Wprowadzasz rozróżnienie, o którym wcale teraz nie rozmawiamy – odpowiada chłodno James. – Załóżmy, że masz dwie propozycje pracy. W jednej zarabiasz więcej, w drugiej jednak możesz się realizować. Racjonalny wybór oznaczałby wybranie lepiej płatnej pracy.

– Tylko jeżeli stawiamy rozsądek na równi z materializmem, co akurat w twoim wypadku nikogo nie powinno dziwić.

Nagle przepełnia mnie energia, mam wrażenie, że w całym pomieszczeniu nie ma nikogo poza Jamesem i mną.

Unosi brew.

– Po pierwsze, wcale mnie nie znasz. Po drugie, wybór lepiej płatnej pracy to decyzja racjonalna.

– Niby dlaczego, jeśli mogę zapytać?

Patrzy mi prosto w oczy.

– Bo nikt na całym świecie nie zwróci na ciebie uwagi, jeżeli nie masz pieniędzy.

Po jego słowach przypominam sobie zdarte podeszwy moich butów i rozpadający się plecak. Ogarnia mnie wściekłość. Tracę panowanie nad sobą.

– Od razu widać, kto cię wychował.

– Co to niby ma znaczyć? – pyta podejrzenie spokojnym głosem.

Wzruszam ramionami.

– Kiedy człowiekowi od dziecka wmawiają, że bez pieniędzy nikt nie zwróci na niego uwagi, nic dziwnego, że w twoim rozumieniu rozsądek oznacza majątek. Właściwie jest mi ciebie żal.

Widzę, jak drga mu mięsień na szczęcie.

– Lepiej nie mów już nic więcej, Ruby.

– W Oksfordzie nie będziesz mógł rozkazywać wszystkim na prawo i lewo. Może zacznij się przyzwyczajać do sprzeciwu albo pogódź się

z myślą, że mogą cię nie przyjąć. Co akurat w twoim przypadku nie powinno być specjalnym problemem, jakkolwiek by było, masz pieniądze i cały świat zwraca na ciebie uwagę.

James wzdryga się, jakbym go spoliczkowała. W pomieszczeniu panuje śmiertelna cisza. Jedyne, co słyszę, to mój rozszalały puls i szum w uszach. W następnej chwili James wstaje tak energicznie, że przewraca przy tym krzesło, które z głośnym hukiem upada na podłogę. Wstrzymuję oddech, gdy długimi krokami opuszcza pokój i zatrząskuje za sobą drzwi.

Nagle wracam do rzeczywistości. Przyjaciele Jamesa wymieniają niespokojne spojrzenia, jakby sami nie do końca wiedzieli, co się przed chwilą wydarzyło. Na twarzy Lydii maluje się szok.

Przeszywa mnie zimny dreszcz. Czuję, jak powoli opada fala adrenaliny, i dociera do mnie, co przed chwilą powiedziałam.

Tyle, jeśli chodzi o trzymanie się na uboczu. Z akademickiej dyskusji zrobiłam sprawę osobistą, bo James mnie zdenerwował. Miał rację w tym, co mówił. Naprawdę go nie znam. I nie mam prawa zarzucać mu takich rzeczy tylko dlatego, że zachowuje się jak idiota. Wtedy nie jestem wcale od niego lepsza.

Co mnie ugryzło, do cholery?

James

Muszę przyznać, że wzór na mojej kartce wygląda imponująco. Ostrokatne czarne zawijasy, małe spiralki i okręgi wydają się niemal trójwymiarowe. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by zanurzyć się w obrazie.

Za każdym razem zaskakuje mnie, co wychodzi z moich bazgrołów. I jak skutecznie pozwala mi to uciec od rzeczywistości – na przykład zapomnieć o tym, że moi chłopcy kilkaset metrów dalej stoją w tej chwili na boisku i szykują się do meczu w przyszły weekend. Albo o tym, że muszę spędzić w tym pomieszczeniu jeszcze dokładnie godzinę i jedenaście minut.

– James!

Podnoszę głowę. Wszyscy członkowie komitetu organizacyjnego wpatrują się we mnie.

– Tak?

– Nawet cię nie słuchał! – krzyczy oburzona Jessalyn i patrzy na Ruby z taką miną, jakby to była jej wina, że nie mam najmniejszej ochoty na te nudne posiedzenia.

– Więc zapytam jeszcze raz – odpowiada Ruby spokojnie i przygląda mi się z drugiej strony stołu. – Są nam potrzebne kostiumy do zdjęcia na plakat. W Gormsey jest wypożyczalnia strojów, ale na pierwszy rzut oka widać, że to nie oryginały z epoki, tylko tandetne podróbki.

– Gormsey? – pytam zdumiony.

– Mieszkam tam – odpowiada powoli.

– W życiu o tym miejscu nie słyszałem.

Przyłapuję się na tym, że zastanawiam się, w jakim mieszka domu. Jak wyglądają jej rodzice. Czy ma rodzeństwo. Nad rzeczami, które w ogóle nie powinny mnie interesować.

– Na ostatnim zebraniu ustaliliśmy, że chcemy, żeby zdjęcie było jak

najbardziej autentyczne. Nie tak łatwo jest znaleźć dobre stroje. Jednak firma Beaufort istnieje już od ponad stu pięćdziesięciu lat, prawda? – Ruby zadaje sobie trud, żeby rozmawiać ze mną uprzejmie, co jednak nie zmienia faktu, że odczuwam aż za dobrze znany chłód w żyłach. Wiem, co zaraz padnie. – Jak myślisz, mógłbyś poprosić rodziców, żeby wypożyczyli nam kilka sztuk odzieży z epoki?

Oddałbym wiele, żeby po prostu dalej bazgrać w notesie. Albo być gdzie indziej, na przykład na boisku do lacrosse. Tam nikt niczego ode mnie nie chce. Tam mogę po prostu biegać, atakować, przeprowadzać akcje, strzelać gole i być wolny. Na boisku mogę zapomnieć. Tutaj przypominają mi, kim jestem, jak będzie wyglądała moja przyszłość.

Odchrząkam.

– Niestety nie.

Sądząc po minie Ruby, spodziewała się takiej odpowiedzi.

– W porządku. Mogę zapytać dlaczego?

– Nie możesz.

– Czyli, ujmując to inaczej, po prostu nie chcesz nam pomóc – mówi z wymuszonym spokojem.

– Nie chcę, nie mogę, to i tak nie ma znaczenia. Moja odpowiedź pozostaje taka sama.

Jej nozdrza rozduymają się lekko, gdy usiłuje nad sobą zapanować. Nie do końca jej się to udaje i ten widok trochę poprawia mi humor. Staram się nie zwracać uwagi na fakt, że jest naprawdę ładna. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej twarzy: zadarty nos nie pasuje do dumnie wykrojonych ust, kocie oczy do piegów na nosie, a równiutka grzywka do twarzy w kształcie serca. Ale jakimś dziwnym sposobem to wszystko tworzy idealną całość.

Która podoba mi się tym bardziej, im częściej ją widzę.

Nie pojmuję, dlaczego wczoraj straciłem panowanie nad sobą. Nie po raz pierwszy ktoś mi zarzucił, że jestem bogatym, rozpuszczonym gnojem. Nie po raz pierwszy zarzuciła mi to sama Ruby. Nie wiem, dlaczego jej słowa sprawiły mi taki ból, ale coś się ze mną stało, i wcale mi się to nie podobało. Nie znam siebie od takiej strony, ani ja, ani moi przyjaciele. Żaden z nich nie zagadnął o wczorajsze zajście, chociaż liczyłem, że będę miał okazję obrócić je w żart, żeby napięcie po tamtej sytuacji opadło. Jednak ich milczenie i wymowne spojrzenia przydają słowom Ruby więcej znaczenia i wagi.

W głębi duszy wdycham. Chciałem się rozkoszować ostatnim rokiem

w szkole, do jasnej cholery, nie zawracać sobie głowy nikim i niczym, chciałem się po prostu dobrze bawić. Tymczasem nie mogę grać w lacrosse, muszę siedzieć na tym cholernym zebraniu, w dusznym pomieszczeniu, i wysłuchiwać z ust Ruby, że...

Pstryka mi palcami przed nosem.

– Przepraszam. – Przecieram twarz dłońmi. – Co jest?

– Jezu, słuchajcie, naprawdę dajmy sobie z nim spokój – rzuca zdenerwowany Kieran.

– Bardzo chętnie dałbym sobie z wami spokój, niestety do końca semestru muszę was znosić – odpowiadam i mierzę go lodowatym spojrzeniem.

– James! – krzyczy oburzona Ruby.

– No co? Przecież mówię prawdę.

– Czasami wypada przemilczeć prawdę.

Mam na końcu języka ripostę „I kto to mówi”, ale ją przełykam. W pewnym sensie podoba mi się, gdy tak do mnie mówi. Co zapewne wynika z tego, że już od dwóch tygodni nie balowałem z chłopakami i zgromadziłem w sobie za dużo energii. Muszę koniecznie zająć czymś myśli. Tak dyskretnie jak to tylko możliwe wyjmuję komórkę z kieszeni spodni i wysyłam wiadomość do naszej grupy. *Impreza dzisiaj, u mnie.*

– Weźmy te kostiumy z wypożyczalni – decyduje Lin. – Obrobimy je Photoshopem i będą wyglądały jak z epoki.

Kieran prycha pogardliwie.

– Bez sensu. W naszym Komitecie jest przecież James Beaufort.

– Skoro James nie chce nam pomóc, będę musiała sama zwrócić się z tą prośbą do firmy jego rodziców – mówi Ruby.

– Nie zrobisz tego – rzucam odruchowo, ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz telefonu. Alistair pisze właśnie, jak beznadziejni są nowi i że trenerowi lada chwila puszcza nerwy.

– Nie możesz mi tego zabronić.

Pod żadnym pozorem nie chcę dopuścić do jej rozmowy z moimi rodzicami.

Wolałbym, żeby nikt z nimi nie rozmawiał. To niestety niemożliwe, jeżeli weźmie się pod uwagę, że swoimi datkami w dużym stopniu utrzymują szkołę i zjawiają się na każdej szkolnej imprezie. Ale na samą myśl o Ruby w pobliżu mojego ojca żołądek podchodzi mi do gardła.

– Naprawdę chcesz, żebym powiedziała dyrektorowi, jak mało się

angażujesz?

Powoli podnoszę wzrok na Ruby i patrzę na nią. Nie do wiary, przed sekundą usiłowała mnie zaszantażować. Gdybym nie był tak wściekły, musiałbym przyznać, że mi zaimponowała.

– Rób, co chcesz – odpowiadam burkliwie.

Przez kolejną godzinę ignoruję ją. Nikt więcej nie zawraca mi głowy. Wściekle kreślę wzory w notesie, koła i kanty, z których powstają potwory o ostrych zębach, z kijami do lacrosse w szponach. Kiedy Ruby zamyka posiedzenie, podrywam się tak szybko, że siedząca obok mnie Camille wzdryga się niespokojnie. Już jestem przy drzwiach, gdy nagle Ruby zastawia mi drogę.

– Możesz chwilę poczekać?

– Spiesz mi się – cedzę przez zęby. Usiłuję ją obejść, ale przesuwa się równocześnie ze mną.

– Bardzo proszę.

Nie jest już zdenerwowana, jak jeszcze kilka minut temu. Teraz wydaje się zmęczona, jakby tak samo jak ja chciała za wszelką cenę uciec z tego pomieszczenia.

Może właśnie dlatego kiwam głową i usuwam się na bok. A może kieruje mną myśl o dyrektorze Lexingtonie i to, że zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, byle jak najkrócej brać udział w posiedzeniach komitetu.

Kieran wychodzi jako ostatni. Jeszcze w drzwiach posyła mi dziwne spojrzenie. Gdybym miał strzelać, powiedziałbym, że jest o mnie zazdrosny. Ciekawe.

Ruby delikatnie chrząka. Opiera się o framugę, krzyżuje ręce na piersi.

– Jeżeli jesteś wściekły na mnie, nie wyżywaj się na zespole. To nie ich wina. Postępujesz nie fair, utrudniając nam pracę tylko z tego powodu.

Na wspomnienie wczorajszego dnia robi mi się niedobrze. Pamiętam każde słowo, które rzuciła pod moim adresem. Ale za żadne skarby świata nie pozwolę, by zobaczyła, jak bardzo mnie zaboląły. I dlatego zimno patrzę jej w oczy.

– Nie jestem na ciebie zły.

– Ale też nie wydajesz się w najlepszym nastroju.

Przyglądam jej się spod uniesionych brwi.

– Ruby Bell, to była szkolna debata w grupie naukowej. Debata, która w pewnym momencie stała się nieznośnie głupia. Czego ty ode mnie chcesz?

– Chciałam cię tylko przeprosić. Zachowałam się nie w porządku, użyłam argumentów osobistych i bardzo tego żałuję.

No dobra, tego się nie spodziewałam. Chwilę trwa, zanim udaje mi się znaleźć odpowiednie słowa.

– Masz o sobie wysokie mniemanie, jeżeli ci się wydaje, że ciągle zawracam sobie tym głowę.

Mruga szybko, wyraźnie zirytowana kąśliwą ripostą.

– Wiesz co? Zapomnij o tym.

– Nie musisz mnie przeproszać tylko dlatego, że czegoś ode mnie chcesz.

– James, nie przepraszam cię, bo czegoś od ciebie chcę, tylko dlatego, że jest mi autentycznie przykro. Wczoraj zachowałam się... nie w porządku.

Przez dłuższą chwilę przyglądamy się sobie w milczeniu. Cały czas szukam w jej wzroku ukrytych intencji. I niczego nie znajduję. Jest szczerą, mówi z serca. Chyba naprawdę tak uważa. Szybko rozważam swoje opcje. Mógłbym nadal ją lekceważyć i udawać, że mam w nosie, co wczoraj powiedziała. Ale wtedy ryzykuję, że naprawdę doniesie na mnie dyrektorowi Lexingtonowi i tym samym przedłuży moje zesłanie w tym nieszczęsnym Komitecie. A poza tym dochodzę do wniosku, że tak naprawdę wcale tego nie chcę. Kłótnia z Ruby Bell to nie lada wysiłek. Moje życie będzie o wiele łatwiejsze, jeżeli wyjdę jej naprzeciw.

– W porządku – mówię tylko.

I nagle atmosfera między nami nie jest już tak napięta, jak jeszcze kilka minut temu. Mam wrażenie, że znowu mogę oddychać pełną piersią. Ruby też się rozluźnia.

– Dobrze – odpowiada. Przez chwilę wydaje się niepewna, jakby nie wiedziała, co dalej. A potem kiwa głową i wraca do biurka. Sięga po kalendarz, otwiera go i coś zaznacza.

Zastanawia mnie, czy przeprosiny były jednym z punktów na jej liście rzeczy do zrobienia. Szczerze mówiąc, wcale by mnie to nie zdziwiło.

Właściwie mógłbym już iść. Powiedzieliśmy sobie wszystko. Nie mam pojęcia, dlaczego nie ruszam się z miejsca, tylko obserwuję, jak się pakuje. Wszystko ma swoje miejsce w tym jej paskudnym plecaku. To kojący, niemal hipnotyzujący widok patrzeć, jak po kolei wsuwa do niego segregator, notes, flamastry, butelkę z wodą i wreszcie kalendarz.

– Ile strojów potrzebujesz na ten plakat? – nagle słyszę własny głos.

Ruby zamiera w bezruchu. Powoli odwraca głowę i patrzy na mnie.

– Dwa – odpowiada ostrożnie. – Kobiety i mężczyźni.

Widzę, jak za wszelką cenę stara się powstrzymać nadzieję, i postanawiam dłużej jej nie męczyć.

– Zapytam rodziców – mówię po chwili.

Jej oczy błyszczą. Widać wyraźnie, że sporo ją kosztuje, by powstrzymać promienny uśmiech.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Zadowolona?

Zapina plecak i zarzuca go sobie na ramię. A potem podchodzi do mnie.

– Dziękuję. Naprawdę bardzo nam pomogłeś.

W odpowiedzi wzruszam ramionami. Po raz pierwszy, odkąd uczestniczę w posiedzeniach komitetu organizacyjnego, razem wychodzimy z pomieszczenia.

– Planowanie imprezy idzie nieźle, prawda?

Zaskoczona zerka na mnie z ukosa. Mnie także zdziwiło moje pytanie. Czemu, do licha, po prostu nie ucieknę?

– W sumie tak, choć tak naprawdę porządnie wyśpię się dopiero po przyjęciu.

– Dlaczego aż tak bardzo ci na tym zależy?

Zastanawia się przez chwilę, zanim odpowiada:

– Chcę wszystkim udowodnić, że nadaję się na przewodniczącą komitetu. Że dorosłam do tego zadania. Musiałam ciężko pracować, żeby w ogóle się do niego dostać, a potem walczyć, żeby Elaine nie zgmiotła mnie na dzień dobry. – Zerka na mnie przepaszająco. – Wiem, że się przyjaźnicie, ale naprawdę nie była dobrą szefową. Nie chcę, żeby cała praca i pasja, które włożyłam w ten komitet, które nadal wkładam, poszły na marne.

Mruczę coś niezrozumiale. Posyłam jej pytające spojrzenie.

– Zastanawiam się, czy jest coś, co rozpala we mnie taki ogień.

– Lacrosse? – podsuwa.

Niezobowiązująco wzruszam ramionami.

– Może.

Zbiegamy na parter, do biblioteki, wychodzimy na zewnątrz i nagle po raz pierwszy dociera do mnie, że imprezy, które mnie wydają się bezsensowne i nudne, stanowią ważną część życia innych ludzi.

– Która właściwie jest godzina? – pyta nagle Ruby.

Zerkam na zegarek.

– Dochodzi czwarta.

Przeklina pod nosem i puszcza się biegiem.

– Autobus mi ucieknie!

Zielony plecak podskakuje na jej barkach, ciemne włosy rozsypują się niesfornie, gdy puszcza się biegiem w kierunku przystanku.

Ja tymczasem idę na parking, gdzie szofer czeka na mnie przy naszym rolls-royse. I nagle zapytanie rodziców o stroje nie wydaje mi się aż tak przerażające.

Ruby

Mój telefon wibruje, gdy razem z rodzicami i Ember oglądamy w telewizji talent show. Wyjmuję go z kieszeni. Klawisz odblokowania nie działa najlepiej i codziennie wydaje mi się, że muszę wciskać go mocniej. Kiedy wreszcie udaje mi się odblokować wyświetlacz, zamieram w bezruchu.

Wiadomość z nieznanego numeru.

Kostiumy na plakat zaklepane. Możemy je odebrać jutro w Londynie. J.

– Nie do wiary, że ta mała ma tylko osiem lat – zachwyca się mama u mojego boku.

– Dlaczego żadna z was nie potrafi śpiewać? – narzeka tata. – Od razu wysłałbym was do takiego programu.

– Nasze talenty kryją się gdzie indziej, tato – odpowiada Ember.

– Tak? A co ty niby takiego potrafisz? – Słyszę głuchy odgłos i podnoszę wzrok. Ember rzuciła w tatę poduszką z kanapy. Śmieje się na cały głos.

– Proszę cię! Przecież mój blog ma ponad pięciuset czytelników. Umiem szyć i udowadniam ludziom, że nawet z taką figurą jak moja można nosić wszystko, na co ma się ochotę. A to coś znaczy, może nie?

– Przekroczyłaś pięćsetkę? – pytam zaskoczona.

Rzadko ze sobą rozmawiamy. Ember cały czas jest na mnie wściekła, że nie chcę jej zabrać na kolejną imprezę w Maxton Hall, i dlatego umknęła mi wiadomość, że przekroczyła tę znaczącą liczbę czytelników.

– Super. Moje gratulacje – wyrzucam z siebie. Sama nie wiem, czemu moje słowa brzmią tak fałszywie, bo przecież wypowiadam je ze szczerego

serca. Ember już od ponad roku pracuje nad Bellbird, swoim blogiem. Włożyła w niego tyle serca i pracy, że zasłużyła na sukces.

– Dzięki. – Wbija wzrok w pilot i na oślep wciska guziki.

– Chcecie powiedzieć, że Ember, uzbrojona w maszynę do szycia, może się zgłosić do kolejnej edycji talent show? – rzuca ojciec. – Albo może wygłosić wykład. Byłoby super, gdybyś uświadomiła ludziom to wszystko co nam, z tym twoim porównaniem do Voldemorta i tak dalej, żeby wszyscy to zrozumieli.

Ember parska śmiechem.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, tato. To jest program muzyczny.

– No tak, masz rację. Ale co powiesz na „Mam Talent”? To też jest talent show i to, co robisz, pasuje tam doskonale. W najgorszym wypadku zaprosimy twoich pięciuset czytelników i posadzimy na widowni. I wszyscy razem będziemy cię dopingować.

– Oczywiście! – włączam się. – Idź na casting ze swoimi projektami. A ja przygotuję kolorowe transparenty i rozdám twoim wielbicielom.

Ember krzywi się, ja pokazuję jej język. W jej oczach pojawiają się iskierki, a potem nieśmiały uśmiech. W tej chwili czuję, że znowu wszystko jest w porządku. Pogodziłyśmy się bez słów, jak zawsze. Czuję, jak z moich barków spada kolejny ciężar.

Tata mówi coś jeszcze, ale moją uwagę pochłania kolejna wiadomość, która pojawia się na wyświetlaczu mojego telefonu. Chcę odpowiedzieć, zaczynam coś pisać, ale zaraz to kasuję. Nie mam pojęcia, jak zareagować. Na samą myśl, że pojadę z Jamesem do Londynu i spędzę z nim cały dzień, poza granicami, które na co dzień narzuca nam Maxton Hall, czuję się dziwnie, ale też... jestem podekscytowana, jeżeli się dłużej nad tym zastanowić. Znowu pochylam się nad telefonem.

Nagle na mojej twarzy ląduje poduszka.

– Ej! – krzyczę.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy – zauważa ojciec ze śmiertelną powagą. – Co ty na to, Ruby? Ty też się zgłoś.

– Nie, tato. Nie umiem śpiewać i nie, nie zgłoszę się do talent show, żebyście mogli się ze mnie nabijać.

– Phi – parska i przygląda mi się z namysłem, podczas gdy mama cały czas zachwyca się małą zawodniczką.

– Takie drobne ciałko, a taki potężny głos!

– Są też inne sposoby, by wygrać talent show. Jeżeli z szycia nic nie będzie, możecie się nauczyć żonglować.

– Skoro za wszelką cenę chcesz się dostać do telewizji, może zgłoś się sam – zauważam sucho.

– Wiesz co? Może właśnie to zrobię – odpowiada tata zabawnie gniewnym głosem.

– A niby z czym chcesz wystąpić? – pyta mama, nieobecna duchem. Nie odrywa wzroku od telewizora.

– Może na przykład...

Danny Jones, jeden z jurorów, przyciska guzik i jego fotel się odwraca. Mama krzyczy triumfalnie, a i tata radośnie podnosi ręce. Ember i ja patrzymy na nich i jednocześnie parskamy śmiechem.

– Mamy na jutro jakieś plany? – pytam, gdy mała zeszła ze sceny i wszyscy nieco się uspokoili.

Tata kręci głową.

– Nie, dlaczego?

– Szykujemy bal z okazji Halloween i musimy wypożyczyć kostiumy. Kolega je załatwił i pyta, czy możemy jutro pojechać po nie do Londynu.

– To dwie godziny w jedną stronę. Ten kolega będzie prowadził czy pojedziecie pociągiem? – pyta mama.

Gestem daję jej znak, żeby poczekała, i szybko piszę odpowiedź.

Dobra, a jak dostaniemy się do Londynu? – R.B.

Mam nadzieję, że domyśli się, że moje inicjały to żart.

Mój szofer przyjedzie po ciebie o dziesiątej, w porządku? – J.M.B.

Parsskam śmiechem i natychmiast czuję na sobie pytające spojrzenie Ember.

Przez chwilę mam ochotę wyszukać w internecie, co oznacza litera M w jego inicjałach, ale powstrzymuję się. To byłoby przekroczenie kolejnej granicy. Nie chcę wiedzieć, co o nim piszą w sieci. Wystarczy, że po szkole krążą setki plotek. Do końca życia mam aż nadto informacji o prywatnym życiu Jamesa Beauforta.

– Kolega najwyraźniej ma szofera – odpowiadam po dłuższej chwili.

– Szofera? – powtarza Ember sceptycznie. – Więc to jeden z tych snobów.

– Do jego rodziny należy dom towarowy Beaufort.

– I z tym młodym Beaufortem chcesz jechać do Londynu? – upewnia się tata. W jego głosie podejrzliwość miesza się z zaskoczeniem.

Powoli kiwam głową.

– Tak, wypożycza nam ubrania z magazynów.

Tata pytająco unosi brwi.

– I jedziecie tylko... we dwoje?

– Zlituj się, Angus – wtrąca się mama. – Daj jej spokój.

– No co? Chcę wiedzieć, jeżeli wybiera się na randkę.

Czuję, że się czerwienię.

– To nie jest randka, tato. To sprawy szkolne.

Mruczy coś tylko pod nosem. Ember natomiast wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– To niewiarygodne. – Sadowi się wygodnie na kanapie i krzyżuje ręce na piersi. – To... O Jezu. Nie masz pojęcia, co to za okazja, Ruby.

– Porobię zdjęcia – zapewniam pojednawczo, ale Ember przenosi wzrok na telewizor. – Czyli mogę jechać? – zwracam się do mamy. Wydaje się jedyną rozsądną osobą w tym domu.

– Ależ oczywiście – odpowiada natychmiast i gasi ojca wzrokiem, gdy ten po raz kolejny otwiera usta. – Jesteś już na tyle dorosła, że możesz sama zdecydować, z kim i dokąd się wybierasz.

Nie wiadomo dlaczego po jej słowach czerwienię się jeszcze bardziej. Staram się o tym nie myśleć, gdy szybko piszę odpowiedź:

W porządku. A tak na marginesie, zamiast szampana wolałabym lody Ben and Jerry – R.J.B.

PS Jeżeli wymyślisz jeszcze jeden inicjał, oszaleję.

Waham się, przez chwilę zastanawiam się, czy naprawdę mogę mu wysłać taką wiadomość. Nie należymy z Jamesem do ludzi, którzy żartują w esemesach. A może jednak?

Do jutra, Ruby.

Nie, najwyraźniej nie należymy.

Ruby

Następnego dnia jestem o krok od załamania nerwowego, bo nie mam pojęcia, jak się ubrać na wizytę w domu towarowym Beaufort. Nie mam pojęcia, czy obowiązuje dress code, a jeżeli tak, jak bardzo mam być elegancka. Poza tym zastanawiam się, czy James wystąpi w garniturze. Jeszcze nigdy nie spotkaliśmy się poza szkołą, co oznacza, że widzieliśmy się tylko w szkolnych mundurkach.

W końcu wkładam czarną spódnicę, podkolanówki i pomarańczowy sweterek z białym kołnierzykiem i czarną wstążeczką. Do tego czarne półbuty, które kilka miesięcy temu znalazłam w naszym lokalnym second handzie w Gormsey.

Jeśli chodzi o modę, absolutnie nie jestem tak odważna, jak Ember. Najchętniej kupuję rzeczy, w których czuję się pewnie i co do których wiem, że będę je mogła nosić jeszcze długo. Mimo to lubię się wyszykować i poświęcić odrobinę czasu na to, by wyglądać schludnie; co zapewne wiąże się z moim zamiłowaniem do porządku.

Kiedy wreszcie jestem gotowa, na wszelki wypadek idę jeszcze do siostry. Nie śpi już, siedzi przy małym biurku pod oknem, gdy wsadzam głowę do jej pokoju.

– Co jest? – pyta, nawet się nie odwracając.

– Co powiesz na taki strój?

Odwraca się razem z krzesłem. Otwieram drzwi na oścież, żeby widziała mnie w całej okazałości.

– Bardzo ładnie – orzeka, obejrzawszy mnie od stóp do głów.

– Naprawdę? – upewniam się i obracam wokół własnej osi. Ponownie patrzę na Ember. Podejrzliwie mruży oczy.

– I to niby nie jest randka, co? – Wyczuwam drwinę w jej głosie.

Przewracam oczami.

– Ember, ja go autentycznie nie znoszę.

– Jasne – mruczy z przekąsem i wstaje. Podchodzi do swojej szafy, czy właściwie małej garderoby ukrytej w ścianie, otwiera drzwiczki. Pochyla się, aż niemal całkiem znika w środku, szukając czegoś. Ostrożnie podchodzę do niej i zaglądam jej przez ramię. Pół minuty później wynurza się i wręcza mi bordową torebkę.

– Moja torebka!

– I po co to oburzenie? I tak cały czas chodzisz tylko z tym plecakiem – zauważa pogardliwie. Patrzy na mnie. – Ale dzisiaj bardzo ci pasuje.

– Trzymałaś ją tak długo, że powinnam właściwie zażądać odsetek. – Ścieram ze sztucznej skóry warstewkę kurzu. Torebkę także kupiłam w naszym lokalnym second handzie. Przez całe dwa tygodnie nosiłam ją z dumą, póki nasza sąsiadka, pani Felton, nie zauważyła mnie w piekarni mamy i na cały głos nie oznajmiła, że ta torebka, przed pięćdziesięciu laty, należała do niej. Potem ochoczo pożyczyłam ją Ember i w ogóle nie chciałam jej odzyskać. Teraz, gdy ponownie trzymam ją w dłoni, cieszę się, że ją mam.

– Nie ma mowy o odsetkach za coś, o czym zapomniałaś, że znajduje się w moim posiadaniu – odpowiada Ember.

Kiedy rozlega się dzwonek do drzwi, zastygam w bezruchu. Zerkam na zegarek. Za piętnaście dziesiąta.

– Przyjechał za wcześnie – mruczę i wracam biegiem do siebie, żeby szybko przełożyć z jednej torebki do drugiej portfel i komórkę.

– Ruby! – rozlega się głos mamy.

Schodzę na parter i powtarzam sobie, że nie ma powodu, żeby się denerwować. To jest wyprawa w sprawach szkolnych; z Lin robiłam to już setki razy, z Jamesem nie będzie inaczej.

Nabieram głęboko tchu i pokonuję ostatnie stopnie.

Mama zdążyła już otworzyć drzwi. Wchodzę do przedpokoju i widzę, że rozmawia z nieznanym. Opada mi szczęka.

Po pierwsze, James nie kłamał. Naprawdę ma szofera. I to takiego prawdziwego, w liberii, czapce, ze wszystkimi bajerami. Po drugie: szofer wygląda jak Antonio Banderas. Śniada cera, czekoladowe oczy i pięknie wykrojone, niemal zmysłowe usta. Jest na pewno sporo po czterdziestce, ale nadal jest zabójczo przystojny. Sądząc po rumieńcu na twarzy mamy, myśli dokładnie to samo, co ja.

– Dzień dobry pani – szofer-Zorro patrzy na mnie i w geście powitania uchyla czapki.

– Dzień dobry...

– Percy – podsuwa mi mama i uśmiecha się promiennie.

– ...Percy – kończę z uśmiechem i zdejmuję kurtkę z wieszaka. – Dobrze, mam. Widzimy się później.

– Baw się dobrze. I rób dużo zdjęć. – Mama całuje mnie w policzek. Wychodzę na zewnątrz, do Percy'ego. W następnej chwili, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, nad moją głową rozpościera się wielki czarny parasol.

– Wielkie dzięki – mówię.

– Nie ma za co, panienko. Samochód czeka na ulicy.

Podążam wzrokiem za jego dłonią i mało brakuje, a z wrażenia zamarłabym w pół kroku. Na ulicy przed naszym domem stoi Rolls-royce. Błyszczący, czarny, ogromny, wydaje się kosmitą wśród innych samochodów. Nawet na mnie robi takie wrażenie, a przecież zdążyłam już przywyknąć do widoku limuzyn i ekskluzywnych aut.

Percy otwiera tylne drzwi i trzyma mi parasol nad głową, póki nie wsiądę. Dziękuję mu, co przyjmuje do wiadomości skinieniem głowy, i ostrożnie zamyka za mną drzwiczki.

Niecałe pół minuty później samochód rusza. Nerwowo wygładzam spódniczkę i upewniam się, czy przy wsiadaniu za bardzo się nie przesunęła.

Dopiero wtedy patrzę na Jamesa.

Siedzi koło mnie z nieprzeniknioną miną. Wygląda, jakby sam nie wiedział, co sądzić o tym, że przed sekundą wsiadłam do jego samochodu. Ma na sobie ciemnoszary garnitur z cienkiego płótna, białą koszulę, ciemny jedwabny krawat ze spinką. W dłoni trzyma kieliszek, w którym, mam szczerą nadzieję, znajduje się sok jabłkowy. Zauważam srebrny sygnet na palcu lewej dłoni. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Widnieje na nim herb, zapewne rodzinny.

Im dłużej mu się przyglądam, tym bardziej nieodpowiednio ubrana się czuję w moim zaimprovizowanym stroju vintage. W przeciwieństwie do mnie w Jamesie wszystko zdaje się krzyczyć: pieniądze, od kołnierzyka jego koszuli po czubki lśniących czarnych skórzanych półbutów.

Robię, co w mojej mocy, by mnie to nie onieśmieliło; przecież wiedziałam, na co się decyduję.

Dopiero po dłuższej chwili zauważam, jak bardzo James wydaje się zmęczony. Jego turkusowe oczy są przekrwione, pod nimi dostrzegam głębokie cienie.

– Dzień dobry – mówi ochryple.

Może dopiero się obudził. Albo balował przez całą noc i w ogóle nie spał.

– Dzień dobry – odpowiadam. – Dzięki, że po mnie przyjechałeś.

Nie odpowiada, lustruje mnie wzrokiem tak samo, jak ja jego przed chwilą. Ja tymczasem rozglądam się po limuzynie. Skórzane siedzenia, barenki z kieliszkami i małe drzwiczki, domyślam się, że do lodówki. Od siedzenia kierowcy oddziela nas ciemna szyba.

Kiedy milczenie nieprzyjemnie się przeciąga, kiwam głową w kierunku Percy'ego.

– Twój szofer mógłby zrobić karierę w Hollywood. W życiu nie widziałam równie przystojnego faceta po czterdziestce.

– Pochlebia mi panienka. Mam pięćdziesiąt dwa lata – rozlega się głos Percy'ego z głośnika pod sufitem.

Zaskoczona patrzę na Jamesa. Uśmiecha się od ucha do ucha. Na moje policzki wypełza rumieniec.

– Ruby Bell, kiedy mówisz takie rzeczy, powinnaś na wszelki wypadek wyłączyć system głośnomówiący – informuje James i spogląda w górę. Podążam za jego wzrokiem i dostrzegam małą czerwoną diodę.

– Okej.

– Ja to zrobię, proszę pana – mówi Percy i sekundę później dioda gaśnie.

Ukrywam twarz w dłoniach i energicznie kręcę głową.

– W filmach tylko wysuwa się szyba. Skąd miałam wiedzieć, że jest jeszcze jakiś przycisk?

– Nie przejmuj się. Ode mnie Percy raczej nie słyszy takich komplementów. Na pewno sprawiłaś mu przyjemność.

Wiercę się niespokojnie.

– Chyba muszę wysiąść.

– Na to już za późno. Przez kolejne dwie godziny jesteś ze mną uwięziona.

– Słyszę cichy brzęk. – Proszę, to dla ciebie.

Powoli odrywam ręce od twarzy. James wyciąga w moją stronę mały niebieski kubeczek.

– Nie mów mi, że specjalnie dla mnie masz tu lody – mówię z niedowierzaniem.

– Mieliśmy je w domu – odpowiada krótko. – Bierz, bo inaczej sam zjem.

Bez słowa biorę od niego kubeczek. On tymczasem po raz drugi pochyła się w kierunku lodówki i po chwili trzyma w dłoni drugi kubeczek z logo Ben and Jerry. Zaciekawiona obserwuję, jak zdejmuje wieczko i zrywa folię. To nierzeczywiste, obserwować go z lodami na kolanach, w eleganckim garniturze. Przez chwilę zastanawiam się, czy to dzieje się naprawdę, czy może nadal śpię.

Z mojego kubeczka spływa kropla wody, spada mi na kolana. Rozglądam się w poszukiwaniu serwetek.

– Z przodu po prawej. – James kiwa głową w kierunku barku.

Pochyłam się, biorę jedną z serwetek w kolorze skorupki jajek i rozkładam sobie na kolanach. A potem zrywam wieczko i unoszę do ust łyżeczkę lodów. Z rozkoszą zamykam oczy.

– Mniam. Ciasteczkowe.

– Musiałem strzelać, jeśli chodzi o twój gust – mówi James. – Trafiłem?

– W dziesiątkę – zapewniam, zaraz jednak dodaję: – Ale ten nowy smak solonego karmelu też jest pyszny. Jadłeś już?

Zaprzecza ruchem głowy.

Przez dłuższą chwilę jemy w milczeniu.

– Najlepsze od dawna śniadanie na kaca.

Czyli wczoraj balował.

– Długa noc?

Natychmiast żałuję tego pytania, gdy znacząco uśmiecha się do swoich lodów.

– Można tak powiedzieć.

– A zatem przynajmniej ta część niesławnych opowieści o Jamesie Beauforcie jest prawdziwa.

– Niesławnych opowieści o Jamesie Beauforcie? – powtarza rozbawiony.

Unoszę brew.

– Proszę cię.

– Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi.

– I nie wiesz, że o tobie i twojej paczce krążą najbardziej szalone plotki?

– Na przykład?

– Że na śniadanie jesz kawior, kąpiesz się w szampanie, podczas seksu rozwaliłeś łóżko wodne i... i tak dalej.

Zamiera z łyżeczką w połowie drogi do ust. Mijają kolejne sekundy.

W końcu z rozkoszą zajada lody, udając jednocześnie, że myśli intensywnie. Wydaje się, że dopiero teraz naprawdę się budzi. Z jego oczu znika ponura zasłona.

– A więc rozprawmy się z tymi plotkami – mówi w końcu. – Kawioru najzwyczajniej w świecie nie lubię. Robi mi się niedobrze na samą myśl o jedzeniu rybich jaj. Jeżeli w ogóle jem śniadanie, najczęściej piję koktajl, czasami dochodzą jeszcze jajka albo musli.

– Do koktajlu? – krzywię się z obrzydzeniem.

– Nie do środka. Oprócz koktajlu.

– Ach tak.

Zamyśla się ponownie.

– To z szampanem to też nieprawda. To znaczy, nie do końca. Kiedyś upuściłem do basenu rodziców Wrena butelkę cholernie drogiego szampana i później się w nim wykąpałem. Ale to nie było działanie celowe.

– Rodzice Wrena zapewne za tobą szaleją.

– Żebyś wiedziała. – Uśmiecha się pod nosem i ponownie pochyła nad lodami.

– A to... z łóżkiem wodnym? – pytam po chwili wahania.

James zastyga w bezruchu. Patrzy na mnie z błyskiem w oku.

– Jesteś ciekawa, co?

– Szczerze? Tak – odpowiadam, cały czas utrzymując z nim kontakt wzrokowy. – No bo przecież łóżka wodne są raczej wytrzymałe, prawda? Słyszałam, że są megastabilne.

– To nie było łóżko wodne, tylko zwyczajne.

Z trudem przełykam ślinę. W oczach Jamesa jest coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam. Coś mrocznego, gęstego, co przyprawia mnie o dreszcze.

– Co za nuda – odpowiadam ochryple, ale głos karze mnie za kłamstwo.

Naprawdę nie chcę sobie wyobrazić Jamesa podczas seksu. Naprawdę.

Niestety teraz cały czas myślę o tym, co właściwie robił, że aż zdemolował łóżko. I jak przedtem wyglądał. Widziałam co nieco, kiedy rozbierał się przede mną. Wiem, że jest świetnie zbudowany. A wystarczająco często obserwowałam, jak zwinnie porusza się na boisku. Na pewno w jego łóżku kobiety nie mają na co narzekać.

W tej chwili dziękuję opatrności za lody w dłoniach. Najchętniej ukryłabym w kubeczku także twarz, żeby się uspokoić.

– W plotkach jest zazwyczaj co najwyżej odrobina prawdy, jeśli w ogóle. –

Jego znaczący uśmiech sugeruje, że doskonale wie, o czym myślałam.

Dochodzę do wniosku, że najwyższy czas położyć kres rozmowom o łózkach wodnych.

– W takim razie cieszę się, że o mnie nie krążą żadne.

James wstawia swoje lody do lodówki i odkłada łyżeczkę na bar. Opada na oparcie i przygląda mi się z namysłem.

– Sprawdzalem cię po tej sprawie z Lydią.

– Chyba nie chcę wiedzieć, co ludzie o mnie mówią – zauważam cicho.

– Większość w ogóle cię nie zna. A jeżeli coś mówią... to same dobre rzeczy.

Oddycham z ulgą.

– Naprawdę?

James kiwa głową.

– Między innymi dlatego podchodziłem do ciebie tak nieufnie. Ktoś o tak dobrej opinii musi skrywać mroczny sekret.

Uśmiecham się.

– Ja nie.

– Skądże. – Rozbawiony, pochyla się do przodu. – Dalej, Ruby, opowiedz mi coś, czego nie wie o tobie nikt w całej szkole.

Energicznie kręcę głową. O nie. Nie bawię się w takie rzeczy.

– Najpierw ty. Opowiedz mi coś, czego nikt o tobie nie wie.

Spodziewam się, że zaprotestuje, on jednak traktuje to poważnie i myśli intensywnie.

– Jeżeli nie dostanę się do Oksfordu, ojciec mnie zabije – mówi to spokojnie, jakby już dawno się z tym pogodził, ale jego oczy zdradzają coś zupełnie innego.

– Bo on też tam studiował? – pytam ostrożnie.

– Oboje moi rodzice studiowali na Oksfordzie. Podobnie jak ich rodzice.

Zawsze zazdrościłam Jamesowi i jego przyjacielom, że ze względu na pochodzenie mają większe szanse, by dostać się na takie uniwersytety jak Oksford. Teraz jednak dociera do mnie, że wszystko ma dwie strony. Także taką, która oznacza ogromną presję i pozwala mi lepiej zrozumieć gwałtowną reakcję Jamesa podczas zajęć dodatkowych. Chyba naprawdę zabolaly go moje słowa.

– Ja od dziecka chciałam tam studiować. Odkąd sięgam pamięcią – mówię po chwili. Nagle nabieram przekonania, że mogę mu zdradzić częstkę siebie.

Jakkolwiek by było, on także to zrobił i dzięki temu rozumiem go odrobinę lepiej. Od pierwszego spotkania ciągle się tylko kłócimy. Nie zaszkodzi, jeżeli uda nam się choć odrobinę usunąć z drogi uprzedzenia i stereotypy, które mamy na swój temat. – Rodzice od początku mnie w tym wspierali, chociaż właściwie wiedzieli, że to mało prawdopodobne. Co prawda zawsze miałam dobre stopnie, ale to nie wystarczy, żeby przyjęli cię do Oksfordu. Potem jednak dowiedzieli się o stypendium, które Maxton Hall funduje co roku grupce najzdolniejszych uczniów i zgłosili mnie do programu. Żadne z nas nie spodziewało się, że to wypali, ale jakimś cudem mi się udało. Od tej pory marzenie o Oksfordzie nie jest już tylko mrzonką i przysięgam sobie, że zrobię, co w mojej mocy, żeby się tam dostać. Chcę, żeby rodzice byli ze mnie dumni. Sama chcę być z siebie dumna.

James milczy przez dłuższą chwilę. Nagle w jego turkusowych oczach pojawia się taka intensywność, że przeszywa mnie dreszcz.

– Od jak dawna chodzisz do Maxton Hall?

– Od dwóch lat.

Mruczy coś pod nosem.

– Co tam mruczysz? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Zastanawiam się po prostu, jak to się stało, że do tej pory cię nie zauważyłem.

Serce podchodzi mi do gardła, ale jednocześnie jestem z siebie bardzo dumna – najwyraźniej udało mi się osiągnąć cel podstawowy, czyli być niezauważalną.

– Przemykam się korytarzami jak cień, niemal zlewam się ze ścianami. Mam taki talent.

Kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

– Robisz z siebie szkolnego ducha Maxton Hall. Albo kameleona. Ale nie zmieniaj tematu: teraz twoja kolej.

– Niby z czym? – Patrzę na niego zdumiona.

– Opowiedz mi coś, czego nikt o tobie nie wie.

– Przecież właśnie to zrobiłam.

Kręci głową.

– To się nie liczy. Zareagowałaś tylko na coś, co powiedziałem.

Nabieram głęboko tchu i zaraz ponownie wypuszczam powietrze, myśląc jednocześnie, co mogę mu powiedzieć. Przy czym bynajmniej mi w tym nie

pomaga jego bystre spojrzenie, które czuję na sobie. Wręcz przeciwnie. Zrezygnowana, zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie ma nic takiego.

– Nie wierzę ci. – Ponownie opada na oparcie i splata ręce na piersi. – Proszę cię. Niemożliwe, że się tylko uczysz.

Ależ owszem, możliwe. Na szczęście jednak w tej chwili coś jeszcze przychodzi mi do głowy.

– Czytam mangi.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, jakby się przesłyszał. A potem uśmiecha się.

– No, to już coś. Co prawda nie nazwałbym tego mrocznym sekretem, ale w porządku. Twoja ukochana manga?

Mrugam niespokojnie. Nie spodziewałam się kolejnego pytania.

– *Death Note* – odpowiadam po chwili wahania.

– Poleciałabyś mi ją?

Nie mam pojęcia, jakim cudem z rozmowy o tym, że James rozwała łóżka podczas seksu, doszliśmy do moich ukochanych mang. Naprawdę nie mam pojęcia. Mimo to powoli kiwam głową.

– Moim zdaniem, jeżeli ktoś nie czytał *Death Note*, ma poważną lukę w wykształceniu ogólnym.

Wydaje się zszokowany.

– Do tego nie można dopuścić.

Kąciki moich ust reagują bezwiednie. Uśmiecham się. James Beaufort mnie rozbawił.

Kiedy sobie to uświadamiam, odwracam się szybko i wbijam wzrok w okno, ale jestem przekonana, że to widział. W jego oczach wyraźnie malowało się coś na kształt triumfu.

Ciekawe dlaczego.

Ruby

BEAUFORT

Nazwisko Jamesa widnieje na fasadzie siedziby głównej rodzinnej firmy. Chłopak wysiada z samochodu i energicznym krokiem idzie w kierunku wejścia, ja natomiast zatrzymuję się i wielkimi oczami patrzę na sztyld i ogromny nowoczesny gmach, w którym, jak tłumaczył mi James podczas jazdy, na dolnych piętrach znajduje się największa w Anglii filia domu towarowego Beaufort, natomiast na górze mieszczą się biura i poszczególne działy, takie jak projektowanie, dystrybucja, obsługa klienta i przede wszystkim sama pracownia krawiecka. Wysokie okna przyciągają wzrok na wszystkich sześciu piętrach. Uwagę przykuwają przede wszystkim manekiny w klasycznych strojach, dzięki którym marka zyskała tak wielki rozgłos.

– Idziesz? – woła James od drzwi.

Rozmawialiśmy przez całą drogę. Niewiele, ale też więcej, niż się spodziewałam. Nie znika jednak uczucie, że to wszystko to sen.

Jestem w Londynie. Z Jamesem Beaufortem.

Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Ruby! – woła James i znacząco zerka na zegarek.

Ściąga mnie z powrotem na ziemię. Podbiegam do niego. Przytrzymuje mi drzwi i po chwili wahania wchodzę do środka. Rozglądam się ciekawie.

Ten dom towarowy Beauforta jest o wiele większy niż sklep, w którym przed laty byłam z rodzicami. Wysokie sklepienia, białe ściany i zadbane drewniana posadzka kuszą, żeby wejść dalej. Tego wrażenia nie psują nawet czarne meble. Na tylnej ścianie ciągną się regały, aż pod sufit, a ich półki uginają się pod niezliczonymi koszulami. Wzdłuż regału zainstalowano mosiężny pręt, po jego lewej stronie dostrzegam drabinkę. Niedaleko wejścia stoi duży okrągły stół, pośrodku którego króluje mosiężny jelen, a wokół

niego leżą starannie poskładane spodnie. Nad stołem wisi kandelabr, spowija całe pomieszczenie przyjemnym miękkim światłem. Nawet powietrze jest tu wyjątkowe, świeże, ale nienachalne; zapach to mieszanina naturalnych aromatów materiałów i chyba jakiegoś sztucznego odświeżacza.

James znacząco szturcha mnie w ramię. Podnoszę na niego wzrok. Kiwa głową w kierunku dalszej części sklepu. Ruszam za nim powoli. Po naszej prawej stronie znajduje się kolejny regał, w środku którego, na niezabudowanej części ściany, widnieją zdjęcia mężczyzn w garniturach oświetlone dwiema mosiężnymi lampami. Pod fotografiami stoi ciemnoniebieska kanapa, obsypana poduszkami w kratę. Obok znajdują się obita futrem leżanka i stolik o szklanym blacie, na którym stoją kryształowe kieliszki i karafka z wodą.

Ze wszystkich stron otacza nas szorstki tweed, delikatny jedwab, doskonale wyprawiona skóra, materiały, z którymi pracuje się w domu towarowym Beauforta, zawsze najlepszej jakości. Nie mam nawet cienia wątpliwości, że znajduję się w sklepie, w którym spotyka się arystokratów i polityków, i choć wcale mi się to nie podoba, czuję się nie na miejscu.

Chociaż równie dobrze może to wynikać z faktu, że wokół mnie dostrzegam wyłącznie mężczyzn. Mężczyźni za ladą, mężczyźni przeglądający się w ogromnych lustrach i inni mężczyźni u ich stóp, zdejmujący wymiary. I do tego jeszcze mężczyzna stojący u mojego boku.

Nagle jeden z nich wstaje z podłogi. Mówi coś do klienta, któremu przed sekundą zdejmował miarę, a potem zauważa nas. Na widok Jamesa momentalnie sztywnieje.

– Pan Beaufort! – Błąd jak ściana zerka na zegarek.

– Spokojnie, Tristan, mamy czas – odpowiada James.

Nie poznaję jego tonu. Mówi zupełnie inaczej, władczo, stanowczo. Zerkam na niego z ukosa i dostrzegam, że stoi wyprężony jak struna. Mimo dłoni swobodnie tkwiących w kieszeniach, widać po nim, że w tym sklepie nie jest anonimowym klientem. Zastanawiam się, jak to robi. Jakby każde miejsce, w którym się pojawia, stawało się jego królestwem. Szkoła, boisko do lacrosse, dom towarowy. Ciekawe, czy to samo się dzieje, gdy wchodzi do cukierni. Może powinnam się o tym przekonać.

Tristan przywołuje innego krawca i podaje mu centymetr. Chwilę później podchodzi do nas i ściska dłoń Jamesa.

– Proszę wybaczyć, że nie czekałem na pana przy wejściu.

– Nie ma sprawy – zapewnia James. – Masz dla nas czas czy jesteś bardzo zajęty?

Krawiec patrzy na niego z przerażeniem.

– Oczywiście, że mam dla pana czas.

James zwraca się do mnie.

– Ruby, to jest Tristan McIntyre, główny krojczy w domu mody Beaufort. Tristan, to Ruby Bell, przewodnicząca komitetu organizacyjnego w Maxton Hall.

Przyglądam się Jamesowi spod wysoko uniesionych brwi. Zaskoczyło mnie, że mnie tak przedstawił. Mógł przecież powiedzieć, że chodzimy razem do szkoły. Albo ograniczyć się tylko do mojego imienia.

Tristan poprawia na sobie marynarkę. Rozluźnia się odrobinę, patrząc na mnie. Na jego ustach pojawia się wyćwiczony uśmiech.

– Pan Beaufort rzadko przyprawia szkolnych przyjaciół, więc tym bardziej cieszę się, że mogę panią poznać, panno Bell.

Odwzajemniam jego uśmiech i podaję mu rękę. Ujmuje ją, ale zamiast, jak się spodziewałam, zwyczajnie ją uścisnąć, odwraca ją odrobinę, unosi do ust i całuje grzbiet mojej dłoni. Nagle mam ochotę dygnąć. Na szczęście powstrzymuję się w ostatniej chwili i mówię tylko:

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie McIntyre.

– Tristan, proszę.

– Pod warunkiem, że pan będzie zwracał się do mnie Ruby.

Uśmiecha się szerzej i znacząco zerka na Jamesa.

– Sprowadziliśmy kilka kostiumów z magazynów. Czekają na górze, w pracowni. Proszę za mną.

Odwraca się na pięcie i wędruje przez sklep, do drewnianych drzwi. Po chwili znajdujemy się na klatce schodowej.

– Mam nadzieję, że spodobają się państwu wybrane przez nas stroje – mówi Tristan, gdy idziemy na górę. – Panie Beaufort, pański praprapradziadek zaprojektował je osobiście.

Zaskoczona zerkam na Jamesa, jednak jego twarz nie wyraża żadnych uczuć, gdy odpowiada:

– Jestem przekonany, że będą odpowiednie.

– Ten sam praprapradziadek, który założył dom towarowy Beaufort? – pytam zaintrygowana.

Tristan potwierdza ruchem głowy.

– We własnej osobie. Założył go ze swoją żoną w 1857 roku. Wiedziała pani, że początkowo Beaufort oferował zarówno modę męską, jak i damską? Dopiero na początku dwudziestego wieku zdecydowano się ograniczyć asortyment do konfekcji męskiej.

Owszem, wiedziałam, odkąd Lin wpadła na pomysł, by poprosić Jamesa o kostiumy. Powiedziałam wtedy, że to i tak nic nie da, bo nadal brakuje nam stroju dla kobiety, wobec czego opowiedziała mi o początkach domu towarowego Beauforta i pokazała zdjęcia eleganckich kreacji, które wówczas sprzedawano w tych wnętrzach.

– Tak – odpowiadam, odrobinę za późno. – Ale nie wiem dlaczego.

– Byliśmy w kiepskiej kondycji finansowej – tłumaczy James. – Prapradziadek podejmował niewłaściwe decyzje, firma stała na granicy bankructwa. Jedynym wyjściem była wąska specjalizacja.

– Dzięki temu Beaufort stało się tą marką, którą znamy dzisiaj – dodaje Tristan z taką dumą, jakby był przy tym obecny. – Nikt nie szyje takich garniturów jak my. Można u nas dostać wszystko, o czym się zamarzy, od garniturów na co dzień po modę wieczorową. Nie ma porównania z ofertą produkcji masowej, że już nie wspomnę o tym, że każdy garnitur personalizujemy inicjałami klienta. Może pan pokazać, panie Beaufort?

Zatrzymuję się i odwracam do Jamesa, który jest stopień za mną. Teraz nasze spojrzenia są na tej samej wysokości. Przez sekundę za długo wpatruję się w jego oczy, których wyrazu znowu nie potrafię zinterpretować, a potem opuszczam wzrok na kieszonkę na jego piersi i dostrzegam wyszyte inicjały J.M.B.

– Od wczoraj nie daje mi spokoju, co oznacza M – wyznaję.

Ponownie podnoszę wzrok i nagle widzę go z tak bliska, że dostrzegam w jego twarzy szczegóły, na które wcześniej nie zwracałam uwagi. Na przykład to, że ma niewiarygodnie ciemne rzęsy, zważywszy na jego karnację. Albo że jego policzki pokrywają ledwie widoczne piegi.

– Mortimer – mówi cicho.

– Po ojcu?

Kiwa głową i przesuwając wzrok na Tristana. Jednoznaczny sygnał, że nie chce dalej rozmawiać na ten temat.

Wchodzimy coraz wyżej, a Tristan opowiada mi o wyjątkowych materiałach, które wykorzystują krawcy Beauforta, o liczbie guzików na mankiety, z których mogą wybierać.

Do tej pory garnitur był dla mnie... tylko garniturem. Nigdy nie dostrzegałam specjalnych różnic, że już nie wspomnę, że nawet się nie zastanawiałam, ile trzeba podjąć decyzji, zanim uszyje się coś takiego. Ani na ile sposobów można to zrobić.

– Mierzmy wszystko, niczego nie zostawiamy przypadkowi – ciągnie Tristan, gdy wchodzimy do jasno oświetlonego korytarza. – To święta zasada domu towarowego Beaufort. Pracujemy starannie i oferujemy najwyższą jakość. I dlatego ubieramy nawet członków rodziny królewskiej. – Zatrzymuje się przy fotografii wiszącej na ścianie. Podchodzę bliżej i opada mi szczęka. Na fotografii widnieje następca tronu.

– Nie powiecie chyba, że jego też ubieracie – szepczę z niedowierzaniem. James milczy, natomiast Tristan uśmiecha się do mnie.

– Nie tylko jego.

Wędrujemy dalej korytarzem, którego ściany zdobią fotografie prominentów, polityków, arystokratów, a wszyscy bez wyjątku mają na sobie garnitury Beauforta. Dostrzegam Pierce'a Brosnana, Beatlesów i całe mnóstwo mężczyzn, których twarze mi niczego nie mówią, natomiast postawa na zdjęciach daje jasno do zrozumienia, że mają ogromną władzę i pieniądze.

– Poznałeś ich wszystkich osobiście? – zwracam się do Jamesa.

Wzrusza ramionami.

– Część z nich.

– Fantastycznie – mamroczę i prawie mi szkoda, gdy Tristan na końcu korytarza otwiera drzwi i wreszcie wprowadza nas do pracowni krawieckiej.

Rozglądam się ciekawie. Jest to przestronne pomieszczenie, przypomina właściwie wielką halę. Choć to sobota, co najmniej pięćdziesięciu krawców uwija się między manekinami i stołami, na których piętrzą się bele materiałów.

– Proszę dalej, kostiumy znajdują się na zapleczu. – Tristan rusza przodem, prowadzi nas w głąb sali. Kiedy przechodzimy, krawcy witają się z Jamesem uprzejmie, ale sztywno. Odwracam się przez ramię i widzę, jak szepczą coś ukradkiem. Przyglądam się Jamesowi spod zmarszczonych brwi. Na jego twarzy maluje się maska nonszalancji i arogancji, ta sama, którą tak dobrze znam ze szkoły. Intryguje mnie, o czym w tej chwili myśli. Chyba nie podoba mu się, że ci wszyscy ludzie wydają się go bać.

Chciałabym poznać go lepiej, stwierdzam nagle. Poznać lepiej Jamesa

Beauforta i wszystko, co dzieje się w tej rodzinie.

Głos Tristana wyrywa mnie z zadumy. Mężczyzna zatrzymuje się gwałtownie.

– *Voilà* – oznajmia i dramatycznym ruchem pokazuje manekin krawiecki, aż...

Aż zapiera mi dech w piersiach.

Na manekinie widnieje suknia z epoki wiktoriańskiej. Uszyta z zielonego jedwabiu, składa się z dwóch części, ma krótkie rękawki wykończone czarną koronką. Góra jest obcisła, skromny dekolt w kształcie serca zdobią czarne kamienie. Obfita spódnica dzięki krynolinie wydaje się jeszcze obszerniejsza i większa. Fałdowany zielony materiał z koronkowymi wstawkami spływa do samej posadzki. To z całą pewnością najpiękniejsza kreacja, jaką w życiu widziałam.

Nie wyobrażam sobie, że zabieram ją do domu czy do szkoły. Nie śmiem nawet jej dotknąć z obawy, że ją pobrudzę.

Tuż obok stoi drugi manekin, w męskim stroju, na który składają się frak, kamizelka, koszula i spodnie. Frak jest lekko wcięty w talii, wygląda, jakby uszyto go z miękkiej wełny. Czarna kamizelka przyciąga wzrok mnóstwem kieszonek i zakończeniem w szpic. Pod małym kołnierzykiem białej koszuli dostrzegam czarny krawat, szerszy i innego kształtu niż te, które nosi się dzisiaj.

– W tamtych czasach dżentelmen nie robił niczego połowicznie. Wszystkie szczegóły musiały być idealnie dopracowane – tłumaczy Tristan i powoli zdejmuje strój z manekina. Następnie patrzy na Jamesa i zaprasza go za parawan. – Panie Beaufort, upewnijmy się, czy wszystko pasuje.

James nie patrzy na mnie, znika za parawanem. Sprawia wrażenie, jakby funkcjonował na autopilocie i nie do końca był obecny. Odkąd wysiedliśmy z rolls-royce'a, nie widziałam na jego twarzy nawet cienia emocji. Jakby zależało mu, by nikomu nie zdradzać swoich myśli czy uczuć.

Przy akompaniamencie cichych szeptów Tristana i szelestu materiału odważam się w końcu podejść do sukni. Zastanawiam się, jaka kobieta nosiła ją dawniej, jak ułożyło się jej życie. Czy miała jakieś marzenia i czy udało jej się je spełnić?

Mniej więcej pięć minut później Tristan wychodzi zza parawanu.

– Leży jak ułamek – oznajmia triumfalnie.

– Bo znasz moje wymiary – zauważa sucho James. – Na pewno coś przy

tym majstrowałeś.

Po chwili i on wychodzi z za parawanu.

Zasycha mi w ustach z wrażenia.

Wygląda, jakby przybył z dziewiętnastego wieku. Strój leży na nim doskonale, Tristan zadbał nawet o fryzurę, przeczesał mu włosy na bok i wsunął laseczkę w dłoń. Wędruję wzrokiem po jego ciele, od góry do dołu. Wygląda po prostu fantastycznie.

Dopiero kiedy wracam wzrokiem do jego twarzy, dociera do mnie, że chyba gapię się jak ciele na malowane wrota, a sądząc po jego bezczelnym uśmiechu, wie doskonale, co mi chodzi po głowie. Rumieniec wypełza mi na policzki.

– Pani kolej, Ruby – odzywa się nagle Tristan.

– Słucham? – Patrzę na niego zdumiona. – Jak to?

– No, suknia czeka. – Wskazuje kreację. Patrzę najpierw na niego, potem na Jamesa. Ten usiłuje, nie całkiem skutecznie, stłumić uśmiech. Dopiero wtedy dociera do mnie, o co im chodzi.

– Nie ma mowy! – mówię z paniką w głosie. Miałam załatwić kostiumy, o wkładaniu ich nikt nie wspominał.

– Myślałaś, że ja jeden wybiorę się w podróż w czasie? O nie. – James wyciąga rękę z laseczką i odrobinę za mocno uderza mnie w łydkę. – Ty też masz się przebrać.

– Prawdziwy dżentelmen nie podnosi ręki na damę, panie Beaufort – zauważa Tristan.

James parska śmiechem.

– Tristan, Ruby nie jest damą, jest tyranem.

– Sam jeszcze nie wiesz, o czym mówisz, ale chętnie dam ci się o tym przekonać. – Łypię na Tristana spod zmrużonych powiek. – Nie ma pan przypadkiem jeszcze jednej laski, Tristanie?

– Niestety, nie. Ale laska nie będzie pani potrzebna, kiedy włoży pani tę wspaniałą suknię. Zapraszam. – Patrzy na mnie tak błagalnym wzrokiem, że nie mam serca opierać się dłużej. Idę za parawan, a Tristan znika i po chwili wraca z kobietą, którą przedstawia jako swoją asystentkę i która pomaga mi włożyć skomplikowaną dwuczęściową kreację. Okazuje się, że sama w życiu nie dałabym sobie rady. Pozapinanie niezliczonych malutkich guziczków to nie lada sztuka, że już nie wspomnę o fakcie, że zarówno góra, jak i obfita spódnica przypominają rusztowania wzmacniane metalowymi prętami.

Muszę się nieźle nagimnastykować, by jedno przeciągnąć przez głowę, a drugie przez biodra. Kiedy jestem gotowa, okazuje się, że krynolina jest tak ogromna, że z trudem mieszczę się na wąskiej przestrzeni między ścianą a parawanem.

– Gotowe, szefie – mówi asystentka Tristana i ten ponownie zjawia się za parawanem. Na mój widok spleta ręce. Rozpromienia się.

– Cudownie! Jeszcze tylko ostatnie szlify... – Nie wiadomo skąd wyczarowuje spinkę do włosów i staje za mną. Ujmuje górną część mojej fryzury, takie przynajmniej mam wrażenie, unosi lekko włosy i spina je. Potem ponownie staje przede mną, wyciąga parę kosmyków, aż na jego twarzy pojawia się wyraz błogości. Dopiero wtedy mogę spojrzeć w lustro, które wisi na przeciwległej ścianie.

Zapiera mi dech.

Nie miałam pojęcia, że mogę tak wyglądać. Po pierwsze, suknia podkreśla moje kształty, jakby była uszyta specjalnie dla mnie, a po drugie, mam wrażenie, że czuję w sobie ducha damy, która nosiła ją przed laty. Czuję się piękna i silna. Jakby cały świat leżał mi u stóp i wystarczy, że pstryknę palcami, a dostanę wszystko, czego zapragnę. Powoli odwracam się do Tristana. Uśmiecham się.

– Dziękuję, że zmusił mnie pan, żebym ją włożyła.

Kłania się lekko.

– Panie Beaufort? – zaczyna uroczyście. – Przedstawiam pannę Ruby Bell.

Powoli ruszam. Jeden krok, drugi, mijam parawan, idę dalej... Aż w końcu zatrzymuję się i zbieram na odwagę, by podnieść wzrok.

James, pogrążony w rozmowie z asystentką Tristana, na mój widok urywa w połowie zdania. Jego brwi wędrują aż pod włosy, lekko rozchyła usta. Mierzy mnie wzrokiem, jakby czas stanął w miejscu. Z trudem przełykam ślinę.

James mamrocze coś, czego nie słyszę.

– Słucham?

Chrząka.

– Wyglądasz... bardzo ładnie.

Serce staje mi w piersi. Nie po raz pierwszy słyszę komplement od chłopaka, a jednak wydaje mi się, że jeszcze nigdy tego nie doświadczyłam. Nie sądzę też, by James często mówił coś takiego. Jego słowa wydają się... szczerze. Autentyczne.

– Suknia jest jak na panią uszyta – przyznaje Tristan. Pcha mnie jeszcze krok w kierunku Jamesa i wyjmuję komórkę z kieszeni. – A teraz proszę wyglądać jak para z dziewiętnastego wieku.

U mego boku James prycha pod nosem, ale kiedy odważę się na niego spojrzeć, widzę, że patrzy w obiektyw kamery, jakby całe życie nie robił nic innego. Przypominam sobie zdjęcia, które w zeszłym roku krążyły po Maxton Hall. Razem z Lydią prezentowali nową kolekcję rodziców. James miał taką samą nieprzeniknioną minę, jak teraz. Odwracam głowę do Tristana i usiłuję patrzeć jednocześnie dumnie i poważnie. Nie wiem, czy mi to wychodzi, ale ten pstryka zdjęcie po zdjęciu.

– Proszę zmienić pozę. Niech pan skłoni się odrobinę i wyciągnie do panny Ruby rękę, żeby wyglądało, jakby zapraszał ją pan do tańca – proponuje po kilku minutach.

James, jak profesjonalista, błyskawicznie wypełnia jego polecenia.

Nie wierzę, żeby wielu innych osiemnastolatków wyglądało w takim stroju i w tej pozycji równie elegancko jak on, nieważne, w kostiumie czy bez. On jednak chyba naprawdę traktuje to poważnie. Zaskakuje mnie, gdy nagle bierze mnie za rękę i mierzy wzrokiem. Jego skóra jest ciepła, i choć nasze palce dotykają się zaledwie opuszkami, czuję, jak wzdłuż mojej ręki wędruje dreszcz.

Kiedy tak na mnie patrzy, wszystko sobie wyobrażam. Salon pełen ludzi w strojach z epoki, Nastrojową muzykę graną przez orkiestrę... Jamesa i mnie. Czuję, jak kładzie mi rękę na plecach i prowadzi w tańcu. Na pewno potrafi się ruszać. Wyobrażam sobie doskonale, że na parkiecie z nim mogłabym dać się ponieść.

Z trudem przełykam ślinę. Ta myśl podoba mi się bardziej, niż powinna.

– Teraz może jeszcze zdjęcie naprzeciwko siebie? – sugeruje Tristan i James przesuwa się posłusznie. Jedwabna chusteczka w kieszonce na jego piersi przesunęła się odrobinę, więc poprawiam ją odruchowo.

Dostrzegam błysk w jego oczach i zaraz cofam rękę. Nagle nie mam pojęcia, co z nią zrobić. Bezwładnie zwieszam ją wzdłuż ciała.

Nagle James ujmuje moją dłoń. Drugą obejmuje mnie w talii. Wstrzymuję oddech. Serce bije mi jak szalone, nie wiem dlaczego, ale cudownie się czuję pod jego dotykiem. W tej chwili w ogóle nie pamiętam, dlaczego właściwie go nie lubię.

Co on ze mną wyprawia?

James patrzy mi w oczy z tą samą mieszaniną zdumienia i czujności w spojrzeniu, którą sama odczuwam. Dźwięki wokół nas cichną, im dłużej patrzymy sobie w oczy. Nagle już tylko czuję. Jego palce na mojej talii, poruszające się lekko, jego dłoń zaciskająca się na mojej. Jego wzrok jest jak wyzwanie, które za wszelką cenę chcę podjąć.

– James – rozlega się niski głos za naszymi plecami.

Płomień w jego wzroku gaśnie w ułamku sekundy. Również szybko znika swoboda w postawie.

Sekunda. Tyle trwało, by ponownie stał się tym Jamesem Beaufortem, którego znam. Arogancki uśmieszek i chłód w spojrzeniu sprawiają, że nagle wydaje się groźny.

– Mamo, tato. Nie wiedziałem, że tu dzisiaj będziecie.

O Boże. Zaczynam się odwracać w ogromnej sukni i kiedy w końcu mi się to udaje, serce przestaje mi bić.

Przede mną stoją Mortimer i Cordelia Beaufort. Rodzice Jamesa i Lydii. Właściciele jednej z lepiej prosperujących firm w całej Anglii. Nagle nie czuję się już piękna i silna, jak jeszcze kilka chwil temu, a już na pewno nie w porównaniu z Cordelią Beaufort. Wszystko w niej jest stylowe, eleganckie i wyrafinowane. Ma wąską twarz i te same, aroganckie usta co James, tyle że jej pokryte są ciemnoczerwoną szminką. Jej gładka cera ma kolor porcelany. Kobieta ubrana jest w obcisłą białą suknię, zapewne od znanego projektanta. Lśniące rdzawozłote włosy opadają jej na ramiona, układają się idealnie, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera.

Ojciec Jamesa ma jasne włosy, lodowato niebieskie oczy i opadające w dół kąciki ust. Dumnie wyprostowany, w szytym na miarę garniturze od Beauforta wygląda, jakby wybierał się na ważne spotkanie biznesowe.

Z jego twarzy nie da się niczego wyczytać, gdy mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Teraz już wiem, po kim James odziedziczył nieprzeniknioną minę.

– Jesteśmy tu w związku ze spotkaniem z Chińczykami – tłumaczy matka Jamesa, robi krok do przodu i całuje syna w policzek. Dociera do mnie zapach jej perfum. Pachnie pudrowo i jednocześnie świeżymi różami. – Percival wspominał, że przywiózł cię i... – zerka w moją stronę – twoją koleżankę.

James nie reaguje. Ponieważ nie robi nic, by przedstawić mnie rodzicom, czerwona po uszy robię krok do przodu i wyciągam rękę do jego matki.

– Ruby Bell. Bardzo mi miło panią poznać, pani Beaufort.

Odrobinę za długo przygląda się mojej dłoni, zanim w końcu ją ujmuje.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnia i odsłania w uśmiechu perłowobiałe zęby.

Chcę być jak ona, przebiega mi przez głowę. Chcę jak ona wchodzić do pomieszczenia i sprawiać, że wszyscy wokół widzą we mnie silną, władczą kobietę.

Nie chcę natomiast samą swoją obecnością budzić strachu i przerażenia, choć tak właśnie działa chyba pan Beaufort. Kiwa głową w moim kierunku, gdy i jemu podaję rękę, a potem rozgląda się po pracowni, jakbym przestała go interesować.

– Jak widzę, wypożyczyliście stroje z magazynu – mówi pani Beaufort i przygląda się nam, lekko przechylając głowę. Podchodzi bliżej i poprawia coś w mojej spódnicy. Marszczy czoło. – Ta suknia jest za długa. Proszę ją skrócić, McIntyre.

Tristan, który odkąd zjawili się rodzice Jamesa, nie odezwał się ani słowem, energicznie kiwa głową.

– Oczywiście, szanowna pani.

Teraz matka Jamesa gestem daje mi do zrozumienia, że mam się obrócić. Spełniam jej polecenie z duszą na ramieniu.

– Do czego właściwie wam te stroje?

– Na wiktoriański bal pod koniec października – odpowiada James. Wydaje się wyprany ze wszystkich uczuć, jego monotony ton przypomina głos robota.

– Ma na myśli imprezę, którą musi zorganizować, bo zachował się jak rozpuszczony mały gnojek – dodaje pan Beaufort.

Pani Beaufort mlaska z niesmakiem. Kończę się obracać, co w tej sukni wcale nie było takie proste, i najdyskretniej jak potrafię wodzę wzrokiem między trójką Beaufortów. Po Jamesie nie widać żadnej reakcji na słowa ojca. Jego matka natomiast przez chwilę badawczo przygląda się mężowi. Potem ponownie odwraca się do mnie. Kładzie dłonie na krótkich rękawach sukni, pociąga za nie leciutko, aż w końcu mówi do Tristana:

– Trzeba je odrobinę poszerzyć. W tej chwili ją cisną i w takim stroju panna... – Spogląda na mnie pytająco.

– Ruby – podpowiadam.

– ...Ruby nie może swobodnie oddychać.

Tristan kiwa głową i razem z asystentką zabiera mnie ponownie za parawan. Przez ramię jeszcze raz odwracam się do Jamesa, on jednak nie patrzy na mnie, cały czas koncentruje się na rodzicach. Ojciec mówi coś do niego – ze wzrokiem utkwionym we mnie. Wydaje się zdenerwowany, ale nie rozróżniam słów, które kieruje do Jamesa.

Odwracam się do Tristana.

– Wydają się bardzo... ważni. – W ostatniej chwili udaje mi się zastąpić słowo „przerażający”, które cisnęło mi się na usta, czymś bardziej pozytywnym.

Tristan tymczasem już z przejściem podpina skraj sukni szpilkami z pudełeczka na nadgarstku.

– Święta racja. – Tylko tyle.

Niewiarygodne, jak szybko w przestronnej hali zapanowała cisza, ledwie zjawili się państwo Beaufort. Nikt już nie rozmawia, nawet Tristan tylko się uśmiecha, zanim znika za parawanem i zostawia mnie w rękach asystentki, która pomaga mi zdjąć suknię. Okazuje się, że jest to o wiele łatwiejsze niż założenie jej. Niecałe dziesięć minut później mam na sobie swoje ciuchy i ponownie wychodzę z za parawanu.

Stoję obok Jamesa, który zdążył już zdjąć frak i nonszalancko przerzucił go sobie przez ramię.

Pani Beaufort mierzy mnie wzrokiem, a potem kładzie dłoń na ramieniu syna.

– Widzimy się na dole.

James kiwa głową.

Jego matka patrzy na mnie.

– Bardzo miło było panią poznać, panno Bell.

Ojciec Jamesa nie odzywa się ani słowem. Oboje odwracają się na pięcie i wychodzą ze szwalni. Dopiero kiedy zamykają się za nimi drzwi, oddycham swobodnie.

– Mogłeś mnie uprzedzić – zauważam cicho.

James sztywno odwraca się w moją stronę. Chciałabym coś wyczytać z jego wzroku, ale widzę jedynie turkusowy lód.

– Percy czeka na ciebie na dole.

– Hej, ja jestem gotowa. To ty jeszcze tkwisz w dziewiętnastym wieku. – Uśmiecham się do niego ostrożnie.

– Nasza wycieczka dobiegła końca – odpowiada ze śmiertelnie poważną

miną. Jego głos jest równie zimny jak oczy. Zimny i daleki. – Lepiej będzie, jeśli już sobie pójdziesz.

Marszczę czoło.

– Słucham?

– Musisz już iść, Ruby – mówi powoli, akcentując każdą sylabę, jakbym miała kłopoty ze zrozumieniem. – Zobaczymy się w szkole.

Odwraca się, znika za parawanem, żeby się przebrać. Przez chwilę wbijam wzrok w parawan, póki nie dociera do mnie, co James właśnie zrobił. Jak do mnie mówił.

Ogarnia mnie wściekłość. Ruszam w stronę parawanu, by się z nim rozmówić, ale nie udaje mi się daleko zajść. Tristan chwytą mnie za ramię. W jego oczach widzę smutek, ale także zdecydowanie.

– Zapraszam, Ruby. Odprowadzę panią na dół. – Delikatnie ciągnie mnie za rękę. Wbrew sobie pozwalam się wyprowadzić. Gdy przemierzamy pracownię krawiecką, czuję na sobie współczujące spojrzenia pracowników.

Ruby

Moja maska niewidzialności opadła.

Rozeszła się plotka, że w weekend byłam z Jamesem w Londynie. Podobno są nawet zdjęcia, gdy razem wchodzimy do domu towarowego Beaufort. Nagle wszyscy w Maxton Hall wiedzą, jak się nazywam. Ludzie, z którymi w życiu nie zamieniłam słowa, witają się ze mną na korytarzu, ale większość szepcze coś za moimi plecami. Najgorzej jest podczas lekcji, kiedy w ogóle nie mogę się skupić, bo inni uczniowie bez przerwy się na mnie gapią. Jakby spodziewali się, że lada chwila wstanę i opowiem wszystkim, co właściwie wydarzyło się w miniony weekend między mną a Jamesem Beaufortem.

W rzeczywistości najchętniej wymazałabym tę sobotę z pamięci. Cały czas czuję się upokorzona, a im częściej przypominam sobie beznadziejne zachowanie Jamesa, tym bardziej jestem na niego wściekła.

Kiedy nadchodzi przerwa obiadowa, całkiem poważnie rozważam, czy nie zrezygnować z lunchu, ale jestem zbyt głodna, by naprawdę wchodziło to w grę, poza tym Lin obiecuje, że będzie mnie zasłaniała własną pierśią, a do tego opowie mi najnowsze plotki o swoim ojcu.

– Znowu ma nową dziewczynę – zaczyna w końcu, gdy przez dłuższą chwilę jemy w milczeniu.

Podnoszę głowę znad makaronu udon.

– Ale to chyba nie jest kolejna oszustka matrymonialna, co? – pytam z pełnymi ustami.

– Nie. – Lin krzywi się. – To znaczy, taką przynajmniej mam nadzieję.

– No i? – dopytuję ostrożnie.

Lin wzrusza ramionami. Odsuwa od siebie do połowy zjedzoną kanapkę i wyciera palce w serwetkę.

– Sama nie wiem. Właściwie mógłby na jakiś czas zrobić sobie przerwę, zwłaszcza że z ostatnią kochanką tak strasznie nie wypaliło.

Lin raz w miesiącu spotyka się z ojcem, żeby utrzymać z nim chociaż cień kontaktu. Podziwiam ją, że tak pragmatycznie podchodzi do całej sytuacji. Nie wiem, czy byłabym w stanie spojrzeć ojcu w oczy, gdyby równie źle potraktował mnie i mamę.

– Odnosiła się do ciebie w porządku? – pytam w końcu.

Lin wzrusza ramionami.

– W sumie tak. Może nawet za bardzo w porządku.

– Jak to?

– Sama nie wiem. Po prostu między nami nie zagrało. – Niespokojnie skubie rozek serwetki. – Ale czasami tak bywa. Nie sposób dogadywać się z każdym.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Z niektórymi człowiek odnajduje wspólny język dopiero po dłuższym czasie, ale wtedy działa to zadziwiająco dobrze. – Odruchowo zerkam na Jamesa i jego przyjaciół. Złapali jeden z lepszych stolików przy wysokim oknie i rozmawiają, głęboko poruszeni. James mówi coś i Wren śmieje się tak bardzo, że Keshav musi go ratować klepaniem po plecach, bo ten się aż zakrztusił.

– Przemawia przez ciebie doświadczenie? – Lin znacząco spogląda na Jamesa.

Zaprzeczam ruchem głowy i ponownie wbijam wzrok w makaron.

– Zlituj się. Nie powiesz mi, co między wami zaszło?

– Przecież już ci mówiłam.

Lin unosi brew.

– Powiedziałaś tylko, że pojechaliście po stroje. Ale nie jestem głupia.

Nabieram głęboko tchu.

– Było w porządku. Właściwie nawet lepiej niż w porządku. Póki nagle nie zjawili się jego rodzice.

Lin głośno nabiera powietrza.

– Poznałaś Beaufortów?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Są... przytłaczający. Zwłaszcza jego matka – opowiadam. – Nie było czasu, żeby z nimi dłużej porozmawiać, wpadli tylko na chwilę. I od tego momentu James był taki, jak zawsze.

– Czyli co robił? – pyta Lin i nagle sobie przypomina, że przed nią także stoi taca z jedzeniem. Przygląda mi się w napięciu i wbija zęby w kanapkę.

– Wyrzucił mnie. Wyprowadzono mnie na zewnątrz.

Nieruchomieje z kawałkiem chleba w buzi. Wpatruje się we mnie.

Bezradnie wzruszam ramionami. Nie chcę więcej wracać myślami do koszarnej podróży powrotnej, podczas której musiałam się zmuszać, by głęboko oddychać. Musiałam się uspokoić.

– W życiu nie byłam równie zawstydzona – mamroczę i znowu odważam się zerknąć na Jamesa.

Dokładnie w tej chwili i on patrzy na mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, złość wzbiera we mnie ponownie, podchodzi do gardła i jestem o krok od tego, by wstać i zdzielić go w głowę moją tacą.

Jednak sekundę później on mruga, przerywa więź i ponownie koncentruje się na przyjaciółach.

– Właściwie dlaczego cię wyrzucił? – pyta Lin.

Właśnie nad tym łamałam sobie głowę przez resztę weekendu. I doszłam do jedynego w miarę sensownego wniosku.

– Chyba się mnie wstydzi. Żałuj, że nie widziałas, jak jego ojciec na mnie patrzył. Jakbym była paprochem, który przykleił się do buta. – Przysuwam sobie miseczkę z deserem. Dzisiaj jest to krem czekoladowy z bitą śmietaną, udekorowany truskawką i miętowym wafelkiem. Przynajmniej taka mnie dzisiaj spotka przyjemność.

– Co za bzdura. Nie pozwól nikomu, by cię tak traktował – mówi Lin z takim przejęciem, że podnoszę na nią wzrok.

– Ale taka jest prawda – odpowiadam. – Ty też nie zwróciłabyś na mnie uwagi, gdyby nie ta afera z twoimi rodzicami.

Lin kurczy się, jakbym rzuciła jej w twarz czekoladowy krem. Blednie gwałtownie. W tym momencie dociera do mnie, co powiedziałam. Natychmiast otwieram usta, żeby ją przeprosić, ona jednak wstaje.

– Super, że jesteś o mnie tak dobrego zdania – syczy i sięga po tacę, choć jeszcze nie skończyła jeść.

Odstawia ją przy punkcie zwrotu brudnych naczyń i wychodzi ze stołówki, ani razu się na mnie nie oglądając. Wbijam wzrok w swój deser i czuję, jak przechodzi mi apetyt. Co za fatalny dzień.

Kiedy po południu zmierzam do biblioteki, zdążyłam już niemal przywyknąć do spojrzeń i szeptów innych uczniów. Coraz łatwiej przychodzi

mi nie zwracać na nie uwagi, choć w uszach cały czas mam echo ich głosów. W życiu się nie spodziewałam, że tych kilka godzin w towarzystwie Jamesa do tego stopnia wpłynie na moje życie w Maxton Hall. Gdzie ja miałam głowę? James jest królem tej szkoły, więc to oczywiste, że wszystkich interesuje, z kim spędza wolne chwile. Błędem było już to, że wsiadłam do jego samochodu. Teraz za to płacę, tracąc swoją czapkę niewidkę.

Posiedzenie komitetu organizacyjnego to jedna wielka tortura. Lin na mnie nie patrzy, ja z kolei nie mogę patrzeć na Jamesa. Sporo mnie kosztuje, żeby opowiadać wszystkim o strojach, nie okazując, jak bardzo jestem zraniona i wściekła. Chyba mi się to jednak udaje, bo kiedy kończę, wszyscy ciekawie oglądają zdjęcia. Camille oznajmia, że jej rodzice znają właścicieli dużej fabryki sztućców, którzy zadeklarowali, że wypożyczą nam wszystko, co niezbędne na bal. Jessalyn napisała do wypożyczalni w okolicy i sprawdza ofertę wystroju wnętrza, a Kieran prezentuje nam muzykę, którą zdążył wyszperać.

To wszystko dociera do mnie jak przez mgłę.

Dzielimy się zadaniami przed kolejnym zebraniem i zamykamy spotkanie. Chwytam Lin za rękę. Cały czas unika mojego wzroku, czeka jednak, aż pozostali wyjdą. Zamykam za nimi drzwi i odnajduję wzrok przyjaciółki.

– Nie to miałam na myśli – zaczynam. – Przepraszam za to, co powiedziałam. Ja po prostu... Dawniej obracałaś się w innych kręgach. Zastanawiam się czasami, czy w ogóle byśmy się poznały, gdyby nie doszło do skandalu z twoimi rodzicami.

Lin przygląda mi się przez dłuższą chwilę. W końcu wzdycha i przyznaje cicho:

– Masz rację.

Nie wierzę własnym uszom.

– Tak?

Kiwa twierdząco głową.

– Gdybyś wtedy do mnie nie podeszła, nie zaprzyjaźniłybyśmy się, nie tak jak teraz. – Po raz pierwszy od obiadu patrzy mi w oczy. – Bardzo dziękuję, że się wtedy do mnie odezwałaś.

Mówi ochryple, z trudem przełyka ślinę. Doskonale pamiętam dzień półtora roku temu, gdy weszłam do damskiej łazienki na pierwszym piętrze i usłyszałam, jak ktoś płacze. Nie miałam pojęcia, kto to jest, wiedziałam tylko, że ta osoba bardzo cierpi. Zapytałam więc delikatnie, czy wszystko

w porządku, na co Lin odparła, że mam zostawić ją w spokoju. Nie posłuchałam jej. Zamiast tego usiadłam na podłodze naprzeciwko zamkniętej kabiny, podsuwałam jej chusteczki pod drzwiami i czekałam, aż będzie gotowa, by wyjść. To był początek naszej przyjaźni.

– Ja też się z tego cieszę. I bardzo mi przykro.

– Mnie też. Nie chciałam cię zdenerwować.

– Dzisiaj jest po prostu fatalny dzień – stwierdzam zrezygnowana. Wyjmuję komórkę z plecaka i robię zdjęcie notatek, które podczas posiedzenia robiłam na tablicy. Potem siadam przy komputerze i rozsyłam wszystkim fotografie i protokół, który sporządziła Lin. Ona tymczasem ściera tablicę.

– Beaufort gapił się na ciebie przez całe zebranie – mówi nagle.

Prycham pogardliwie.

– Stałam na środku. Wszyscy się na mnie gapili.

– Nie tak jak on. Zaklinał cię wzrokiem, żebyś na niego spojrzała.

– Co za bzdura.

Lin wzrusza ramionami.

– Jak sobie chcesz. W każdym razie byłaś fantastyczna, wytrwale go ignorując. Zasłużył sobie na to.

Opuszczam klapę laptopa i wsuwam go do plecaka.

– Ja po prostu chcę, żeby wszystko było jak dawniej – tłumaczę. Gasimy światło. – Wszyscy się na mnie gapią, jakbyśmy w sobotę robili nie wiadomo co. A przecież nie mają pojęcia, co wydarzyło się naprawdę. Czyli nic.

W zadumie kiwa głową.

– Rozumiem. Ale wiesz, jak to jest. Wszyscy rzucają się na najmniejszą plotkę jak sępy na padlinę. Zwłaszcza jeśli chodzi o Jamesa Beauforta.

Przyglądam się jej podejrzliwie.

– No tak.

Szturcha mnie łokciem w bok i przytrzymuje drzwi.

– Nie przejmuj się. Kiedy pojawi się następna plotka, wszyscy o tobie zapomną.

Wychodzimy na korytarz. Już mam jej odpowiedzieć, gdy widzę, że ktoś opiera się o ścianę przy framudze.

James.

Przyglądam mu się. Mam na końcu języka pytanie, co tu robi, do licha, ale w ostatniej chwili przypominam sobie, że go przecież ignoruję. Odwracam

więc głowę i idę dalej.

Wtedy odrywa się od ściany i podchodzi do mnie.

– Masz chwilę? – Denerwuje mnie jego łagodny ton. Nie pasuje do tego Jamesa, który niemal dokładnie czterdzieści osiem godzin temu potraktował mnie jak śmiecia.

Musisz już iść, Ruby.

Najchętniej wykrzyczałabym mu w twarz, co o tym sędzę, ale za bardzo sobie cenię kartę biblioteczną i klucz do sali na spotkania komitetu.

– Nie, nie mam – odpowiadam krótko. Dumą napawa mnie fakt, że udaje mi się zapanować nad głosem, a jednocześnie mówić stanowczo. Niech wie, że nie pozwolę się tak traktować.

– Musimy porozmawiać. – James nie daje za wygraną. Zerka na Lin. – Sami.

Kręcę przecząco głową.

– Niczego nie musimy, James.

Lin dotyka mojego barku, daje mi znać, że nie jestem sama.

Nagle czuję już tylko zmęczenie.

– Wiesz co? – Patrzę Jamesowi prosto w oczy. – Może najlepiej byłoby po prostu wrócić do dawnego stanu.

Marszczy czoło.

– Do dawnego stanu?

Muszę odchrząknąć. Nie wiadomo skąd urosła mi gula w gardle i z każdą chwilą staje się coraz większa.

– Do czasów, gdy nie miałeś pojęcia o moim istnieniu. Może będzie lepiej, jeżeli cofniemy się do tamtej epoki. Mnie w każdym razie było wtedy o wiele lepiej.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zaraz jednak zamyka je z powrotem. Zmarszczki na jego czole pogłębiają się. W końcu powoli kiwa głową.

– Rozumiem.

Super. Rozumie, na czym polega mój problem. A więc w przyszłości nie będę musiała zawracać sobie nim głowy.

Mimo to boli, gdy odwracam się na pięcie i razem z Lin zmierzam w kierunku wyjścia.

Ruby

– Co jest? – pyta Ember, a ja wzdrygam się odruchowo. Do tego stopnia pogrążyłam się w myślach, że nawet nie zauważyłam, kiedy cichutko weszła do kuchni i nad moim ramieniem zagląda do garnka z gotującym się dżemem.

– Nic – odpowiadam chwilę za późno.

Tata wymachuje w moją stronę pełnym opakowaniem cukru żelującego.

– Nieprawda, coś się święci, twoja siostra ma rację.

Dramatycznie przewracam oczami.

– Wkurzacie mnie, to się święci. – Nieco zbyt energicznie mieszam chochlą w garnku i gorący dżem jabłkowy pryska mi na rękę. Syczę głośno.

– Pod zimną wodę, natychmiast – zarządza mama i wyjmuję mi chochlę z dłoni. Podaje ją Ember, a mnie pcha w kierunku zlewu i odkręca zimną wodę.

– Po prostu dajcie mi święty spokój – mamroczę.

– Ależ proszę bardzo – odpowiada tata. – Ale zachowujesz się w ten sposób od tajemniczej sobotniej wyprawy i bardzo mnie ciekawi dlaczego.

Mruczę coś niewyraźnie pod nosem. Nawet w domu człowiek nie ma spokoju. Nigdy nie pojmowałam, czemu wszyscy wiecznie narzekają na poniedziałki. Dla mnie każdy poniedziałek to nowy początek, podwaliny nowego wspaniałego tygodnia. Zazwyczaj uwielbiam poniedziałki. Dzisiaj jednak wszystko działa mi na nerwy. Ludzie w szkole, wspomnienie soboty, ciekawe spojrzenia Ember. Nawet poparzenie na dłoni, które piecze jak cholera. Pieprzony dżem jabłkowy.

Najchętniej uciekłabym do siebie i wykuła wszystko na co najmniej trzy miesiące do przodu. Niestety rodzina zmusiła mnie do pomocy przy produkcji dżemu, choć domyślam się, że to wszystko to tylko pretekst, żeby

w końcu wyciągnąć ze mnie jakieś informacje.

– Nie możesz nam najnormalniej w świecie opowiedzieć, co się stało? – Pytanie Ember utwierdza mnie w podejrzaniach.

– Nie, bo tak naprawdę wcale cię nie interesuje, co się wydarzyło – odcinam się. – Pytasz, bo chcesz dowiedzieć się jak najwięcej o domu towarowym Beaufort.

– Nieprawda!

– Nie? – rzucam prowokacyjnie. – Czyli nie interesuje cię, jak tam było?

Ember niespokojnie przestępuje z nogi na nogę.

– Nie no, owszem, interesuje. Ale jedno drugiego nie wyklucza. Interesuje mnie zarówno jeden z największych angielskich domów towarowych z konfekcją męską, jak i twoje samopoczucie. Najdroższa siostrzyczko, w moim sercu jest dość miejsca.

– Jakie to słodkie – komentuje tata i przejeżdża obok nas na wózku. Zbliży się do kuchenki. Bierze drugą łyżkę i zanurza w bulgoczącej masie. Zawsze mnie fascynuje obserwowanie go, gdy próbuje nowej potrawy. Kiedy ja to robię, wyglądam przy tym... normalnie. Ale po tacie widać od razu, że to fachowiec. Wyraz jego twarzy się zmienia, jakby w myślach analizował wszystkie składniki i usiłował dociec, czego jeszcze brakuje, jeżeli w ogóle.

Tak jak w tej chwili. Lekko przekrzywił głowę. Obserwujemy go w napięciu. Sekundę później jego twarz się rozpromienia. Cofa się odrobinę w kierunku małego metalowego koszyka, w którym stoją wszystkie przyprawy. Sięga po cynamon i wsypuje szczyptę do żeliwnego garnka. Zapach przywodzi na myśl Boże Narodzenie, moje ukochane święta.

– Nie ma czego opowiadać, Ember – odpowiadam nieco za późno. Moja siostra wzdycha niespokojnie. – A o domu towarowym Beaufort wiesz więcej niż ja.

– Chętnie zwiedziłabym ich pracownię krawiecką – wzdycha i podpira się na dłoni.

– Nie zaudziłaś się? Przecież chcesz się specjalizować w modzie damskiej – zauważa tata.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Patrzymy po sobie zdumieni.

– Kto to może być? – zastanawia się na głos mama i idzie w kierunku drzwi.

– Chodzi o atmosferę, tato. Chciałabym zobaczyć, jak się tam pracuje, jakie mają materiały i wykroje. To na pewno jest fascynujące. – Tęsknota

w jej głosie łamie mi serce. Rozumiem, że jej zdaniem to nie fair, że to ja mogłam ot tak, po prostu zwiedzić główną siedzibę jednego z największych domów towarowych, na co ona prawdopodobnie jeszcze długo nie będzie miała szansy. Z drugiej strony przypominam sobie, jak dla mnie skończyła się ta wyprawa. I za żadne skarby nie chciałabym, żeby moja siostra kiedyś czuła się tak upokorzona, jak ja wtedy.

– Mam pomysł. Nie mogłabyś zapytać tego swojego kolegi, czy mnie też nie mógłby oprowadzić? – rzuca Ember. Niepokoi mnie, że mówi to pół żartem, ale też pół serio.

– Możesz go sama poprosić, Ember – odzywa się nagle mama.

Odwracam się do niej ze zmarszczonym czołem.

– Słucham?

– Stoi przed naszymi drzwiami – tłumaczy i wskazuje kciukiem nad swoim ramieniem. – Nie wspominałaś, że jest taki przystojny.

Przyglądam się jej. Instynkt obronny przeskakuje z zera do setki.

– Chyba nie wpuściłaś go do środka?

– Oczywiście, że nie. Ty to zrobisz... Albo nie, jak wolisz. – Mama podchodzi do mnie i całuje w czubek głowy. Czuję na plecach ciekawski wzrok najbliższych, gdy przemierzam kuchnię i wychodzę do przedpokoju. Jak oszołomiona idę do drzwi.

Na schodkach prowadzących do naszego domu naprawdę stoi James. Po raz pierwszy widzę go w innym ubraniu niż szkolny mundurek czy garnitur. W ciemnych dżinsach i białej koszuli wygląda jak normalny chłopak. Gdybym w takim stroju spotkała go na ulicy, prawdopodobnie w ogóle bym go nie rozpoznała. Na ramieniu ma duży czarny pokrowiec oznaczony logo firmy Beaufort. Wpatruję się w zamaszyste B i nagle ogarnia mnie niewypowiedziana złość.

Nie ma czego tu szukać. Nie chcę, żeby choćby o krok zbliżał się do mojej rodziny. Moje życie tutaj nie ma nic wspólnego z moim życiem w Maxton Hall. To, że stoi tu teraz przede mną i ot tak sobie zaciera granicę, którą wyznaczyłam przed laty, jest nie do przyjęcia, a już na pewno nie po minionej sobocie.

W tej samej chwili, gdy otwieram usta, by mu to wszystko wygarnąć, odrywa wzrok od naszych krzewów różanych i dostrzega mnie w progu. Jego oczy przyjmują wyraz, którego nie potrafię zidentyfikować, nigdy mi się to nie udaje, a potem chłopak robi krok do przodu, tak że nasze oczy znajdują

się na tej samej wysokości. Odchrząka i po chwili wyciąga pokrowiec w moją stronę.

– Przywiozłem ci suknię. Tristan ją przerobił. Teraz chyba będzie leżała idealnie.

Nie robię żadnego gestu, by wziąć od niego pakunek.

– I dlatego przyjechałeś do mnie do domu?

Głęboko nabiera powietrza, wypuszcza je po chwili, drapie się w tył głowy.

– Chciałem też porozmawiać z tobą o sobocie. Zachowałem się jak dupek i bardzo mi przykro z tego powodu.

Przez dłuższą chwilę tylko mu się przeglądam.

Po raz pierwszy słyszę coś takiego z jego ust i odruchowo się zastanawiam, czy do tej pory musiał w życiu kogokolwiek przeproszać. Kiedy sobie przypominam, co w ciągu ostatnich lat wyprawiał choćby w szkole, domyślam się, że jego granica moralności znajduje się w zupełnie innym miejscu niż moja.

Ale teraz, sądząc po jego minie, chyba naprawdę jest mu przykro.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś – mówię cicho.

A już na pewno nie po tym, jak trzymał mnie za rękę i przez chwilę było między nami naprawdę magicznie. Doskonale widziałam, jak w jego spojrzeniu pojawiło się ciepło, wyraźnie czułam iskry między nami. Nie wymyśliłam sobie tego.

Z trudem przełyka ślinę. Przez całą minutę nic nie mówi i tylko patrzy na mnie tym swoim nieprzeniknionym wzrokiem. A potem mamrocze coś pod nosem, tak cicho, że z trudem wychwytyuję słowa:

– Czasami sam siebie nie rozumiem, Ruby Bell.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz zamykam je z powrotem. Czuję, że po raz pierwszy jest ze mną szczerzy, i nie chcę tego zepsuć, odrzucając jego przeprosiny. Więc milczę. Milczę tak długo, że wobec każdej innej osoby zrobiłoby mi się nieswojo, ale jeśli chodzi o Jamesa... Chyba moglibyśmy milczeć razem godzinami, wpatrzeni w siebie, licząc, że uda nam się dostrzec coś za murem wzniesionym przez drugą osobę.

– Dlaczego tak naprawdę tu przyjechałeś? – pytam w końcu.

– Bo dzisiaj po szkole powiedziałaś... – Waha się. – A co, jeżeli ja nie chcę wracać do dawnego stanu?

Wyrywa mi się gorzki śmiech.

– Wyrzuciłeś mnie. A jeszcze przedtem upokorzyłeś w obecności swoich rodziców. Zachowałeś się, jakbym nie była godna ich poznać.

Energicznie zaprzecza ruchem głowy.

– Nie o to mi chodziło.

Dopiero teraz widzę, że ledwie zauważalnie kołysze się na stopach. Można by pomyśleć, że jest zdenerwowany.

– Ja... W sobotę świetnie się bawiłem... póki... póki nie zjawili się moi rodzice. – Chrząka. – Słuchaj, bez sensu byłoby teraz udawać, że się nie znamy. Nie jesteś już dla mnie niewidzialna. I nie chcę udawać, że tak jest.

Choć w ustach dalej mam gorzki posmak po sobocie, jego słowa sprawiają, że wzbiera we mnie pulsująca ekscytacja.

– Nie mam pojęcia, czego teraz ode mnie oczekujesz, James – mówię cicho.

– Absolutnie niczego. Chciałbym tylko, żeby nie było jak dawniej. Czy nie możemy się teraz po prostu... znać?

Przyglądam mu się w milczeniu.

Nie mówi poważnie, przemyka mi przez głowę. Niemożliwe, żeby mówił poważnie. Nie jestem głupia. Wiem doskonale, że dalej mnie nie znosi, choć w sobotę świetnie się razem bawiliśmy. To przede mną nie może uprawiać lacrosse, a poza tym znam największą tajemnicę jego siostry i tym samym stanowią zagrożenie dla całej jego rodziny. Pewnie po prostu chce mnie mieć na oku.

– Jeżeli to twój kolejny sprytny plan... – zaczynam sceptycznie, ale James nie daje mi dokończyć.

– Nie – zapewnia i pokonuje ostatni schodek prowadzący do drzwi.

Nie powinnam doszukiwać się ukrytego znaczenia w jego słowach, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie potrafię go rozgryźć; wątpię, czy ktokolwiek to potrafi. A jednak w tej chwili w jego oczach jest coś... coś uczciwego i szczerego, co na chwilę zapiera mi dech w piersiach. Jak to się stało? Jakim cudem w ciągu jednego miesiąca przeszliśmy od ignorancji, próby przekupstwa i nienawiści do tej chwili?

Za moimi plecami otwierają się drzwi.

– Ruby? Wszystko w porządku?

Sztywnieję. Przede mną stoi James Beaufort z suknią sprzed stu pięćdziesięciu lat przerzuconą przez ramię i spojrzeniem, od którego uginają się pode mną kolana. Za mną stoi moja siostra, z którą kłóciłam się kilka

minut temu nad garnkiem marmolady taty. Moje dwa światy zderzają się w szaleńczym pędzie, robi mi się jednocześnie zimno i gorąco. Nie wiem, jak zareagować, więc tylko kiwam głową z wymuszonym uśmiechem i usiłuję dać siostrze do zrozumienia, że ma spadać. Wodzi wzrokiem między mną a Jamesem, ciekawa i sceptyczna zarazem, ale w końcu cofa się i znika za drzwiami.

Dopiero wtedy jestem w stanie ponownie odwrócić się do Jamesa. Chwilę trwa, zanim biorę się w garść i wreszcie dociera do mnie, że jeszcze ciągle nie odpowiedziałam na jego pytanie.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze.

James kiwa powoli głową.

– Rozumiem. Tak naprawdę przyjechałem tylko po to, żeby cię przeprosić za sobotę.

– Tylko za sobotę?

Uśmiecha się speszony.

– Cóż, na pewno nie będę przeproszał za to, że zafundowałem ci lap dance.

Nie mam pojęcia, czy mogę przyjąć jego przeprosiny, skoro mówi coś takiego. Nie mam pojęcia, czy mówi szczerze, czy po prostu chce załagodzić napięcie, żebym nikomu nie powiedziała o Lydii.

A jednak byłoby mi łatwiej, gdybym przez cały czas nie musiała się na niego złościć. Albo nawet raz na jakiś czas mogła pogadać z nim o szkole. W sobotę zauważyłam, że jest nie tylko złośliwy, ale też inteligentny. Dobrze mi się z nim rozmawiało. I do tego jeszcze to coś, co budzi we mnie dreszcz i ciekawość.

Zdaję sobie sprawę, że to nierozsądne, wiem, że pod żadnym pozorem nie mogę mu zaufać. Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że tak naprawdę ja też nie chcę powrotu do dawnego stanu.

Patrzę mu głęboko w oczy, żeby zrozumiał, że mówię poważnie, i oznajmiam:

– Po raz drugi nie pozwolę się tak traktować.

– Jasne – odpowiada cicho i w końcu podaje mi pokrowiec z suknią.

W tej chwili zaczyna padać. Nie bardzo, ale na tyle, że boję się o kreację, mimo ochronnego pokrowca. Biorę ją od Jamesa i zabieram do środka.

Kiedy ponownie wychodzę na ganek, na jego włosach mienią się niezliczone krople deszczu, spływają na twarz. Ściera je wierzchem dłoni i przeczesuje włosy palcami, cały czas patrząc mi w oczy. Wiem, że

powinnam zaprosić go do środka, zanim przemoknie do suchej nitki, ale nie jestem w stanie. To nie jest właściwy moment. Nie przedstawię mu dziś rodziców i siostry. Być może nigdy się na to nie zdobędę.

– Przyjmuję twoje przeprosiny – mówię w końcu.

W jego oczach pojawia się błysk. Po raz pierwszy widzę taki wyraz jego twarzy.

I tak stoimy w deszczu, on na schodach mojego domu, ja w drzwiach, niezdolna do tego, by zaprosić go do środka.

Ale to jest jakiś początek.

James

Obserwowanie rozgrywki lacrosse, kiedy sam nie mogę grać, doprowadza mnie do szału.

Moja drużyna wręcz pulsuje adrenaliną. Chłopaki wychodzą z przebieralni. Każdy zawodnik przybija ze mną piątkę, gdy mijają mnie w drodze na boisko. Stoję na jego skraju, między trybunami. Zazwyczaj o tym nie myślę, ale w tej chwili żałuję wszystkiego, a przede wszystkim pomysłu, by nieco ożywić tamtą imprezę.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Roger Cree, jeden z nowych, występuje na mojej pozycji i radzi sobie tak dobrze, że zaczyna stanowić poważną konkurencję. Gdyby był kiepski, miejsce by na mnie czekało, ale teraz? Skąd mam wiedzieć, że kiedy skończy się moja kara, trener nie uzna, że nie ma dla mnie miejsca w drużynie? Zwłaszcza że Roger ostatnio świetnie się dogaduje z Cyrilem i innymi chłopakami.

Podchodzi do mnie i podnosi rękę. Wbrew sobie przybijam z nim piątkę, a potem siadam na ławce rezerwowych na skraju boiska i patrzę, jak nasi przeciwnicy wybiegają na boisko i zajmują pozycje. Są niezli, znam wielu z nich z zeszłego sezonu. Zwłaszcza jeden z napastników jest nieobliczalny i zaskakująco szybki. Mam nadzieję, że Cyril będzie miał na niego oko.

– Ej, Beaufort, szkoda, że nie możesz grać – odzywa się nagle jeden z rezerwowych. Ma na imię Matthew, ale nie sądzę, byśmy do tej pory zamienili ze sobą choćby jedno słowo.

– No, straszna szkoda – odzywa się ktoś jeszcze.

– Nie pojmuję, za co ta kara. To był supernumer.

– A poza tym to twój ostatni rok w szkole. Bez sensu spędzić ostatni sezon na ławce.

Dobra, dosyć tego. Wstaję gwałtownie. Bez słowa idę do przodu, na skraj

boiska. Cieszę się, że mam na nosie okulary przeciwsłoneczne. Nie tylko dlatego, że dzisiaj, jak na październik, słońce świeci cholernie jasno, lecz przede wszystkim dlatego, że dzięki nim nikt nie widzi, jak fatalnie się czuję.

Staję w pewnej odległości od trenera Freemana i ze skrzyżowanymi ramionami obserwuję boisko. To koszmar patrzeć na swoją drużynę i nie być w stanie niczego zrobić. Po pierwszym gwizdku wystarczy niecałe pięć minut, by przeciwnik zdobył pierwszą bramkę.

Nagle słyszę za sobą kroki. Odwracam się przez ramię i widzę Ruby i jej przyjaciółkę Lin. Wybiegają na boisko, zatrzymują się przy trybunach. Obie mają zmierzwiowane włosy i rumiane policzki. Ruby klnie głośno. Jeszcze mnie nie zauważyła, więc mam okazję, by dyskretnie jej się przyjrzeć.

Choć większość uczniów zjawia się na meczach w koszulkach naszej drużyny albo zwykłych ciuchach, ona ma na sobie mundurek. W jednej ręce trzyma statyw, w drugiej notes, a na plecach ma jak zawsze ten paskudny plecak, który wygląda, jakby lada chwila miał się rozpaść. I jest koloru wymiocin, ton w ton, ale jakimś cudem Ruby wygląda z nim słodko. Jak Żółw Ninja. Rozczochrany Żółw Ninja z rumieńcem na policzkach.

Podchodzę do nich ukradkiem i obserwuję, jak rozstawiają statyw, chyba drogi, i mocują na nim aparat.

– Pomóc wam? – pytam.

Ruby odwraca się do mnie i patrzy wielkimi oczami. Najwyraźniej cały czas nie przyzwyczała się do myśli, że usiłuję się z nią zaprzyjaźnić. Przez cały tydzień witałem się z nią na korytarzu i za każdym razem wzdrygała się, jakby nie przywykła, że ktoś odzywa się do niej poza lekcjami.

– Coś nas ominęło? – pyta zdyszana. Spogląda na boisko i zaraz wraca wzrokiem do trenera Freemana. Jego jednak do tego stopnia pochłania mecz, że nie zauważył, że Ruby i Lin się spóźniły.

– Ridgeview strzeliło nam gola – odpowiadam.

Ruby zapisuje to w notesie.

– Super, wielkie dzięki.

Lin tymczasem odpala aparat fotograficzny, poprawia ustawienia i zaczyna pstrykać zdjęcia. Obie z przejęciem dokumentują przebieg meczu.

A ja nagle stwierdzam, że wolę obserwować Ruby niż swoją drużynę. Wkrótce rozłożymy Ridgeview na łopatki, ale mimo najszczerzych chęci nie potrafię się tym cieszyć. Kiedy Cree asystuje przy dwóch bramkach, a w drugiej połowie sam strzela trzecią, dociera do mnie, że chłopaki wcale

mnie nie potrzebują. Najchętniej odwróciłbym się na pięcie i odszedł, i właściwie sam nie wiem, czemu tego nie robię.

Zamiast tego stoję twardo na skraju boiska i z nieprzeniknioną miną pozwalam, by to wszystko się działo, biję brawo, gdy strzelamy gola, przeklinam głośno, gdy przeciwnik atakuje, a w międzyczasie odpowiadam na wszystkie pytania Ruby i Lin.

Półtorej godziny później nie czuję się, jakbym przed chwilą zdobył cały świat, jak zazwyczaj po wygranym meczu. Jestem tylko wykończony i czuję, że nie wytrzymam tu ani chwili dłużej. Na samą myśl, że dziś wieczorem mam iść na imprezę do Cyrila i tam wysłuchiwać wyrazów współczucia od każdego po kolei, bo widzieli mnie dzisiaj na ławce rezerwowych, robi mi się niedobrze. Bez słowa odwracam się i jeszcze zanim chłopcy zbiegną z boiska, idę w kierunku szkoły. Wyjmuję telefon z kieszeni i dzwonię po Percy'ego, żeby po mnie przyjechał.

– James!

Odwracam się przez ramię.

Ruby biegnie za mną. Jej grzywka i wiatr to kiepskie połączenie, pojedyncze kosmyki sterczą pionowo w górę. Zauważa mój wzrok i przyciska je dłonią. To jeden z jej odruchów, które w ciągu minionego tygodnia szczególnie rzuciły mi się w oczy. Teraz wiem już, że w piórniku nosi malutki grzebyk i sięga po niego, gdy wydaje jej się, że nikt nie widzi.

– Co jest?

– Wszystko w porządku?

Dlaczego o to pytasz? Nikt mnie o to nigdy nie pyta, bo nikogo najzwyczajniej w świecie nie obchodzi, czy u mnie wszystko w porządku. A zresztą, nawet jeżeli jest inaczej, większość osób za bardzo się mnie boi, za bardzo szanuje, żeby zadawać mi takie pytanie.

– To chyba fatalne uczucie obserwować innych podczas gry – zauważa cicho.

– Fakt.

Niespokojnie przestępuje z nogi na nogę.

– Wolałbyś zostać sam?

Sam nie wiem. Drapię się w kark i wzruszam ramionami. Na szczęście Alistair sprawia, że nie muszę odpowiadać na to pytanie. Spocony biegnie przez trawnik i zatrzymuje się przy nas.

– Beaufort! A dokąd to, mój przyjacielu?

No dobra, to pytanie jest gorsze niż to, które zadała Ruby.

– Do domu.

– Ej! Zapomniałeś? Dzisiaj świętujemy u Cyrila.

Nie, nie zapomniałem, tyle że impreza u Cyrila to ostatnie, na co mam ochotę. Ale przecież nie powiem tego Alistairowi. A nasza drużyna wygrała, nadal jestem jej kapitanem, choć chwilowo zawieszonym. Nie mogę nie świętować tego zwycięstwa z moimi chłopakami. Że już nie wspomnę o tym, że nie mam najmniejszej ochoty na pytania, które pojawiłyby się, gdybym nie przyszedł tego wieczora.

– Ależ oczywiście. – Kątem oka widzę, jak bardzo zmienia się wyraz twarzy Ruby. Staram się na nią nie patrzeć.

– Nie krzyw się, stary. Będzie super. Mamy dla siebie cały dom.

Mruczę coś tylko pod nosem.

– Ej, Ruby, może ty też wpadniesz? – Posyłam Alistairowi ostrzegawcze spojrzenie, on jednak z uśmiechem przesuwa wzrokiem między Ruby a mną.

– Nie musisz – zapewniam ją pospiesznie. Impreza u Cyrila to z całą pewnością nie jest odpowiednie miejsce dla takiej dziewczyny jak ona. – Wątpię, żeby ci się to spodobało.

Gdy Ruby marszczy czoło, orientuję się, że powiedziałem dokładnie nie to, co trzeba. Ma taką minę, jakbym rzucił jej wyzwanie, chociaż chciałem osiągnąć zupełnie odwrotny efekt.

– Skąd niby wiesz, co mi się podoba, a co nie?

Alistair chichocze pod nosem. Posyłam mu mordercze spojrzenie. Zrobił to celowo. Wie doskonale, jak wyglądają takie imprezy i co tam się dzieje.

– Bardzo chętnie przyjdę, Alistair. Dziękuję za zaproszenie – odpowiada Ruby z uśmiechem tak słodkim, że nie może być szczery. – Gdzie i kiedy?

Alistair już otwiera usta, żeby jej odpowiedzieć, ale wtedy wkraczam do akcji.

– Przyjadę po ciebie.

Ruby sztywnieje.

– Nie musisz, James.

– Nie ma sprawy, zgarnę cię po drodze.

Ruby pytająco unosi brwi.

– A ty w ogóle masz prawo jazdy?

Alistair gwizdże znacząco pod nosem. Najwyraźniej podoba mu się, że na jego oczach dostają po uszach. Patrzą na Ruby i przecząco kręcą głową.

- Percy nas zawiezie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
Uśmiecha się od ucha do ucha.
- Absolutnie nie mam nic przeciwko temu.
- Percy, co? Nie jest zły, to fakt. Ma w sobie coś z Antonio Banderasa – mówi Alistair.
- Też to zauważyłam! – śmieje się Ruby. A mnie robi się gorąco.
Cholera. Dlaczego przy niej nie jestem w stanie zachować zimnej krwi? Obiecałem Lydii, że będę miał ją na oku, i to wszystko, co nas łączy, nic więcej. Tylko muszę to sobie w kółko powtarzać.
- Dobrze, Percy będzie u ciebie o dwudziestej.
Ruby kiwa głową.
- Wspaniale.

Ruby

Cyril Vega mieszka w największym, najbardziej imponującym domu, jaki w życiu widziałam. Nie wiem nawet, czy słowo „dom” to odpowiednie określenie tego, co wyrasta przed moimi oczami. Ogród, do którego wjechaliśmy, gdy Percy okazał swój dowód tożsamości strażnikowi przy bramie, ciągnie się bez końca. Rozglądam się na boki i wszędzie widzę tylko starannie przystrzyżony trawnik oraz zasadzone symetrycznie drzewa i krzewy.

W końcu wysiadamy z Jamesem z samochodu. Zatrzymuję się na chwilę, odrzucam głowę do tyłu i pochłaniam wzrokiem imponującą fasadę. Wysokie kolumny po obu stronach wejścia i imponujący balkon nad drzwiami przywodzą na myśl rezydencje z minionych epok.

Na Jamesie otaczający nas przepych nie robi najmniejszego wrażenia, gdy wbiegamy po białych schodach ku ogromnym drzwiom. W sumie nic dziwnego. Po pierwsze, Cyril to jeden z jego najlepszych przyjaciół, po drugie, dom, w którym sam mieszka, jest zapewne co najmniej równie wielki. Czuję, jak robi mi się na przemian zimno i gorąco.

Co ja tu właściwie robię?

Przysięgałam sobie, że nigdy nie pójdę na jedną z tych dziwacznych imprez. Ale wystarczył jeden głupi komentarz Jamesa, by obudził się we

mnie duch walki. Po prostu musiałam postąpić inaczej, niż tego chciał, co z perspektywy czasu wydaje mi się strasznie głupie i dziecinne. Od poniedziałku jestem na siebie wściekła, bo wyprawa z Jamesem pozbawiła mnie niewidzialności w Maxton Hall, a teraz idę razem z nim na to przyjęcie, na którym będzie też sporo ludzi ze szkoły. Dzisiaj po południu ani przez sekundę nie zastanawiałam się, co to będzie dla mnie oznaczać. Znowu zaczną się plotki na nasz temat i chyba tak szybko nie ucichną.

Już na zewnątrz słychać muzykę i głosy gości. Przez ułamek sekundy rozważam, czy nie udać nagłej choroby i nie uciec gdzie pieprz rośnie. Ale nie dam Jamesowi tej satysfakcji. Wycieram więc spocone dłonie o spódnicę i odchrząkam. James zerka na mnie z ukosa, ale ignoruję jego wzrok. Mój towarzysz otwiera drzwi wejściowe.

Znajdujemy się w holu tak imponującym, że na chwilę zapominam o zdenerwowaniu. Wszędzie marmury, meble w pastelowych kolorach i biało-złote akcenty. Z sufitu zwisa ogromny kandelabr, dwa skrzydła schodów prowadzą symetrycznie, po prawej i lewej stronie, na galerię.

W pierwszej chwili można odnieść wrażenie, że impreza odbywa się w całym domu. Muzyka zdaje się płynąć z innego pomieszczenia, ale też tutaj, w holu, kłębią się goście. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Oddycham z ulgą.

– Co oni tam robią? – pytam Jamesa i wskazuję około dwudziestu osób, które stoją na galerii.

– Grają w dziwną odmianę piwnego ping-ponga, specjalność Cyrila – odpowiada.

Obserwuję, jak koleś upuszcza coś z góry – piłeczki do ping-ponga, jak stwierdzam po chwili. Zasypują hol, w którym stoi rząd kubeczków. Niektóre trafiają do środka, inne jednak rozsypują się po całym holu. Chłopcy wrzeszczą tryumfalnie, dziewczyny piszczą, a potem wszyscy piją.

– Nie rozumiem tego.

– Ja też nie – przyznaje.

– Jesteś! – grzmi nagle ktoś nad nami. Podnoszę wzrok i widzę, jak Cyril przerzuca nogę przez poręcz i zjeżdża na parter. Na sam widok robi mi się niedobrze. Tuż za nim jest Wren, on jednak wybiera tradycyjny sposób i zbiega po schodach. Po drodze odchyła głowę i opróżnia szklanę.

Cyryl jest przy nas jako pierwszy, wita Jamesa niedźwiedzim uściskiem i klepie go po plecach.

– Mam nadzieję, że dzisiaj byłeś z nas dumny.

Czuję, jak James sztywnieje u mego boku.

– Oczywiście – odpowiada neutralnym tonem, który ani nie okazuje radości, ani nie zdradza, jak bardzo musiał być dzisiaj wkurzony, skoro sam nie mógł grać.

Cyril przesuwając wzrok na mnie.

– A ty to... – Lustruje mnie spojrzeniem lodowato niebieskich oczu. Patrzy na moją białą bluzkę w niebieskie paski, na czarną plisowaną spódniczkę i ma taką minę, jakby lada chwila chciał zmarszczyć nos. W dupę. Jak gdyby wyglądał lepiej tylko dlatego, że jego czarna koszula kosztowała prawdopodobnie więcej niż cały mój strój.

– Ruby – włącza się James. Przedstawia nas sobie. – Ruby, to jest Cyril.

– Ruby! Alistair mówił, że cię zaprosił. – W naszą stronę idzie uśmiechnięty Wren. Powstrzymuję odruch, by odwrócić głowę.

– Cześć – mówię i z trudem się uśmiecham.

Wita się z Jamesem, a potem wraca do mnie wzrokiem. Doskonale rozumiem, co chce mi przekazać tym brudnym, pełnym wyższości spojrzeniem: to jest mój świat. Tutaj ja trzymam wszystkie karty w dłoni.

W następnej chwili James kładzie mi rękę na plecach.

– Cyril, bądź porządnym gospodarzem i zaproponuj nam coś do picia.

Mówi to tym swoim tonem: to ja, James Beaufort. I choć ja nigdy w życiu nie pozwoliłabym, by mi rozkazywał, na jego przyjaciołach chyba nie robi to wrażenia. Śmieją się i prowadzą nas w głąb domu, za schody. Po drodze Cyril podnosi kilka piłeczek i podrzuca je w górę, a potem otwiera drzwi do wielkiego salonu.

W pomieszczeniu nieco mniejszym niż hol znajduje się co najmniej z pięćdziesiąt osób. Rozmawiają albo tańczą. Muzyka jest ogłuszająca, a dymu w powietrzu tyle, że zaczynają łzawić mi oczy.

Na palcach jednej ręki można policzyć imprezy, na których byłam do tej pory. To były małe spotkania w naszym parku w Gormsey i jeden, jedyny raz urodziny koleżanki z klasy. Zaprosiła mnie z uprzejmości. Poszłam, bo mama nalegała, żebym lepiej poznała osoby ze szkoły. Skończyło się tym, że przez pół wieczoru stałam w kącie i sztywno poruszałam się w rytm muzyki, a w głębi duszy liczyłam sekundy do powrotu do domu.

Ale to, co się tutaj dzieje, to zupełnie inna bajka. Zamiast taniego piwa w plastikowych kubeczkach pije się drogie trunki z kryształowych

kieliszków. Muzyka nie płynie z boomboxa, tylko skomplikowanego systemu głośników ukrytych w ścianach. A do tego wszędzie widzę strasznie dużo nagości.

A więc tak imprezują elity.

Rozglądam się i usiłuję wszystko zapamiętać. Basy są tak niskie, że podłoga wibruje mi pod stopami. Dopiero po dłuższej chwili zauważam ogród zimowy połączony z salonem. Znajduje się w nim ogromny podświetlany basen, od którego z pewnością będę się trzymać z daleka. Kilka osób pływa w nim w bieliźnie i żartobliwie opryskuje tych na brzegu. Pozostali siedzą z papierosami i drinkami na aksamitnych kanapach, które wyglądają na bardzo stare i zapewne kosztowały majątek.

Sytuacja przytłacza mnie do tego stopnia, że dociera do mnie, że mój towarzysz coś do mnie mówi, dopiero po dłuższej chwili.

– Słucham?

James pochyła się nade mną tak, że jego usta znajdują się na wysokości mojego ucha.

– Czego się napijesz, Ruby Bell?

Przeszywa mnie dreszcz, ramiona okrywają się gęsią skórką. Nie zwracam uwagi ani na jedno, ani na drugie.

– Coli, jeśli jest, a jeśli nie, to wody.

James odsuwa się odrobinę i patrzy mi w oczy.

– Masz coś przeciwko temu, że ja się napiję?

– Nie. – Energicznie kręcę głową.

– Super. Zaraz wracam.

W następnej chwili znika razem z Cyrilem. Wren natomiast zostaje i znowu przygląda mi się z tym znaczącym uśmiechem na ustach.

– Naprawdę nic nie pijesz? – Słyszę prowokację w jego głosie. Sporo mnie kosztuje, by nie odwrócić się na pięcie i nie odejść. Albo na niego nie nawrzeszczyć przy tych wszystkich ludziach. Ale skoro udało mi się ignorować go przez całe dwa lata, nie pozwolę, by teraz kilka durnych komentarzy wyprowadziło mnie z równowagi.

– Naprawdę – odpowiadam zwięźle.

Wren podchodzi bliżej. Odruchowo cofam się o krok.

– Ciekawe dlaczego, Ruby – mruczy i podchodzi jeszcze o krok, aż czuję ścianę za plecami. – Czyżbyś miała przykre doświadczenia z procentami?

Czuję alkohol w jego oddechu i dopiero teraz zauważam, jak bardzo

rozszerzone są jego źrenice. Ciekawe, czy to skutek tylko whisky, czy czegoś jeszcze.

– Wren, wiesz doskonale, dlaczego nie piję – odpowiadam chłodno i prostuję się. Jeżeli nie da mi spokoju, zaraz naprawdę zrobię mu krzywdę. Kątem oka dostrzegam po lewej stronie ciemną komodę, na której stoją liczne posążki i lampa.

Umiem się bronić.

– Bardzo ciepło wspominam tamten wieczór – odpowiada Wren. Lewą ręką opiera się o ścianę obok mojej głowy.

– Ale ja nie – cedzę przez zęby. Do tej pory dawał mi w szkole spokój. Jeszcze nigdy nie robił żadnych aluzji do tamtego wieczora przed dwoma laty. Dlaczego akurat teraz?

– Naprawdę? – pyta ochryple i pochyla się ku mnie.

Krótkie spięcie. Z całej siły odpycham go dwiema rękami.

– Wren, naprawdę nie mam ochoty na powtórkę.

Ujmuje moje dłonie w swoje i splata nasze palce. Przerażona rozglądam się na boki.

– Do dziś pamiętam, co mi wtedy szeptałaś.

– Tylko dlatego, że mnie upiłeś.

– Doprawdy? – I znowu ten obleśny uśmieszek. – Alkohol budzi ukryte pragnienia, Ruby. Chciałaś tego co najmniej tak samo jak ja.

Nieruchomieję, gdy wspomnienie tamtego wieczora w końcu powraca z pełną siłą: zdyszany oddech Wrena, jego niespokojne ręce na moim ciele. Na samą myśl robi mi się gorąco. Z jednej strony ze wstydu, z drugiej dlatego, że wtedy naprawdę mi się to podobało. Tylko do dzisiaj robi mi się słabo na wspomnienie tego, jak do tego doszło.

Wren otwiera usta, by jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy za jego plecami rozlega się inny głos, silny i zarazem znudzony.

– Daj jej spokój, Fitzgerald.

Wren otwiera szeroko oczy. Zaskoczona omijam go wzrokiem. Podeszła do nas Lydia. Posyła Wrenowi zdenerwowane spojrzenie, a potem bez słowa bierze mnie za rękę i odciąga od niego w głąb pomieszczenia. Dopiero kiedy znalazłyśmy się poza zasięgiem jego słuchu, przygląda mi się spod wysoko uniesionych brwi.

– Kto by pomyślał, że akurat ty skrywasz mroczną tajemnicę?

Wpadam w panikę, odruchowo zaciskam pięści. Zanim jednak zdążę się

odezwać, rozkłada ręce. Na jej ustach pojawia się rozbawiony uśmieszek.

– Spokojnie. Nikomu nic nie powiem.

Przyglądam jej się i chwilę trwa, zanim dociera do mnie, co powiedziała.

– Mam w nosie, kto się o tym dowie – rzucam gniewnie, choć obie wiemy, że to wierutne kłamstwo.

Gdyby to było możliwe, najchętniej wykasowałabym tamten wieczór z pamięci. Miałam wtedy piętnaście lat i dopiero zaczęłam naukę w Maxton Hall. To była pierwsza impreza, w której brałam udział, i byłam tak przejęta i zdenerwowana, że ochoczo wypiłam duszkiem wszystkie kubeczki ponczu, które podawał mi Wren. Nie miałam pojęcia, że do każdego dolewał alkoholu ze swojej piersiówki, żeby mnie upić. A kiedy później zaciągnął mnie na korytarz i pocałował, wpadłam w euforię. Wren to jeden z najprzystojniejszych chłopców, jakich w życiu widziałam. I pragnął właśnie mnie. Myśl, że to właśnie z nim przeżyłam pierwszy pocałunek, oszałamiała jak alkohol.

Dopiero następnego ranka dotarło do mnie, jak źle postąpił, upijając mnie wbrew mojej woli, i jak bardzo byłam naiwna. Od tego czasu nie tknęłam alkoholu.

Lydia pytająco unosi brew.

– Naprawdę? Myślałam, że bardziej ci zależy na swojej reputacji.

– To, że Wren mnie upił i całował po pijaku, nie zepsuje mi opinii. Jakkolwiek by było, nie wpakowałam się w romans z nauczycielem.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, od razu ich pożałowałam. Lydia jest biała jak ściana. Z groźną miną robi krok w moją stronę.

– Obiecałaś, że będziesz trzymać język za zębami... – Urywa nagle i odsuwa się ode mnie.

– Tu jesteście. – James podchodzi do nas i podaje mi szklankę z colą, lodem i plasterkiem cytryny. Sam trzyma chyba bardzo drogą kryształową szklankę z brązowym płynem. Powoli przesuwa wzrokiem między mną a Lydią i z powrotem. – Wszystko w porządku?

– Braciszku, przyniesiesz mi coś do picia? Mam już pusto w kieliszku – prosi Lydia i komicznie trzepocze rzęsami.

James przewraca oczami, ale bierze od niej naczynie i odwraca się na pięcie, by ruszyć w kierunku baru. Ledwie zniknął, Lydia znowu poważnieje. Patrzy na mnie zimno. Z trudem przełykam ślinę. Żałuję, że tu przyszedłam. Wolałabym być w domu, gdzie byłoby mi dobrze i bezpiecznie. Tutaj jest

zupełnie inaczej. To przygoda, na którą nie jestem gotowa.

– Posłuchaj – zaczynam, nim znowu mi zagrozi. – Przepraszam za to, co powiedziałam.

Otwiera i zamyka usta. Aż w końcu sceptycznie patrzy mi w oczy.

– Słucham?

– Nie mam nic do ciebie – ciągnę. – I nie obchodzi mnie, co jest między tobą a panem Suttonem. Nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy.

Lydia zaciska usta w wąską kreskę.

– Ja po prostu chcę mieć święty spokój – brnę dalej.

– Niby dlaczego miałabym ci uwierzyć? – Podejrzliwie mruży oczy. – Przecież wcale cię nie znam.

– To prawda. Ale James mnie zna. Obiecałam mu.

– Obiecałaś mu? – powtarza, jakby nie była pewna znaczenia tych słów.

– Tak – odpowiadam po chwili wahania.

Lydia milczy i przygląda mi się podejrzliwie, a potem wyraz jej twarzy się zmienia. Sceptyczna mina ustępuje zrozumieniu, jakby kawałki układanki w jej głowie trafiły na właściwe miejsce. Nie patrzy już na mnie, tylko gdzieś nad moim ramieniem.

– A więc to tak – mówi w końcu.

Zaskoczona odwracam się, żeby się dowiedzieć, o co jej chodzi. Widzę Jamesa przy barze. Po kolei podnosi poszczególne butelki i w skupieniu studiuje etykiety.

– Co i jak? – pytam.

Uśmiecha się do mnie kojąco.

– Spokojnie, nie jesteś pierwsza.

Nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Wiele dziewczyn nabrało się na jego urok.

Wtedy to do mnie dociera. Nie panuję nad sobą, parskam śmiechem.

Zbijam ją z tropu.

– Co cię tak rozbawiło?

– Nie wiem, czy już to słyszałaś, ale o twoim bracie można powiedzieć wszystko, ale nie to, że ma urok.

Patrzy na mnie z taką miną, jakby nie wiedziała, czy na mnie nakrzyczeć, czy zawtórować śmiechem. James wybawia ją z oparów, bo wraca do nas właśnie w tej chwili.

– Proszę, dla ciebie, siostrzyczko – mówi i wręcza jej drinka.

Spogląda na szklanekę, ale zaraz wraca wzrokiem do mnie.

– Mam cię na oku, Ruby. – Z tymi słowami Lydia odwraca się na pięcie i znika w tłumie.

– Co to niby miało znaczyć? – pyta James zirytowany i odprowadza wzrokiem siostrę, zanim rozplynie się wśród innych gości. Ponieważ w odpowiedzi tylko wzruszam ramionami, marszczy czoło. – Co ci powiedziała?

– Nic takiego. Nie ufa mi i nie wierzy, że będę trzymała język za zębami.

James rozgląda się po pomieszczeniu. Sprawia wrażenie, jakby musiał dokładnie przemyśleć następne słowa, jakby sam nie wiedział, czy może mi to powiedzieć, czy nie.

– Nie jest jej łatwo komuś zaufać.

Posyłam mu pytające spojrzenie.

– Ruby, mało kto zachowałoby taką tajemnicę dla siebie. – Wzrusza ramionami. – Wręcz przeciwnie. Dziewięćdziesiąt procent ludzi sprzedałoby taki kasek brukowcom albo usiłowałoby nas szantażować. Nie po raz pierwszy okazałoby się, że ktoś spędza z nami czas tylko po to, by poznać smakowite sekrety naszej rodziny. – Kiedy to mówi, unika mojego wzroku, cały czas obserwuje roztańczony tłum pośrodku salonu.

– To beznadziejne.

Kąciki jego ust unoszą się leciutko.

– Fakt.

Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. Co prawda to nie tłumaczy zachowania Jamesa, ale dzięki temu odrobinę lepiej go rozumiem.

– Zastanawiam się, co ja tu właściwie robię, skoro nikt mi nie ufa.

Z namysłem wędruje wzrokiem po mojej twarzy. Unosi rękę, jakby chciał mnie dotknąć, zaraz jednak opuszcza ją i upija łyk ze szklanki, która właściwie była dla Lydii. Jego drugi drink.

– Jesteś tu, bo zaprosił cię Alistair – rzuca w końcu.

– Ach, rzeczywiście – mówię i zakładam za ucho kosmyk włosów, który ciągle łaskocze mnie w brodę. – Alistair. Gdyby to zależało od ciebie, nie byłoby mnie tutaj.

– Nie o to chodzi.

– Więc o co? – Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo przeszkadza mi myśl, że nie chciał, żebym tu była.

– To po prostu nie jest twoje miejsce, Ruby.

Czuję się, jakby zadał mi cios w serce. Takim małym sztyletem. Sporo mnie kosztuje, by nie okazać po sobie bólu.

– Nie to miałem na myśli – zapewnia natychmiast. Najwyraźniej nieokazywanie bólu nie wychodzi mi tak dobrze, jak sądziłam.

– Oczywiście. – Odwracam się i patrzę przez przesuwaną szybę na basen, do którego w tej chwili ktoś wskoczył w ubraniu. Chwilę później James staje przede mną i zasłania mi ten widok.

– Nie, naprawdę. Chciałem tylko powiedzieć, że na myśl, że znajdziesz się w towarzystwie niektórych ludzi, ogarnia mnie złe przeczucie. Prędzej czy później będą chcieli cię w coś wkłęcić. Czuję się za ciebie odpowiedzialny.

– Wielkie dzięki, sama potrafię o siebie zadbać – odpowiadam ostro.

I znowu świdruje mnie wzrokiem. Upijam małe łyżeczki coli, żeby przerwać kontakt wzrokowy. Kiedy tak na mnie patrzy, robi mi się gorąco, a tutaj i tak jest już bardzo duszno.

– Absolutnie nie chcę być ci kulą u nogi. Zachowuj się tak, jak zwykle – mówię w końcu i zataczam łuk ręką, zamykając w nim całe pomieszczenie. Niech James robi to, co zazwyczaj na takich imprezach. Nie chcę, żeby opiekował się mną jak małym dzieckiem.

Kiwa głową i dopija drinka. A potem wyjmuję mi szklankę z dłoni i odstawia na niski stoliczek. W następnej chwili wraca do mnie i bierze za rękę. Ciągnie za sobą przez tłum, na środek pomieszczenia, między tańczących. Serce wali mi jak szalone i zastanawiam się, co on, do cholery, znowu wymyślił, gdy przyciąga mnie bliżej do siebie. Dotykam jego klatki piersiowej, on chwilę ściska mi dłoń, a potem puszcza ją i zaczyna poruszać się w takt muzyki. James Beaufort tańczy przy mnie. Uśmiecha się do mnie i kołysze biodrami.

– Co ty wyprawiasz? – pytam zaskoczona. Jako jedyna na parkiecie stoję sztywna jak kołek.

– To, co zawsze na takich imprezach – odpowiada James.

I znowu widzę wyzwanie w jego wzroku i nie mogę go nie podjąć. Usiłuję naśladować jego ruchy. Kiedy ktoś trąca mnie z tyłu, wpadam na niego. James chwytam mnie w tali, żebym utrzymała równowagę. Zasycha mi w gardle, serce bije coraz szybciej. Kiedy podnoszę na niego wzrok, oblewa mnie fala gorąca. Przywieramy do siebie tak mocno, że nie sposób byłoby wsunąć między nas choćby kartki papieru.

Koło nas ktoś krzyczy triumfalnie. Odrywam wzrok od Jamesa

i rozglądam się wokół. Co najmniej pięć par oczu się w nas wpatruje.

Chyba już całkiem postradałam rozum. Co prawda udaje nam się współistnieć pokojowo, ale to tutaj to zupełnie inna sprawa. A skoro nie chcę, żeby po szkole krążyło jeszcze więcej plotek na mój temat, muszę jak najszybciej uciec z parkietu.

– Potrzebuję iść do łazienki – wyduszam z siebie. James natychmiast się odsuwa. Dostrzegam zrozumienie w jego oczach, ale w tej chwili jestem zbyt zagubiona, by się nad tym zastanawiać. Ruchem głowy wskazuje lewy róg salonu, skąd wyłania się długi korytarz.

– Pierwszy skręt w prawo, drugie drzwi po lewej.

Przepycham się między roztańczonymi gośćmi i biegnę wzdłuż korytarza. Jego ściany zdobią portrety olejne członków rodziny Vega, tapeta mieni się zielonozłoto w blasku lamp. Ciemnoczerwony dywan pod moimi stopami pokrywają wymyślne wzory, przywodzące na myśl zwierzęta.

Skrećam w prawo, zgodnie z wytycznymi Jamesa. Korytarz jest pusty. Opieram się o ścianę.

Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, co ja tu robię. Abstrahując od tego, że to absolutnie nie jest moje miejsce, James zbija mnie z tropu. Jego dotyk, jego spojrzenia, ochrypliwy głos – gdybym nie wiedziała lepiej, mogłabym pomyśleć, że ze mną flirtuje.

Kiedy w poniedziałek stał na progu naszego domu i mówił, że nie chce, żeby było jak dawniej, nie spodziewałam się, że wyniknie z tego coś takiego. Czy w taki sposób tańczy ze wszystkimi swoimi znajomymi? Pewnie tak.

Może powinnam po prostu postrzegać to wszystko jako zadanie. Projekt. To są moi koledzy ze szkoły, czy mi się to podoba, czy nie. A jeśli dostanę się do Oksfordu, spotkam tam ich i wielu innych potomków bogatych rodzin.

Głęboko nabieram tchu, zaciskam pięści i w przypływie odwagi odrywam się od ściany. Pójdę do łazienki, a potem wrócę do salonu, dopiję colę i zatańczę z Jamesem. Bo co mi się niby może stać? Skoro i tak będą o mnie gadać, mogę się przynajmniej dobrze bawić.

Z tym postanowieniem dochodzę do drzwi kilka kroków dalej, po lewej tronie. Otwieram je, przekonana, że za nimi znajduje się łazienka. W pomieszczeniu jest ciemno choć oko wykol, nie licząc światła docierającego z korytarza. Chwilę trwa, zanim mój wzrok przywyknie do ciemności, potem jednak widzę zarys sporego biurka, przytulną kanapę i... całe mnóstwo regałów z książkami.

To z pewnością nie jest łazienka... To biblioteka!

Waham się tylko przez chwilę, a potem ciekawie zaglądam do środka. Na pierwszym z brzegu regale jest więcej książek niż w całym naszym domu. Uśmiecham się, robię kolejny krok... i wtedy to słyszę.

Ciężki oddech. Stłumione westchnienie.

Odwróć się na pięcie i wyjdź, powtarza uporczywy głosik w mojej głowie, ale na to jest już za późno. Nagle dostrzegam Alistaira, który opiera się o jeden z regałów w głębi biblioteki. Odrzucił głowę do tyłu i właśnie w tej chwili jęczy głośno.

Ciche mlaśnięcie.

– Przeszanę, jeśli nie będziesz cicho.

Zastygam w bezruchu. Znam ten głos. Niski, głęboki, lekko ochrypły.

– Nie – szepcze Alistair i opuszcza głowę do przodu.

Chłopak, który przed nim klęczy, powoli wstaje.

– Poproś ładnie.

Alistair wplata mu palce we włosy i przyciąga do siebie. Chłopak opiera się dłońmi o półkę za jego głową i odwzajemnia pocałunek. I wtedy go rozpoznaję.

Keshav.

Głośno nabieram tchu. Keshav tymczasem wędruje ustami coraz niżej po szyi Alistaira.

W tej chwili ten dostrzega mnie przy drzwiach.

– Kesh, przestań! – szepcze nerwowo i odpycha go od siebie.

Odwracam się na pięcie i uciekam z biblioteki na korytarz. Spanikowana rozglądam się na boki i postanawiam wrócić do salonu. Znowu przeciskam się między tańczącymi. Ich twarze rozplývają mi się przed oczami. Szukam Jamesa.

Dostrzegam go w towarzystwie Lydii, Cyrila i Wrena niedaleko basenu. Rozmawiają, Wren gestykuluje przesadnie.

Potrzebuję chwili, żeby wziąć się w garść. Dlaczego, do diabła, ciągle przyłapuję w niedwuznacznych sytuacjach pary, które chcą zachować dyskrecję? Od kiedy interesują mnie cudze sekrety? To nie jest normalne.

Sporo mnie kosztuje odzyskanie choćby pozornego opanowania. Po raz kolejny tego wieczora zmieniam zdanie. Nie mogę się tu dobrze bawić. Nigdy w życiu nie przywyknę do tych ludzi.

Chciałabym podejść do Jamesa i poprosić, żeby zabrał mnie do domu, ale

stoi tak blisko basenu, że ciągle się waham. Na widok wody robi mi się niedobrze. W końcu jednak zbieram się na odwagę i wchodzę do ogrodu zimowego. Zatrzymuję się w pewnej odległości od nich, pod ścianą. Pierwszy zauważa mnie Wren.

– O, jest.

Kiwam mu głową i kamień spada mi z serca, gdy James pokonuje dzielącą nas odległość. W życiu bym się nie spodziewała, że okaże się na imprezie tą osobą, przy której czuję się najlepiej, ale dziś tak właśnie jest. Jest moim oparciem i muszę powstrzymać odruch, by złapać go za rękę.

– Wszystko w porządku? – pyta. W jego dłoni widzę kolejną szklankę, znowu z brązowym płynem. Widzę też lekki rumieniec na jego policzkach.

– Chciałabym wracać do domu – mówię cicho, bez tchu.

James marszczy czoło, ale zaraz kiwa głową. Najwyraźniej widać po mnie, że jestem na granicy załamania nerwowego. Dopija drinka do końca i odstawia szklankę na małym stoliku.

– Jasne.

– Ej no, litości. Od kiedy wychodzisz z moich imprez przed czwartą rano? – pyta Cyril urażony.

– Odkąd mam kogo odwieźć do domu – odpowiada James i przygląda mu się nieprzenikniętym wzrokiem. I znowu ta arogancka, niewzruszona mina.

– Ruby, nie bądź taka. Zostaw nam kumpla – wtrąca się Wren, po czym kuca i pryska na mnie wodą z basenu. Kiedy krople opadają na moją skórę, mam wrażenie, że z płuc uciekają resztki powietrza.

– Przestań – syczę. Sama nie poznaję swojego głosu, taki jest wysoki i piskliwy.

– A co ty, z cukru jesteś? – żartuje Cyril. Jest bez koszuli, ma na sobie czarne kąpielówki. Jego włosy są ciągle mokre po kąpieli. Podchodzi do nas. Odruchowo wbijam palce w ramię Jamesa. Nieważne, co sobie pomyślą.

– Cy, zostaw ją – prosi James, ale tym razem nawet jego władczy ton nie działa. Cyril patrzy na mnie wzrokiem drapieźnika, a potem jednym skokiem jest przy mnie, wyrywa mi torebkę i podaje uśmiechniętej Lydii.

– Cyril, sprzedam cię... – zaczynam bez tchu, ale już za późno. Porywa mnie na ręce, choć nie ma w tym ani odrobiny czułości, i niesie do basenu. Krzyczę jeszcze, gdy z impetem uderzam o taflę wody. A potem znikamy pod powierzchnią, a mnie serce staje w piersi.

Bo już nie jestem w domu państwa Vega, tylko w mętным żółtozielonym

jeziorze. Mam nie siedemnaście, lecz osiem lat. I nie umiem pływać, jestem zdana na łaskę lodowatej wody. Nie mogę oddychać.

Algi ciągną mnie w głąb. Nie jestem w stanie się poruszyć. Ręce i nogi odmawiają mi posłuszeństwa. W ogóle nie panuję nad swoim ciałem.

Ucisk w piersi narasta. I w końcu nie mam wyjścia, muszę odetchnąć wodą.

James

Wren i moja siostra śmieją się w głos, Cyril wypływa na powierzchnię i chlapie na nas, a ja cały czas wpatruję się w Ruby, która teraz przypomina ciemną, niewyraźną plamę pod wodą. Początkowo miotła się jak szalona, ale teraz w ogóle się nie rusza. Coś jest nie tak.

– Gdyby wiedziała, że znamy już ten numer z udawaniem trupa, darowałaby sobie ten cyrk – zauważyła Wren i wyciąga rękę do Cyrila, żeby pomóc mu wyjść z basenu.

Ruby cały czas nie wypływa na powierzchnię. W głębi serca wiem, że coś jest bardzo nie w porządku. Serce wali mi jak szalone. Cofam się i rozpędzam.

– James, nie sądzę, żeby ona naprawdę... – Nie słyszę reszty zdania Lydii, bo skaczę na główkę do basenu. Szybкими ruchami podpływam do Ruby, obejmuję ją ramieniem i ciągnę w górę.

Nie rusza się.

– Ruby – sapię, gdy ponownie jesteśmy nad wodą. Potrząsam nią. – Ruby!

Nagle zarzuca mi ręce na szyję. Zanosi się kaszlem, gwałtownie chwytając ustami powietrze. Przyciskam ją do siebie, żeby ponownie nie zniknęła pod wodą.

Nie panuje nad sobą.

– Zabierz mnie stąd! – prosi ochryple. – Zabierz mnie stąd!

Kiwam głową i dopływam do krawędzi basenu. Unoszę ją za biodra i sadzam na płycie. Kaszle niekontrolowanie, przejmująco, żeby pozbyć się całej wody, którą zdążyła wciągnąć w płuca. Podciągam się na ramionach i siadam obok niej, przytrzymuję ją, gdy się krztusi.

– Zabierz mnie stąd. – Jej ochryple szept wstrząsa mną do głębi. Wstaję, pomagam jej stanąć na nogach. Schyliła głowę, ale i tak widzę łzy, które na

jej twarzy mieszają się z kroplami wody. Kiedy ponownie staje o własnych siłach, wciąż się chwieje. Czuję, że dygocze na całym ciele, uginam więc kolana i biorę ją na ręce. Nie protestuje, tylko ukrywa twarz na mojej szyi, żeby nikt nie widział, że płacze. Wściekły odwracam się do Cyrila, któremu bynajmniej nie jest już do śmiechu.

– Pieprzony dureń – cedzę przez zęby. Wolałbym wykrzyknąć mu to w twarz, ale nie chcę przestraszyć Ruby. Cały czas z dziewczyną w ramionach odwracam się i tylnymi drzwiami wychodzę z ogrodu zimowego na zewnątrz.

Mija trochę czasu, zanim przyjedzie po nas Percy, ale za to przywozi suche ręczniki i ciuchy do przebrania. Ruby unika mojego wzroku, gdy otulam ją ręcznikami i zaczynam wycierać. Cały czas dygocze. Percy w milczeniu podaje mi kolejny ręcznik, którym otulam jej głowę. Delikatnie wyciskam wodę z włosów. Zapewne przesadzam, ale będę rozcierał jej plecy tak długo, aż przestanie dygotać. Choćby to miało trwać całą noc.

Nagle jej ciałem wstrząsa szloch. Zastygam w bezruchu. To cholernie boli widzieć tak silną osobę w rozpacz. Nie mam pojęcia, jak się zachować. Mogę tylko dalej ją wycierać, delikatnie gładzić po plecach i poprosić Percy'ego, żeby podał mi bluzę z logo Maxton Hall, którą także przywiózł.

– Jesteś w stanie rozpiąć bluzkę? – pytam delikatnie.

Ruby chyba mnie nie słyszała.

Ponieważ nie wierzę, że drżącymi palcami zdoła rozpiąć cokolwiek, po chwili namysłu zakładam jej bluzę przez głowę, opuszczam niżej i po omacku rozpinam bluzkę pod materiałem. Potem ostrożnie zsuwam ją z barków i pomagam wsunąć ręce w rękawy bluzy. Już mam założyć jej kaptur, gdy unosi dłonie i chwyta mnie za barki. Cały czas ma lodowato zimne palce.

W następnej chwili opuszcza głowę do przodu, na moją klatkę piersiową, i oddycha głęboko. Nawet w oddechu wyczuwam jej rozedrganie. To straszne widzieć ją w takim stanie.

– To wszystko moja wina – mówię ochryple.

Ruby odrywa głowę od mojej piersi i podnosi wzrok. Jej oczy nadal podejrzanie błyszczą, ale teraz mam wrażenie, że mniej więcej wzięła się w garść. Znowu wygląda jak Ruby. Bojowa, uparta Ruby, która nikomu nie da sobie w kaszę dmuchać. Ogromny ciężar spadł mi z serca, a jednocześnie robi mi się ciężko na duszy.

Odwracam się od niej i rozpinam koszulę, żeby założyć drugą bluzę, którą przywiózł Percy.

– Chodź, odwieziemy cię do domu – mówię w końcu i przytrzymuję jej drzwi rolls-royce’a.

Wsiada. Zajmuję miejsce koło niej na tylnym siedzeniu. Kiedy Percy odpala silnik, opuszczam głowę na oparcie. Nagle ponownie czuję alkohol. Świat wiruje chyba szybciej, niż powinien.

Ruby porusza się koło mnie. Zerkam na nią z ukosa. Opuściła rękawy mojej niebieskiej bluzy aż po koniuszki palców, tak, że pod materiałem nikną nawet jej dłonie. Nagle mam przemożną ochotę jej dotknąć. Szybko odwracam wzrok.

– Panicznie boję się wody – szepcze w ciszy.

Wiele mnie kosztuje, żeby na nią nie spojrzeć. Wydaje mi się jednak, że czuje się pewniej, kiedy patrzę w okno, a nie na nią.

– Dlaczego?

Chwilę trwa, zanim odpowie.

– Mój tata bardzo lubił jeździć na ryby. Dawniej zawsze zabierał mnie ze sobą na łódź, co weekend jeździliśmy na inne jezioro. Kiedy miałam osiem lat, mieliśmy wypadek.

Spina się cała u mego boku i nagle wiem, że w tej chwili przeżywa koszmarne wspomnienia. Oddycha płytko, nierówno. Teraz jednak sięgam po jej dłoń i obejmuję ją przez materiał. Wydaje się drobna i krucha, choć przecież wiem, że Ruby wcale taka nie jest.

– Co się stało?

– Uderzyła w nas większa łódź. Sternik w ogóle nas nie widział. Nasza rozpadła się na kawałki, tata został ciężko ranny. Doznał poważnego urazu kręgosłupa.

Leciutko ściskam jej dłoń.

– Od tego czasu jeździ na wózku. A ja panicznie boję się wody – dodaje.

Przeczuwam, że za tą historią kryje się o wiele więcej, ale nie drążę. To, co mi opowiedziała, wystarczy, by mieć pojęcie, co czuła, gdy Cyril wrzucił ją do basenu.

– Bardzo mi przykro – mówię i w tym momencie czuję się jak totalny dupek. Przed chwilą podzieliła się ze mną jednym ze swoich najbardziej traumatycznych wspomnień, a jedyne, na co mnie stać, to banalne frazesy.

– Już dobrze. Nie jesteś taki, jak twoi przyjaciele. – Wysuwa dłoń

z rękawa bluzy, nieśmiało szuka mojej. Nasze palce się splatają. Po chwili wahania przesuwam kciukiem po wierzchu jej dłoni.

– Nieprawda – mruczę niewyraźnie. – Jestem dokładnie taki sam, jak moi przyjaciele. A nawet gorszy.

Niemal niezauważalnie zaprzecza ruchem głowy.

– Teraz nie.

Resztę drogi spędzamy w przyjaznym milczeniu. Rozmyślam o tym, czego się przed chwilą dowiedziałem. W pewnym momencie Ruby zasypia, głowa opada jej na moje ramię. Przez cały czas trzyma mnie za rękę. Z namysłem muskam kciukiem jej skórę, która na szczęście znowu jest ciepła.

Po dwudziestu minutach dojeżdżamy pod jej dom. Wewnątrz ciągle pali się światło. Właściwie powinienem ją obudzić, ale nie mogę się na to zdobyć, nie teraz, gdy wygląda tak spokojnie.

– To miła dziewczyna, panie Beaufort – nagle z głośnika płynie głos Percy’ego. Pochyliam się do przodu, choć dzieli nas szyba. – Proszę tego nie zepsuć.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiadam.

Ale nie puszczam jej dłoni.

Ruby

Sobotę spędzamy z Ember w piżamach. Rodzice wybrali się do przyjaciół i korzystamy z okazji, że mamy całą kuchnię do dyspozycji – pieczemy ciasteczka czekoladowe. Upewniamy się właśnie, czy aby na pewno nie został już ani kawałek surowego ciasta, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Obie zamieramy w bezruchu i patrzymy na siebie przerażone. Wtedy błyskawicznie dotykam palcem czubka nosa. Ember jęczy rozpaczliwie, gdy dociera do niej, że przegrała, i biegnie do przedpokoju.

Chwilę później słyszę władczy, dobrze znany głos.

– Cześć, ty jesteś Ember? Ja jestem Lin. Gdzie twoja siostra? Natychmiast muszę z nią porozmawiać.

Nie zdążę nawet mrugnąć, a przede mną stoi Lin i podsuwa mi komórkę pod nos.

– Tylko mi nie mów, że to naprawdę ty.

W pierwszej chwili wpatruję się w nią z niedowierzaniem. Lin po raz pierwszy odwiedza mnie w domu. Do tej pory przyjeżdżała po mnie kilka razy, ale wtedy zawsze czekała w samochodzie na ulicy. Właściwie jej obecność powinna mnie zdenerwować. Jakkolwiek by było, chodzi do Maxton Hall i tym samym stanowi tę część mojego życia, którą za wszelką cenę chcę trzymać z daleka od rodziny. Ale im dłużej stoi w naszej kuchni, z tym większą jasnością dociera do mnie, że tak naprawdę jest odwrotnie. Cieszę się, że tu przyszła. Nasza niedawna kłótnia udowodniła mi, że jesteśmy nie tylko koleżankami ze szkoły, lecz możemy być dla siebie kimś więcej. Może najwyższy czas, żebym odważyła się nieco otworzyć.

Nie chcę odpowiadać, więc wsuwam do ust ostatni kawałek surowego ciasta. Lin robi kilka kroków w moją stronę, aż stoi tuż przede mną i podsuwa komórkę tak blisko mojej twarzy, że muszę się odchylić, żeby

w ogóle zobaczyć cokolwiek na ciemnej fotografii.

Widnieje na niej James, od tyłu, niesie kogoś na rękach – dziewczynę, która zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego klatkę piersiową. Nie widać, że to ja, ale i tak czuję, że się rumienię. Ciekawa jestem, ile jeszcze podobnych zdjęć krąży po szkole. I kto już je widział.

– Ruby? – pyta Lin, nagle nieco łagodniejszym głosem. – Co się wczoraj wydarzyło?

– Byłam na imprezie u Cyrila – odpowiadam w końcu. – Przecież ci mówiłam.

– Owszem, mówiłaś. Interesuje mnie, jak doszło do tego tutaj.

– Do czego niby? – pyta Ember i wyjmuję komórkę z ręki Lin. Otwiera usta z wrażenia, gdy widzi fotografię. – To naprawdę ty?

– Tak – przyznaję i z trudem przełykam ślinę. Liczyłam, że dzisiaj, w towarzystwie Ember, uda mi się rozerwać. Chciałam zapomnieć o wczorajszej nocy, chciałam uciec od zawrotów głowy. To, co się wczoraj wydarzyło... Sama nie wiem, co to było. Że już nie wspomnę o tym, że miałabym to ująć w słowa i jakoś przetrwać.

– Opowiadaj natychmiast, co się wczoraj wydarzyło – rzuca moja siostra tonem nieznoszącym sprzeciwu, który zdecydowanie odziedziczyła po naszej mamie.

Pochyłam się, żeby zajrzeć do piekarnika. Niestety ciasteczka nie są jeszcze gotowe i nie uratują mnie przed pytającymi spojrzeniami Lin i Ember. Wzdycham cicho, odkładam rękawicę na blat i kiwam głową w kierunku jadalni. Siadamy przy stole. Zaczynam opowiadać.

Kiedy kończę, obie przyglądają mi się z całkowicie różnymi minami. Lin jest przede wszystkim sceptyczna. Ember natomiast oparła podbródek na dłoni i uśmiecha się rozmarzona.

– Ten Beaufort wydaje się naprawdę fajny – wzdycha.

– Ale nie jest! – zauważa Lin z niedowierzaniem. – Ten koleś, o którym teraz opowiadałaś... To nie może być James Beaufort.

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami. Z perspektywy czasu mnie także wydaje się niemożliwe, że posunął się do tego, że wziął mnie w obronę przed swoimi przyjaciółmi, ale... tak właśnie było. I na tym nie koniec. Troszczył się o mnie. Pomógł mi się przebrać i zachowywał się przy tym jak dżentelmen. Trzymał mnie za rękę, gdy opowiadałam mu o tej sprawie z tatą.

Wczorajsza noc zmieniła wszystko między nami. Wyraźnie to czuję.

Przeszywa mnie dreszcz, gdy przypominam sobie jego wzrok i to, jak muskał palcami moją skórę. Drżałam, a James myślał, że cały czas jest mi zimno, chociaż wtedy już się rozgrzałam. Drzenie wywołało to, jak mnie dotykał, jakbym była z cieniutkiej, delikatnej porcelany.

– Dokładnie to miałam na myśli, kiedy ci mówiłam, że powinnaś uważać – mówi Lin, kręcąc głową, i tym samym ściąga mnie z powrotem na ziemię.

– Wiem – mamroczę. Chciałabym zapomnieć, co czułam, gdy zniknęłam pod wodą.

– Nie mieści mi się w głowie, że Cyril naprawdę to zrobił – ciągnie Lin. – Kiedy go zobaczę, oberwie za to.

Ma przy tym tak przejętą, rozczarowaną minę, że po raz kolejny zastanawiam się, czy Cyril nie jest dla niej kimś więcej niż tylko kolegą ze szkoły. Czy coś między nimi jest, a jeżeli tak – co dokładnie? Do tej pory nabierała wody w usta, ilekroć pojawiał się temat jej życia uczuciowego. Być może to odpowiedni moment, by spróbować raz jeszcze, delikatnie; jakby nie było, przed chwilą też się przed nią otworzyłam.

Jednak kolejne słowa Ember wyrywają mnie z zadumy.

– Na szczęście James tam był. – Jej oczy wyglądają, jakby za chwilę miały się zmienić w małe czerwone serduszka. – Cudownie, że cię wyniósł z tej imprezy. W ramionach!

Ja też nie mogę w to uwierzyć. Zwłaszcza kiedy pomyślę, jaki początkowo był zimny i arogancki. Nie dociera do mnie, że ten chłodny drań to ten sam chłopak, który wczoraj owijał mnie ręcznikami i delikatnie głaskał po plecach, aż przestałam dygotać. Ten sam James, który wywołał zamęt w moich myślach i ostatniej nocy odwiedził mnie w snach, w których jego ciepłe ręce dotykały mojej nagiej skóry.

Niedobrze. Niedobrze. Nie. Dobrze.

– Gdyby nie zdjęcie dowodowe, sama bym nie uwierzyła – zauważa Lin i wpatruje się w fotografię. – Jakim cudem typ, który na co dzień jest takim dupkiem, nagle zachowuje się jak rycerz?

– Najwyraźniej zauważył, że Cyril przekroczył pewną granicę i dlatego wkroczył do akcji. Co dowodzi, że jest w nim też coś dobrego – odpowiada Ember. Patrzy na mnie i nagle wyraz jej twarzy się zmienia. – Ojoj.

Lin podnosi głowę.

– Co jest? – patrzy na mnie i wzdycha głośno. – Ruby!

Najwyraźniej na mojej twarzy widać emocjonalny zamęt, który odczuwam.

– No dobra, ja sama nie wiem, okej? – przyznaję. – Właściwie go nie znoszę, ale... – Urywam i bezradnie wzruszam ramionami.

Ember ma taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale nagle zmienia zdanie.

– Zobaczmy, jak się mają nasze ciasteczka.

We trzy idziemy do kuchni, którą teraz wypełnia smakowity zapach. Wyjmujemy z Ember ciastka z piekarnika, a Lin układa je symetrycznie na wielkim półmisku. Kiedy wracamy do jadalni, trąca mnie łokciem w bok.

– Nie ma nic złego w tym, że pociąga cię ktoś, kogo tak naprawdę nie znosisz.

Kusi mnie, żeby ją zapytać, czy wie to z autopsji. Ale jeśli chodzi o jej życie uczuciowe, Lin jest tak skryta, że nie zdobywam się na to i mówię tylko:

– Tak uważasz?

Kiwa twierdząco głową.

Moje myśli od razu wracają do Jamesa. Czuję łaskotki w dłoni, tam, gdzie jej dotykał, a kiedy przypominam sobie, jak się przy mnie rozbierał, w moim żołądku wzbiera fala gorąca.

– Chociaż nadal nie do końca do mnie dociera, że to akurat Beaufort. Pieprzony król całej szkoły – mamrocze Lin i opada na kanapę.

– Też nie wiem, jak do tego doszło – przyznaję i sięgam po ciasteczko. Właściwie jest jeszcze za gorące, ale i tak odgryzam spory kęs, żeby nic więcej nie mówić.

– Słuchaj, jeżeli naprawdę tak się o ciebie troszczył, ma moje błogosławieństwo – podsumowuje moja siostra i też sięga po ciastko. Krzyżuje nogi w kostkach i kładzie je na stoliku. – I co teraz? Rozmawialiście już? Od wczoraj?

Przecząco kręcę głową.

– Szczerze mówiąc, liczyłam dzisiaj na przyjemny dzień w towarzystwie siostry.

Ember prostuje się jak piesek preriowy.

– Musisz się do niego odezwać!

Wodzę wzrokiem między nią a Lin.

– Słuchajcie, między nami nic nie ma. Jesteśmy tylko... przyjaciółmi. – Dziwnie się czuję, nazywając Jamesa przyjacielem, ale w tej chwili nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Jasne. Napisz do niego teraz – zachęca Lin. Z głośnym westchnieniem wyjmuję komórkę z kieszeni spodni. Przez chwilę zastanawiam się, co napisać, aż w końcu decyduję się na najprostsze.

Dziękuję – R.J.B.

Wysyłam wiadomość i wsuwam telefon między poduszki kanapy, żeby na niego nie patrzeć.

– Co mu napisałaś? – dopytuje Ember.

– Podziękowałam mu.

Lin marszczy nos i w końcu i ona sięga po ciastko. Łamie je na cztery części i unosi jedną do ust. Rzadko się zdarza, żeby Lin pozwoliła sobie na coś słodkiego. Bardzo dba o zdrowe odżywianie i odmawia sobie właściwie wszystkiego, co smaczne. Uważam za osobistą porażkę, że do tej pory nie udało mi się przekonać jej, że życie z czekoladą jest o wiele przyjemniejsze.

Mój telefon wibruje. Sporo mnie kosztuje, by od razu po niego nie sięgnąć. Byłoby mi wstyd przed Lin i Ember, że chwytam go tak nerwowo.

Na szczęście żadna z nich nie słyszy, jak szaleńczo bije mi serce, gdy w końcu odblokowuję wyświetlacz i czytam wiadomość.

Nie powiedziałaś mi jeszcze, co oznacza J – J.M.B.

Odpisuję natychmiast.

Zgadnij – R.J.B.

James – J.M.B.

Straszny z ciebie egocentryk, nie uważasz? – R.J.B.

Jenna – J.M.B.

Nie – R.J.B.

Jemima – J.M.B.

Imponuje mi, że odgadłeś już za trzecim razem – R.J.B.

Przez dłuższą chwilę nie odpisuje. Wpatruję się w ciemny wyświetlacz, świadoma ciekawych spojrzeń Ember i Lin. Właściwie sama nie wiem, na co czekam, póki po kilku minutach moja komórka nie ożywa ponownie.

Lepiej się czujesz?

Koniec z inicjałami. Koniec z żartami. Nagle całkiem zasycha mi w gardle. Nie chcę myśleć o wczorajszym wieczorze, nie chcę myśleć o wodzie ani o tym, że skompromitowałam się przed znaczną częścią szkoły, bo wpadłam w panikę. Przede wszystkim zaś nie chcę myśleć o poniedziałku i o tym, co mnie czeka.

Boję się poniedziałku. Robili nam zdjęcia.

Ember i Lin rozmawiają o czymś, co nie ma nic wspólnego ani z Jamesem, ani z imprezą. Moja siostra włącza telewizor. Wyjmuje płytę DVD z szafki i wsuwa do odtwarzacza. Jestem im wdzięczna, że zostawiają mnie samą, zwłaszcza kiedy czytam kolejną wiadomość Jamesa.

Nie przejmuj się. Na zdjęciu widać tylko moje mokre plecy.

Wstrzymuję oddech. Czy chciał powiedzieć tylko to, co napisał, czy to zawołany flirt? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że chcę, żeby nadal tak było między nami.

Przynajmniej taka korzyść z tej fotografii.

Długo czekam na jego reakcję. Tak długo, że zaczynam żałować, że to napisałam. Jesteśmy już niemal w połowie filmu, gdy mój telefon wibruje po raz kolejny.

Ruby Bell, czy mi się zdaje, czy ty ze mną flirtujesz?

Na moich ustach pojawia się uśmiech. Ukrywam go w połach szlafroka. A potem wyłączam komórkę i ze wszystkich sił koncentruję się na filmie.

Ruby

Kiedy w poniedziałek wysiadam ze szkolnego autobusu, James opiera się o ogrodzenie przy boisku i wita mnie krzywym uśmiechem.

Po tym, co tydzień temu wydarzyło się w firmie jego rodziców, nie przyszłoby mi do głowy, że się ucieszę, widząc, jak rano na mnie czeka.

– Cześć – zaczynam zdyszana, gdy zatrzymuję się przed nim.

Uśmiecha się nieco szerzej. Najwyraźniej on także cieszy się na mój widok.

– Cześć.

Wędruje wzrokiem po mojej twarzy i ponownie zjawia się to nieznane uczucie w żołądku. Zastanawiam się, czy także teraz poczułabym ten sam dreszcz, gdyby mnie dotknął, jak wtedy, w piątek. Szybko odpycham tę myśl w najdalszy zakamarek umysłu.

– Jesteś moim ochroniarzem?

Z jego twarzy nie znika uśmiech.

– Pomyślałem sobie, że pójdziemy razem na apel i tym samym ochronimy cię przed pytaniami. – Kiwa głową w kierunku szkoły i zaczyna iść. Wsuwam palce w szelki plecaka i ruszam za nim.

– Jak... Jak ci minęła reszta weekendu? – pytam z wahaniem.

– Mieliśmy wczoraj rodzinny obiad.

Tylko tyle. Zerkam na niego z ukosa. Wychwytuje moje spojrzenie i z jego twarzy powoli znika uśmiech.

– Odwiedziła nas moja ciotka Ophelia. Nie przepadają za sobą z moim ojcem.

Na chwilę zapiera mi dech w piersiach, że powiedział coś tak osobistego. Nie spodziewałam się tego, zwłaszcza nie po tym, jak wspominał, jak boleśnie jego i jego siostrę w przeszłości zranili ludzie, którym zaufali.

Z drugiej strony w piątek ja także zdradziłam mu coś o sobie. Chyba zauważył, że nie przyszło mi to łatwo. Być może w tej chwili czuje się tak samo, jak ja. Może on także zauważył, że coś się zmieniło, i nie chce, żebyśmy wrócili do napięcia i stresu, które towarzyszyły nam dawniej.

Kiełkuje we mnie nadzieja. Co prawda nie mam pojęcia, jak nazwać to, co nas połączyło: czy to przyjaźń, coś mniej, coś więcej? Ale chętnie się tego dowiem, krok po kroku.

– Była kłótnia?

James wbija ręce w kieszenie.

– Nasze spotkania rodzinne nigdy nie przebiegają w przyjaznej atmosferze. Firma Beaufort tak naprawdę należy do mojej matki i jej siostry. Ale od ślubu moich rodziców ojciec przejął sporą część władzy i zmienił sposób zarządzania holdingiem, co nie wszystkim się podoba, a już na pewno nie Ophelii – tłumaczy.

– Ona też pracuje w firmie? – pytam zaciekawiona.

James potwierdza ruchem głowy.

– Tak, ale nie ma prawa głosu, jeśli chodzi o główny nurt działalności. Jest o pięć lat młodsza od mojej mamy i dlatego zawsze trzymano ją nieco na uboczu. Zajmuje się przede wszystkim firmami córkami i tymi, w których rodzice kupili udziały.

Zastanawiam się, jak czułaby się Ember, gdyby rodzice zostawili nam w spadku firmę, ale ona, jako młodsza, nie miałaby prawa głosu. Nic dziwnego, że podczas rodzinnych spotkań Beaufortów atmosfera robi się gęsta.

– Ostatnio nie podobało jej się sporo decyzji, w związku z czym atmosfera była co najmniej trudna. Ale... nie było tak źle. Bywało gorzej – dodaje ze wzruszeniem ramion. Razem skręcamy w alejkę prowadzącą do Boyd Hall.

Wyprzedza nas dziewczyna, z którą chodzę na historię. Na nasz widok szeroko otwiera oczy. Zaciskam palce na szelkach plecaka i z trudem przełykam ślinę. Mimo tego dumnie unoszę głowę i odwzajemniam jej spojrzenie, aż odwraca się na pięcie i szybko odchodzi.

– Nie tak bojowo – zauważa James i szturcha mnie barkiem.

– A co niby mam robić? Gapiła się na mnie, więc odpowiedziałam tym samym.

James zachodzi mi drogę, tak że nie mogę iść dalej.

– Za bardzo się przejmujesz, a powinno być ci to obojętne. Niech sobie

gadają, co chcą.

– Ale nie jest.

– I co z tego? Nie muszą o tym wiedzieć. Wystarczy, żebyś sprawiała wrażenie, że to cię nie obchodzi. Wtedy dadzą ci spokój.

Nagle zmienia się wyraz jego twarzy; współprzymknięte powieki, rozluźnione czoło, kąciki leciutko uniesione. Ta mina krzyczy: mam wszystko w dupie. Wygląda z nią tak arogancko, że najchętniej potrząsnęłabym nim z całej siły.

– Wyglądasz, jakbyś prosił się o lanie.

– Wyglądam, jakby lanie mi zwisało. I na tym polega różnica – odpowiada i patrzy na mnie. – Teraz ty.

Usiłuję powtórzyć jego minę. Sądząc po drgających kącikach jego ust, nie bardzo mi to wychodzi.

– No dobra, może na początku wystarczy, kiedy nie będziesz patrzyła na wszystkich wokół tak, jakbyś chciała spalić ich wzrokiem.

Idziemy dalej. Biorę sobie jego słowa do serca. Mimo to denerwuję się coraz bardziej, w miarę jak zbliżamy się do szkoły. Tuż przed wejściem James delikatnie gładzi mnie po głowie. Trwa to sekundę, nie dłużej. Zapewne chce mi dodać odwagi, ale nagle denerwuję się z zupełnie innego powodu. Nie wiem, jak on to robi, ale wystarczy najmniejszy dotyk, by mój świat zachwiał się w posadach. To dla mnie zupełnie nowe uczucie, inne i dziwne. Ale też na swój sposób piękne.

– Beaufort! – rozlega się za nami. Wzdrygam się odruchowo. Pozostali uczniowie omijają nas, śpiesząc się na apel. Zatrzymujemy się. James odwraca się, a ja, wbrew sobie, idę w jego ślady.

Wren i Alistair biegną po schodach i zatrzymują się przy nas.

– Cześć, Ruby. – Wren, niemal zmieszany, drapie się w tył głowy. – Sorry za piątek.

Nie jestem pewna, czy przeprosza tylko za tę sytuację z basenem, czy także za to, jak mnie potraktował na początku imprezy. Nie mogę go o to zapytać, jeżeli nie chcę, żeby James się o wszystkim dowiedział. Przeprosza mnie zapewne tylko ze względu na Jamesa, ale i tak mnie to cieszy. Kiwam więc głową i mówię:

– Nie ma sprawy. W końcu nie ty wrzuciłeś mnie do basenu.

Wren uśmiecha się zdumiony, jakby spodziewał się zupełnie innej reakcji.

Niemal odruchowo wędruję wzrokiem do Alistaira, który przygląda mi się

bez słowa. Wystarczy jedno spojrzenie, bym wiedziała, że doskonale zdaje sobie sprawę, że to ja przyłapałam go z Keshem w bibliotece.

Uśmiecham się ostrożnie, ale on nie odwzajemnia grymasu. Jego usta przypominają wąskie kreski bez śladu krwi.

– Wchodzimy? – rzuca i patrzy przed siebie. Nie protestujemy. Razem pokonujemy ostatnie stopnie.

Kiedy wchodzimy do Boyd Hall, apel właśnie się zaczął. Dyskretnie zajmujemy miejsca z tyłu sali. Mimo tego czuję na sobie spojrzenia innych uczniów, gdy rozchodzi się wiadomość, kto tego ranka towarzyszy Jamesowi Beaufortowi. Coraz więcej głów odwraca się w naszą stronę. Tymczasem dyrektor Lexington wychwala pod niebiosa drużynę lacrosse za piątkowe zwycięstwo.

Odwazam się spojrzeć na Jamesa, jednak w jego twarzy nie widać żadnych emocji, niczego, co sugerowałoby, że ciekawskie spojrzenia i szept wokół nas sprawiają mu przykrość. Przełykam więc ślinę, zaciskam usta w wąską kreskę i staram się go naśladować.

Po apelu James i Wren idą na matematykę, a Alistair i ja do wschodniego skrzydła, na zajęcia z historii sztuki. Zanim się rozstajemy, James szepcze mi do ucha:

– Pomyśl o laniu.

Choć to niewinne słowa, czuję, jak się rumienię. Nie zwracam na to uwagi i idę za Alistairem, który już ruszył w kierunku sali. Atmosfera między nami jest cały czas napięta i uważam, że powinnam coś powiedzieć. Ale mimo najszczęśliwszych chęci, nie mam pojęcia co.

Alistair podejmuje tę decyzję za mnie. Zanim wchodzimy do sali, zatrzymuje się i chwytając mnie za ramię, odciąga na bok i patrzy z poważną miną.

– To, co widziałas w piątek wieczorem... – zaczyna i urywa. Obserwuje grupę uczniów, która wyłania się zza rogu. Kiwa im głową z fałszywym uśmiechem i czeka, aż nas miną i znikną w sali. Dopiero wtedy wraca do mnie spojrzeniem. – Nie możesz nikomu o tym powiedzieć.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam równie cicho.

– Nie, Ruby, nie rozumiesz. Musisz mi to obiecać. Przysięgnij, że nikomu o tym nie powiesz – nalega szeptem.

– Skąd pomysł, że miałabym to zrobić? – odpowiadam.

– Ja... Chodzi o to, że... – Znowu urywa, bo mijają nas kolejna grupka

uczniów. – Keshav nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział.

Widzę po jego wzroku, ile go kosztuje, żeby to powiedzieć. I nagle nie jest już tym samym aroganckim, bogatym gnojkiem, który atakuje przeciwników na boisku lacrosse. Nagle wydaje się bardzo młody i bardzo wrażliwy.

W sumie nic dziwnego. Niełatwo jest być z kimś, kto cię ukrywa jak wstydlivy sekret.

– Nikomu nie powiem, Alistair. Przysięgam.

Kiwa głową i przez chwilę widzę ulgę na jego twarzy, ale potem jej wyraz znowu się zmienia. Patrzy na mnie pogardliwie.

– Jeżeli się dowiem, że jednak komuś powiedziałaś, zamienię twoje życie w piekło.

Z tymi słowami wchodzi do klasy, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem.

Reszta dnia mija lepiej, niż się spodziewałam. Kilka osób przygląda mi się dziwnie i szepcze za moimi plecami, ale nikt nie odważył się do mnie odezwać ani zapytać o piątek. Najwyraźniej poranne towarzystwo Jamesa poskutkowało.

Podczas przerwy obiadowej jak zwykle siadam razem z Lin. Przynajmniej do pewnej chwili wszystko toczy się normalnie, póki ktoś nie podchodzi do naszego stolika.

– Można? – pyta Lydia Beaufort.

Obie z Lin odwracamy głowę i przyglądamy się jej. Wskazuje krzesło obok Lin.

– Tak? – odpowiadam, choć brzmi to raczej jak pytanie.

Lydia bez wahania siada naprzeciwko mnie, rozkłada sobie serwetkę na kolanach i zaczyna jeść. Lin zerka na mnie pytająco, ale w odpowiedzi tylko wzruszam ramionami. Nie mam pojęcia, co tu robi siostra Jamesa. Czyżby przekazał jej obowiązek otaczania mnie opieką? Albo zdecydowała się wcielić w życie swoje postanowienie z piątku i osobiście mieć mnie na oku.

Zerkam na Jamesa, który na drugim końcu stołówki siedzi w towarzystwie przyjaciół. Może się mylę, ale wydaje mi się, że atmosfera przy ich stole jest mniej bez troska niż zwykle. James i Alistair dyskutują o czymś z przejęciem, Keshav bawi się telefonem, a Wren czyta książkę. Tylko Cyrila nigdzie nie widać.

– Nie wie, że z wami usiadłam – mówi nagle Lydia. Wyciera usta serwetką i upija łyk wody. – Posłuchaj, chciałam cię przeprosić za piątek.

– Przecież nic nie zrobiłaś – zauważam zdumiona.

Kręci głową.

– I ja, i moi przyjaciele przesadziliśmy.

– I dlatego jesz z nami obiad? – pyta Lin sceptycznie.

Lydia wzrusza ramionami.

– Widziałam, jak się czają. Póki tu siedzę, nikt do was nie podejdzie. – Wskazuje grupę uczniów, którzy przyglądają się nam ciekawie. Kiedy widzą, że się do nich odwracam, uciekają wzrokiem w inną stronę i pogrążają się w rozmowie.

– A poza tym chciałam cię zapytać, jak się czujesz – dodaje Lydia.

Nie jestem w stanie ukryć zaskoczenia. Kiedy przypomnę sobie naszą ostatnią wymianę zdań, mam przed oczami jej nieufne spojrzenie. Nie robiła wrażenia osoby, którą obchodzi moje samopoczucie, i odruchowo zastanawiam się, czy naprawdę do naszego stolika przyciągnęła ją troska o mój stan po piątkowej kąpieli. Mimo tego postanawiam odpowiedzieć szczerze na jej pytanie.

– Wolałabym, żeby do tej sytuacji nie doszło. Ale czuję się już dobrze.

– Cyril czasami nie wie, kiedy przestać – mówi.

Wzruszam ramionami.

– Ale znam go od dziecka. On naprawdę uważał, że to zabawne – tłumaczy go.

– Akurat „zabawne” to ostatnie słowo, którym można to określić – zauważa Lin i nie potrafi ukryć zdumienia, gdy Lydia kiwa głową.

– Przesadził. Sama mu to powiedziałam.

Zaskoczona podnoszę głowę znad talerza zupy.

– Naprawdę?

– Tak, oczywiście.

W pierwszej chwili nie wiem, co powiedzieć. W końcu decyduję się na:

– To miło z twojej strony. Dziękuję.

Lydia uśmiecha się do mnie i ponownie pochyla nad makaronem.

Patrzymy na siebie z Lin. Po raz kolejny dyskretnie wzruszam ramionami, a potem i my zajmujemy się jedzeniem. Po chwili Lin zaczyna opowiadać o swoim ranku, który zaczął się fatalnie, bo jej samochód nie chciał zapalić. Początkowo wydaje mi się dziwne tak sobie gawędzić w towarzystwie Lydii, ale włącza się do rozmowy, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, i w końcu przestaje się zastanawiać, co nią kieruje. Może naprawdę chce po

prostu być miła i mnie przeprosić. Nie ona pierwsza w tej rodzinie stanowiłaby dla mnie zaskoczenie.

Po jedzeniu sięgam do plecaka i wyjmuję metalową puszkę, którą stawiam pośrodku stołu.

– Ciasteczka z weekendu – oznajmiam i zdejmuję wieko. – Deserek?

W oczach Lydii pojawia się błysk.

– Sama je upiekłaś?

– Z Lin i moją siostrą – odpowiadam. – W sobotę, w pizamie.

– Brzmi cudownie – odpowiada i sięga po ciastko. – O wiele lepiej niż moja sobota. – Wbijają w nie zęby i żuje nabożnie. – Rany, naprawdę pyszne.

– Dziękuję. – Uśmiecham się. – James mówił, że mieliście gości.

– Tak, to zawsze jest... wyjątkowe wydarzenie. Szczerze mówiąc, wolałabym spędzić ten dzień w pizamie.

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie Lydii w pizamie; gdy tylko próbuję, chce mi się śmiać.

Po obiedzie idziemy z Lin przygotować dzisiejsze posiedzenie komitetu. Piszę plan na tablicy, a ona rozkłada notatki, które wydrukowałam w sekretariacie. Później czekamy na pozostałych, którzy powoli się schodzą.

James jak zwykle siada przy oknie. Kładzie przed sobą czarny notes i krzyżuje ręce na piersi. Ten znajomy widok sprawia mi ból, bo uświadamia mi, że bez względu na to, czy się dogadujemy, czy nie, nie jest tu z własnej woli. Przeciwnie, będąc tutaj, nie może trenować lacrosse i tym samym jest to kara, której nie znosi.

– Ruby? – Nie wiadomo kiedy poszedł do mnie Kieran.

– Tak? – Podnoszę na niego wzrok. Kieran jest tylko odrobinę ode mnie wyższy. Ciemne włosy opadają mu na twarz. Odgarnia je na bok.

– Chciałem zapytać, czy po zebraniu masz chwilę. Znalazłem sporo zespołów muzycznych i chciałbym je z tobą przejrzeć, zanim wybierzemy najlepszą trójkę.

– Zaraz zobaczę – mówię i zaglądam do kalendarza. Nie ma w nim nic poza planowaniem urodzin z rodzicami. – Jasne.

Kieran uśmiecha się z ulgą.

– Super.

Wraca na swoje miejsce, na ukos od Jamesa. Nasze spojrzenia się krzyżują. Na ustach Jamesa pojawia się drwiący uśmiech, gdy wodzi wzrokiem między mną a Kieranem.

– Co jest? – pytam bezgłośnie.

James sięga po telefon. Po chwili rozjaśnia się mój wyświetlacz.

Leci na ciebie.

Przewracam oczami i nie zwracam na niego uwagi.

– No dobra, kochani. Mówcie, co macie – zaczyna Lin i wskazuje Jessalyn, siedzącą po jej prawej stronie.

– Mam różne oferty dekoracji. Zwłaszcza jedna z tych firm, które nam poleciłeś, złożyła naprawdę interesującą propozycję. – Jessa puszcza w obieg folder. – Dzięki za namiary, Beaufort.

Zdumiona zerkam na Jamesa, który kiwa głową. Zważywszy na to, jak często ucieka wzrokiem w okno, na boisko, nie spodziewałam się, że cokolwiek zrobi. A tym bardziej, że ja o tym nie wiem.

– Przygotowałem kilka projektów zaproszeń – odzywa się Doug i wręcza Lin pendrive. Ta podłącza go do komputera i otwiera prezentację. – Pierwszy projekt to klasyka, nawiązuje do zaproszenia z zeszłego roku.

Patrzę na pozłacane litery na czarnym tle, ale zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, odzywa się Camille:

– Wydawało mi się, że chcemy się zdecydowanie odciąć od zeszłorocznego przyjęcia.

Pozostali kiwają twierdząco głowami.

– Dobrze, przejdźmy więc do drugiej propozycji – mówi Doug i daje Lin znak, by klikała dalej.

Kolejne zaproszenie jest utrzymane w ostrych, jaskrawych kolorach typowych dla Halloween.

– Szczerze mówiąc, nie wygląda to tak elegancko, jak sobie wyobrażałem wiktoriański bal – zauważa Kieran po chwili wahania.

Przytakuję mu.

– Niestety, Kieran ma rację.

Doug zerka na Lin. Klika dalej.

Po sali rozchodzi się szept. Prostuję się gwałtownie. W następnej chwili pochylam się nad ekranem i wpatruję w zaproszenie spod zmrużonych powiek.

Przypomina stary papier. Napis jest stylizowany na stary, ale wyraźnie czytelny, a pod nim... jestem ja. Z Jamesem, który pochyła się nad moją dłońią, jakby zapraszał mnie do tańca.

To jedno ze zdjęć, które powstały tamtej soboty, w Londynie. Nie mieści

mi się w głowie, że James bez mojej wiedzy przesłał je Dougowi. Odrywam wzrok od ekranu i patrzę na Jamesa. Odwzajemnia moje spojrzenie błyszczącym wzrokiem.

– Fantastyczne – mówi Jessa po chwili. Pozostali entuzjastycznie jej wtórują. – Ta suknia jest po prostu boska. Nie masz ich przypadkiem więcej? – rzuca do Jamesa.

Ten zaprzecza ruchem głowy.

– I tak dobrze, że udało mi się cokolwiek załatwić.

– Doug, zaproszenie jest fenomenalne. – Lin odwraca się do ekranu, by zobaczyć je w pełnej okazałości. Cofa się o kilka kroków. – Ale napis możemy odrobinę unowocześnić. Może inny font?

– Zgadza się – wtóruję jej i mam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać, jak bardzo fotografia zbiła mnie z tropu. Jeżeli wybierzemy ten wzór, moja twarz będzie wisiała w całej szkole, ba, w całym Pemwyck. Nie wiem, czy jestem na to gotowa. Niestety nie mam na to wpływu, wszyscy są zachwyceni i ustalają, że skorzystamy z usług tej samej drukarni, co ostatnio.

Ponownie wracam wzrokiem do fotografii. Patrzę na Jamesa w wiktoriańskim stroju, na moją dłoń w jego ręce. Kiedy sobie przypominam, jak się czułam, będąc tak blisko niego, jak bardzo iskrzyło powietrze między nami, robi mi się gorąco. Aż do końca spotkania nie śmiem nawet na niego spojrzeć.

Po zebraniu Jessa, Camille i Doug żegnają się i wychodzą. Kieran podchodzi do mnie i razem pochylamy się nad komputerem Lin, żeby obejrzeć wybrane orkiestry. Jednocześnie kątem oka widzę, jak Lin zbliża się do Jamesa. Siada obok niego i zaczyna coś mówić. Ze zmarszczonym czołem obserwuję, jak kiwa głową i pisze coś w notesie. Dopiero po dłuższej chwili zdaję sobie sprawę, że Kieran coś do mnie mówi.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

– Że to będzie najlepsza impreza, jaką kiedykolwiek zorganizowaliśmy w Maxton Hall – odpowiada z uśmiechem.

– Oby. Już bardzo długo nad nią pracujemy. Nie mogę się doczekać, kiedy to się wreszcie wydarzy.

– Ja też nie. Musisz mi obiecać jeden taniec. – Cały czas patrzy na mnie zza czarnych rzęs. Z trudem przełykam ślinę.

Leci na ciebie.

Lin powtarza mi to od wielu miesięcy. Czyżby miała rację? Do tej pory

Kieran był dla mnie tylko ambitnym małym wampirem, młodszym od nas o rok. Myślałam, że jest dla mnie miły, bo ma nadzieję, że polecę go na swoje miejsce w przyszłym roku. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że mogę mu się podobać.

Nagle uświadamiam sobie, jak blisko mnie siedzi; nasze kolana niemal stykają się pod stołem. Odsuwam się i zaraz jestem na siebie wściekła. Sytuacja jest bardzo niewinna. Dlaczego pozwalam, by słowa Jamesa wyprowadziły mnie z równowagi? Posyłam mu mordercze spojrzenie akurat w chwili, gdy na mnie patrzy. W przeciwieństwie do mnie nie robi tego ukradkiem, lecz bardzo otwarcie. Najchętniej pokazałabym mu język, ponieważ jednak nie byłoby to zbyt dojrzałe zachowanie, obdarzam Kierana promiennym uśmiechem i kiwam głową.

– Ależ oczywiście. Tylko muszę jeszcze sama nauczyć się tańczyć.

– Pokażę ci na próbie – obiecuje Kieran i dałabym sobie rękę uciąć, że dostrzegam rumieniec na jego policzkach.

A niech to.

Ruby

W sobotę budzę się już o szóstej, i to bez budzika, jak zawsze w swoje urodziny. Nie mogę spać, tak bardzo cieszę się na niespodziankę, którą wymyślili dla mnie rodzice. Mama pracuje w piekarni i tego dnia zawsze przynosi do domu najpyszniejsze ciasto na świecie, a tata przygotowuje uroczystą kolację i razem ze mną albo z Ember dekoruje cały dom. Już o siódmej słyszę, jak się krzątają, i usiłuję sobie wyobrazić, co szykują. Jakkolwiek by było, osiemnaście lat kończy się tylko raz.

Zamykam oczy i staram się wyczuć, czy coś się we mnie zmieniło, ale chyba nie. Lin w sierpniu mówiła to samo. Tak przynajmniej twierdziła, gdy po jej urodzinowym przyjęciu ogrodowym leżałyśmy na trawie i gapiłyśmy się w gwiazdy.

Przewracam się na bok i sięgam po komórkę. Jessa już przysłała mi smsa z życzeniami, Lin o wpół do drugiej w nocy zostawiła dwie wiadomości na poczcie głosowej. Odsłuchuję je. Śpiewa *Happy Birthday* i życzy mi wszystkiego najlepszego, a na zakończenie zapewnia, że obie dostaniemy się do Oksfordu i że nie może się już tego doczekać.

Wstaję, ubieram się, siadam przy biurku i z nudów przeglądam kalendarz. Dokładnie za tydzień odbędzie się impreza halloweenowa. Mam wrażenie, że szykujemy ten bal całą wieczność. W piątek rano przysłano gotowe plakaty z drukarni. Czas przewidziany na zebranie komitetu spędziliśmy, rozwieszając je na korytarzach.

Niepotrzebnie się martwiłam. Nikt nie skomentował zdjęcia mojego i Jamesa, nikt się ze mnie z tego powodu nie nabijał. Wręcz przeciwnie – spotykałam się głównie z bardzo pozytywnymi reakcjami. Dyrektor Lexington nawet do mnie napisał, że także osobom z zewnątrz plakat i zaproszenie bardzo przypadły do gustu.

Nadal nie przyzwyczaiałam się, że teraz już chyba całe Maxton Hall wie, jak się nazywam. Dziwnie się czuję, gdy co chwila ktoś się ze mną wita na korytarzu albo zaprasza do swojego stolika w stołówce. Staram się jednak nie dawać po sobie poznać, że to zbija mnie z tropu, tylko zachowywać się normalnie, jakby cała ta nagła popularność była mi obojętna. Przecież James robi to samo. Udaje, że nic go nie obchodzi, choć teraz już wiem, że jest inaczej.

Niejako odruchowo wracam myślami do poniedziałku. To się zmieni. Jest tak bardzo zamknięty w sobie, a przyglądał mi się tak przenikliwie. Jakby w tej chwili na całym świecie najważniejsze było przekonać mnie, że mówi poważnie.

Potrząsam głową, żeby odepchnąć od siebie myśli o Jamesie. Kiedy jednak ponownie opuszczam wzrok na kalendarz, przeszywa mnie dreszcz.

James.

Napisałam jego imię, a nawet tego nie zauważyłam! Robi mi się gorąco. Sięgam do piórnika po korektor. Zaczynam zamalowywać pierwszą literę, potem jednak odkładam malutką tubkę i muskam napisane słowo. Czuję łaskotanie w opuszkach palców. To nie jest dobry znak. Już od kilku dni zastanawiam się, co to właściwie znaczy. Jakkolwiek by było, to ciągle jest... on. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że coś się zmieniło. Już od dawna na jego widok wypełniają mnie nie wściekłość i nieufność, lecz coś innego. Coś ciepłego i ekscytującego. Uśmiecham się wtedy odruchowo, bo cieszę się, że go widzę. Bo jego towarzystwo sprawia mi przyjemność. Bo jest bystry, inteligentny i dobrze się przy nim czuję. Bo jest zagadką, którą za wszelką cenę chcę rozwiązać.

W życiu bym się nie spodziewała, że do tego dojdzie, ale... już nie gardzę Jamesem Beaufortem. Jest wręcz przeciwnie.

Drzwi do mojego pokoju otwierają się i do środka zagląda Ember. Przyłapaną na gorącym uczynku, energicznie zamykam kalendarz.

Ember zerka na niego podejrzliwie, jakby wiedziała, że zapisałam coś megawstydliwego, zaraz jednak z szerokim uśmiechem podbiega do mnie, chwyta za rękę i ściąga z krzesła.

– Dziwię się, że jeszcze nie usiłowałaś zejść na dół – mówi. Ciągnie mnie za rękę, chociaż wcale nie musi tego robić – idę za nią z największą przyjemnością.

Wychodzimy z mojego pokoju. Obejmuję ją w talii i przyciągam do siebie.

– Dzisiaj musisz spełniać wszystkie moje życzenia.

Choć jestem bardzo szczęśliwa, zauważam, że w tej chwili w mojej radości pojawia się także kropla goryczy. To ostatnie urodziny, które spędzam w domu, z rodziną, z Ember. Kto wie, gdzie będę w przyszłym roku. Naprawdę w Oksfordzie? Z Lin u boku? Czy może całkiem sama? A jeżeli się nie dostanę? Dokąd wtedy pójde?

Ember nie pozwala mi pogрузić się w myślach, bo ledwie skręcamy w prawo, do salonu, oznajmia:

– Jubilatka!

Głośno nabieram powietrza w płuca.

– Niespodzianka! – krzyczą wszyscy.

Zakrywam usta dłonią i czuję, jak łzy zbierają mi się pod powiekami. Rzadko płaczę, jeżeli już, sama w moim pokoju, żeby nikt mnie nie widział. Ale na widok dziadków, ciotki i wujka, kuzyna i rodziców, którzy razem śpiewają mi *Happy Birthday*, nie jestem w stanie się opanować.

Pokój wygląda przepięknie. Tata i Ember w tym roku przeszli samych siebie. Pod sufitem kołyszają się białe, niebieskie i miętowozielone pompony, girlanda w tych samych kolorach dekoruje stół w jadalni, a nieco dalej, na ławie, na której piętrzą się prezenty dla mnie, dostrzegam także dwa miętowozielone balony w kształcie cyfr jeden i osiem.

Przez kolejne pół godziny czuję się jak w transie. Wszyscy składają mi życzenia, obejmują, pytają, jak się czuję, i oczywiście wręczają prezenty. Od wujka Toma, ciotki Trudy i kuzyna Maxa dostaję zbiorowe wydanie *My Hero Academia*, mangi, którą już od dawna chciałam przeczytać, od Ember nowe flamastry i śliczne naklejki do mojego kalendarza, a od dziadków dwie książki, które znajdują się na oksfordzkiej liście lektur. Rodzice wręczają mi nowy dysk zewnętrzny do laptopa, o którym marzyłam, odkąd mój komputer na początku roku bez żadnego konkretnego powodu wyzionął ducha.

– A to od kogo? – pytam i wskazuję sporą paczkę, która ciągle leży na stole.

– Od tajemniczego wielbiciela – odpowiada mama i znacząco porusza brwiami.

Sceptycznie wodzę wzrokiem między nią i tatą, który tylko wzrusza ramionami.

– Przyszło pocztą – dodaje Ember.

– Nie ma nadawcy? – dziwię się i podejrzliwie mierzę wzrokiem czarne

pudełko z niebieską wstążką.

– Błagam cię, przecież i tak wszyscy wiemy, od kogo to dostałaś – zauważa moja siostra.

– Jezu, chyba nie powiesz, że masz chłopaka – woła kuzyn Max i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Tak! – krzyczy Ember.

– Nie! – krzyczę ja.

– Otwórz to w końcu – prosi ciotka Trudy. Pochyliła się nad moim ramieniem, wyciąga rękę, jakby sama chciała pociągnąć za wstążkę, więc w ostatniej chwili zabieram pakunek. Siadam z nim na kanapie.

Powoli rozwiązuję wstążkę. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich i spoglądam na nich znacząco, żeby dali mi spokój. Niestety bezskutecznie. W pokoju panuje cisza jak makiem zasiał. Z głośnym westchnieniem unoszę wieko pudełka.

Znajduje się w nim torba. Wstrzymuję oddech, gdy ją wyjmuję i kładę sobie na kolanach. Jest z ciemnobrązowej, gładkiej skóry, ma pasek o regulowanej długości i dwie kieszonki na przodzie, pod dużą klapą. Unoszę ją ostrożnie. Wewnątrz wyłożono ją materiałem w niebiesko-zieloną kratę. Dostrzegam mnóstwo przegródek, w tym specjalną kieszeń na laptopa i mniejsze po bokach, zamykane na suwak, i sporą przestrzeń pośrodku.

Z taką torbą mogę podbić cały świat, jestem tego pewna. Zamykam ją ostrożnie i głaszczę drogą skórę. Dopiero wtedy zauważam coś, co wcześniej mi umknęło. W prawym dolnym rogu klapy widnieją trzy litery: R.J.B. Moje inicjały.

Zapiera mi dech w piersiach. Czuję się jak we śnie. Jak przez mgłę słyszę zachwyty najbliższych. Zaglądam do pudła. Na samym dnie, wśród czarnej bibułki, dostrzegam bilecik z kremowego papieru ze złożonym brzegiem. Czarnym atramentem napisano na nim:

Wszystkiego najlepszego, Ruby. J.

Tylko tyle. A mimo to w okolicach mojego żołądka wzbierają uczucia, które rozlewają się mrowieniem po całym ciele. Nie wiem, jak zareagować, mogę tylko gapić się na torbę, dopóki przed oczami nie zaczynają mi tańczyć cyfry. To z pewnością najdroższy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Ale szczerze mówiąc, w tej chwili nie chcę sobie zawracać tym głowy. Nie chcę też zastanawiać się, dlaczego w ogóle James mi go sprawił. A może widział, że mój plecak lada chwila rozpadnie się na kawałki? Domyśla się, że od

wielu miesięcy oszczędzam na nową torbę na przyszły rok? Zrobiło mu się mnie żal?

Nie wiem, a im dłużej o tym myślę, tym bardziej kręci mi się w głowie.

– Chłopak ma styl, trzeba mu to przyznać – wzdycha ciotka Trudy.

– I pieniądze – zauważa Max.

– Nie sądzę, żeby musiał płacić za coś, co powstało w firmie należącej do jego rodziców – odzywa się Ember.

– Kochani, zostawcie Ruby w spokoju i siadajcie do stołu. – Mama przypomina wszystkim o czekającym uroczystym śniadaniu. Podchodzi do mnie. Zdejmuje mi torbę z kolan, delikatnie układa z powrotem w kartonie, a mnie chwyta za rękę i pomaga wstać. Obejmuje mnie i przyciąga do siebie. – Nieładnie tak mówić o prezencie. Ten młody człowiek zadał sobie trud. To piękny gest, za który powinniśmy być wdzięczni. – Dotyka palcem mojego nosa. – Teraz musisz zdmuchnąć świeczki.

Razem podchodzimy do stołu. Od dziesięciu lat mam tylko jedno marzenie, które chodzi mi po głowie, ilekroć zdmuchuję urodzinowe świeczki: Oxford. Jednak tym razem jeszcze jedno słowo ciśnie mi się na usta. Muszę się skoncentrować.

– W osiemnaste urodziny można mieć dwa życzenia – mówi cicho tata. Nie zauważyłam nawet, że do mnie podjechał, teraz jednak czule gładzi mnie po plecach. Najwyraźniej można z mojej twarzy wyczytać wszystko, co się teraz ze mną dzieje.

– Tak jest, niepisane prawo osiemnastki – dodaje mama.

Rumienię się i uciekam wzrokiem. Nie chcę się zastanawiać, dlaczego imię Jamesa było pierwszą rzeczą, która przyszła mi do głowy. Ani dlaczego wierzę rodzicom na słowo, gdy zamykam oczy i zdmuchuję świeczki.

To są jedne z moich najpiękniejszych urodzin. Po późnym śniadaniu idziemy na spacer i robimy w parku w Gormsey nową fotografię rodzinną, choć udaje się to dopiero za dziesiątym podejściem, bo ktoś ciągle patrzy nie w tę stronę. Po południu przychodzi Lin i wszyscy razem gramy w gry planszowe i kalambury. Pod koniec udaje nam się z najwyższym wysiłkiem wygrać z Maxem i ciotką Trudy. Wieczorem tata z pomocą Ember i moją serwuje trzydaniową kolację, którą częściowo przygotował już poprzedniego dnia. Siedzimy razem przy stole i ze zdumieniem zauważam, jak bezproblemowo Lin odnajduje się wśród moich bliskich. W ogóle się nie przejmuję, kiedy nie rozumie niektórych rodzinnych żartów. Za to zasypuje

mamę pytaniami na temat jej pracy w piekarni i długo rozmawia z tatą o jego paraliżu. Jak się okazuje, jej wujek także siedzi na wózku. Do tej pory nie miałam o tym pojęcia. Podziwiam swobodę, z jaką traktuje ten temat, i podoba mi się, że niepełnosprawność taty jej nie onieśmiela.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, jestem tak najedzona i tak szczęśliwa, że właściwie mogłabym od razu zasnąć. Wkładam piżamę i zerkam na czarne pudło na biurku. Wstaję, podchodzę do niego. Nieśmiało zdejmuję wieko i wyjmuję torbę. Odpinam klamerki, wyjmuję z biurka książki potrzebne na poniedziałek i powoli układam je w nowej torbie. Eksperymentuję tak długo, aż jestem zadowolona z podziału. W przeciwieństwie do plecaka, w którym wszystko było w jednej przegrodzie, możliwość organizacji w torbie to dla mnie istny raj na ziemi. Z przodu są nawet małe szlufki na flamastry, po które sięgam najczęściej. Nie wiem, czy James wie, jak wielką sprawił mi przyjemność. Ale teraz, gdy patrzę na spakowaną już torbę, dochodzę do wniosku, że nie oddam jej za żadne skarby świata. Pochylam się, sięgam do lewej kieszonki, wyjmuję komórkę, którą już tam umieściłam. Po dosłownie sekundzie wahania wybieram numer Jamesa. Przykładam telefon do ucha i czekam. Jeden sygnał, drugi, kolejny... Już mam się rozłączyć, gdy w końcu odbiera.

– Ruby Bell – mówi takim tonem, jakby spodziewał się mojego telefonu.

– James Beaufort. – Skoro wypowiedział moje całe imię i nazwisko, ja także mogę to zrobić. Dawniej wypluwałam je jak przekleństwo, ale teraz brzmi inaczej. Lepiej.

– Wszystko w porządku? – pyta, choć ledwo go słyszę. W tle gra muzyka, stopniowo jednak cichnie. Intryguje mnie, gdzie jest James i co robi.

– Idealnym. Właśnie spakowałam swoją nową torbę – odpowiadam. Przesuwam palcem po krawędzi klapy. Wyczuwam równiutki szew.

– Podoba ci się? – pyta, a ja oddałabym wszystko, by w tej chwili go widzieć. Zobaczyć, co ma na sobie. W mojej wyobraźni jest w szkolnym mundurku, bo rzadko widuję go w czymś innym, ale usiłuję sobie przypomnieć tamtego Jamesa w czarnych dżinsach i białej koszuli. Tamtego dnia na naszym progu wyglądał jak zwyczajny chłopak, nie jak dziedzic milionowego imperium. Był bardziej ludzki. W zasięgu ręki.

– Jest cudowna. Wiesz, że nie musiałeś tego robić, prawda? – mówię w końcu. Zamykam torbę i odkładam na biurko. Krzyżuję nogi w kostkach.

– Chciałem ci coś dać. A dla kogoś, kto jak ty ma fioła na punkcie

porządku, James to doskonały wybór.

– James?

– Tak się nazywa ten model.

– Dajesz mi torbę, którą nazwałeś swoim imieniem?

– Nie ja, tylko moja mama. Jest też Lydia i modele nazwane na cześć moich rodziców. Ale Lydia jest dla ciebie za mała, a Mortimer za duży. Poza tym bawiła mnie myśl, że będę widział, jak biegasz po szkole z Jamesem na ramieniu.

Uśmiecham się.

– Wszystkim znajomym dajesz rzeczy Beauforta?

Przez chwilę milczy, aż dociera do mnie muzyka w tle.

– Nie – odpowiada w końcu. Tylko tyle.

Nie wiem, co to oznacza. Po prostu nie wiem, co jest między nami. Że już nie wspomnę o tym, czego bym chciała. Wiem tylko, że sam dźwięk jego głosu sprawia mi ogromną przyjemność.

– Kiedy już staniesz na czele firmy, musisz nazwać jakąś torbę moim imieniem – mówię, żeby przerwać milczenie.

– Zdradzić ci pewien sekret, Ruby? – mówi niskim, ochrypłym głosem. Zastanawia mnie, kto mu w tej chwili towarzyszy. I czy zostawił tę osobę, żeby ze mną porozmawiać.

– Możesz mi powiedzieć wszystko, co chcesz – odpowiadam szeptem.

Zapada cisza, słyszę tylko jego kroki. Chyba idzie po żwirze. A potem nawet one cichną, podobnie jak ostatnie dźwięki muzyki.

– Ja... Ja wcale nie chcę stanąć na czele firmy.

Gdyby był tu, przy mnie, spojrzałabym na niego z niedowierzaniem, ale teraz mogę tylko mocniej docisnąć telefon do ucha.

– A jeżeli już mam być całkiem szczery, nie chcę też studiować w Oksfordzie – dodaje.

Słyszę każde uderzenie swojego serca.

– Więc czego chcesz?

Śmieje się głośno.

– Po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś zadaje mi to pytanie.

– To bardzo ważne pytanie.

– A ja nie wiem, jak na nie odpowiedzieć. – Milczy przez dłuższą chwilę.

– Wszystko było postanowione od początku, rozumiesz? Nieważne, że Lydia nadaje się do tego o wiele lepiej i o tym marzy. Ona dosłownie żyje firmą,

a jednak w przyszłym roku to mnie, a nie ją, ojciec wprowadzi do zarządu. Wiem to od urodzenia i zdążyłem się z tym pogodzić. Ale nie tego chcę. – Kolejna chwila ciszy, a potem: – Niestety nigdy nie będę mógł się dowiedzieć, czego właściwie pragnę. Ja nie planuję swojego życia, ono już jest zaplanowane: Maxton Hall, Oksford i firma. Nic innego nie wchodzi w grę.

Z całej siły przyciskam telefon do ucha, jakby tym sposobem James mógł być bliżej mnie.

To, co przed chwilą powiedział, było zapewne najszczerzym wyznaniem, na jakie się wobec mnie zdobył. Nie mogę uwierzyć, że tak się przede mną otworzył. Że zwierzył mi się ze swojej tajemnicy.

– Moi rodzice zawsze powtarzają, że świat stoi przede mną otworem. Że nie ma znaczenia, skąd pochodzę i dokąd zmierzam. Uczyli mnie, że mogę robić wszystko, czego zapragnę, i że nie powinnam się niczego bać. Moim zdaniem każdy człowiek powinien mieć prawo wyboru.

Wydaje cichy, rozpaczliwy odgłos.

– Czasami... – Zaczyna i urywa, jakby nie wiedział, czy nie posuwa się za daleko. A jednak mówi dalej, zdobywa się na odwagę jeszcze większej szczerości. – Czasami wydaje mi się, że nie jestem w stanie oddychać, do tego stopnia mnie to wszystko przytłacza.

– Och, James – wzdycham. Serce ściska mi się boleśnie. Nie przypuszczałam, że rodzinne zobowiązania są dla niego tak wielkim ciężarem. Zawsze mi się wydawało, że bawi go władza, jaką daje mu nazwisko. Teraz jednak kolejne kawałki układanki trafiają na swoje miejsce: jego napięcie, ilekroć pojawia się temat Oksfordu, poważna mina, gdy w Londynie pojawili się jego rodzice, nagły mrok w oczach, ilekroć rozmowa schodzi na temat firmy. Nagle go rozumiem. Nagle rozumiem, dlaczego na początku roku zachowywał się tak, a nie inaczej. O co chodziło z dziecinnymi wybrykami i postawą pełną lekceważenia i arogancji.

– Ten rok... to dla ciebie ostatnie chwile bez odpowiedzialności – szepczę.

– Ostatnia szansa na wolność – przyznaje cicho.

Chciałabym temu zaprzeczyć, ale nie mogę. Tak samo jak nie mogę rozwiązać jego problemów, bo to jest po prostu niemożliwe. Kiedy w grę wchodzi taka fortuna, nie wystarczy usiąść z rodzicami przy stole i o wszystkim szczerze pogadać. Poza tym jestem przekonana, że próbował już wszystkiego. A na tyle, na ile go znam, mogę się domyślać, że robi to,

czego od niego oczekują rodzice. Nigdy w życiu nie sprawiłby rodzinie zawodu.

– Chciałabym być teraz przy tobie. – Te słowa padają z moich ust, zanim w pełni uświadomiłam sobie ich znaczenie.

– I co byś wtedy zrobiła? – pyta. Nagle w jego tonie pojawiają się inne nuty. Teraz nie jest już zrozpaczony, raczej... prowokujący. Jakby liczył na nieprzyzwoitą odpowiedź.

– Przytuliłabym cię. – Niezbyt nieprzyzwoite, ale przynajmniej szczere.

– Nie miałbym nic przeciwko temu.

Jeszcze nigdy się nie dotknęliśmy. Gdyby był tu ze mną, nie odważyłabym się powiedzieć czegoś takiego. Ale teraz, słysząc jego mroczny głos, kiedy nie muszę patrzeć mu w oczy, nagle to nie wydaje mi się takie niemożliwe. Przepełniają mnie odwaga, smutek, zdenerwowanie i szczęście, wszystko jednocześnie.

– Jak ci minęły urodziny? – pyta James po dłuższej chwili.

– Bardzo fajnie. – Zaczynam opowiadać o moim dniu, o otrzymanych prezentach i o tym, że wieczorem wygrałyśmy z Lin w kalambury. James śmieje się we właściwych momentach. Najwyraźniej ulżyło mu, że zmieniliśmy temat. Później rozmawiamy o wszystkim i o niczym: jak do tej pory mija mu weekend (słabo), o zbliżającej się klasówce z angielskiego (trudna, ale do zrobienia), o naszych ulubionych piosenkarzach i zespołach (mój: Iron & Wine, jego: Death Cab for Cutie), o ukochanych filmach (mój: *Strażnicy marzeń*, jego: *Sekretne życie Waltera Mitty*). Dowiaduję się o nim mnóstwo nowych rzeczy. Na przykład, że podobnie jak moja siostra uwielbia blogi. Opowiada o nowo odkrytym blogu podróżniczym, na którym właściwie miał przeczytać tylko jeden artykuł, ale koniec końców nie dotarł na spotkanie w biurze rodziców, bo na kilka godzin zniknął w wirtualnym świecie i stracił poczucie czasu.

Dokładnie to samo w tej chwili dzieje się ze mną. Ani się obejrzę, jest trzecia w nocy, a ja nie śpię, cały czas słuchając głosu Jamesa. Wpatruję się w starannie złożoną bluzę lacrosse, która leży na moim biurku.

I myślę tylko o nim.

Ruby

Dyrektor Lexington świdruje mnie wzrokiem, ja tymczasem usiłuję siedzieć nieruchomo i nie wiercić się niespokojnie na krześle. Za każdym razem, gdy siedzę w jego gabinecie, czuję się dziwnie. Dyrektor wygląda tak samo jak zawsze: swobodnie trzyma dłonie na biurku, jednocześnie jednak jego spojrzenie jest tak groźne, że domyślam się, że gotów byłby iść po trupach, aby zadbać o dobro szkoły. Nie chciałabym mieć w nim wroga.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek przywykła do cotygodniowych posiedzeń w jego gabinecie. A już na pewno nie wtedy, gdy Lin, tak jak dzisiaj, zostawia mnie samą, bo kolejny raz musiała jechać do Londynu pomóc mamie w galerii.

Z drugiej strony, ta sytuacja ma swoje dobre strony. Co prawda Lexington bacznie mi się przygląda, ale teraz przynajmniej mogę przedstawić swoją propozycję, nie obawiając się zdziwionego spojrzenia Lin ani znaczącego kopnięcia pod stołem.

– Czy ja panią na pewno dobrze zrozumiałem, panno Bell? – Dyrektor pochyla się nad biurkiem. Patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi. – Chce pani, żebym zawiesił karę Beaufortowi?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Tak, proszę pana.

Mruży oczy.

– A niby dlaczego miałbym to zrobić? To jeszcze nie koniec semestru.

– Wykazał się naprawdę dużym zaangażowaniem – odpowiadam. – Nie spodziewałam się tego. Miał świetne pomysły i to dzięki niemu tegoroczny bal z okazji Halloween otworzy nową kartę w historii imprez w Maxton Hall.

Lexington odchyła się z krzesłem i głośno wypuszcza powietrze z płuc.

Chyba podoba mu się to, co słyszy. Ilekroć mowa o wizerunku szkoły,

reaguje jak sroka na widok błyskotki. Postanawiam więc grać na tej strunie.

– Poza tym uważam, że w tym okresie James bardziej przyda się szkole na boisku. Drużyna go potrzebuje. Roger Cree jest co prawda niezły, ale brakuje mu doświadczenia. To samo powiedział trener Freeman, gdy w piątek po południu przeprowadzałam z nim wywiad na szkolnego bloga.

Zmarszczki na czole dyrektora pogłębiają się. Widzę, że w tej chwili analizuje w myślach wady i zalety mojego pomysłu.

– I nie mówi pani tego wszystkiego tylko dlatego, że ten smarkacz znowu nabroił i chce się go pani pozbyć? – dopytuje podejrzliwie.

Ciekawa jestem, jak zareagowałby dyrektor Lexington, gdyby wiedział, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Nie chcę pozbywać się Jamesa z komitetu. Gdyby o mnie chodziło, spędzałabym z nim cały wolny czas.

Po tym jednak, jak mi się zwierzył, gdy zrozumiałam, jak wiele dla niego znaczy ten ostatni rok w szkole, nie mogę postąpić inaczej. Musiałam porozmawiać z dyrektorem. To było jedyne, co przychodziło mi do głowy, jedyny sposób, by jakoś pomóc Jamesowi i przynajmniej w małej części go odciążyć, choćby na krótko. Zresztą robię to nie tylko dlatego, że chcę sprawić mu przyjemność, lecz także dlatego, że taka jest prawda. James ciężko pracował i trzeba to docenić. Tym sposobem chociaż do końca sezonu będzie mógł grać z przyjaciółmi w lacrosse i rozkoszować się ostatnim rokiem wolności.

Natychmiast pojawia się pytanie, co będzie z nami. Jakkolwiek by było, zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić. Tak jakby. Czy później nadal będzie spędzał ze mną czas? Pewnie nie. Na samą myśl coś boleśnie ściska mnie w piersi, ale ze wszystkich sił staram się nie zwracać na to uwagi. Robię to dla Jamesa, nie dla siebie.

– Panno Bell? – Głos dyrektora Lexingtona ściąga mnie na ziemię. Chwilę trwa, zanim przypominam sobie jego pytanie.

Energicznie zaprzeczam ruchem głowy.

– Absolutnie nie, proszę pana. Mnie naprawdę interesuje przede wszystkim dobro naszej szkoły. James Beaufort pomagał nam w komitecie, a teraz powinien wesprzeć swoją drużynę. Nie możemy sobie pozwolić na równie dotkliwą porażkę jak w zeszły piątek, jeżeli nie chcemy stracić naszej reputacji.

To był strzał w dziesiątkę. Szare oczy Lexingtona zaczynają błyszczeć, a on sam prostuje się gwałtownie.

– Rozumiem. – Kiwa głową, a ja na chwilę wstrzymuję oddech. – Dobrze. Pan Beaufort może przedterminowo zakończyć pracę w Komitecie organizacyjnym i ponownie zająć się grą w lacrosse.

Kamień spadł mi z serca, już się cieszę na reakcję Jamesa, gdy przekaże mu dobrą wiadomość. Uśmiecham się z wdzięcznością, ale Lexington kiwa na mnie palcem.

– Jednak dopiero za tydzień, po imprezie z okazji Halloween. Nie chcę ryzykować, że znowu coś zmałuje, co zaszkodzi wizerunkowi szkoły.

Uśmiech nadal nie schodzi mi z twarzy, choć odrobinę rzadnie.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

– I na razie proszę zachować tę informację dla siebie. – Sięga po słuchawkę telefonu, unosi ją do ucha, wciska jakiś guzik i rzuca burkliwie: – Proszę mi przysłać trenera Freemana.

Niespokojnie wiercę się na krześle. Nie wiem, czy mogę już iść, czy dyrektor chce omówić ze mną coś jeszcze, ale kiedy podnosi głowę, marszczy czoło i zbywa mnie ruchem ręki, wychodzę z założenia, że to znak, że mam odejść.

* * *

Nie przesadzałam, gdy mówiłam, że bal halloweenowy otworzy nową kartę w historii imprez w Maxton Hall. Kiedy wreszcie nadchodzi ten dzień, kiedy wszelkie przygotowania dobiegają końca i powoli zjawiają się pierwsi goście, czuję, jak ogromny kamień spada mi z serca. Ta impreza będzie doskonała. Co więcej, jest lepsza, niż się tego spodziewałam.

Dekoracje, które zorganizowały Jessalyn i Camille, są fantastyczne. Hol prowadzący do auli dziewczyny udekorowały staroświeckimi fotografiami i wielkimi lustrami, oświetlanymi pod dziwnymi kątami. Bufet i stoły otaczające parkiet zdobią cieniutkie czarne chusty. W całym pomieszczeniu porozwieszane są cieniutkie pajęczyny i ponad pięćdziesiąt sznurów lampek, które dzięki małutkim żaróweczkom przypominającym płomyki świec nadają nastrojową atmosferę. Postanowiliśmy nie włączać wielkich żyrandoli, zamiast nich na stołach i parapetach ustawiliśmy srebrne lichtarze, które co prawda dają niewiele światła, za to potęgują nastrój grozy i tajemnicy.

Sala jest już niemal pełna, prawie wszystkie miejsca są zajęte. Dyrektor Lexington wygłasza oficjalną mowę powitalną, a ja, Lin i cała reszta

komitetu organizacyjnego słuchamy go z kącika przy bufecie. Kiedy chwali nas za świetną organizację, Camille robi krok do przodu i macha do gości jak królowa. Wymieniamy z Lin znaczące spojrzenia i na darmo usiłujemy się nie śmiać.

Muszę jednak przyznać, że dzisiaj wszyscy wyglądamy po królewsku. Ja występuję w sukni z magazynu Beauforta, Camille ma na sobie brzoskwińową kreację, idealnie podkreślającą jej jasną karnację. Jessalyn wygląda fantastycznie w różu, a Lin zdobyła skądś suknię w odcieniu królewskiego błękitu, dokładnie takim samym jak oficjalny kolor naszej szkoły. Jestem ciekawa, czy zrobiła to celowo.

Także chłopcy zadali sobie sporo trudu. Doug ma na sobie piaskowy garnitur o takim samym kroju jak strój Jamesa z plakatu. A Kieran... Kieran w cylindrze, czarnym fraku, zakardowej kamizelce, z beżowym szalem wygląda, jakby zszedł z kart żurnala sprzed lat.

Kiedy Lexington wreszcie kończy przemawiać, Kieran leciutko uchyla kapelusza. Tym razem udaje mi się nie spojrzeć na Lin, bo dłużej nie zdołałabym powstrzymać śmiechu.

Przepęniają mnie emocje. Sama nie wiem, czy bardziej cieszy mnie świadomość, że do tej pory wszystko idzie jak po maśle i impreza już jest udana, czy bardziej obawiam się, że może zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Niespokojnie rozglądam się po sali.

– Wkrótce przyjdzie – szepcze mi Lin do ucha.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odpowiadam równie cicho.

Nieprawda. Wiem doskonale, o co jej chodzi. James jeszcze się nie pokazał. Nie było również jego przyjaciół i Lydii, za to widziałam jego rodziców – należą do rady szkoły. Jestem boleśnie świadoma nieobecności Jamesa i choć nie chcę o tym myśleć, mam wrażenie, że na tej imprezie brakuje bardzo ważnego elementu. Jakkolwiek by było, pracował równie ciężko jak my, by wszystko się udało.

Po przemówieniu Lexingtona rozlegają się brawa. Rozdzielamy się, każdy zajmuje wyznaczoną pozycję. Ja i Lin mamy oko na catering, a Jessalyn, Camille, Doug i Kieran, a także członkowie trupy teatralnej, ustawiają się na parkiecie. Rozlega się muzyka i pięć par zaczyna układ taneczny, moim zdaniem niebotycznie skomplikowany. Po raz kolejny dziękuję losowi, że przekonał ich mój argument, że ktoś musi mieć gości na oku, i dzięki temu nie muszę brać w tym udziału.

W pierwszej parze tańczy Kieran i dziewczyna z grupy teatralnej. Nie znam jej. Prowadzą pozostałych, pokonują parkiet, rozdzielają się na jego końcu i tworzą dwa rzędy, obchodzą salę i znowu stają naprzeciwko siebie. Uwaga wszystkich koncentruje się na nich, goście obserwują taniec jak zahipnotyzowani.

Dokładnie w tej chwili otwierają się potężne podwójne drzwi do Weston Hall. Większość gości odwraca się ciekawie w tamtym kierunku, przez co Kieran i jego partnerka na chwilę gubią rytm. Marszczę czoło i też odwracam się w tamtą stronę. Serce na chwilę staje mi w piersi.

Do sali wkracza James i jego paczka, wszyscy niesamowicie elegancy. James występuje we fraku z magazynu Beauforta, ale także pozostali zadali sobie trud. Zadbali o najmniejsze szczegóły, o jedwabne chusteczki i guziki z epoki. Lydia ma na sobie fantastyczną srebrną suknię, a na głowie kunsztowną fryzurę, której zrobienie trwało zapewne kilka godzin. Wszyscy wyglądają idealnie, jakby zeszli z ekranu filmu o epoce wiktoriańskiej.

Kiedy mijają parkiet w drodze do bufetu, z ich twarzy można jasno wyczytać, co sądzą o tym balu. Cyril marszczy nos, Wren ma rumieńce na policzkach, co sugeruje, że zanim tu przyszedł, zdążył wypić coś mocniejszego. Ciemne oczy Kesha obiegają salę obojętnym spojrzeniem. Na mój widok pochmurnieje i odrobinę odsuwa się od Alistaira. To wygląda na odruch. U jego boku zdumiony Alistair marszczy czoło.

James podchodzi do mnie. Dosłownie pochłaniam go wzrokiem. Choć w ciągu minionych tygodni widziałam go w tym stroju na niezliczonych plakatach niemal codziennie, w rzeczywistości na jego widok zapiera mi dech w piersiach, jak wtedy, w Londynie, za pierwszym razem. Kiedy w końcu przede mną staje, serce bije mi szybko i nierówno.

– No i jak idzie? – pyta z drwiącym uśmiechem w kącikach ust. Udaje, że wcale nie spóźnił się godzinę na nasze przyjęcie.

– Fantastycznie – Lin odpowiada za mnie. Najwyraźniej odrobinę za długo przyglądałam się Jamesowi.

Beaufort kiwa głową.

– To dobrze.

– Oby było lepiej niż na poprzedniej imprezie. Bo inaczej zaraz stąd spadamy – mamrocze Cyril.

– Nie udawaj, że jesteś za dobry na nasze przyjęcia – cedzi Lin przez zęby. Zerkam na nią zaskoczona.

– Nie muszę udawać.

Kiedy to mówi, na jej twarzy wykwitają rumieńce gniewu.

– Jesteś naprawdę...

– Ej, spokojnie, ludzie – James mówi cicho, ale stanowczo. Posyła Cyrilowi znaczące spojrzenie, na co ten odwraca się tyłem do Lin i podchodzi do Wrena, który zatrzymał się w pewnej odległości od nas i właśnie nalewa sobie ponczu.

Wystarczy jedno słowo Jamesa i ktoś taki jak Cyril Vega milknie. Czasami nadal nie mieści mi się w głowie, jak wielką władzę James ma w tej szkole.

Jak gdyby nigdy nic, odwraca się, podchodzi do bufetu i nakłada coś na talerz. Unosi jedzenie do nosa i przygląda mu się badawczo, zanim wsunie je do ust. Przełyka i mówi do mnie:

– O wiele lepsze niż poprzednio.

Przewracam oczami.

– Przecież sam zaproponowałeś tę firmę cateringową.

Uśmiecha się i omiata mnie wzrokiem. Robi mi się gorąco, gdy widzę, jak zmienia się wyraz jego twarzy i drwiący uśmiešek przechodzi w coś delikatniejszego, bardziej szczerzego, w uśmiech, przeznaczony chyba tylko dla mnie.

– Bardzo ładnie wyglądasz.

Żołądek niespokojnie podchodzi mi do gardła. Z trudem przełykam ślinę.

– Przecież już mnie widziałeś w tej sukni.

– Co nie zmienia faktu, że bardzo ładnie w niej wyglądasz.

– Dziękuję. Ty też. – Wyglądam poły sukni, chociaż nie ma na niej najmniejszego zagniecenia. James tymczasem podchodzi do mnie i skłania się lekko. Jednocześnie wyciąga do mnie rękę, wnętrzem dłoni do góry.

Odwracam się do jego przyjaciół, oni jednak zajęci są dolewaniem alkoholu z piersiówek do szklaneczek ponczu. Tylko Lydia obserwuje brata z dziwnym wyrazem twarzy. Wracam do niego wzrokiem.

– Co ty wyprawiasz?

– Czy uczyni mi pani zaszczyt i zatańczy ze mną?

Powstrzymuję śmiech.

– James, nie bez powodu nie brałam udziału w pierwszym tańcu. Nie umiem tańczyć, w każdym razie nie tak.

– Ruby Bell, w tamtych czasach bardzo niegrzecznie było odmówić kawalerowi.

– Cóż, musisz mi wybaczyć. Ktoś powinien pilnować bufetu.

James prostuje się i podchodzi do Lin. Szepcze jej coś do ucha, co doprowadza ją do śmiechu. Lin kiwa głową i zbywa go machnięciem ręki. James wraca i po raz drugi wyciąga do mnie dłoń.

– Lin zapewnia, że sama da sobie radę.

Po chwili wahania biorę go pod rękę. Przez ramię rzucam Lin mordercze spojrzenie, na co tylko wzrusza ramionami, a potem razem z Jamesem idę na parkiet. Nie zauważyłam nawet, że pierwszy taniec już się skończył i na parkiecie wiruje więcej par w strojach z epoki. Teraz naprawdę ma się wrażenie, że odbyliśmy podróż w czasie.

Zespół gra kolejny utwór, wolną, ale rytmiczną piosenkę, która wypełnia całą salę. James jedną dłonią trzyma mnie za rękę, drugą kładzie na moich plecach. Zaczyna tańczyć, robi dwa kroki do tyłu, jeden w lewo, a ja podążam za nim i uparcie wpatruję się w moje stopy, czy raczej w obszerną spódnicę sukni.

– Nie patrz w dół – szepcze.

Z ciężkim sercem podnoszę wzrok. James wygląda, jakby od urodzenia nie robił nic innego, tylko tańczył na balach. Co właściwie może być prawdą. Żałuję teraz, że nie uczestniczyłam w próbach, a przynajmniej nie obejrzałam kilku filmików na YouTube i nie poćwiczyłam z Ember.

Nagle James pochyla głowę, aż ustami muska moje ucho.

– Rozluźnij się – szepcze.

Łatwo mu powiedzieć. A jednak próbuję. Próbuję rozluźnić spięte ramiona i nie liczyć gorączkowo kroków. Daję się ponieść, porwać, zupełnie tak samo, jak sobie to wyobrażałam, gdy po raz pierwszy wkładaliśmy te stroje. James mnie prowadzi. Suniemy miękko przez parkiet, mam wrażenie, że się nad nim unosimy. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś razem zatańczymy. Co będzie, gdy mu powiem, że od tej chwili nie musi brać udziału w posiedzeniach komitetu? Chociaż tak naprawdę wcale tego nie chcę, nagle czuję bolesny ciężar w piersi. Staram się nie zwracać na niego uwagi, ale doskwiera mi coraz bardziej, im dłużej o tym myślę. Nie wiem, co po dzisiejszym wieczorze z nami będzie.

– Co jest? – pyta James i przygląda mi się badawczo spod zmrużonych powiek.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Czuję na sobie jego turkusowe spojrzenie, cierpliwe, badawcze, choć

dostrzegam też błysk nieufności.

– Przemyślałam wszystko, co powiedziałeś w moje urodziny. Że masz jeszcze tylko rok wolności, właściwie do końca roku szkolnego, a potem... – Odchrząkuję. Czuję, że teraz on się spina. – No więc rozmawiałam z dyrektorem Lexingtonem i uznaliśmy, że najwyższy czas, żebyś wrócił do gry w lacrosse.

Na chwilę gubi krok, ale zaraz odnajduje rytm, prowadzi mnie dalej, jakby znał choreografię na pamięć.

– Słucham? – szepcze. Nagle ochrypl. Właśnie głos najbardziej zdradza jego uczucia. Spojrzenie pozostaje niewzruszone, cały czas jest wyprostowany, porusza się płynnie, ale głos pierwszy odmawia mu posłuszeństwa.

– Uważam, że bardzo dużo wniosłeś do naszego komitetu. Lexington musi to docenić. – Mój lekki ton ma sprawić, że napięcie między nami złagodnieje, ale osiągam odwrotny cel. Oczy Jamesa ciemnieją, w następnej chwili przyciąga mnie do siebie, tak że znajdujemy się o wiele bliżej, niż było to dopuszczalne w czasach wiktoriańskich. Jednak parkiet pęka w szwach, wszyscy są zajęci sobą i nikt nie zwraca na nas uwagi. Ani na nas, ani na to, że pod intensywnym wzrokiem Jamesa kręci mi się w głowie.

W końcu odzyskał głos.

– Ty...

Nagle gasną sznury świateł. Wszystkie jednocześnie. Kilku muzyków gubi rytm, salę wypełniają przeraźliwe dźwięki. Jedyne źródło światła stanowią świece.

– James, przysięgam, jeżeli to twój kolejny numer... – syczę.

– Nie – ucina zdecydowanie. Co prawda z trudem dostrzegam rysy jego twarzy, ale wydaje się równie zaskoczony jak ja. Klnie pod nosem. – Musimy iść do piwnicy, w takich warunkach orkiestra nie może grać i zaraz będzie po imprezie.

Kiwam głową. Mocniej ściska moją dłoń. Razem przepychamy się między zdenerwowanymi gośćmi, przy czym mało nie przydeptuję sobie skraju sukni. W holu oddycham z ulgą. James puszcza moją rękę, gdy zbiegamy po schodach do piwnicy. Zaciskam dłoń na poręczy. Wolę nie myśleć, co oznacza fakt, że tak boleśnie brakuje mi dotyku jego ciepłej skóry.

W piwnicy jest ciemno choć oko wykol. James wyjmuje komórkę z kieszeni i włącza latarkę.

– Ależ tu zimno – mamroczę i rozcieram sobie ramiona. – I strasznie. – Mam wrażenie, że lada chwila zza rogu wyskoczy klaun, potwór albo skrzyżowanie jednego i drugiego.

James nie odpowiada, bez słowa podchodzi do sporej skrzynki po lewej stronie korytarza.

– Właściwie powinnam się niepokoić, skąd tak dobrze wiesz, gdzie znajdują się bezpieczniki.

Uśmiecha się pod nosem, otwiera skrzynkę jednym z kluczy, które wyciągnął z kieszeni i robi krok w bok, żebyśmy oboje mogli zajrzeć do środka. Wyskoczyły dwa korki. Kiedy James przesuwają dźwignię, z piętra dobiegają nas okrzyki radości. Sekundę później także tutaj, w piwnicy, zapala się światło przy akompaniamencie cichego trzasku jarzeniówek. Oddycham z ulgą. James zamyka skrzynkę, a ja odwracam się na pięcie. Już jestem niemal przy wyjściu, gdy mówi:

– Poczekaj.

Odwracam się i przyglądam mu się wyczekująco.

– Naprawdę myślałaś, że znowu zrobiłbym coś takiego? – Wydaje się autentycznie zaskoczony, jakby nie mógł uwierzyć, że zarzucam mu coś takiego.

Ale szczerze mówiąc... Tak. Tak myślałam. Sama nie wiem, co jest między nami. I choć w ciągu ostatnich tygodni bardzo się do siebie zbliżyliśmy, to jeszcze nie oznacza, że mu ufam. Zbyt wiele się wydarzyło. Poza tym cały czas mam w uszach ostrzeżenie Lydii. Obiecałam Lin, że będę ostrożna, i tego się trzymam.

– Przez ułamek sekundy – wyznaję cichutko.

James przygląda mi się badawczo.

– Nie zrobiłbym tego, Ruby. Nie teraz, gdy wiem, ile pracy wkładasz w te imprezy i jak wiele dla ciebie znaczą.

Czuję się, jakby ktoś położył mi dłonie na klatce piersiowej i celowo utrudniał oddychanie.

– Przepraszam – mówię cicho. – Ja się po prostu bałam. Że będzie tak samo jak na początku roku szkolnego.

James energicznie kręci głową.

– Nie.

Wchodzi jeszcze stopień wyżej, tak że teraz nasze oczy znajdują się na tej samej wysokości. Jego twarz jest tak blisko, że dostrzegam malutkie błękitne

kryształki w jego oczach, a także ciemną obwódkę wokół tęczy.

Nie wiem, jak to będzie, gdy już nie będę go widywała co drugi dzień podczas posiedzeń komitetu. Na samą myśl gardło ściska mi się boleśnie. Czy w ogóle zechce wtedy spędzać ze mną czas? Będzie trenował i częściej widywał się z przyjaciółmi, częściej niż ostatnimi czasy. Czy stwierdzi wtedy, że bardzo mu tego brakowało? Że z nimi bawi się lepiej? Że w sobotnie wieczory woli z nimi pić i balować, a nie dyskutować ze mną na Messengerze o sytuacji politycznej w Wielkiej Brytanii i mojej ulubionej mandze? Czy zauważy, jak wielka przepaść dzieli nasze światy?

Bardzo mi się podobały minione tygodnie i naprawdę nie chcę go stracić. Jednak obawiam się, że w tej kwestii nie mam nic do powiedzenia. Oboje doskonale wiemy, który świat koniec końców wybierze.

Ucisk w klatce piersiowej przybiera na sile. Być może będzie mi łatwiej, gdy sama dokonam wyboru, zanim to on mnie skrzywdzi.

– A zatem to było nasze ostatnie wspólne zadanie w komitecie organizacyjnym – mówię i patrzę mu prosto w oczy. Serce bije mi jak szalone. Jeżeli James zbliży się jeszcze odrobinę, na pewno je usłyszy.

– To prawda – odpowiada cicho.

Przez dłuższą chwilę tylko na siebie patrzymy. A potem oboje nabieramy powietrza w płuca, jakbyśmy chcieli coś powiedzieć, ale żadne z nas się nie odzywa. Atmosfera jest tak napięta, serce wali mi tak szybko, że nie wytrzymam tego ani chwili dłużej. Robię pierwsze, co w tej sytuacji przychodzi mi do głowy: wyciągam do niego rękę.

– Bardzo dobrze mi się z tobą pracowało – mówię uprzejmie.

W pierwszej chwili wydaje się zaskoczony, a potem w jego turkusowych oczach pojawia się emocja, którą widziałam w nich już wcześniej, ale nie potrafiłam nazwać. Teraz już wiem, co to jest: pragnienie.

Ujmuje moją dłoń i lekko ściska.

– To brzmi jak pożegnanie.

Ledwie to powiedział, dociera do mnie, że tak właśnie jest. I jednocześnie zdaję sobie sprawę, że absolutnie tego nie chcę. Nie chcę się z nim żegnać. Przeciwnie, chcę nadal z nim rozmawiać. Chcę opowiadać mu o sobie i słuchać, gdy mi się zwierza.

Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Ta myśl pojawia się nagle, gwałtownie, a w moim brzuchu rozlewa się ta sama tęsknota, którą widziałam w jego oczach. Gorąca, rozpaczliwa,

wypełnia moje żyły, sprawia, że zaciskam palce na jego dłoni. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale... Uginają się pode mną kolana, a jego dłoń niemal mnie parzy. Zastanawiam się, czy równie gorąca wydawałaby się na innych częściach mojego ciała. Pragnę czegoś więcej niż tego dotyku. Pragnę więcej jego.

– James...

– Tak – odpowiada cicho. Wydaje się równie zaskoczony, równie zdyszany jak ja.

A w następnej chwili przyciąga mnie do siebie, aż na niego wpadam. Przez ułamek sekundy patrzy mi w oczy, kładzie dłoń na moim karku i przyciąga bliżej. W następnej chwili czuję na wargach dotyk jego ust.

Już nie myślę. Mój mózg się wyłącza, nie ma w nim ani jednej racjonalnej myśli, jest tylko rozpalony żar, który wypełnia całe moje ciało. Zrzucam Jamesowi ręce na szyję, wplątam palce w jego włosy. Zaczyna poruszać ustami na moich wargach.

Całuje dokładnie tak, jak się porusza i zachowuje: pewnie i dumnie. Wie doskonale, co zrobić, jak sprawić, bym stanęła w ogniu. Rozsuwa mi wargi językiem, bez wahania, bez cienia nieśmiałości, aż obawiam się, że lada chwila nogi odmówią mi posłuszeństwa. Ale nawet gdyby to się stało, on jest przy mnie, przytrzyma mnie. Obejmuje mnie mocno, przyciska do siebie. Czuję jego bliskość przez obszerną suknię, ale to za mało. Pragnę więcej.

Wzdycham cicho, zsuwam dłonie na jego barki, na jego szyję, do wycięcia koszuli. Ma ciepłą, aksamitną skórę, a we mnie wszystko krzyczy: więcej, więcej, więcej.

Chcę go jeszcze więcej. Chcę go rozebrać, tutaj, na schodach w naszej szkole. Wszystko mi jedno, kto może przyjść i nas zobaczyć. Dla mnie liczy się w tej chwili tylko James, jego usta na moich wargach, na mojej szczęce, mojej szyi. Delikatnie chwyta skórę ustami, ciągnie lekko, aż pragnę, by zrobił to mocniej. Chciałabym, żeby zostawił na moim ciele ślady, żebym za kilka godzin widziała, że to wszystko działa się naprawdę, że to nie tylko wytwór mojej wyobraźni.

– Ruby... – Wydawało mi się, że znam już wszystkie odcienie jego głosu. Ale to coś nowego. A więc tak brzmi po tym, jak całował mnie do granicy szaleństwa. Ujmuje moją twarz w dłonie, patrzy w oczy. Delikatnie przesuwając kciukiem po moich policzkach. Szczęce. Ustach. I znowu policzki. – Ruby.

Pochyliłam się, zamykam mu usta pocałunkiem. Coś boleśnie ściska mnie

w podbrzuszu, wędruje coraz wyżej, aż nie mogę oddychać. Teraz już wiem, dlaczego w kółko powtarza moje imię. Ja też chcę to robić. James, James. Ciągłe tylko James.

– James – rozlega się głos nad naszymi głowami. Odskakujemy od siebie. Staję na skraju sukni, tracę równowagę, ale James wyciąga rękę i podtrzymuje mnie w talii. Czeka, aż chwycę się poręczy, a potem natychmiast mnie puszcza i unosi wzrok. Podążam za jego spojrzeniem.

U szczytu schodów stoi Mortimer Beaufort. Skrzyżował ręce za plecami, obserwuje nas z ponurą miną. Serce staje mi w piersi.

– Matka cię szuka.

James prostuje się i kiwa głową.

– Zaraz przyjdę.

Pan Beaufort lekko unosi brwi.

– Szuka cię teraz, nie zaraz.

James wyraźnie się spina. Wyciągam rękę, delikatnie dotykam jego barku z nadzieją, że jego ojciec tego nie widzi. James bierze mnie za rękę, patrzy na nasze splecione palce. Słyszę, jak cicho wzdycha.

A potem unosi moją dłoń do ust i lekko ją całuje.

– Przepraszam – szepcze. Czuję te słowa na grzbiecie dłoni. W następnej chwili mija mnie powoli i pokonuje schody, podchodzi do ojca, który cały czas mierzy go lodowatym spojrzeniem. Kiedy James do niego podchodzi, chwytą go za bark i ciągnie z powrotem do sali, ja tymczasem zostaję sama na schodach, dotykam rozpalonych policzków i zastanawiam się, za co James mnie przeproszał.

James

– Mówiłam ci, że masz się trzymać z daleka od tej dziewczyny.

Wbijam wzrok w okno. Ciemne pola zlewają się z już niemal całkiem bezlistnymi drzewami w jedną mroczną masę. Ten widok doskonale odzwierciedla w tej chwili to, jak się czuję. Jest mi zimno i jednocześnie gorąco, moje dłonie lepią się od potu, za to gardło boleśnie zasycha.

Chciałbym znowu być z Ruby, wrócić do jej cudownych ust, doświadczyć uczucia, które we mnie budziła. W myślach cały czas trzymam ją w ramionach, rozkoszuję się dotykiem jej dłoni w moich włosach, jej ust na moich wargach.

Gdyby nam nie przerwano, posunąłbym się o wiele dalej, nie ograniczyłbym się tylko do pocałunku.

– Mówię do ciebie – powtarza ojciec. Lada chwila ciśnie szklanką o podłogę samochodu. Popełniłem jeden z większych błędów mojego życia, mówiąc Percy’emu, że wrócę z rodzicami.

– James, skarbie, przecież chcemy dla ciebie jak najlepiej – dodaje matka dyplomatycznie. Nie jestem w stanie na nich patrzeć. Jeżeli to zrobię, znowu ogarnie mnie wściekłość, a nie wiem, czy tym razem zdołam nad sobą zapanować. Dlaczego to musiało wydarzyć się akurat dzisiaj? Dlaczego akurat w tamtej chwili ojciec przyłapał mnie z Ruby? – Wymarzyliśmy sobie dla ciebie lepszą partnerkę niż uboga stypendystka z klasy średniej z tragiczną historią rodzinną – ciągnie mama. Odwracam głowę w jej kierunku. Na końcu języka mam pytanie, skąd do licha wie to wszystko o Ruby, ale właściwie wcale mnie to nie dziwi. W tej rodzinie już nic mnie nie dziwi. – Zaslugujesz na kogoś lepszego, kochanie. Na kogoś takiego jak Elaine Ellington. Podobno świetnie się dogadujecie. Dlaczego nie zaprosisz jej kiedyś na kolację? – podsuwa matka cichym, kojącym głosem. Za wszelką

cenę chce złagodzić napięcie między mną a ojcem, ale na to jest już zdecydowanie za późno.

– Nigdy nie będę z Elaine, zapomnij o tym, mamó. – Poza tym jestem niemal pewien, że rzuciła studia, ale na razie nie chce nikomu o tym mówić. Nie jest lepsza niż Ruby tylko dlatego, że w jej żyłach płynie błękitna krew. Ruby pracuje ciężiej niż inni na to, na czym jej zależy. Jest inteligentna, dobra i... piękna. I fantastycznie całuje, a jeszcze lepiej słucha.

Jej obraz natychmiast staje mi przed oczami. Wspomnienie jej ust to jedyne, co pomaga mi przetrwać tę podróż. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu. Tych kilka minut to zdecydowanie za mało.

– Kompromitujesz naszą rodzinę, zadając się z takim śmieciem – ciągnie ojciec. – Nie mieści mi się w głowie, że tak się zachowujesz. Lepiej cię wychowaliśmy.

Mimo największych wysiłków nie jestem w stanie dłużej go ignorować. Nie wtedy, kiedy mówi o Ruby takie rzeczy. Wściekłość zalewa mnie gorącą falą. Patrzę na ojca gniewnie.

– Zamknij się.

Matka gwałtownie nabiera tchu, siedząca obok mnie Lydia sztywnieje. Chwyta moją dłoń, ale wyrywam ją. Ona może spać ze swoim nauczycielem, ale mnie nie wolno nawet spędzać czasu z jedyną osobą, którą lubię, nie narażając się od razu na wyrzuty?

Samochód się zatrzymuje. Odpinamy pasy bezpieczeństwa. Czekam, aż Lydia i mama wysiądą, i ruszam za nimi. Ojciec jest już za mną, nie zdążę zrobić nawet dwóch kroków, a czuję na barku jego dłoń. Odwraca mnie do siebie, chwyta za poły marynarki i potrząsa mocno.

– Jak śmiesz tak się do mnie odzywać – warczy i odpycha mnie tak gwałtownie, że aż się zataczam. W następnej chwili unosi rękę i wierzchem dłoni uderza mnie w twarz. Czuję przeszywający ból, przed oczami przez kilka sekund mam tylko kolorowe punkciki. Usta wypełnia mi metaliczny smak.

– Jezu, tato! – krzyczy Lydia i obejmuje mnie za ramiona, zanim popełnię głupstwo i odpowiem ciosem na cios. Zrobiłbym to z największą przyjemnością. Chciałbym zadać mu ten sam ból, którym raczy mnie już od dzieciństwa.

Mama bierze go za rękę, ale wyrywa się jej, odwraca na pięcie i odchodzi w kierunku domu. Ona tymczasem patrzy na nas ze smutkiem.

– To są skutki zadawania się z hołotą, James. – A potem i ona zbiera poły obszernej sukni i rusza za nim.

Odprowadzam ich wzrokiem i staram się zdławić wściekłość, która powoli, ale wyraźnie przeradza się w nienawiść, a jej nie chcę czuć. Wierzchem dłoni ocieram usta i patrzę na krew, jakby pochodziła od kogoś obcego.

Lydia staje przede mną i chwyta mnie za barki.

– James. Czy ona naprawdę jest tego warta? – pyta stanowczo.

Patrzę na nią, zbyt poruszony, by zastanowić się nad jej pytaniem.

– Lepiej zajmij się własnymi sprawami – warczę. Odwracam się i ruszam przez dziedziniec w kierunku bramy do posiadłości. Jednocześnie sięgam do kieszeni po komórkę i wybieram numer Wrena.

Koniecznienie muszę się czymś zająć.

Dopiero po trzecim drinku wściekłość zaczyna opadać. Opieram się o ścianę w salonie rodziców Wrena, popijam szkocką z kryształowej szklaneczki i pozwalam, by rytmiczna muzyka stopniowo zagłuszała moje myśli.

– Proszę, proszę, powrócił syn marnotrawny. – Za moimi plecami rozlega się głos Cyrila. Odwracam się i patrzę, jak idzie w moim kierunku z szeroko rozłożonymi ramionami i cynicznym uśmiechem na ustach. Tak jak pozostali zdjął marynarkę i został tylko w części kostiumu z epoki: w białej koszuli i spodniach z wysokim stanem. – Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? – dopytuje. Chce powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy dostrzega moje usta i tylko gwizdże pod nosem. – Jezu, stary, kiepsko to wygląda.

Nie odpowiadam, dopijam drinka jednym haustem. Czuję, jak drętwieją mi policzki.

– Daj mu spokój, Cyril – odzywa się Wren z kanapy. Jakaś blondynka, która wydaje mi się znajoma, siedzi w niego wtulona. On gładzi ją po udzie. Kiedy dziewczyna unosi głowę, rozpoznaję ją. Camille. Ostatnio była z Keshem, nie z Wrenem, ale takie rzeczy w naszych kręgach się zdarzają.

– Co się z tobą dzieje, Beaufort? – Cyril nie daje za wygraną, obejmuje mnie ramieniem i prowadzi w kierunku jednej z kanap. Siadam, pocieram obolałą twarz, a on szykuje i podaje mi kolejnego drinka. – Ten James, z którym dorastałem, nie dawał się nikomu zastraszyć. Nie pozwoliłby się wykopać z drużyny, nie dałby się zapędzić do niewolniczej harówki.

Ponownie ogarnia mnie wściekłość, gdy nazywa „niewolniczą harówką” to,

co w ciągu minionych tygodni robiłem z komitetem organizacyjnym. Powstrzymuję się jednak. Cyril jest, jaki jest, a dzisiaj wieczorem miałem już dosyć emocji. Chcę się tylko upić, do tego stopnia, że nie będę już niczego czuł. Ani dłoni ojca, ani ust Ruby.

– Nie miałem wyboru, sam wiesz.

– Bzdura – odzywa się Wren. W jego oczach dostrzegam iskierki rozbawienia. – Ty po prostu lecisz na Ruby.

W odpowiedzi tylko upijam łyk szkockiej i zamykam oczy. To cholernie mocny alkohol, pali mnie od gardła po żołądek.

– Powaga? Robisz to wszystko tylko dlatego, że lecisz na Ruby Bell? – dziwi się Cyril.

– I dlatego tak się zmienił. – Przy tych słowach Wren nie patrzy na mnie, tylko na Camille, którą w roztargnieniu gładzi po jasnych włosach.

– Podlizywał się jej. Żałujcie, że nie widzieliście, jaki był słodki podczas ostatnich spotkań – wtrąca się Camille. Patrzy na mnie ze współczuciem. – A może robiłeś to wszystko po to, żeby znowu móc grać?

Zastygam z ustami na skraju szklanki.

– Skąd wiesz?

– Ruby powiedziała nam przed balem.

Spod zmarszczonych brwi przyglądam się Wrenowi, który ponownie gładzi Camille. To dlatego coś z nią dzisiaj zaczął? Żeby o mnie wypytać?

– Wcale się nie zmieniłem. – Mam ciężki, niezdarny język, kiedy wypowiadam te słowa; brzmią cicho i niewyraźnie.

– Oczywiście, że się zmieniłeś. – Alistair opada na kanapę po mojej lewej stronie. Jego blond włosy są zmierzwione, ma rumieńce na policzkach. Albo on także już sporo wypił, albo poderwał kogoś i zaciągnął do pokoju gościnnego Wrena.

– Pod jakim niby względem? – dopytuję z pozornym spokojem, a jednocześnie wmawiam sobie, że wcale mnie nie obchodzi, co myślą.

Alistair podnosi rękę i wylicza.

– Po pierwsze, nie bywasz już na naszych imprezach albo znikasz przed wschodem słońca, czego stary James Beaufort w życiu by nie zrobił. Po drugie, z własnej woli spędzasz czas z kujonami z komitetu organizacyjnego... Sorry, Camille.

Dziewczyna pokazuje mu środkowy palec.

– Po trzecie, masz w dupie nasze postanowienie.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby wysłuchiwać tych bzdur.

Alistair unosi brew.

– To nie są bzdury i doskonale o tym wiesz.

– Alistair ma rację. Mieliśmy się świetnie bawić podczas tego roku i po raz ostatni porządnie nabroić – wtrąca się Wren. – Takie było nasze postanowienie. Carpe diem, pamiętasz? Każdego dnia, póki jesteśmy razem. Niestety, ten James, który nas do tego namawiał, który zaklinał, żebyśmy szli na całość, zagubił się gdzieś po drodze. Na to przynajmniej wygląda.

Opadam na oparcie, upijam kolejny łyk. Alkohol pali mnie niemiłosiernie. Dociera do mnie prawda ich słów. Mój żołądek boleśnie się ściska. Mają rację.

Plan był taki, że ostatni rok w szkole miał być najlepszym rokiem mojego życia. Miałem rozkoszować się ostatnimi chwilami z przyjaciółmi. Z chłopakami, którzy są dla mnie jak druga rodzina.

Z całą pewnością w planie nie było uczuć do kogoś, z kim i tak nie mam szans na wspólną przyszłość.

Cały czas czuję na wargach jej smak, a na ciele dotyk jej dłoni. A to oznacza, że wypilem jeszcze za mało.

Ruby budziła we mnie uczucie, którego nie doświadczyłem nigdy wcześniej. Wydawało mi się, że z nią u boku wszystko jest możliwe. Co za cudowne, straszne kłamstwo. Bo w rzeczywistości nie jestem wolny. W przeciwieństwie do niej, świat nie stoi przede mną otworem, nie mam nieograniczonych możliwości i wyboru. Od początku wiadomo, jak będzie wyglądało moje życie.

Może właśnie to pociągało mnie w niej od samego początku. Ona bierze swój los we własne ręce, ja jestem tylko pionkiem na planszy.

Ona żyje, ja tylko egzystuję.

Nie pasujemy do siebie.

Szkoda tylko, że sobie tego nie uświadomiłem, zanim ją pocałowałem.

Ruby

Jak rozmawia się z kimś, z kim się całowało?

Jedyny chłopak, z którym się całowałam przed Jamesem, to Wren, którego później ignorowałam i udawałam, że nic się nie stało. W przypadku Jamesa ta strategia nie wchodzi w grę.

Przez większość niedzieli leżę na łóżku i wpatruję się w jego bluzę, która cały czas leży na moim biurku. Chciałabym do niego napisać albo zadzwonić, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, poza: „Czy możemy to powtórzyć? I co to teraz dla nas oznacza?”, a na to się nie odważę. Zwłaszcza że wczoraj wieczorem tak nagle odszedł z rodzicami, że nie zdążyłam się nawet z nim pożegnać.

Tak bardzo się tym wszystkim denerwuję, że postanawiam się czymś zająć i przeprowadzić wstępną ocenę balu z okazji Halloween. Nie licząc drobnego incydentu z brakiem prądu, wszystko przebiegło zgodnie z planem i już rano dostałam wiadomość od dyrektora Lexingtona, w którym chwalił naszą ekipę za kawał świetnej roboty. Przekazałam ją pozostałym członkom komitetu. A teraz sięgam po jedną z książek, którą dostałam od dziadków na urodziny. Czytam pierwsze rozdziały. Karteczki samoprzylepne, kolorowe markery i flamastry zawsze pomagały mi opanować chaos w moich myślach i notatkach. Zaznaczam co ważniejsze fragmenty, wbijam sobie do głowy ważne informacje i jednocześnie usiłuję nie myśleć o ustach Jamesa na moich wargach i jego dłoni na moim karku.

Zastanawiam się, ile dziewczyn już całował, skoro tak dobrze mu to wychodzi.

Zastanawiam się, czy posunęlibyśmy się o wiele dalej, gdyby nie przerwał nam jego ojciec.

Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś będę miała okazję tak go całować.

No dobra, najwyraźniej książka nie pochłonęła mnie tak bardzo, jak na to liczyłam. Ale nie chcę pozwolić, by James wypełnił mi cały świat. A już na pewno nie chcę stracić dla niego głowy. Moja głowa należy do mnie i nie mogę jej ryzykować tylko dlatego, że James uaktywnił motyle w moim brzuchu.

Tego popołudnia pochłaniam prawie całą pierwszą połowę książki, chociaż to zdecydowanie za dużo na jeden raz. Wieczorem jestem tak zmęczona, że z ulgą padam do łóżka. Niestety przez całą noc śni mi się tylko James, jego ciemne oczy i ochrypy głos, gdy szepcze moje imię.

Następnego ranka czuję się tak samo jak pierwszego dnia szkoły. Jestem zdenerwowana i podekscytowana, a mój żołądek robi salto, gdy autobus wjeżdża na przystanek. Cały czas zastanawiam się, co poczuję, gdy ponownie zobaczę Jamesa. Podejdzie do mnie? A może powinnam go poszukać? Czy to za oczywiste? Będziemy udawali, że nic się nie stało? A może od soboty łączy nas coś więcej? Te pytania nie dają mi spokoju, jestem na siebie zła, że wczoraj po prostu do niego nie zadzwoniłam. Wtedy wiedziałabym przynajmniej, na czym stoję i jak się zachować. Nie znoszę być tak niepewna siebie.

Wysiadam ze szkolnego autobusu i zadaję sobie sporo trudu, by doprowadzić mundurek do ładu. Nie może być na nim najmniejszej fałdki, najmniejszego zagniecenia, krawat musi być idealnie prosty. Zarzucam sobie na ramię torbę, którą dostałam od Jamesa. Jej ciężar, o dziwo, dodaje mi pewności siebie, jakby była namacalnym dowodem, że łączy nas coś prawdziwego. Dotykam opuszkami palców inicjałów na klapie i jednocześnie patrzę na żelazną bramę prowadzącą do Maxton Hall.

Uda ci się. Zachowuj się normalnie. Nic się nie zmieniło, powtarzam sobie w myślach, Prostuję dumnie plecy i wchodzę na szkolną posesję.

Podczas apelu nigdzie nie widać Jamesa. Jego przyjaciele siedzą w ostatnim rzędzie. Mijam ich, idąc do przodu, i słyszę, jak Cyril gwizdże pod nosem. Nie wiem, czy chodzi o mnie, ale zaczynam się niepokoić. Odwracam się. Cyril przygląda mi się bez jednego mrugnięcia. Nie zwracam na niego uwagi.

Moja pierwsza lekcja to historia sztuki i chociaż bardzo się staram, nie jestem w stanie się skoncentrować. Myślę tylko o jednym: zaraz pójdę na matematykę i znajdę się w tym samym pomieszczeniu, w którym w tej chwili siedzi James. Już wiele razy spotykaliśmy się na korytarzu między lekcjami,

bo pani Wakefield właściwie zawsze przedłuża swoje lekcje.

Ledwie zadzwonił dzwonek, szybko podbiegam do drzwi, jednocześnie usiłując nie zwracać na siebie uwagi, ale sądząc po spojrzeniu Alistaira, nie bardzo mi się to udaje. Ruszam w kierunku głównego budynku. Im bliżej jestem pracowni matematycznej, tym szybciej bije mi serce.

Przed ostatnim zakrętem zatrzymuję się, wyrównuję czarne podkolanówki, żeby kończyły się dokładnie na tej samej wysokości, a potem nabieram głęboko tchu i skręcam za róg.

Przygotowałam się mentalnie na spotkanie z Jamesem, ale kiedy w sąsiednim korytarzu dostrzegam go obok Lydii, serce na moment staje mi w piersi. Dziwnie się czuję, widząc go w szkolnym mundurku; z jednej strony wygląda obco, z drugiej – bardzo znajomo. Po krótkiej chwili, podczas której usiłuję zapanować nad rozszalałym pulsem, ruszam dalej. Mogę się z nimi najzwyczajniej w świecie przywitać. Tylko „cześć”, nic więcej. W tym nie ma nic dziwnego. Nie chcę, żeby było dziwnie. Muszę tylko spojrzeć mu w oczy, a będę wiedziała, jak się sprawy mają. Ciekawe, czy zobaczę w nich to samo zdenerwowanie, które nie daje mi spokoju od soboty?

Lydia zauważa mnie pierwsza. Ledwo zauważalnie szturcha Jamesa ramieniem. Mamrocze coś pod nosem i kiwa jej głową, a potem rusza w moją stronę. Mój uśmiech nie wiadomo kiedy przeradza się w grymas. Dzieli nas tylko kilka kroków, już otwieram usta, by się z nim przywitać, i wtedy...

...mija mnie.

– Hej – słyszę za plecami. Odwracam się i widzę, jak wita się z Cyrilem. Rozmawiają krótko, James gestykułuje jak szalony, Cyril parska śmiechem. Pokonują kilka metrów dzielących ich od sali, w której mają zajęcia, i znikają w drzwiach, ani razu nie oglądając się za siebie.

W mojej klatce piersiowej narasta przenikliwy ból. Zastygam w bezruchu pośrodku korytarza. Z trudem przełykam ślinę. Kiedy ponownie podnoszę wzrok, w pobliżu stoi już tylko Lydia. W pierwszej chwili ma taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale potem i ona bez słowa odwraca się na pięcie i znika w jednej z sal. Ja tymczasem nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

Reszta dnia mija mi jak w transie. Każda kolejna lekcja wydaje się dłuższa niż poprzednia. Słyszę słowa nauczycieli, ale ich nie rozumiem, nie uczę się niczego nowego.

Podczas przerwy obiadowej nie jestem w stanie iść do stołówki. Na samą

myśl, że zobaczę Jamesa z przyjaciółmi, ponownie zakotwiczonego w starym świecie, sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Zamiast tego idę do biblioteki i wpatruję się w okno.

Nie wiem, co zrobiłam nie tak. Nie potrafię sobie wytłumaczyć jego zachowania. Łamię sobie głowę, ale nie popełniłam żadnego błędu. A nawet jeśli, nie zasłużyłam sobie na takie traktowanie. Na matematyce jeszcze usiłowałam sobie wmówić, że mnie po prostu nie zauważył, ale kiedy spotkaliśmy się ponownie na korytarzu, znowu minął mnie bez słowa, bez jednego spojrzenia. Bardzo jasny sygnał.

Lin oczywiście widzi, że coś jest nie tak, ale nie miałam kiedy opowiedzieć jej o pocałunku, a teraz już na pewno tego nie zrobię. Mam wrażenie, że w miejscu mojego serca znajduje się otwarta rana. Wszystko mnie boli, kiedy oddycham, kiedy się poruszam, kiedy coś mówię.

Lin musi sama poprowadzić spotkanie komitetu, bo ja tylko siedzę i bez słowa bazgrzę w kalendarzu. Znajduję miejsce, w którym zamalowałam imię Jamesa korektorem. Nikt nie wie, co znajduje się pod białą plamką, ja jednak dotykam jej opuszkami palców i wzdycham.

Przecież sobie nie wymyśliłam tego pocałunku. Tego, jak wypowiadał moje imię. Tego, jak na mnie patrzył. Jak rozpaczliwie mnie dotykał. Coś było między nami. Coś wielkiego. I nawet jeżeli z jakiegoś powodu doszedł do wniosku, że to jeden wielki błąd, mógł mi to po prostu powiedzieć. Jestem bardzo racjonalna i wiem, że pewne rzeczy nie mogą się udać. To także sprawiłoby mi ból, ale mogłabym z tym żyć.

Nie daje mi spokoju co innego: to, że zachowuje się tak beznadziejnie. Im dłużej siedzę na zebraniu, im dłużej patrzę na jego puste miejsce, tym większa ogarnia mnie złość. Czy to wszystko było dla niego tylko zabawą? Był ciekaw, jak daleko zdoła się posunąć? A może założył się z kumplami? Albo po prostu chciał owinąć mnie sobie wokół palca, żeby wstawiła się za nim u Lexingtona. Robi mi się niedobrze, gdy o tym pomyślę. Czy wszystko, czego dowiedziałam się o nim w ciągu minionych tygodni, to jedno wielkie kłamstwo? Czy cały czas był tym samym Jamesem Beaufortem, którego poznałam na początku? Wyrachowanym, podstępny i aroganckim?

Wbijam wzrok w okno i dostrzegam na boisku drużynę lacrosse. Moja złość przybiera na sile. Wypełnia mnie całą, robi mi się jednocześnie zimno i gorąco. Nieświadomie zaciskam zęby tak mocno, że zaczynam nimi zgrzytać. Sporo mnie kosztuje, żeby podczas zebrania nie dać po sobie

poznać, co się ze mną dzieje.

Ledwie spotkanie dobiega końca, patrzę na Lin.

– Mogę już iść? Kiepsko się czuję.

Przygląda mi się podejrzliwie, a potem powoli kiwa głową.

– Oczywiście, zajmę się wszystkim. Jeżeli chcesz, później do ciebie zadzwonię. – Brzmi to jak zawołowana propozycja. Z wdzięcznością dotykam jej barku.

Wychodzę z pomieszczenia, nie zegnając się z pozostałymi. Torba na ramieniu nagle jawi mi się już nie jako prezent od przyjaciela, lecz jako próba przekupstwa. Myślę tylko o jednym, o moim rozczarowaniu i wściekłości. Szybkim krokiem wychodzę z biblioteki i biegnę w kierunku boiska.

Już z daleka słyszę krzyki i przekleństwa. Pieprzyć lacrosse.

Gwałtownie zatrzymuję się na skraju boiska i rozglądam z rękami skrzyżowanymi na piersi. Po chwili dostrzegam błękitną koszulkę z białą siedemnastką.

– Beaufort, przyszła twoja dziewczyna! – krzyczy Wren zaledwie sekundę później. I choć nie widzę jego złośliwego uśmiechu pod kaskiem, wyraźnie wyczuwam go w tonie jego głosu.

James odwraca się i widzi mnie stojącą na krawędzi boiska. Liczę się z tym, że po raz kolejny mnie zignoruje, jednak po chwili unosi dłoń.

– Grajcie dalej! – krzyczy i biegnie w moją stronę. Zatrzymuje się i patrzy na mnie po raz pierwszy tego dnia, tak mi się przynajmniej wydaje. Pod kaskiem nie widzę jego oczu.

– Wreszcie. – Głos drży mi z wściekłości. Nie znam siebie od takiej strony. Zawsze jestem opanowana, nigdy nie daję się ponieść emocjom. Kiedy taka się stałam? Od kiedy nie jestem w stanie postrzegać wszystkiego na chłodno, jak dawniej?

Od kiedy w moim życiu jest James – tak brzmi odpowiedź.

Jestem taka, od kiedy go znam.

Milczy. Czekam, aż coś powie, ale on nawet nie drgnie.

– Mógłbyś to przynajmniej zdjąć? – Wskazuję jego kask.

Wzdycha zirytowany, ale spełnia moją prośbę. Ma spocone, rozczochrane włosy i rumieńce na policzkach. Teraz, gdy tak przede mną stoi, po raz pierwszy widzę rozciętą wargę. Wygląda tak, jakby się z kimś bił. Delikatnie unoszę rękę, robię to odruchowo, żeby go dotknąć, ale cofa się. Zaciskam pięść i opuszczam dłoń.

– Co się z tobą dzieje? – pytam z przejęciem.

Patrzy na mnie oczami pozbawionymi jakichkolwiek uczuć.

– A niby co ma się dziać?

Jestem chyba równie czerwona jak on, i to tylko dlatego, że doprowadza mnie do szału.

– Co się dzieje? Na przykład zachowujesz się jak dupek.

Marszczy brwi.

– Czyżby?

– Przestań się wygłupiać i powiedz, dlaczego mnie ignorujesz – proszę ciszej, ale ciągle stanowczo.

I znowu nie odpowiada. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby ta rozmowa nudziła go do szaleństwa. Robię krok w jego kierunku.

– To była część twojego planu? – rzucam. – Byłeś dla mnie miły tylko po to, żeby znowu móc trenować?

Wydaje taki dźwięk, jakby parsknął śmiechem, ale nagle nie jest w stanie dłużej patrzeć mi w oczy. Wbija wzrok w ziemię, w miejsce, w którym niemal stykają się czubki naszych butów.

– Na wypadek, gdybyś zapomniał: pocałowałeś mnie już po tym, gdy zwolniłam cię z pracy w Komitecie organizacyjnym. Naprawdę nie musiałeś tego robić.

Cały czas milczy.

– Dlaczego taki jesteś? – pytam. Jestem na siebie wściekła, bo głos mi drży. – Chodzi o twojego ojca? Zrobił ci coś?

James wreszcie podnosi wzrok i teraz w jego oczach widzę odbicie mojej wściekłości.

– Tak sobie to tłumacz, jeżeli ci z tym wygodniej.

Jego słowa są jak cios w serce.

– Pocałowałeś mnie. Nie ja ciebie, ty mnie. Nie musiałeś tego robić, jeżeli teraz się tego wstydzisz.

Marszczy czoło.

– Nie przesadzaj. Dałaś mi coś, spodobało mi się, koniec, kropka.

– Spodobało ci się, koniec, kropka? – powtarzam z niedowierzaniem. Nie mieści mi się w głowie, że typ, który tu przede mną stoi, to naprawdę ten sam chłopak, z którym całowałam się w sobotę na schodach. Że to jego język rozchyłał moje wargi, to jego dotyk przyprawiał mnie o zawrót głowy.

Teraz tylko wzrusza ramionami.

– Jezu, James, co się z tobą dzieje? – mamroczę pod nosem. Choć cały czas jestem na niego wściekła, zastanawiam się, skąd wzięła się rana na jego ustach. Z kim się bił. Czy mogłabym temu zaradzić. – Mogłeś mi po prostu powiedzieć, że ten pocałunek był błędem – mówię najspokojniej jak potrafię.

– Dobrze, w takim razie mówię to teraz – odpowiada chłodno. – Było fajnie, ale najwyższy czas wrócić do dawnego stanu rzeczy.

Nie pojmuję, że przed chwilą naprawdę to powiedział. Mam wrażenie, że znalazłam się nie w tym filmie. Coś tutaj jest bardzo nie tak. Ale nie jestem w stanie tego naprawiać. To jest jak lawina, której nie sposób powstrzymać, która niszczy wszystko, co napotka.

– Nie musisz od razu przekreślać naszej przyjaźni tylko dlatego, że twoi przyjaciele czy rodzice mają coś przeciwko temu, wiesz o tym?

Uśmiecha się, ale to tylko grymas, nie ma w tym uśmiechu nic z tego, co widziałam podczas ostatnich tygodni. Właściwie wcale go nie poznaję.

– Z wariackim uporem usiłujesz kontrolować wszystko i wszystkich, pracować nad każdą niedoskonałością, którą widzisz wokół siebie, w innych ludziach... Ale to tak nie działa, Ruby. Tu nie chodzi o moich przyjaciół czy moją rodzinę. Taki jestem. – Kładzie sobie rękę na ochraniaczu na piersi. – Okropny, zły i fałszywy. Najwyższy czas, żebyś pogodziła się z tą myślą.

Wściekłość znika bez śladu, jej miejsce zajmuje rozpacz. To samo czułam wtedy na przyjęciu halloweenowym, gdy wyobrażałam sobie, że będę musiała się z nim pożegnać. Teraz jednak to uczucie jest o wiele silniejsze, o wiele bardziej bolesne. Bo teraz jest to ostateczne pożegnanie.

Podejmuję ostatnią próbę, unoszę dłoń, dotykam jego policzka. Delikatnie muskam go kciukiem.

– Nie jesteś okropny, zły ani fałszywy.

Śmieje się gorzko i przecząco kręci głową.

– Nie chcę cię stracić – szepczę. Wkładam w te słowa resztki odwagi, które w sobie mam.

Kładzie swoją dłoń na mojej, zamyka oczy i wygląda, jakby ta chwila przyprawiała go o wręcz fizyczny ból. Delikatnie muska palcami wierzch mojej dłoni. Przeszywa mnie dreszcz.

– Nie możesz stracić czegoś, co do ciebie nie należy, Ruby Bell.

Odciąga moją dłoń od swojej twarzy. A potem otwiera oczy i patrzy na mnie. Ma takie samo spojrzenie, jak przed dwoma miesiącami, zimne i dalekie. Nagle czuję się wyprana z wszelkich emocji. Czuję lodowaty chłód,

gdy w pełni dociera do mnie znaczenie jego słów.

– Beaufort! – krzyczy Wren przez całe boisko. – Tracisz pierwszy trening od kilku tygodni. Chodź już, stary!

Chce się odwrócić, widzę to po napięciu w jego ciele. Jakby niewidzialna więź łączyła go z przyjaciółmi.

– Coś jeszcze? Chłopaki na mnie czekają – rzuca głosem bez emocji i kciukiem wskazuje boisko.

Nigdy w życiu nie czułam się równie upokorzona. Adrenalina, ból i wściekłość wzbierają nową falą. Zaciskam pięści, żeby się na niego nie rzucić. Mam na to ogromną ochotę, ale jest tak zimny, tak obcy, że nie sprawię mu tej satysfakcji i nie zaatakuję go na oczach jego przyjaciół.

– Nie, już nic – mówię z całą godnością, na jaką mnie stać.

James ma w nosie moją godność. Odwraca się na pięcie, zanim jeszcze coś dodam, i wraca do kumpli. Z każdym jego krokiem znika moja duma, aż nie jestem w stanie dłużej stać prosto.

Ruby

Zielony – ważne.

Turkusowy – szkoła.

Różowy – komitet organizacyjny.

Fioletowy – rodzina.

Pomarańczowy – sport i odżywianie.

Gdybym kolorami miała podzielić swoje popołudnie, wyglądałoby następująco:

Fioletowy – szloch na ramieniu Ember.

Fioletowy – szloch na ramieniu mamy.

Fioletowy – schodzenie tacie z drogi, żeby nie zadawał zbyt wielu pytań.

Pomarańczowy – godzinna przebieżka z Ember, żeby odzyskać jasność myślenia.

Zielony – oddać torbę Jamesowi Beaufortowi i dać mu jasno do zrozumienia, gdzie może mnie pocałować.

Bardzo przyzwoita lista. Gdyby naprawdę istniała, zrealizowałabym wszystkie punkty, poza ostatnim.

Przez ponad godzinę siedziałam z turbanem z ręcznika na głowie i usiłowałam napisać do Jamesa. Teraz, w pokoju pełnym pogniecionych kartek, postanawiam dać sobie spokój. Chciałam ubrać w słowa złość i rozczarowanie, ale na papierze to wszystko wydaje się bez sensu. Szkoda, że nie wygarnęłam mu wszystkiego tam, na boisku, ale wtedy byłam w zbyt wielkim szoku, by to zrobić.

Na korkowej ścianie nad moim biurkiem wisi bilecik, który dostałam od niego w urodziny. Wówczas te słowa miały dla mnie ogromne znaczenie. Myślałam, że pisał je szczerze. Teraz wydaje mi się, że wszystko, co się między nami wydarzyło, to tylko moje marzenia. Długie rozmowy, chwile,

gdy śmialiśmy się razem, ten pocałunek – to tylko wytwory mojej wyobraźni. Nagle nie jestem w stanie dłużej patrzeć na ten bilecik. Zrywam go ze ściany, chwytam czarny flamaster i piszę pierwsze, co w tej chwili przychodzi mi do głowy:

James, pieprz się.

Ruby

Lekko przechyliłam głowę i podziwiam swoje dzieło. Napisałam to tuż pod jego słowami. Ten widok boleśnie uświadamia mi, że naprawdę znaleźliśmy się w tym punkcie.

– Ruby? – Ember zagląda do mojego pokoju. – Tata przygotował kolację. Przyjdiesz?

Kiwam głową, niezdolna oderwać wzroku od bileciku. Ember podchodzi i zagląda mi przez ramię. Z westchnieniem gładzi mnie po głowie. Potem bez słowa wyjmuję karton zza drzwi i pomaga mi upchnąć w nim torbę. Serce mi krwawi, gdy na samym wierzchu kładę bilecik i zamykam pudło.

– Jeśli chcesz, mogę to nadać jutro rano w drodze do szkoły – proponuje cicho.

Gula w moim gardle rośnie z każdą chwilą.

– Dzięki – mówię ochryple, gdy mnie obejmuje.

Ember zabiera karton do swojego pokoju, żebym dłużej nie musiała na niego patrzeć. Jestem jej wdzięczna, że nie wspomniała o bluzie Jamesa, chociaż wyraźnie widziałam, że spojrzała na nią znacząco. Nie byłam w stanie jej także wpakować do pudła. Nie chcę się też zastanawiać, co to właściwie oznacza.

Po kolacji kładę się na łóżku i wbijam wzrok w sufit. Daję sobie ten wieczór i tę noc na opłakiwanie tego, co było między nami. Na opłakiwanie przyjaciela, którego straciłam, choć sama nie wiem dlaczego.

I tyle. Bo ja to ciągle jestem ja; już dawno sobie przyrzekłam, że nikt nigdy nie sprowadzi mnie z raz wybranej drogi. Od jutra wszystko będzie tak, jak podczas minionych dwóch lat. Skoncentruję się na szkole i prowadzeniu komitetu organizacyjnego. Codziennie będę szła z Lin do stołówki. Skupię się na przygotowaniach do rozmowy wstępnej w Oksfordzie. Wrócę do świata, w którym ani James Beaufort, ani reszta uczniów Maxton Hall nie wie, jak się nazywam.

James

Ruby jest mistrzynią schodzenia mi z drogi. Jakby nauczyła się na pamięć mojego rozkładu zajęć, tylko po to, żeby broń Boże nigdzie się ze mną nie spotkać. A jeżeli już do tego dojdzie, mija mnie szybkim krokiem, nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem, z dłońmi zaciśniętymi na szelkach zielonego plecaka. Ilekroć ją widzę, przypominam sobie bilecik, który noszę w portfelu starannie złożony i czasami wyjmuję, gdy tęsknota za nią staje się nie do wytrzymania.

Tak jak teraz.

Kiedy to się skończy? Kiedy w końcu będę w stanie myśleć o czymkolwiek innym niż Ruby? Wybrałem sobie fatalny moment, żeby się rozpraszać. W czwartek czeka nas egzamin TSA i jeżeli chcę mieć choćby cień nadziei na studia w Oksfordzie, muszę dać z siebie wszystko.

Niestety za żadne skarby świata nie jestem w stanie sobie przypomnieć, o czym przez ostatnie pół godziny rozmawialiśmy z Lydią. Wydrukowaliśmy wszystkie dostępne zadania testowe, rozłożyliśmy je w jej pokoju i przerabialiśmy jedno po drugim, aż rozboleły nas głowy. Lydia zamyka książkę, w której szukała odpowiedzi na jedno z pytań, i opiera się na łokciach. Leży na brzuchu, macha nogami w takt muzyki, która cichutko gra w tle. Wyciąga rękę, więc bez słowa podaję jej paczkę chipsów, którymi raczymy się od ponad godziny.

A potem po raz kolejny przesuwam palcami po liściku Ruby. Arkusik jest już brudny, pogięty. Już mam wsunąć go do portfela, gdy Lydia podpełza do mnie.

– Co to? – pyta i wyjmuje mi arkusik z dłoni, zanim zdążę zareagować. Chcę go odebrać, ale Lydia zdążyła go już rozłożyć i przeczytała zarówno moje słowa, jak i odpowiedź Ruby. Oczy jej ciemnieją i kiedy ponownie podnosi na mnie wzrok, widzę współczucie w jej spojrzeniu. – James...

Wyrywam jej arkusik i ponownie ukrywam w portfelu, który z kolei wsuwam do kieszeni spodni. A potem otwieram książkę, którą moja siostra przed chwilą zamknęła, i zaczynam czytać. Choćbym jednak nie wiadomo jak się koncentrował, słowa nie mają w tej chwili sensu. Dlaczego serce wali mi jak szalone? I dlaczego czuję się, jakby przyłapała mnie na gorącym uczynku?

– James.

Zerkam na nią znad książki.

– Tak?

Lydia siada po turecku i zbiera włosy w luźny węzeł, po czym związuje je gumką na czubku głowy.

– O co chodzi z tym liścikiem?

Wzruszam ramionami.

– O nic.

Lydia pytająco unosi brew i zerka wymownie na moją kieszeń, w której zniknął portfel z bilecikiem. A potem patrzy znowu na mnie, tym razem już cieplej.

– Co się wydarzyło między tobą a Ruby?

Spinam się odruchowo.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Lydia parska cichym śmiechem i kręci głową.

– Wiem doskonale, jak się teraz czujesz – mówi po dłuższej chwili milczenia. – Nie musisz przede mną udawać, że ta sprawa z Ruby nic cię nie obchodzi. Ja mam oczy, James. Widzę, w jak kiepskiej jesteś formie.

Ponownie wbijam wzrok w książkę. Lydia ma rację – jestem w kiepskiej formie. W moim życiu wszystko się wali, a ja nie potrafię temu zaradzić.

– Wiesz, co mnie obchodzi – mówię w końcu. – To, że mam popieprzoną rodzinę i na samą myśl o przyszłości robi mi się niedobrze.

Czuję na sobie współczujący wzrok Lydii, ale nie jestem w stanie na nią spojrzeć. Boję się, że stracę resztkę samokontroli, którą jeszcze posiadam, a na to nie mogę sobie pozwolić. Nie w tym domu, gdzie oczy i uszy mojego ojca są wszędzie, a ja nigdy nie czułem się naprawdę bezpiecznie.

– Ruby też czuje się fatalnie? Dlaczego...

– Słuchaj, miałem na nią oko ze względu na ciebie. – Nie daję jej dokończyć. – Nie było w tym nic więcej. – Te słowa drapią mnie w gardle, brzmią fałszywie, gdy je wypowiadam. Nie jestem w stanie oddychać, a Lydia patrzy na mnie tak przenikliwie, że ciężar w klatce piersiowej doskwiera mi coraz bardziej. Mrugam nerwowo, nieprzyzwyczajony do pieczenia pod powiekami, i z trudem przełykam ślinę.

– Och, James – szepcze i ujmuje moją zimną dłoń. Delikatnie gładzi ją kciukiem. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni dotykaliśmy się w ten sposób. Przez dłuższą chwilę wpatruję się w jej białe palce na mojej skórze. Jakims

cudem udaje jej się tym prostym gestem sprawić, że ponownie jestem w stanie oddychać. – Wiem, jak to jest, kiedy nie można mieć jedynej osoby, dzięki której życie mogłoby okazać się bardziej znośne – mówi i ściska moją dłoń. – Kiedy poznałam Grahama, wiedziałam, że między nami jest coś wyjątkowego.

Prostuję się gwałtownie. Lydia spokojnie patrzy mi w oczy. Dotychczas ani razu nie rozmawialiśmy o tej sprawie z Suttonem, do tej pory zbywała wszelkie moje próby poruszenia tego tematu. Skoro teraz robi to sama, uświadamiam sobie, jak kiepsko wychodzi mi ukrywanie przed nią mojego stanu, jak bardzo musi mi w tej chwili współczuć. Tym niemniej jestem jej wdzięczny za zmianę tematu.

– Jak wy się w ogóle poznaliście? W szkole?

Zaprzecza ruchem głowy. Przez chwilę ma taką minę, jakby szukała odpowiednich słów. Widzę, ile ją kosztuje, żeby o tym opowiedzieć. W końcu chyba od dawna skrywała tę tajemnicę.

– Poznaliśmy się ponad dwa lata temu, zaraz po tej sprawie z Gregiem – zaczyna, a w moim brzuchu wzbiera fala wściekłości. Greg Fletcher przez wiele miesięcy udawał jej przyjaciela, choć w rzeczywistości był dziennikarzem brukowca. Wykorzystał ją i złamał serce tylko po to, żeby mieć dostęp do informacji o naszej rodzinie i firmie.

Ściskam jej dłoń.

– Wtedy nie miałam ochoty... na nic. – Urywa na chwilę. – Totalnie zamknęłam się w sobie.

– Pamiętam. – Po rewelacjach Fletchera media rzuciły się na naszą rodzinę jak sępy na padlinę. To był trudny okres i każde z nas uporało się z tym na swój sposób. Ja zatraciłem się w alkoholu i kokainie, Lydia wybrała milczenie i mur, za który nikt nie mógł zajrzeć.

– Pewnego wieczoru byłam w czarnej rozpacz. Nie miałam z kim pogadać, a bardzo tego potrzebowałam. Miałam piętnaście lat, straciłam dziewictwo z dziennikarzem, bo byłam tak naiwna, że sądziłam, że komuś naprawdę mogę się spodobać, ja jako ja, nie tylko jako Beaufort. Czułam się fatalnie. Miałam do siebie pretensje i nie pojmowałam, jak mogłam być tak głupia. – Milknie na moment. – Tamtego wieczora założyłam sobie anonimowy profil na Tumblrze. Chciałam wszystko z siebie wyrzucić, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Mój pierwszy post to bezładna plątanina słów. Pisałam wszystko, co czułam, a także, że chciałabym być kimś innym.

Następnego dnia w skrzynce pocztowej czekała na mnie bardzo miła wiadomość.

Przyglądam się jej zdumiony.

– Chyba nie od Suttona?

Potwierdza ruchem głowy.

– Tylko kilka serdecznych słów, które jednak w tej sytuacji oznaczały dla mnie wszystko. – Uśmiecha się lekko. – Od tego się zaczęło. Zwierzałyśmy się sobie z rzeczy, których nie mówiliśmy nikomu innemu. On opowiadał mi o Oksfordzie i koszmarnej konkurencji, która go wykańcza. Ja pisałam o złamanym sercu i obawach przed przyszłością. Wzajemnie dodawaliśmy sobie odwagi. Oczywiście nigdy nie zdradziłam mu, jak się nazywam, nie wiedziałam także, kim on jest. A jednak wszystko, co z nim dzieliłam, wydawało mi się bardziej rzeczywiste niż inne relacje w moim życiu.

– Szaleństwo.

– Wiem o tym.

– A potem? – pytam dalej.

– Pół roku później po raz pierwszy rozmawialiśmy przez telefon. Przez bite pięć godzin. Ucho bolało mnie przez pół nocy, tak mocno przyciskałam do niego słuchawkę. Od tej pory rozmawialiśmy coraz częściej.

Przypominają mi się urodziny Ruby. Ta noc, kiedy my także gadaliśmy do późna. Wyszedłem z imprezy u Wrena, tylko po to, żeby usłyszeć jej głos.

– Więc dlatego w tamtym okresie ciągle wyrzucałaś mnie ze swojego pokoju – mówię z lekkim uśmiechem. – Aż w końcu spotkaliście się w realu?

– Odważyłam się na to dopiero ponad rok później. Umówiliśmy się na kawę, gdy skończył studia.

Nie do wiary, że to wszystko działo się pod moim nosem.

– A od kiedy jesteście... razem? – pytam i w tej chwili czuję się jak szóstoklasista.

Lydia czerwieni się po uszy.

– Właściwie nigdy nie byliśmy razem, ale podczas wakacji spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. – Odchrząkuje. – Kiedy Graham zaczął przebąkiwać o pracy w Maxton Hall, skończył wszystko między nami. Natychmiast. Stwierdził, że możemy nadal być przyjaciółmi w internecie, jak dawniej, ale na tym koniec. – Jej oczy błyszczą podejrzeniem. – I wiesz co? To mi wystarczyło. Lepsze to niż stracić go całkowicie. Kiedy pod koniec zeszłego

roku szkolnego wydawało się, że jednak nie będzie dla niego miejsca, znowu nabrałam nadziei. Wszystko zaczęło się od początku, aż w środku lata okazało się, że jednak będzie pracował w naszej szkole. I znowu rozpacz. Tylko że tym razem uznał, że nie powinniśmy się kontaktować, nawet w internecie. Całkowicie wykreślił mnie ze swojego życia, uważa, że tak będzie lepiej dla nas obojga.

Przez chwilę myślę o wszystkim, co mi powiedziała.

– A co się stało na początku roku szkolnego? – pytam w końcu. – Kiedy Ruby was przyłapała?

Lydia z trudem przełyka ślinę.

– Jednorazowy powrót do przeszłości.

Nieznacznie kiwam głową. Wiedziałem, że dla niej Sutton to coś więcej niż tylko chwilowa rozrywka. Za bardzo ostatnio cierpiała, za bardzo go broniła, ilekroć rzucałem złośliwe uwagi pod jego adresem. Nie spodziewałem się jednak, że łączy ich dwuletnia relacja. I że to była tak poważna sprawa.

– Jeszcze tylko rok i może będziecie mogli... – Sam właściwie nie wiem, co chcę powiedzieć. Nawet jeżeli Lydia nie będzie już dłużej uczennicą Maxton Hall, związek z byłym nauczycielem na dobre zniszczyłby jej reputację. Już sobie wyobrażam, co powiedzieliby nasi rodzice.

– James, nie jestem głupia. Zdaję sobie sprawę, że nie mamy z Grahamem szans. – Wyjmuje dłoń z mojego uścisku i sięga po torbę z czipsami, jakby przed chwilą nie powierzyła mi swojej największej tajemnicy. Wsuwa kilka z nich do ust ze wzrokiem wbitym w narzutę na łóżku.

Serce mi pęka, gdy ją widzę w takim stanie. Zwłaszcza że nie potrafię jej pomóc. Bo w jednym ma rację: ona i Sutton nie mają szans, podobnie jak ja i Ruby.

– Dzięki, że mi to powiedziałaś – mówię w końcu.

Lydia przełyka czipsy i upija spory łyk wody.

– Może i ty kiedyś opowiesz mi o Ruby.

Ucisk w piersi, który zniknął podczas jej opowieści, powraca z pełną siłą. Nie zwracam uwagi na jej badawcze spojrzenie i pochylam się nad kolejnym arkuszem z zadaniami.

– Nie ma czego opowiadać.

Jej ciche westchnienie dobiega jakby z daleka. Tekst na kartce rozmazuje mi się przed oczami, gdy myślę o Ruby, która podchodzi do mnie na boisku,

a ja rzucam jej w twarz okrutne słowa. Cały czas to widzę, w niekończącej się koszarnej pętli, aż nie mogę dłużej udawać, że koncentruję się na zadaniach, i wbijam wzrok w ścianę.

* * *

Egzamin TSA idzie dobrze. Wokół mnie wszyscy wychodzą z założenia, że mi się uda, więc wolę się nawet nie zastanawiać, co będzie, gdy się okaże, że jest inaczej.

Tydzień później odbywa się jedno z ostatnich spotkań grupy oksfordzkiej. Ruby i Lin siedzą po przeciwnej stronie pomieszczenia. Jak zwykle ostatnimi czasy, Ruby w ogóle na mnie nie patrzy, ale też nie daje po sobie poznać, że między nami coś zaszło. Zachowuje się jak zawsze, pokonuje wszystkich logiczną argumentacją, a raz nawet udaje jej się zapędzić prowadzącą w kozi róg.

Z trudem powstrzymuję się, by ciągle się na nią nie gapić. To cholernie trudne. Ledwie otwiera usta, wpatruję się w nie chciwie i ogarnia mnie przemożna ochota, by ją pocałować.

W takich chwilach wyobrażam sobie twarz ojca, przypominam jego policzek i ból, który jeszcze kilka dni później dawał mi się we znaki. Nie po raz pierwszy podniósł na mnie rękę. Co prawda nie zdarza się to często, ale jednak. Zwłaszcza wtedy, gdy jego zdaniem nie spełniam oczekiwań rodziny.

Przykro mi, że Ruby nie spełnia jego oczekiwań, ale muszę się z tym pogodzić. Urodziłem się w takiej, a nie innej rodzinie, nie mogę się od niej odciąć, choćbym bardzo tego chciał. Pójdę do Oksfordu i przejmę stery firmy Beaufort. Najwyższy czas się z tym pogodzić i przestać nad sobą uzalać.

– Spójrzmy na drugie pytanie. James, podzielisz się z nami swoją refleksją? – pyta nagle Pippa.

Nie mam pojęcia, co powiedziała. Jedyne, co zarejestrowałem, to moje imię.

– Niechętnie – odpowiadam i rozpieram się na krześle. Szczerze mówiąc, najchętniej wróciłbym do domu. A już naprawdę szczerze, interesuje mnie tylko Ruby, ale jej nie mogę mieć. To, że znajduje się w tym samym pomieszczeniu i w ogóle na mnie nie patrzy, to istna tortura. Tylko ona mnie motywowała. Teraz został już tylko sport, nic innego mnie nie interesuje. Nawet imprezy z przyjaciółmi nie zagłuszają myśli, że moje życie wydaje się

bez sensu. Zegar tyka, czas płynie nieubłaganie. Nie wiem, jak mogę to powstrzymać. Jak sprawić, by nie wydawało się tak beznadziejne.

– Jeżeli zaproszą cię na rozmowę wstępną, musisz być przygotowany na każde pytanie – zaznacza Pippa i gestem dodaje mi otuchy.

Zerkam na kartkę na biurku i czytam pytanie napisane kursywą.

Kiedy, o ile w ogóle, przebaczenie jest błędem?

Wpatruję się w nie przez dziesięć sekund. I kolejne dziesięć, aż moje milczenie zaczyna wszystkim przeszkadzać i ktoś chrząka nerwowo. Przeszywa mnie zimny dreszcz, od ramion po plecy. Papier ciąży mi w dłoniach, aż odkładam go z powrotem na stół. Mam wrażenie, że najadłem się cementu, a przecież mam w ustach pustkę. Nic, poza niewyparzonym językiem, ale i on mnie w tej chwili zawodzi.

– Zazwyczaj przebaczenie to reakcja na krzywdę – rozlega się nagle głos Ruby. – Ale nawet jeżeli człowiek wybaczy drugiej osobie ból, który mu sprawiła, to jeszcze nie oznacza, że ten ból po prostu zniknie. Dopóki trwa, wybaczenie jest błędem.

Podnoszę wzrok. Ruby patrzy na mnie pustym wzrokiem. Najchętniej wyciągnąłbym do niej rękę. Dzieli nas zaledwie kilka metrów, ale ta odległość wydaje się nie do pokonania. Zapiera mi dech w piersiach.

Do jasnej cholery, Beaufort, weź się w garść.

– Jeżeli wybacza się zbyt szybko, ludziom się wydaje, że mogą wszystko. Gniew skrzywdzonej osoby to kara dla sprawcy, który rozpaczliwie potrzebuje wybaczenia – dodaje Lin.

O tak, gniew Ruby to moja kara, zasłużyłem na nią. A jednak wolałbym, żeby nie nienawidziła mnie do końca roku szkolnego. Powinna się cieszyć, bo wkrótce spełni się jej marzenie o Oksfordzie.

Jeżeli ktoś z nas na to zasłużył, to z pewnością ona.

– Przebaczenie nigdy nie jest błędem – mówię cicho. W jej zielonych oczach pojawia się błysk. – Przebaczenie to dowód siły i wielkoduszności. Jeżeli człowiek latami zatraca się w gniewie, niszczy samego siebie i tym samym nie jest lepszy od osoby, która go skrzywdziła.

Ruby prycha pogardliwie.

– Coś takiego może powiedzieć tylko ktoś, kto ciągle krzywdzi innych.

– Wybaczyć nie znaczy: zapomnieć – włącza się Alistair i rozgląda wkoło. Kesh i Wren pomrukują twierdząco. – Można komuś wybaczyć jego działanie, co jednak nie oznacza, że się o nim zapomni. Wybaczenie jest

niezbędne, by postawić grubą kreskę. Zapomnieć to co innego, to coś, co trwa latami albo nie następuje nigdy. Nie ma w tym nic złego. Wybaczenie pozwala odpuścić i żyć dalej.

U mego boku Lydia podnosi głowę.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakby wystarczyło pstryknąć palcami, by wybaczyć, a prawdziwy wysiłek polegał na zapomnieniu. Nie da się jednak wybaczyć wszystkiego. Bo jeżeli to było coś naprawdę strasznego, nie można się od tego ot tak uwolnić.

– Zgadzam się. – Znowu Ruby. – Jeżeli człowiek wybacz za szybko, nie szanuje samego siebie i lekceważy swój ból. To jest działanie autodestrukcyjne. Potrzeba czasu, żeby wyczuć, kiedy można odpuścić, to fakt, ale jeżeli traktuje się decyzję o wybaczeniu jak środek prowadzący do celu, jest to moim zdaniem błędne.

– Może w takim razie można wyróżnić zdrowe i niezdrowe wybaczenie – zauważa Lydia, a Ruby kiwa głową. – Niezdrowe wybaczenie to sytuacja, w której wybaczymy za szybko i tym samym narażamy się na kolejne cierpienie. Zdrowe wybaczenie to wynik starannych przemyśleń. W tym wypadku człowiek ma dość pewności siebie, by po raz kolejny nie dać się tak potraktować.

– Ale wybaczenie to nie to samo co powrót do przeszłości – wtrąca się Wren, siedzący koło Lydii. Pochyliłam się, by widzieć go lepiej. Splótł ręce za głową i zsunął się niżej na krześle. – W pierwotnym założeniu przebaczenie oznaczało zapomnienie o gniewie; to cecha ofiary, nie przestępcy, a zatem tylko ona może ocenić, jakimi wytycznymi ma się kierować.

– Zdarzają się jednak także czyny niewybaczalne – odzywa się cicho Kesh. Wszystkie głowy zwracają się w jego stronę. Skrzyżował ręce na piersi i ma taką minę, jakby powiedział już wszystko, co chciał.

– Możesz to rozwinąć, Keshav? – nalega Pippa.

– Chodzi mi o morderstwo czy coś takiego. W tej sytuacji doskonale rozumiem, kiedy krewni ofiary nie potrafią wybaczyć. No bo niby dlaczego mieliby to zrobić?

Czuję łaskotanie na karku. Dyskretnie zerkam na Ruby. Nasze spojrzenia spotykają się i łaskotanie przybiera na sile. Dzielą nas dwa stoły, ale w tej chwili najchętniej bym je przeskoczył, ujął jej twarz w dłonie i pocałował jeszcze raz.

– Ale to także kwestia moralnych wartości każdego człowieka. Każdy ma

swój próg wrażliwości i ocenę tego, co uważa za niewybaczalne – dodaje moja siostra.

Kesh rzuca coś jeszcze, ale już go nie słyszę. W oczach Ruby widzę w tej chwili wyraźnie, gdzie znajduje się jej próg. To, co jej powiedziałem, jest niewybaczalne. Zaciska usta w wąską linię, pod jej oczami malują się ciemne kręgi, zapewne z mojego powodu. Nie wybaczy mi i choć od dawna wiem, że nie ma dla nas wspólnej przyszłości, dopiero w tej chwili z pełną siłą dociera do mnie, co to właściwie oznacza. Nigdy więcej nie będę mógł jej dotknąć. Nigdy więcej nie będę z nią rozmawiał. Nie będę się z nią śmiał. Nie będę jej całował.

Ta świadomość wstrząsa mną do głębi. Jakby otworzyła się pode mną czarna dziura, w którą spadam i spadam, i spadam bez końca.

Robię, co w mojej mocy, staram się uspokoić, oddycham głęboko i powoli, ale umyka mi cała reszta dyskusji.

I wszystko inne.

Ruby

Dawniej zawsze uwielbiałam marzyć. W marzeniach nawet niemożliwe stawało się możliwe. Mogłam latać i czarować. Studiowałam w Oksfordzie i podróżowałam po całym świecie. Byłam ambasadorką. Czasami moje marzenia sensne były tak realistyczne, że następnego dnia z nową motywacją biegłam do szkoły i usiłowałam dać z siebie więcej niż sto procent.

Teraz nienawidzę snów. W większości z nich James odgrywa główną rolę, a chciałabym, żeby to się już skończyło. Budzę się w środku nocy, nie dlatego, że śnił mi się koszmar, lecz dlatego, że czuję pulsowanie między nogami, bo śniłam o tym, jak mnie obejmował i całował. Marzę, żeby znowu zaproponował mi usługi cielesne w zamian za milczenie, ale tym razem nie powstrzymałabym go, gdy rozpiąłby koszulę. Marzę, że zabiera mnie w świat, w którym nie mógłby raz na zawsze przekreślić tego, co nas łączyło.

Także i tego ranka budzę się z rozpalonymi policzkami i kołdrą między nogami. Z westchnieniem przewracam się na plecy i zakrywam oczy dłonią. Tak dalej być nie może. Muszę jakimś sposobem wyrzucić Jamesa z mojej podświadomości, inaczej oszaleję. Jak mam o nim zapomnieć, skoro co noc sny udowadniają, do czego mogło między nami dojść.

Przecieram oczy i sięgam po komórkę leżącą na nocnym stoliku. Nie ma jeszcze szóstej, dopiero za dziesięć minut zadzwoni mój budzik. Zmęczona siadam i przeglądam pocztę. Od wczorajszego wieczora dostałam osiem nowych wiadomości. Przeglądam je powoli, ciekawa, czy jest wśród nich coś ważnego.

Kiedy widzę nadawcę ostatniej, kręci mi się w głowie. Czeka na mnie wiadomość od szefa rekrutacji Kolegium Świętej Hildy.

Wstrzymuję oddech i zaczynam czytać.

Droga Ruby,

Z prawdziwą przyjemnością zapraszamy na rozmowę kwalifikacyjną do Kolegium Świętej Hildy w Oksfordzie. Gratulujemy pozytywnego wyniku pierwszego etapu egzaminu wstępnego.

Nie bardzo wiem, co jest dalej. Mój krzyk niesie się echem po całym domu. Ember wpada do mojego pokoju. Zrywam się z łóżka. Chwilę trwa, zanim odzyskuję równowagę, ale zaraz podsuwam jej komórkę pod nos. Podskakuję jak szalona.

– O Boże! – krzyczy, chwytając mnie za ręce i skacze razem ze mną. – O Boże, Ruby!

Zbiegam na parter tak szybko, że mało brakowało, a runęłabym jak długa. Tata na wózku inwalidzkim już wyjechał do przedpokoju, także mama niespokojnie wygląda z kuchni. Dumnie podnoszę dłoń z komórką.

– Jadę do Oksfordu na rozmowę kwalifikacyjną!

Mama zakrywa usta dłonią, tata krzyczy radośnie. Ember obejmuje mnie w talii i ściska z całej siły.

– Tak bardzo się cieszę! Ale nie chcę, żebyś się wyprowadzała.

– Na razie to tylko zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną. To jeszcze nie oznacza, że mnie przyjęli. A poza tym Oksford jest niecałe dwie godziny drogi stąd. – Z wrażenia nie mogę spokojnie ustać. Moje marzenie, latami nieznośnie odległe, nagle znacznie się przybliżyło. Jest w zasięgu ręki, tak przynajmniej wydaje mi się w tej chwili. Cała dygoczę od nadmiaru energii.

– Wszyscy wiemy, że roztrzaskasz te rozmowy – mówi tata. Obie z Ember śmiejemy się, słysząc, jakiego słowa użył. – Nie mają wyjścia, będą musieli cię przyjąć.

Uśmiecham się tak szeroko, że zaczynają boleć mnie policzki. Ale i tak nie mogę przestać. Już od dawna nic mnie tak nie cieszyło.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, skarbie. – Mama całuje mnie w skroń i przyciąga do siebie. Kiedy mnie puszcza, pochylam się nad tatą. On także mnie obejmuje.

– A co to konkretnie znaczy? – pyta, kiedy się prostuję.

Ponownie czytam wiadomość, tym razem do końca.

– Mam się stawić w Oksfordzie w przyszłą niedzielę, o ósmej wieczorem. Rozmowy kwalifikacyjne odbędą się w poniedziałek i wtorek. Wyjazd w środę przed południem.

– Cztery dni w Oksfordzie. – Mama kręci głową z wrażenia. –

Wiedziałam, że cię zaproszą.

Uśmiecham się promiennie.

– Tutaj jest napisane, że przysługuje mi darmowy nocleg i wyżywienie.

– Czyli wybraliśmy właściwy uniwersytet – podsumowuje tata z radosnym błyskiem w oku.

– Już wiem, co na siebie włożysz. – Ember łapie mnie za rękę i ciągnie do schodów.

– Ja też. Ciuchy do Oksfordu są gotowe od wakacji. – A nawet dłużej, biorąc pod uwagę, że od ponad roku mam na Pinterescie specjalną kolekcję pod hasłem: styl oksfordzki, do której ciągle dodajemy z Ember nowe inspiracje. Macham rodzicom, zanim siostra z powrotem zaciągnie mnie na górę. Już na schodach słyszę ich szepty.

– Oksford – mówi mama z nabożną czcią.

– Oksford – powtarza tata tym samym tonem.

Wydają się tacy szczęśliwi. Mam nadzieję, że dobrze mi poszedł egzamin TSA i że poradzę sobie podczas rozmów kwalifikacyjnych. Chciałabym, żeby rodzice nadal byli ze mnie dumni i mieli powody do radości. Bo kiedy moja rodzina jest szczęśliwa, mnie także jest dobrze.

Pozwalam, by Ember poprowadziła mnie do mojej szafy. Wyjmuje z niej kolejne stroje i układa na łóżku, a ja wypełniam formularz rejestracyjny i potwierdzam chęć wzięcia udziału w rozmowach kwalifikacyjnych. Później wysłałam jeszcze Lin zrzut ekranu z wiadomością i czekam na jej odpowiedź.

To wszystko jeszcze do mnie nie dotarło.

Chociaż tylko na cztery dni, ale jadę do Oksfordu.

* * *

Kiedy w niedzielny wieczór przyjeżdżamy na miejsce, jest ciemno choć oko wykol. Mimo to postanawiamy wszyscy razem, rodzice, Ember i ja, przespacerować się po kampusie.

Kolegium Świętej Hildy znajduje się na wschodnim krańcu High Street. Idziemy wzdłuż rzeki Cherwell, połyskującej romantycznie w blasku latarni, mijamy imponujące budowle, które mimo zniszczonych szarych kamiennych fasad nie sprawiają wrażenia zaniedbanych. Przeciwnie, półokrągłe okienka w białych framugach i malutkie balustradki nadają im magicznego wdzięku wiekowej baśni, którą chciałabym kiedyś usłyszeć.

Kolegium Świętej Hildy zapiera dech w piersiach. Pcham wózek inwalidzki taty po kocich łbach kampusu, w towarzystwie mamy i Ember, i nagle czuję się, jakbym znalazła się w środku bajki. Promienny uśmiech na mojej twarzy, obecny od tygodnia, jeszcze bardziej się rozszerza.

– W przyszłym roku będziesz tam siedzieć – mówi nagle tata i wskazuje trawnik po lewej stronie. – Z nosem w stercie książek. Na kocu w kratę.

– Masz bardzo konkretne wyobrażenia, tato – zauważam z uśmiechem.

Kiwa głową z poważną miną.

– W rzeczy samej.

Abstrahując od tego, że kolegium jest cudowne, podoba mi się także to, że to uczelnia słynąca z różnorodności, budowania wspólnoty i szanująca wszystkich studentów. Tutaj witają z otwartymi ramionami każdego, bez względu na kraj pochodzenia i klasę społeczną. Po kilku latach w Maxton Hall jest mi to potrzebne. Chcę się czuć dobrze i nie musieć się ukrywać. Nie wyobrażam sobie kolejnych czterech lat w bardzo konserwatywnym kolegium, takim jak na przykład Balliol. A poza tym w herbie świętej Hildy są jednorożce.

– Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę tu jestem – szepczę. – Ależ mam szczęście.

Ember mlaska głośno.

– To nie jest kwestia szczęścia. Zasłużyłaś sobie na to.

Ma rację. Mimo to na samą myśl o rozmowach kwalifikacyjnych następnego dnia robi mi się niedobrze. Dziś wieczorem muszę jeszcze trochę popracować i przejrzeć notatki, które robiłam podczas zajęć z Pippą. Co prawda od dawna znam je na pamięć, ale kiedy to zrobię, czuję się lepiej.

Odebraliśmy klucze do przysługującego mi pokoju. Z ciężkim sercem pożegnałam się z rodziną. Teraz biorę małą walizeczkę podróżną i wchodzę do akademika. Wewnątrz wygląda przeciętnie, zimne białe ściany i niebieska wykładzina, ale i tak czuję mrowienie w brzuchu, gdy idę schodami na pierwsze piętro. Być może wkrótce to będzie mój nowy dom.

Mój pokój jest na początku korytarza, po lewej stronie. Wyjmuję klucz i już mam wsunąć go do zamka, gdy słyszę kroki za sobą. Odwracam się z uśmiechem.

Który zaraz znika mi z twarzy.

Myślałam, że na schodach zobaczę studentkę albo studenta, a widzę złotoblond włosy, rozwiane przez wiatr, i czarny płaszcz szyty na miarę.

James.

– To jakiś żart – wyrywa mi się.

Wydaje się równie zaskoczony, jak ja. Jego spojrzenie pochmurnieje, zerka na klucz w swojej dłoni. Wystarczy trzy długie kroki, by znalazł się przy drzwiach naprzeciwko mojego pokoju.

Mam wrażenie, że los spłatał mi okrutnego figla.

James bez słowa otwiera swój pokój i znika w środku. Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, a potem zamyka za sobą drzwi i zostawia mnie samą w holu.

Przez ostatnie tygodnie tak dobrze się trzymałam. Ignorowałam go, choć to bolało, i udawałam, że to wszystko w ogóle mnie nie obeszło. Nie chciałam dać mu satysfakcji, żeby widział, jak bardzo mnie rozwścieczył i zranił. I jak bardzo mi go brakuje. Teraz jednak czuję wściekłość podchodzącą do gardła. Najchętniej wpadłabym do jego pokoju. Chciałabym rzucić mu w twarz te wszystkie słowa, które wzbierają we mnie od kilku tygodni.

A przecież doskonale wiem, że właściwie nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Jest, jaki jest. Byłam dla niego odskocznią, naiwnością było sądzić, że mógłby być moim przyjacielem albo nawet kimś więcej.

To, że tutaj jest, nie może na mnie wpłynąć. Mam swój cel i nie mogę stracić go z oczu. Zaszłam już za daleko. Może powinnam postrzegać go jako kolejną przeszkodę na drodze do Oksfordu. Zresztą, dopóki nie wejdzie mi w drogę, zniosę to, że mieszka naprzeciwko. Jak w szkole: będę udawała, że nie istnieje.

Energicznie otwieram drzwi i wchodzę do pokoju. Jest bardzo skromnie umeblowany, małe drewniane biurczko, biała szafa wnękowa i proste łóżko. Z okna mam widok na dziedziniec, pośrodku którego rośnie ogromne drzewo. Podchodzę bliżej i przyglądam mu się uważnie. Czerwonobrzęde liście poniewierają się na ziemi, zakrywają cały trawnik. Pośrodku biegnie alejka oświetlona latarniami, wzdłuż której ustawiono ławki. Robię to samo, co tata: wyobrażam sobie, że za kilka miesięcy siedzę tam nad stertą książek, z głową pełną nowej wiedzy, w kampusie, który jest dla mnie stworzony.

I choć ta cała sprawa z Jamesem nadal sprawia mi ogromny ból, nagle nie wydaje mi się już taka straszna. Jakoś sobie poradzę.

Ruby

Kiedy budzę się następnego dnia, w pierwszej chwili irytuje mnie pusty biały sufit nad głową. Także materac wydaje się dziwny, gdy przewracam się na drugi bok. I powietrze pachnie jakoś inaczej. Jestem w Oksfordzie.

Siadam gwałtownie i rozglądam się dookoła, a potem piszczę cichutko. Sięgam po komórkę i przeglądam wiadomości. Rodzice przypominają mi, żebym zjadła porządne śniadanie, bo wiedzą, że kiedy się denerwuję, brakuje mi apetytu. Ember przesyła inspirujący cytat, który najchętniej od razu wpisałabym do kalendarza. Kieran życzy mi powodzenia i powtarza, że we mnie wierzy. Ostatnia wiadomość jest od Lin. To fotografia jej pokoju w Kolegium Świętego Jana, bardzo podobnego do mojego. Odpisuję jej, że cieszę się już na wieczorne spotkanie w pubie – to jeden z punktów wizyty kandydatów – i życzę jej powodzenia na egzaminie.

A potem wstaję i zaczynam się szykować. Dłonie mi drżą z podniecenia, gdy się maluję i wkładam wybrany strój.

Już kilka miesięcy temu wybrałam na dziś sztruksową spódnicę w kolorze koniaku i białą bluzkę w delikatny kwiatowy wzorek. Stroju dopełnia moja malutka bordowa torebeczka i pleciana bransoletka od Ember. Co prawda nie pasuje do reszty ubrań, ale pod długim rękawem bluzki właściwie jej nie widać, a kiedy mam ją na sobie, odnoszę wrażenie, że w pewnym sensie siostra i rodzice są przy mnie.

W sali jadalnej na pierwszy rzut oka widać, kto naprawdę tu studiuje, a kto przyjechał tylko na rozmowę kwalifikacyjną. Pełnoprawni studenci pewnym krokiem podchodzą do szwedzkiego stołu, swobodnie przekomarzają się między sobą i po raz kolejny ogarnia mnie przemożne pragnienie, by za rok być jedną z nich. Ja też chcę bez trudu znaleźć ekspres do kawy, zamiast błądzić po sali, a potem usiąść przy stole z przyjaciółmi i opowiadać

o weekendzie. Chcę jak oni uśmiechać się ciepło do kandydatów, którzy przyjechali na rozmowy kwalifikacyjne, w nadziei że dzięki temu poczują się odrobinę lepiej.

Jeszcze wczoraj to wszystko wydawało mi się bardzo nierzeczywiste. Teraz Oksford jest realny. Pod słuchuję siedzące niedaleko dziewczyny; rozmawiają o seminarium. Nawet nie zauważam, że mnie na tym przyłapały. Szybko zwieszam głowę i wbijam wzrok w grzanekę, która już po kilku kęsach ciąży mi w żołądku jak ołów.

Na moim planie dnia zaznaczono, że po śniadaniu mam się udać do sali wypoczynkowej. Otwieram drzwi i dziwi mnie, że w tak małym pomieszczeniu może być tak głośno. Dopiero po chwili zauważam, że są tam nie tylko kandydaci, lecz także studenci starszych roczników. Siedzą na wiekowych kanapach, rozmawiają głośno i wyraźnie starają się rozluźnić atmosferę.

Znajduję wolne miejsce i siadam. Chłopak w mniej więcej moim wieku przysiadł niedaleko mnie, na kolanach ma książkę i plik kartek. Uśmiecha się, choć to wygląda raczej jak grymas. Jest chyba równie spięty jak ja. Drżącymi palcami wyjmuję notatki i przeglądam je po raz ostatni.

Nagle czuję łaskotanie na karku, które stopniowo obejmuje całą górną część mojego ciała. Podnoszę głowę i patrzę na drzwi. W następnej chwili żałuję, że to zrobiłam. Stoi tam James, z dłońmi w kieszeniach spodni i nieprzenikniętym wyrazem twarzy, rozglądając się po sali.

Nie na mnie, nie na mnie, nie na mnie...

Dostrzega mnie jednak. Omiata wzrokiem moją twarz, patrzy na mój strój, a w końcu zatrzymuje się na pliku kartek w mojej dłoni. Kąciki jego ust unoszą się ledwie zauważalnie, ale potem poważnieje, jakby sam się upomniał, że nie wolno mu się uśmiechnąć, i ponownie rozgląda się po pomieszczeniu, zapewne w poszukiwaniu wolnego miejsca.

– Ruby Bell? – rozlega się obcy głos. Dwa metry wzrostu, falujące brązowe włosy zaczesane do tyłu i promienny uśmiech. To jeden z tych, którzy przed chwilą starali się rozluźnić atmosferę. Od razu przypada mi do gustu.

– Jestem – mówię ochryple i wstaję. Mam zimne, spocone dłonie. Wycieram je o spódnicę, żebym mogła podać mu rękę bez wstydu. Wsuwam notatki do torebki i wstaję, żeby podejść do drzwi, gdzie już na mnie czeka.

Kiedy mijam Jamesa, unoszę dumnie głowę, zdecydowana nie zaszczycić

go nawet spojrzeniem. On jednak łapie mnie za rękę. Jego ciepłe palce otaczają mój nadgarstek. Kciukiem delikatnie muska wrażliwą skórę.

– Powodzenia – szepcze. A potem puszcza mnie i podchodzi do krzesła, z którego przed chwilą wstałam.

Potrzebuję kilku sekund, by ponownie wziąć się w garść. Serce bije mi jak szalone, ale tym razem wcale nie chodzi o ekscytację Oksfordem.

Student, który mnie zawołał, uśmiecha się do mnie z otuchą.

– Cześć. Jestem Jude Sherington. Zaprowadzę cię na rozmowę kwalifikacyjną – przedstawia się i wskazuje głową korytarz. Wychodzę z pokoju wypoczynkowego. Już się więcej nie oglądam. Za kilka minut rozpocznie się gra o wszystko. Za kilka minut okaże się, czy będę tu studiować, czy nie.

Dotykam miejsca, w którym James musnął kciukiem mój nadgarstek. Powinnam się teraz skoncentrować, ale przez całą drogę do gabinetu profesorki nie mogę zapomnieć dotyku jego palca na mojej skórze.

Najchętniej wstałabym i przeszła się kilka razy w tę i z powrotem, żeby pozbyć się napięcia. Jude jednak cały czas siedzi koło mnie i uśmiecha się z otuchą. Przeprowadził mnie przez labirynt korytarzy i w milczeniu opiera się o ścianę, ja tymczasem siedzę na krześle naprzeciwko drzwi do gabinetu i czekam, aż się otworzą. Lada chwila wszystko się zacznie.

Głośno wypuszczam powietrze z płuc.

– Zdenerwowana? – pyta Jude.

Co za pytanie.

– Do szaleństwa. A ty się nie denerwowałeś?

– Byłem w takim stanie. – Podnosi dłoń i trzęsie nią przesadnie. Podoba mi się, że jest taki szczerzy.

– Ale ci się udało.

– Tak jest. – Na jego twarzy pojawia się ciepły uśmiech. – To nie jest takie trudne. Tobie też się uda.

Kiwam głową, wzruszam ramionami i rozkładam ręce, wszystko jednocześnie. Jude śmieje się, a ja wykrzywiam. W tym momencie otwierają się drzwi i z gabinetu wychodzi dziewczyna, czerwona na twarzy, za to bez kropelki krwi w ustach. Najwyraźniej nie tylko mnie zżerają nerwy. Niestety nie mam czasu, by ją zapytać, jak było, bo znika bez słowa. Drzwi zamykają się ponownie, a ja zerkam pytająco na Jude'a, który po raz kolejny uśmiecha się z otuchą.

– Spokojnie, dadzą ci znać, gdy będziesz miała wejść.

I czekanie zaczyna się od nowa. Teraz mam wrażenie, że zeszło ze mnie całe napięcie, cała energia poszła w to długie siedzenie pod gabinetem. Po kolejnych pięciu minutach zdrętwiała mi lewa stopa, poruszam nią dyskretnie, żeby zatrzymać mrowienie. Mam wrażenie, że w moim bucie zamieszkało stado szalonych mrówek. Znowu potrząsam stopą i w tym momencie otwierają się drzwi. W progu staje pani profesor, a ja zastygam z lewą nogą w powietrzu, pod dziwnym kątem.

– Ruby, zapraszam. – Ma przyjemny, kojący głos, który jest jak chłodzący okład na rozpalone nerwy. Wstaję, prostuję się. Za plecami słyszę jeszcze, jak Jude życzy mi powodzenia, ale nie mam czasu mu podziękować. Pani profesor przytrzymuje mi drzwi do gabinetu, w którym odbędzie się rozmowa, i gdy wchodzimy do środka, przedstawia się jako Prudence.

Gabinet jest mniej więcej tej samej wielkości, co nasz salonik, ale jest w nim tyle mebli, że sprawia przytulne wrażenie. Wszystkie są stare, jakby stały tu od początku istnienia kolegium, a powietrze wypełnia zapach starych papierów. Wzdłuż ścian ciągną się półki uginające się pod książkami, powstawianymi bez ładu i składu. Po przeciwnej stronie pomieszczenia stoi małe biurczko, a przy nim siedzi druga wykładowczyni. Notuje coś z przejęciem i podnosi głowę dopiero, kiedy Prudence prowadzi mnie w jej kierunku. Po raz kolejny wygładzam spódniczkę i siadam. Obie kobiety zajmują miejsce po drugiej stronie biurka, otwierają notesy i czekają.

Serce podchodzi mi do gardła, ale usiłuję nie dać tego po sobie poznać i sprawiać wrażenie osoby pewnej siebie. Jestem święcie przekonana, że poradzę sobie podczas tej rozmowy. Przygotowałam się starannie i robiłam, co w mojej mocy, by się tu znaleźć.

Oddycham bardzo głęboko i powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– Bardzo nas cieszy, że przyjęła pani nasze zaproszenie, Ruby – odzywa się w końcu druga wykładowczyni. – Nazywam się Ada Johnson i razem z Prudence wykładam politologię w Kolegium Świętej Hildy.

Podobnie jak Prudence ma spokojny, łagodny głos. Intryguje mnie, jak to możliwe, że te kobiety nie tylko należą do najmądrzejszych w całym kraju, ale także mają dar uspokajania zdenerwowanych nieszczęśników, takich jak ja.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie – odpowiadam i odchrząkuję. Mój głos brzmi dziwnie, jakby coś utkwilo mi w gardle.

– Przejdźmy do pierwszego pytania – ciągnie Prudence. – Dlaczego właściwie chce pani studiować w Oksfordzie?

Przyglądam się jej z niedowierzaniem. Tego się nie spodziewałam. We wszystkich poradnikach i na forach internetowych wspomiano tylko o pytaniach wiedzowych, bezpośrednio związanych z wybranym kierunkiem studiów. Nic na to nie poradzę, na mojej twarzy pojawia się uśmiech. A potem zaczynam opowiadać. O wszystkim. O tym, że jako mała dziewczynka zainteresowałam się polityką i już jako siedmiolatka wiedziałam, że chcę studiować w Oksfordzie. O tym, że na dwunaste urodziny dostałam od taty prenumeratę „Spectator” i „New Stateman” i godzinami oglądałam razem z nim obrady parlamentarne. O mojej pasji do organizowania i do debat, o moim marzeniu, by zmieniać świat na lepsze. Bez zbytej przesady podkreślam, dlaczego Oksford jest dla mnie najlepszym uniwersytetem, w którym nauczę się tego, co niezbędne, by osiągnąć swój cel

Kiedy kończę, brakuje mi tchu. Nie wiem, czy są zadowolone z mojej odpowiedzi, ponieważ jednak nie spodziewałam się przybicia piątki, wszystko wydaje mi się w porządku. Padają kolejne dwa pytania, tym razem naprawdę związane z polityką. Argumentuję najlepiej jak potrafię, nie dając zbić się z tropu ich kontrargumentami. To wszystko trwa nie więcej niż piętnaście minut i nagle jest już po rozmowie.

– Dziękuję bardzo – mówię jeszcze, ale Ada już pochyła się nad notatkami i mnie nie słyszy. Prudence odprowadza mnie do drzwi i uśmiecha się na pożegnanie. Odpowiadam tym samym i wychodzę na zewnątrz. Drzwi zamykają się za mną. W ułamku sekundy dopada mnie ogromne zmęczenie.

Na krześle naprzeciwko drzwi siedzi chłopak, który wcześniej w pokoju wypoczynkowym się do mnie uśmiechał. Przypomina mi się dziewczyna z ustami bez kropli krwi, która zniknęła, zanim zdążyłam z nią porozmawiać. Ucieszyłoby mnie kilka słów wsparcia z jej ust, ale teraz już wiem, dlaczego odeszła tak szybko. Teraz, gdy adrenalina opada, chcę stąd wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem. Mimo to zdobywam się na w miarę entuzjastyczne:

– Dasz radę, powodzenia.

Dopiero wtedy wychodzę i usiłuję wrócić do akademika.

Ruby

Przez resztę dnia włóczę się po kampusie. Kupuję sobie kawę na wynos, spaceruję po obszernych trawnikach, oglądam budynki, w których, jeżeli wierzyć przewodnikowi, wyklada się filozofię, politologię i ekonomię. Cudownie się czuję wtopiona w tłum prawdziwych studentów. W pewnej chwili do tego stopnia pogrążam się w myślach, że nawet nie zauważam, że wraz z nimi wchodzę do sali wykładowej. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, więc dyskretnie zajmuję miejsce w ostatnim rzędzie i przez kolejne półtorej godziny wysłuchuję wykładu o dziełach Immanuela Kanta.

Jest to najlepsze półtorej godziny mojego życia.

Wieczorem kandydaci do wszystkich oksfordzkich kolegów są zaproszeni na wycieczkę do Turf Tavern, legendarnego pubu, w którym przesiadywały najróżniejsze sławy, poczynając od Oscara Wilde'a, przez Thomasa Hardy'ego, Elizabeth Taylor, Margaret Thatcher, po aktorów z serii filmów o Harrym Potterze.

Zjawiam się na miejscu zdecydowanie za wcześnie, ale nie ja jedna. Widzę kilka osób, które rano także czekały w pokoju wypoczynkowym. Stoją w małych grupkach. Jest tam również Jude, który wita mnie promiennym uśmiechem i wypytuje o przebieg rozmowy.

Kiedy wszyscy już są w komplecie, wyruszamy w drogę. Pub znajduje się mniej więcej trzy kilometry od kampusu. Po drodze mijamy most Magdalen, pod którym rzeka Cherwell mieni się pomarańczowo w świetle zachodzącego słońca. Przechodzimy obok parku jeleni, w którym kilka zwierząt przygląda się nam ciekawie i strzyże uszami, gdy je mijamy. Jak inni, wyciągam rękę, by je pogłaskać, nie są jednak aż tak oswojone. Wszystkie jednocześnie odwracają się i znikają w oddali.

Dalsza droga prowadzi wzdłuż starych budynków, uliczkami czasami tak

wąskimi, że tylko dwie osoby mogą iść obok siebie jednocześnie. Zapada zmrok. Gdybym była sama, nie śmiałabym zapuścić się w labirynt wąskich zaułków, ale Jude idzie koło mnie i opowiada o swoich studiach, żeby mnie czymś zająć. Dosłownie spijam słowa z jego ust. Wszystko, co dzisiaj widziałam, wszystko, co mi opowiada, tylko potęguje moje marzenie, by tu studiować. Jeszcze nigdy w życiu niczego nie pragnęłam tak bardzo jak Oksfordu. Teraz, gdy już go posmakowałam, będę zrozpaczona, jeśli mi się nie uda. Czy to przeżyję? Nie wiem. Abstrahując od tego, że nie mam żadnego planu B.

Nagle droga się rozszerza. Latarnie rozświetlają mrok, do moich uszu docierają strzępki rozmów i dźwięki muzyki.

Chwilę później docieramy do placu pękającego w szwach. Większość zebranych wygląda na studentów. Rozmawiają beztrosko i sączą piwo.

Nasza grupka przeciska się przez tłum, aż dochodzimy do Turf Tavern. Budynek, w którym mieści się lokal, wygląda na bardzo stary. Białą fasadę przecinają ciemne ukośne belki. Dach jest odrobinę krzywy, miejscami porośnięty mchem. Przed wejściem znajduje się ogródek, w którym pod parasolami siedzi kilka osób. Jest tak zimno, że widzę w powietrzu parę, którą wydycham, nic więc dziwnego, że mają na sobie grube płaszcze i czapki, i otulili się kocami.

Pod szyldem z nazwą pubu zawieszono sznur światełek z kolorowymi żarówkami, a bezpośrednio pod nim znajduje się wejście. Drzwi są ciemnozielone, miejscami odchodzi z nich stara farba. Wchodzę do środka.

Wnętrze jest niemal średniowieczne. Niski sufit, ściany z surowego kamienia. Powieszono na nich małe kinkiety, większe lampy wiszą nad stolikami. Wąskim korytarzem przechodzimy w głąb lokalu, do sali znajdującej się nieco bardziej na uboczu.

Prawie dwumetrowy Jude idzie przede mną, więc niewiele widzę zza jego pleców. Za to słyszę. Śmiech, który tak dobrze znam. Jude podchodzi do stolika zarezerwowanego dla nas i odsuwa jedno z krzeseł. Także pozostali zajmują miejsca, a ja stoję jak wryta i przyglądam się grupie, która zajęła sąsiedni stół. Wren, Alistair, Cyril, Camille, Keshav, Lydia i... James.

James, który dzisiaj rano życzył mi powodzenia i dotknął mojego nadgarstka.

James, który na mój widok zastyga z butelką piwa uniesioną do ust, ale już sekundę później zwraca się do Cyrila jak gdyby nigdy nic. Z trudem

przełykam ślinę.

Nie wiem, dlaczego tak mnie zaskoczył widok Jamesa i jego paczki. Przecież wiedziałam, że wszyscy ubiegają się o miejsce w Oksfordzie, a ten wieczór w pubie to obowiązkowy punkt programu wszystkich, których zaproszono na rozmowy kwalifikacyjne. Tym niemniej tłumi moją euforię i muszę przyznać, że Oksford nie będzie takim zupełnie nowym początkiem, jak sobie wyobrażałam. Muszę pogodzić się z tym, że przynajmniej niektóre z osób z Maxton Hall także tu będą.

Zakładając oczywiście, że się w ogóle dostanę.

– Ruby!

Odwracam się i widzę, jak Lin biegnie do mnie z szeroko rozpostartymi ramionami. Ma na policzkach rumieńce od mrozu, otuliła się grubym szarym szalem, który zasłania jej pół twarzy. Rzuca mi się na szyję. Obejmuję ją z całej siły.

– Opowiadaj wszystko! – mówię, gdy wreszcie się od siebie odrywamy.

– Usiądźcie najpierw – proponuje Jude i wskazuje ławę naprzeciwko siebie. Lin siada jako pierwsza. Idę w jej ślady, najpierw jednak zdejmuję płaszcz. Jakimś cudem udaje mi się nie zerkać co chwila na Jamesa.

– Ależ tu jest wspaniale – zaczyna Lin, gdy w końcu zajęliśmy miejsca i czytamy kartę dań. – Jakby się człowiek cofnął w czasie.

– Tak, w tym pubie czas jakby się zatrzymał – przyznaję. – Ale teraz opowiadaj. Napisałaś bardzo tajemniczą wiadomość. Dobrze ci poszło?

– Ty pierwsza! – upiera się Lin, więc streszczam jej przebieg porannej rozmowy kwalifikacyjnej.

– Obie miały iście pokerowe twarze, niczego nie mogłam z nich wyczytać, nie mam pojęcia, czy podobało im się to, co mówiłam. Pewnie zbiłam je z tropu, bo przy pierwszym pytaniu rozpromieniłam się od ucha do ucha – dodaję na koniec.

– Cóż, przynajmniej nie łypały na ciebie gniewnie. W mojej komisji był facet z monobrowią, którą marszczył tak mocno, że kilka razy naprawdę zacięłam się ze strachu. Ależ się cieszę, że już mam to za sobą. – Wzdycha ponuro i opiera się na dłoni. – Naprawdę kiepsko mi poszło.

– Przecież masz jeszcze jedną rozmowę – zauważam i lekko dotykam jej barku. – Na pewno ci się uda.

– Mam jeszcze dwie. Nie udało się ustalić jednego terminu dla ekonomii i filozofii. Szczęściara z ciebie.

– Cóż, w takim razie masz jeszcze dwie szanse, by im pokazać, na co cię stać. Tak jest lepiej, uwierz mi.

– Podczas mojej rozmowy wstępnej zapytano mnie, czy mogę podnieść długopis, który wpadł pod fotel – Jude nagle włącza się do naszej rozmowy.

– Słucham? – dziwi się Lin.

– Oczywiście od razu zacząłem się zastanawiać, czy to część rozmowy kwalifikacyjnej, przeanalizowałem pytanie naukowo i pod tym kątem udzieliłem odpowiedzi. – Uśmiecha się szeroko. – Tymczasem okazało się, że profesorka naprawdę chciała, żebym wyciągnął jej długopis spod fotela.

Obie z Lin parskamy śmiechem.

Wkrótce podchodzi do nas kelner i przyjmuje zamówienie. Jude podkreśla, że w Turf Tavern koniecznie trzeba wypić co najmniej jedno piwo, więc zamawiamy je, a także drobne przekąski. Kiedy czekamy na jedzenie, opowiadam Lin o swoim popołudniu i wykładzie, na który się zakradłam. Korzystamy też z okazji i zasypujemy Jude'a pytaniami o wykłady, profesorów, innych studentów i życie w Oksfordzie.

Po pewnym czasie kelner przynosi nasze zamówienia. Po raz pierwszy stoi przede mną kufel piwa. Jedyne alkohol, który do tej pory piłam, to było słodkie paskudztwo, którym dwa lata temu na imprezie spoił mnie Wren. Kiedy tym razem wznosimy toast, wiem doskonale, co robię. To jest moja decyzja. Piję z własnej woli, bo to część tego doświadczenia. Czuję się dorosła i odpowiedzialna, robiąc coś, co tak długo było zakazane.

Unoszę kufel do ust i upijam pierwszy łyk.

Krzywię się z obrzydzeniem.

– Co za paskudztwo!

Jude i Lin śmieją się głośno, a ja przyglądam im się z autentycznie zaniepokojoną miną.

– Wy naprawdę pijecie to z własnej woli?

– To twoje pierwsze piwo? – domyśla się Jude.

Potwierdzam ruchem głowy.

– I zdecydowanie ostatnie.

– Teraz tak mówisz. – Jude znacząco porusza brwiami. Lin wtóruje mu ruchem głowy. – Tak samo jest z kawą. Jako dziecko się jej nie znosi, ale z wiekiem człowiek odkrywa jej walory. – Patrzy na mój podbródek. – Swoją drogą, masz piwną bródkę.

Przerażona ocieram usta wierzchem dłoni.

– Kawa smakowała mi od zawsze, ale to... Przecież to smakuje jak... jak kora!

Lin i Jude śmieją się w głos.

– Wolę nie pytać, skąd wiesz, jak smakuje kora – żartuje Jude.

Demonstracyjnie przesuwam swoje piwo na środek stołu.

– Proszę bardzo, częstujcie się. Ja idę po colę.

Wstaję z ławy, przeciskam się między dwoma stolami i wąskim korytarzykiem idę do baru. Panuje tu jeszcze większy ścisk niż poprzednio, najwyraźniej Turf Tavern to nie tylko atrakcja dla studentów, lecz także zwykłych turystów. Mija niemal dziesięć minut, zanim barman przyjmuje moje zamówienie i w końcu stawia przede mną szklankę coli. Dziękuję mu uśmiechem i odwracam się na pięcie.

W tym momencie zauważam Lydię. Nerwowo przeciska się przez tłum w kierunku toalety. Chyba mnie nie dostrzegła. Jest bardzo blada, widzę, jak ręka jej drży, gdy odpycha mężczyznę blokującego jej drogę. Zdumiona odprowadzam ją wzrokiem, póki nie zniknie za drzwiami łazienki. Pewnie za dużo wypła, a przecież nie ma jeszcze ósmej. Potrząsam głową i wracam do naszego stolika, przy którym Jude, Lin i kilka innych osób, z którymi przyszliśmy, rozmawia o czymś z przejęciem. Włączam się do dyskusji i co jakiś czas upijam łyk coli. Co chwila też zerkam na miejsce, które przedtem zajmowała Lydia, ona jednak do tej pory nie wróciła z łazienki. Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że naprawdę nie wyglądała dobrze, a raczej wręcz przeciwnie.

Dyskretnie obserwuję jej przyjaciół. James i Wren dyskutują o czymś z zapalem, Camille siedzi niemal na kolanach Keshy i szepcze mu coś do ucha, a on uśmiecha się lekko. Naprzeciwko nich Alistair jednym haustem wypija pół kufła piwa. Dostrzegam gorycz w jego spojrzeniu i ściągnięte brwi. Reaguje na słowa Wrena, który akurat w tej chwili mówi coś do niego, ale nie odrywa wzroku od Keshy i Camille, którzy obściskują się pod jego nosem. Wystarczająco słabe jest, że Kesh ukrywa przed przyjaciółmi swój związek z Alistairem, ale że teraz na jego oczach obmacuje się z dziewczyną – to już przesada. W moim mniemaniu upadł tak nisko, że niżej już nie można.

Żaden z nich chyba nie zauważył, że Lydia jeszcze nie wróciła. Po chwili wahania wstaję. Poziom alkoholu we krwi zebranych znacznie wzrósł w ciągu ostatniej półgodziny, widać to od razu po tłumie przy barze.

Rozmowy są tak głośne, że niemal zagłuszają muzykę, i kiedy przeciskam się przez tłum, mało kto z własnej woli ustępuje mi miejsca. Oddycham z ulgą, gdy wreszcie znajduję się po drugiej stronie pomieszczenia. Nieśmiało wchodzę do damskiej łazienki i rozglądam się dookoła. Widzę kilka małych kabin. Wszystkie drzwi stoją otworem, poza jednymi. Dobiega zza nich cichy szloch, a potem... głośne wymioty.

Pukam cicho i stwierdzam, że nie są zamknięte. Uchylają się odrobinę, ale nie śmiem pchnąć ich mocniej.

– Lydia?

– Daj mi spokój – mówi ochryple.

Przypomina mi się poranek po imprezie, gdy podczas przerwy obiadowej usiadła z nami przy stole i mnie przeproszała. Była dla mnie miła, tak po prostu. Teraz mam okazję się zrewanżować.

– Mogę ci jakoś pomóc? – pytam cicho.

Nie odpowiada, bo znowu targają nią mdłości, a potem słyszę nieprzyjemny plask. Podchodzę do umywalki, wydaję z pojemnika garść chusteczek, zwilżam je pod kranem, a potem podaję Lydii pod drzwiami.

– Proszę.

Wyjmuje je z mojej dłoni.

Zastygam w tej pozycji, w kucki, nie wiedząc, co robić. Nie chcę zostawiać Lydii samej w tym stanie, ale nie wiem też, jak mogłabym jej pomóc.

Słyszę odgłos spuszczonej wody, a potem drzwi uchylają się odrobinę. W szparze dostrzegam jej twarz. To naprawdę niesprawiedliwe. Mimo zapłakanych oczu i czerwonych plam na policzkach ciągle wygląda fantastycznie. Widzę w jej twarzy ogromne podobieństwo do brata. Jednak w tej sytuacji myśli o Jamesie niewiele pomogą.

– Podać ci wodę?

– Nie, dzięki, już lepiej. Muszę jeszcze odczekać parę minut, zanim wszystko przestanie wirować. – Opiera się plecami o ścianę kabiny, zamyka oczy i odchyła głowę do tyłu.

– Wypiłaś za dużo? – pytam.

Lydia niemal niezauważalnie kręci głową.

– W ogóle nie piłam – odpowiada szeptem.

– Jesteś chora? – Nie daję za wygraną. – Słuchaj, tu na pewno jest gdzieś ostry dyżur, jeżeli ci się nie poprawi.

Nie odpowiada.

– A może... – zaczynam z wahaniem. – Może to nerwy? Denerwujesz się przed jutrem?

Dopiero teraz Lydia podnosi na mnie wzrok. W jej oczach widzę zarówno rozbawienie, jak i śmiertelny smutek.

– Nie – odpowiada w końcu. – To nie nerwy. Dzisiaj miałam obie rozmowy kwalifikacyjne i poszły naprawdę nieźle.

– Czyli super – zauważam ostrożnie, ale Lydia nie wydaje się szczególnie uszczęśliwiona. Przeciwnie, w jej oczach pojawiają się nowe łzy. – Dlaczego się nie cieszysz?

Wzrusza ramionami i kładzie sobie rękę na brzuchu.

– Nieważne, jak mi poszły rozmowy kwalifikacyjne. I tak nie będę tu studiować.

– Dlaczego nie? Nie chcesz?

Z trudem przełyka ślinę.

– Właściwie chcę.

– Więc w czym problem? Skoro rozmowy poszły ci dobrze, na pewno się dostaniesz.

– Nie o to chodzi. Uważam po prostu, że... nie będę mogła studiować.

Nie pojmuję tego.

– Ale dlaczego? – pytam zdumiona.

Nie odpowiada. Opuszcza głowę i wbija wzrok w dłoń na swoim brzuchu. Porusza nią delikatnie przez materiał bluzki, leciutko gładzi to, co się pod nią znajduje: małe wybrzuszenie.

W innych okolicznościach w ogóle nie zwróciłabym na to uwagi. Każdy człowiek ma mniejsze lub większe fałdki na brzuchu, zwłaszcza gdy siedzi. Jednak większość ludzi ich nie głaszcze. I nie patrzy na nie z taką czułością, jak Lydia w tej chwili.

Wszystkie fragmenty układanki trafiają na swoje miejsce. Głośno nabieram powietrza w płuca.

– Ty naprawdę nie piłaś – mówię szeptem.

Przecząco kręci głową. Po jej policzku spływa łza.

– I to już od wielu miesięcy.

Przypomina mi się impreza u Cyrila, na której poprosiła Jamesa o drinka, ale wcale go nie wypiła. I oczywiście tamten dzień, gdy przyłapałam ją z panem Suttonem. Czuję, jak w gardle narasta mi gęstwa.

– Czy to... – Nie potrafię zadać tego pytania, ale też wcale nie muszę tego robić. Lydia wie, o co pytam, i potwierdza ruchem głowy. – Nie wiem, co powiedzieć – przyznaję.

– To zupełnie jak ja. – Ociera łzy z oczu.

– W którym jesteś miesiącu?

Delikatnie gładzi się po brzuchu.

– To dwunasty tydzień.

– Kto o tym wie? – wypytyuję dalej.

– Nikt.

– Nawet James?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Nawet James. I tak ma zostać.

– Dlaczego powiedziałaś akurat mnie?

– Bo nie przestawałaś pytać – odpowiada natychmiast. Wzdycha głośno. – Poza tym James ci ufa. A on nie ufa nikomu.

Zaciskam usta w wąską kreskę i staram się nie myśleć, co to znaczy.

– W całkiem niedalekiej przyszłości nie uda ci się tego dłużej ukrywać – zauważam i wskazuję jej brzuch.

– Wiem. – Wydaje się taka załamana, taka smutna, że ogarnia mnie fala współczucia.

– Jeżeli będziesz chciała pogadać, możesz na mnie liczyć. Także w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy. No wiesz, gdybyś kogoś potrzebowała.

Lydia mierzy mnie sceptycznym wzrokiem.

– Niby dlaczego?

Ostrożnie dotykam jej barku.

– Mówię poważnie, Lydia. To jest wielka sprawa. Rozumiem, że nie chcesz z nikim o tym rozmawiać, ale... – Patrzę na jej brzuch. – Będziesz miała dziecko.

Podąża za moim spojrzeniem.

– Dziwnie jest to usłyszeć. To znaczy, wiem o tym, ale do tej pory nikt jeszcze nie powiedział tego na głos. Przez to wydawało się to trochę mniej rzeczywiste.

Doskonale wiem, o co jej chodzi. Kiedy ktoś wypowie coś na głos, tworzy się przestrzeń, w której dana informacja może się rozwijać, może stać się prawdziwa.

– Odprowadzić cię do pokoju? – pytam po dłuższej chwili.

Lydia milczy, przez kilka sekund patrzy na mnie bez słowa, a potem kiwa głową i posyła mi ostrożny uśmiech, pierwszy tego wieczoru. Nie wiem, czy naprawdę mi zaufała, ale nawet jeśli nie, może w przyszłości to się zmieni. Znam jej dwie największe tajemnice i zamierzam zachować je dla siebie. Nie zdradzę jej. Przeciwnie, wyobrażam sobie, że w ciężkich chwilach będzie potrzebowała przyjaciółki.

Wstaję, wyciągam do niej rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Zdajesz sobie sprawę, że kilka minut temu rzygałam do kibla, prawda? – zauważa.

Krzywię się z niesmakiem.

– Dzięki, że mi przypomniałaś – rzucam, ale nie cofam dłoni.

Lydia ujmuje ją z uśmiechem.

Ruby

Rozmowa kwalifikacyjna następnego dnia to istny horror. Częściowo dlatego, że przez pół nocy gapiłam się w sufit i rozmyślałam o położeniu Lydii, częściowo dlatego, że w ogóle nie mogę złapać wspólnego języka z dwójką prowadzących. Początkowo przerzucają się żarcikami, których nie rozumiem, a kiedy wreszcie zaczyna się właściwa rozmowa, wyraźnie nie są zadowoleni z moich odpowiedzi. Pytają mnie, ile osób znajduje się w tym pokoju, więc odpowiadam, że nie sposób tego dokładnie ustalić. Niewykluczone przecież, że to wszystko to tylko mój sen albo że jeden z nich istnieje tylko w mojej wyobraźni. To jedno z zadań, które ćwiczyliśmy z Pippą, ale moje rozwiązanie nie przypada im do gustu. Profesor filozofii mówi, że to pseudointelektualne bzdury i oczekuje ode mnie, że zakwestionuję jego słowa i udowodnię mu, że się myli. A potem prosi mnie o odpowiedź logiczną, więc odpowiadam cichutko:

– Trzy.

Później jestem już totalnie zbита z tropu i po sto razy analizuję każde pytanie, zanim udzielę jakiegokolwiek odpowiedzi. To jedna wielka katastrofa i kiedy pół godziny później jest po wszystkim, kręci mi się w głowie.

Automatycznie grzecznie się żegnam i wychodzę z gabinetu. Dopiero na zewnątrz czuję, jak bardzo mi niedobrze. Ciężko opieram się o ścianę, żeby nie upaść. Spoglądam na kandydata, który ma wejść tuż po mnie. Oczywiście jest to James.

Doprowadza mnie do szału jego umiejętność zjawiania się przy mnie w najgorszych chwilach mojego życia. James rozmawia właśnie ze studentką, która go tu przyprowadziła, czy raczej ona mówi coś do niego, a on wbija wzrok w czubki swoich butów. Dopiero kiedy otwierają się drzwi, unosi głowę.

Wygląda fantastycznie. Ma na sobie czarne spodnie i ciemnozieloną koszulę, która podkreśla jego silne barki i klatkę piersiową. Wkurza mnie, że tak świetnie wygląda. Poza tym denerwuje mnie, że nawet w eleganckim stroju nie przypomina kujona. Właściwie wszystko w nim doprowadza mnie do szału.

Najbardziej to, że złamał mi serce. Ilekroć na mnie patrzy, powraca ból, który w ciągu ostatnich tygodni udało mi się nieco stłumić. Serce podchodzi mi do gardła, zasycha mi w ustach, żołądek wypełnia dziwne uczucie. I ta cholerna tęsknota. Pragnienie, by do niego podejść i wziąć za rękę, by go po prostu dotknąć i poczuć jego ciepłą skórę. Chciałabym także życzyć mu powodzenia, tak jak on mnie wczoraj, ale nie jestem w stanie się do niego odezwać. Głos mi się załamie, jeżeli otworzę usta. I to akurat teraz, kiedy i tak jestem o krok od łez.

Nagle James podnosi głowę i rusza w moim kierunku. Zanim zdąży coś powiedzieć, uciekam wzrokiem i szybko oddalam się korytarzem.

Reszta dnia ciągnie się jak guma. Po rozmowie kwalifikacyjnej najchętniej uciekłabym do pokoju i zakopała pod kołdrą, ale przechwytyją mnie inni kandydaci, którzy razem z dwójką studentów wyższych lat wybierają się na zwiedzanie kampusu. Co prawda wczoraj już sporo widziałam, ale ponieważ po tak koszmarnej rozmowie nie wiem, czy będę miała okazję jeszcze raz postawić stopę w Oksfordzie, dołączam do nich. Co za okrucieństwo pokazywać człowiekowi fantastyczny uniwersytet, w którym prawdopodobnie w ogóle nie będzie mógł studiować! Jednak Tom i Liz wkładają w wycieczkę tyle serca, że postanawiam na razie odepchnąć od siebie ponure myśli i skupić się na ich słowach.

Święta Hilda to jeden z pierwszych oksfordzkich kolegiów, założonych specjalnie dla kobiet. Dopiero od dziewięciu lat przyjmuje się tutaj także mężczyźni. Wiedziałam już, że uczelnia słynie ze swobodnej atmosfery, ale poczułam ją dopiero, gdy przechadzaliśmy się po kampusie. Studenci witają się serdecznie i nawet ci, którzy siedzą w bibliotece wśród książek i wydają się bardzo zestresowani, znajdują chwilę, by odpowiedzieć na nasze pytania.

Panuje tu zupełnie inna atmosfera niż w Maxton Hall. Tutaj nikt nie dzieli ludzi na biednych i bogatych, fajnych i nefajnych, godnych i niegodnych, tutaj wszyscy wydają się równi. Na samą myśl, że naprawdę mogłam to spieprzyć, coś boleśnie ścisza mnie za serce.

Lin pisze do mnie po południu i pyta, jak mi poszło, ale nie mam siły jej

odpowiedzieć. Podobnie jak rodzicom czy Ember. Zawiodłam się na siebie i zanim opowiem o tym innym, sama muszę uporać się z tym, co się stało. Wiem doskonale, jak zareagują: okażą mi zrozumienie, troskę i miłość. W tej chwili tego nie zniosę.

Wczesnym wieczorem wracamy do pokoju wypoczynkowego. Teraz naprawdę jestem gotowa uciec do siebie, ale został jeszcze jeden punkt programu – spotkanie z Jude'em i innymi studentami, którzy zadeklarowali gotowość udzielenia odpowiedzi na nasze pytania o studiowaniu i mieszkaniu w Oksfordzie. Ze wszystkich sił szukam w sobie resztek pozytywnej energii, ale nagle mi jej zabrakło. Zapadam się więc w wygodnym głębokim fotelu, podwijam nogi i postanawiam tylko siedzieć i słuchać.

Pomieszczenie powoli się wypełnia. W pewnym momencie zjawia się także James. Przychodzi w towarzystwie studentki, która rano zaprowadziła go na rozmowę kwalifikacyjną i czekała razem z nim pod drzwiami. Są pogrążeni w rozmowie i choćbym bardzo chciała, nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku.

Nigdy nie pojmowałam, dlaczego mówi się o złamanym sercu, gdy ktoś się nieszczęśliwie zakocha, a teraz już w ogóle tego nie rozumiem. Ilekroć widzę Jamesa, boli mnie nie tylko serce, boli mnie po prostu każdy fragment ciała. Do tego jeszcze mam kłopoty z oddychaniem. To się powinno nazywać złamane ciało. Co prawda brzmi mniej romantycznie, za to bardziej oddaje istotę rzeczy.

Udaje mi się oderwać od niego wzrok w tej samej chwili, gdy dostrzega mnie w fotelu. Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy, ale to wystarczy, bym poczuła mrowienie. Jestem zbyt zmęczona i zdenerwowana, żeby z tym walczyć.

– Moi drodzy, jesteśmy w komplecie! – zaczyna Jude i klaszcze w dłonie. – Zaczynamy! Tam z tyłu są jeszcze wolne miejsca – mówi i macha ręką w moim kierunku. Większość zebranych usadowiła się wygodnie na kanapach i fotelach, ale koło mnie jest jeszcze kilka wolnych krzeseł, obitych materiałem w kwiaty. Kątem oka widzę, że dwóch innych chłopaków idzie w moim kierunku. Ostrożnie zerkam w bok. Napotykam mroczne spojrzenie Jamesa.

Przesuwam się w lewy kąt fotela. Wszystko mi jedno, co sobie o mnie pomyśli. W tej chwili po prostu nie chcę siedzieć blisko niego. Właściwie nie chcę przebywać z nim w tym samym pomieszczeniu. Ból w klatce piersiowej

wystarczająco daje mi się we znaki.

– Możecie pytać o wszystko – zapewnia Liz. – Studia, życie prywatne, plany zawodowe.

– Naprawdę o wszystko? – upewnia się typ, który siedzi po lewej stronie Jamesa.

– Pytać możecie o wszystko, ale czy odpowiemy, to już zupełnie inna sprawa – odcina się Jude i kilka osób parska śmiechem.

– No dobra, kto zaczyna? – rzuca studentka, która przyprowadziła Jamesa. Jest naprawdę ładna, ma ciemne włosy i oliwkową karnację. Chyba jest bez makijażu, a i tak promienieje. Chciałabym ją zapytać, jak to robi, ale obawiam się, że nie o takie pytania im chodzi.

– Powiedzcie, czy te studia naprawdę są takie ciężkie? Macie w ogóle czas na życie prywatne? – pyta dziewczyna, którą widzę po raz pierwszy.

Jude, Liz i ładna studentka patrzą na siebie porozumiewawczo. Po chwili Jude daje znak Liz, by odpowiedziała.

– Oczywiście są to studia bardziej wymagające niż na innych uniwersytetach, zwłaszcza kiedy mieszka się w kampusie i trzeba się do wszystkiego przyzwyczaić. Ale ma się też czas na życie prywatne, tak.

Przez salę przebiega cichy szmer, jakby wszystkim spodobała się ta odpowiedź.

– Kolejne pytanie! – rzuca Jude i rozgląda się z wyczekiwaniem.

Chwila ciszy, a potem...

– Czy to prawda, co mówią? Że studia tutaj to pikuś w porównaniu z Balliol?

Gwałtownie odwracam głowę w stronę Jamesa. Wydaje się autentycznie zainteresowany i czeka na odpowiedź trójki studentów, którzy patrzą na niego ze zdumieniem.

– To jest ten sam kierunek – zaczyna Jude po chwili wahania. Marszczy czoło. – Ale ponieważ studiuje tutaj, a nie tam, nie jestem w stanie tego ocenić. Mogę tylko powiedzieć, jak jest w Kolegium Świętej Hildy.

– Wystarczyłoby zwykłe: tak.

Z niedowierzaniem patrzę na Jamesa. Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę to powiedział. I do tego tym strasznym tonem, którego na pewno nauczył się od ojca i który wywołuje we mnie taki gniew.

Potrzeba zabrania głosu narasta z każdą sekundą, mury ochronne pękają kawałek po kawałku.

Nie rób tego, nie rób tego, nie rób tego...

Ignoruję głos rozsądku.

– Oczywiście, wszystko jasne – wypalam.

James powoli odwraca się w moją stronę.

– Co niby jest jasne?

– Że Święta Hilda nie jest dla ciebie wystarczająco dobra, tylko dlatego, że twój ojciec tu nie studiował. – Staram się zapanować nad głosem, ale nie bardzo mi to wychodzi. Nie dzisiaj. Nie teraz, gdy tak się zachowuje.

W jego oczach pojawia się coś na kształt bólu.

– Nieprawda.

To kłamstwo sprawia, że cała wściekłość, która wzbierała we mnie przez minione tygodnie, wybuchła w jednej chwili. Nie powstrzymam jej ani sekundy dłużej, słowa wylewają się ze mnie, głośno i niepowstrzymanie.

– Co jest nieprawdą? Że Święta Hilda nie jest dla ciebie wystarczająco dobra? Podobnie jak ja nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra? Bo twoi rodzice wymyślili sobie dla ciebie kogoś innego? Czy może nieprawdą jest to, że robisz tylko to, czego sobie zażyczą, zamiast zastanowić się, czego sam chcesz od życia? Ale z ciebie tchórz!

W sali zapada cisza. Oddycham ciężko, pierś unosi mi się szybko, czuję, jak pod powiekami nasila się podejrzone pieczenie.

O nie. Nie.

Nie rozplączę się przy tych wszystkich ludziach, nie zrobię z siebie jeszcze większej idiotki niż do tej pory.

Zrywam się z fotela i bez słowa wychodzę z pokoju wypoczynkowego. Biegnę korytarzem, docieram aż do schodów i wtedy słyszę szybkie kroki za sobą. Przeskakuję po dwa stopnie, jestem już na piętrze, w swoim korytarzu. James jest tuż za mną. Wyprzedza mnie, zatrzymuje się i zastawia mi drogę.

– Nieprawda – powtarza zdyszany. Ma rumieńce na twarzy i zwichrzone włosy. Ilekroć go widzę, wydaje mi się, że nasze ciała łączy jakaś niewidzialna więź. Potrzeba, by go dotknąć, potęguje się, im jest bliżej, nieważne, jak bardzo jestem na niego wściekła. Tak nie może być. Jak mogę go ciągle pragnąć, chociaż tak bardzo mnie rani?

– Co jest nieprawdą? – Z trudem wypowiadam te słowa, tyle uczuć ścisnęło mi za gardło.

Rozpacz w jego oczach totalnie zbija mnie z tropu.

– Że nie jesteś dla mnie wystarczająco dobra.

Przez chwilę przyglądam mu się z niedowierzaniem, a potem zaciskam pięści, tak mocno, że wbijam sobie paznokcie w skórę.

– Co za bzdura – cedzę przez zęby.

Robi krok w moim kierunku.

– Ruby...

– Nie! – przerywam mu. – Nie możesz mi tego robić. Nie możesz ze mną zrywać i upokarzać na oczach swoich przyjaciół, a potem tak po prostu głaskać mnie po ręce i życzyć powodzenia. Wystarczająco jasno dałeś mi do zrozumienia, że nie chcesz mnie w swoim, jakże wspaniałym, życiu.

– To... nie byłem... ja...

Najpierw za mną biegnie, a teraz gada coś bez ładu i składu. Najchętniej złapałabym go za ramiona i potrząsnęła z całej siły.

– To nie byłeś ty? – mój głos wręcz ocieka ironią.

– Przepraszam za to, jak się zachowałem. Tak mi przykro, Ruby. Ale ja... nie mogę. Po prostu nie mogę.

Bezradnie rozkłada ręce.

– Więc dlaczego tu jesteś, do cholery? Dlaczego w ogóle ze mną rozmawiasz?

– Bo ja... – I znowu urywa. Ściąga brwi, jakby nie znał odpowiedzi na moje pytanie. Otwiera usta i zaraz ponownie je zamyka. Wygląda, jakby powstrzymywał się przed wypowiedzeniem słów, które ma na końcu języka.

– Nie wiesz, czego ode mnie chcesz. Nie wiesz, czego chcesz od życia. Ty chyba w ogóle nic nie wiesz.

Czerwieni się jeszcze bardziej. Stoi w takiej samej pozycji jak ja, napięte ramiona, zaciśnięte pięści. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam. Robi gniewny krok w moją stronę, aż czuję bijące od niego ciepło.

– Wiem doskonale, czego chcę. – Po wahaniu nie ma ani śladu, nagle wydaje się bardzo pewny siebie.

– Więc czemu tego nie weźmiesz?

– Bo to, czego chcę, nigdy nie miało znaczenia.

Resztki mojej samokontroli przez cały czas wisiały na włosku, który w tym momencie pęka bezpowrotnie.

– Dla mnie tak! Dla mnie zawsze liczyło się, czego chcesz! – krzyczę i uderzam pięściami w jego klatkę piersiową.

Reaguje błyskawicznie, chwytając mnie za nadgarstki, przyciska je do swojej piersi.

Oddychamy. Szybko, nerwowo. Czuję pod palcami jego rozszalałe serce. Biję tak szybko. Przeze mnie. Przez to, co jest między nami, co od miesięcy między nami narasta.

Poruszamy się jednocześnie. James przyciąga mnie do siebie. Wspinam się na palce. Nasze usta się odnajdują. Wściekle wplatom mu palce we włosy, ciągnę za nie, a on chwytą mnie za uda i wbija w nie palce. Gryzę go w dolną wargę, bo jestem na niego zła. Wzdycha głęboko, przesuwa dłoń na moje pośladki. Drugą wędruje po moich plecach, coraz wyżej, zatrzymuje się dopiero na karku. Wszystkie tygodnie, podczas których ignorowałam go ze wszystkich sił i walczyłam z własnymi uczuciami, uderzają we mnie z siłą huraganu.

Nasz pocałunek to dalszy ciąg kłótni, walka, podczas której wściekłość przeradza się w coś innego. Z mojej piersi wyrywa się dźwięk, którego jeszcze nigdy nie wydałam. Rozpaczliwe westchnienie, niemal szloch. Przesuwam językiem po jego dolnej wardze i rozkoszuję się smakiem. W następnej chwili James chwytą mnie za kark i całuje głęboko, czule. I nagle jego pocałunek przypomina przeprosiny. Jego drżące palce zdradzają, od jak dawna chciał to zrobić i ile wysiłku wkładał w to, by się powstrzymać. Całuje mnie tak, jakby chciał się we mnie zatracić; to mieszanka pożądania, rozpaczy, nienawiści i wszystkich uczuć pomiędzy. Doprowadza mnie do szaleństwa, a jednocześnie od wielu tygodni nie czułam się równie pełna życia. Intryguje mnie, jak to możliwe. Nie pojmuję, jak ktoś, kogo właściwie powinno się nienawidzić, może doprowadzić człowieka do takiego stanu.

James obejmuje mnie w talii, unosi i niesie przez korytarz. Przez cały ten czas ani na sekundę nie przerywamy pocałunku. Uderzam plecami o drzwi jego pokoju i głośno nabieram tchu. Mocno drapię go w kark. James jęczy w moje usta, napiera na mnie. Jego twarde ciało to jedyne, co powstrzymuje mnie przed upadkiem. Przesuwa dłoń z mojej talii w dół, na udo, a potem puszcza i po chwili słyszę cichy brzęk kluczy. W następnej sekundzie obejmuje mnie mocniej, a drzwi za moimi plecami uchylają się. James przenosi mnie przez próg i kopniakiem zamyka za nami drzwi. Nawet nie słyszę, jak się zatraskują. Teraz liczy się tylko jedno, tylko on i emocje, które nami kierują. Tym razem nikt nam nie przeszkodzi. Nikt nie zepsuje tego, co jest między nami. Tylko my zdecydujemy, co dalej.

Poruszam się łagodniej, ale nie mniej namiętnie. Wystarczy kilka kroków i jesteśmy przy łóżku. James osuwa się na poślanie. Przesuwa rękę na moje

plecy, żeby zamortyzować uderzenie. Jednocześnie napiera na mnie, aż wzdycham głośno i opasuję go nogami w biodrach.

Poznaje ustami każdy milimetr mojej twarzy. Całuje moje policzki i kąciki ust. Czubek nosa. Muska podbródek i szczękę. Wpizam palce w jego barki i zamykam oczy. Mam gwiazdy pod powiekami, gdy delikatnie ssie skórę na szyi i odnajduje miejsce, w którym krew pulsuje szybciej.

– Ruby... – szepcze moje imię tak samo jak tamtej nocy przed ponad miesiącem, gdy całowaliśmy się na schodach do piwnicy. Wspomnienie powraca nagle, intensywnie, a wraz z nim rozpacz i ból. Nie jestem w stanie opanować pieczenia pod powiekami. Po moich policzkach spływają gorące łzy.

James zastyga w bezruchu. Odchyła się do tyłu i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek. Ma rozszerzone źrenice i rumieńce na policzkach, wygląda jak naćpany. Czule głaszczę mnie po twarzy i powtarza szeptem moje imię.

Zakrywam twarz ramieniem, żeby nie widział łez, on jednak ujmuje moją dłoń i delikatnie przesuwa na bok. Splata nasze palce i układa na poduszce. Drugą ręką odgarnia mi kosmyk włosów z czoła. A potem obrysowuje palcem wskazującym delikatną skórę pod oczami i ściera słone krople.

– Przykro mi – szepcze z ustami przy mojej skroni i wyciska na niej czuły pocałunek.

Bez końca pieści moją twarz. Jego ramiona tworzą naszą własną bezpieczną przystań. Podnoszę na niego wzrok i widzę, jak bardzo spuchła mu dolna warga. Widać dokładnie, gdzie go ugryzłam. Robi mi się głupio. Delikatnie gładzę zaczerwienioną skórę. James zamyka oczy. Dotykam jego szczęki, wędruję palcami po ściągniętych brwiach, zatrzymuję się przy pojedynczych piegach na policzkach. Teraz, w zimie, są tak blade, że ledwo je widać.

– Tak bardzo mi przykro – powtarza szeptem. Lada chwila załamie mu się głos.

– To mi nie wystarcza – odpowiadam równie cicho.

Pochyla się nade mną i przywiera czołem do mojego.

– Mnie też nie.

Na dłuższy czas zastygamy w tej pozycji. Lubię czuć na sobie jego ciężar, więc oplątam go ramionami, wbijam palce w jego koszulę i po prostu tulę go do siebie. Czuję bicie jego serca, tak samo szybkie i nierówne jak mojego,

i rozkoszuję się jego bliskością.

To jednak nie zmienia tego wszystkiego, co się między nami wydarzyło. Tego, co mi zarzucił i jak mnie potraktował. Nie mogę o tym zapomnieć. Nie, jeżeli nie dostanę czegoś więcej niż wyszeptane przeprosiny. Chcę wyjaśnienia i uważam, że na nie zasługuję.

– Tak dalej być nie może, James.

Uśmiecha się. Kąciki jego ust unoszą się minimalnie, ale i tak to widzę. Wyglądają się bruzdy na jego czole, cały zdaje się mięknąć.

– Co cię tak bawi?

Odsuwa się odrobinę i patrzy na mnie. Z nadzieją.

– Od bardzo dawna nie wypowiadałaś mojego imienia. Cudownie to słyszeć.

Potrząsam głową, ujmuję jego twarz w dłonie, unoszę się odrobinę i całuję delikatnie. To jak spełnienie marzeń; mogę zrobić coś, ku czemu, jak sądziłam, już nigdy nie będę miała okazji. Jego usta mają idealny kształt, doskonale pasują do moich. Jesteśmy jak kawałki układanki na swoim miejscu. James przesuwa dłoń z mojej twarzy na szyję i barki. Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega dreszcz, gdy wędruje palcami coraz niżej, aż do talii. Czuję, jak drży. Chcę, żebyśmy posunęli się dalej, zaczęli tam, gdzie nam przerwano, ale nie mogę tego zrobić, dopóki nie wiem, na czym stoimy.

James chyba to wyczuwa. Delikatnie wyplątuje się z moich ramion.

– Na boisku... Powiedziałem ci wtedy, że nie możesz stracić czegoś, czego nigdy nie miałaś.

Wspomnienie tamtych słów jest jak bolesny cios. Chcę odwrócić wzrok, ale nie mogę. Zbyt wiele moich emocji znajduje odzwierciedlenie w jego oczach.

– Kłamałem. Ruby Bell, jestem twój, odkąd rzuciłaś mi pieniądze w twarz.

James

Otwiera szeroko oczy, słysząc moje słowa. Zsuwam się z niej i pociągam za sobą, aż oboje leżymy na boku i patrzymy sobie w oczy.

Cały czas trzymam dłoń na jej talii, głaszczę lekko. Najchętniej dotykałbym jej wszędzie, ciągle, wiecznie. Tak bardzo za nią tęskniłem, myślałem, że oszaleję, i teraz mam wrażenie, że po raz pierwszy od wielu tygodni mogę znowu odetchnąć pełną piersią.

Nie mogę tego spieprzyć. Nie zaryzykuję, że znowu ją stracę, tylko dlatego że nie potrafię powiedzieć jej, co się ze mną dzieje. Dlaczego jestem, jaki jestem, dlaczego podejmuję decyzje, które tak bardzo nas ranią. Niełatwo jest znaleźć odpowiednie słowa, zwłaszcza kiedy obawa, że mi nie wybaczy, ściska boleśnie gardło. Nie wiem, co wtedy zrobić.

Ruby patrzy na mnie spokojnie. Czeka. Ma rozczochrane włosy i zaczerwienione policzki i usta. Jest tak piękna, że muszę oderwać od niej wzrok, wbijam spojrzenie w swoją dłoń na jej talii i w końcu zbieram się na odwagę.

– Mówiłem ci, że po skończeniu szkoły zacznę pracę w firmie. Dla... Dla moich rodziców jest ważne, żeby wówczas u mego boku była kobieta. Ich zdaniem to część wizerunku. Najchętniej już teraz znaleźliby mi narzeczoną, żeby wszystko było jak trzeba.

Ruby wydaje niezidentyfikowany odgłos. Patrę na nią i widzę, że marszczy z niesmakiem nos. Dobrze wiedzieć, że nie podoba jej się ta wizja, bo ja też sobie nie wyobrażam, co czułbym, gdyby się okazało, że rodzice chcą ją wydać za kogoś innego niż mnie.

– Od samego początku byłeś dla mnie kimś wyjątkowym. Zmieniłem się. Sam nawet tego nie zauważyłem, za to moi przyjaciele i rodzina tak. Tygodniami wysłuchiwałem pytań, co się ze mną dzieje, dlaczego ciągle

myślami jestem gdzie indziej i tak dalej. Kiedy mój ojciec zobaczył nas razem w pracowni krawieckiej, zaczął się czegoś domyślać. A kiedy przyłapał nas na balu halloweenowym... – Z trudem przełykam ślinę. – Był już pewien.

– To dlatego miałeś rozciętą wargę? Uderzył cię? – domyśla się i delikatnie muska opuszkami palców moje wargi. Miejsce, w którym mnie ugryzła, nadal pulsuje, ale nie jest to nieprzyjemne.

– Tak – odpowiadam cicho. Jeszcze nigdy z nikim nie rozmawiałem o ojcu. Nawet z Lydią, która co prawda wie dużo, ale z pewnością nie wszystko. Zakładam, że moi przyjaciele domyślają się, co się dzieje u nas w domu, ale nigdy mnie o nic nie pytali, gdy zjawiałem się u nich z podbitym okiem czy rozciętą wargą. Jakbyśmy wszyscy razem zdecydowali, że ten temat nie istnieje, i każdy przestrzega tej niepisanej zasady. Bardzo mi z tym wygodnie.

– Często cię bije, James? – pyta szeptem.

Nie mogę jej odpowiedzieć, nie wtedy, gdy patrzy na mnie z taką czułością w oczach. A przecież wcale nie o to chodzi. Chcę tylko wyjaśnić, dlaczego tak strasznie ją potraktowałem, bo za to tylko ja ponoszę odpowiedzialność, nieważne, jak trudna jest moja sytuacja.

– To bez znaczenia – odpowiadam chwilę za późno. Znowu mam chrypę, znowu muszę odchrząknąć. – W każdym razie moi rodzice zobaczyli w tobie zagrożenie. Wyczuli, że jesteś dla mnie ważna. O wiele ważniejsza niż ta cholerna firma.

Coś się zmienia w jej spojrzeniu. Patrzy tak przenikliwie, tak intensywnie, że wydaje mi się, że zagląda do środka mojej duszy. Nie zdołam się przed nią ukryć, ale w tej chwili dociera do mnie, że wcale tego nie chcę. Rodzice mieli rację, że się martwili. Ruby stanowi zagrożenie dla nich i tego, jak sobie wymyślili moją przyszłość. Nie mieści mi się w głowie, że dopiero teraz w pełni to do mnie dociera.

Jestem zakochany w Ruby Jemimie Bell.

To, co do niej czuję, jest wszechogarniające, potężne i nie zniknie, choćbym ze wszystkich sił starał się to ignorować. Przekonałem się o tym podczas minionych tygodni. Ruby wdarła się do mojego życia, postawiła je na głowie i wywalczyła sobie honorowe miejsce w chaosie, który stworzyła.

Wszystko jedno, komu muszę się postawić, wszystko jedno, czy ojciec wyrzuci mnie na bruk. Lydia pytała kiedyś, czy Ruby jest tego warta.

Pozwoliłem, by otoczenie decydowało za mnie, i uznałem, że nie jest. To była najgłupsza decyzja, jaką w życiu podjąłem, i jestem na siebie wściekły, że odepchnąłem dziewczynę, którą kocham. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę tego cofnąć, ale muszę przynajmniej spróbować to naprawić.

– Masz rację. Naprawdę nie wiem, czego właściwie chcę od życia. Od samego początku mówiono mi, co mam robić, a czego nie. Czasami mam wrażenie, że jestem statystą na planie filmowym, w scenariuszu napisanym specjalnie dla mnie, ale w którym nie mogę zmienić nawet przecinka.

Ruby mruży cicho.

– Kiedy ojciec zobaczył nas razem, wpadł w szal. Nie dopuszcza do siebie myśli, że mógłbym spędzać czas z kimś, kogo nie akceptuje, kogo sam dla mnie nie wybrał.

Przy tych słowach wzdyga się ledwo zauważalnie. Natychmiast biorę ją za rękę i ściskam mocno.

– Usiłowałem wyobrazić sobie naszą przyszłość i widzę w niej same problemy. Moi rodzice to dyktatorzy, jeżeli chodzi o życie ich dzieci. A ty... Sama kiedyś powiedziałaś, że marzy ci się kariera zawodowa. Nie mogę się pogodzić z myślą, że mój ojciec rzuca ci kłody pod nogi, tylko dlatego, że nie odpowiadasz mu jako partnerka jego syna. Zacząłem się bać, bo wiem, że nie mógłbym nic na to poradzić. Nie mógłbym cię przed nim uchronić.

Serce staje mi w gardle. Zdaję sobie sprawę, że brzmię żałośnie, ale chcę być z nią szczerą, za wszelką cenę.

– Ruby, ty podbijesz świat. Powinnaś być z kimś, kto będzie cię wspierał, którego rodzina przywita cię z otwartymi ramionami. Ja ci tego nie dam. Nie dam ci właściwie nic, poza mnóstwem problemów, o których nie wiem, czy dam radę je rozwiązać.

Patrzy na mnie w milczeniu. Wstrzymuję oddech. Liczę się z tym, że wstanie i bez słowa wyjdzie z pokoju. Zasłużyłem sobie na to, zdaję sobie z tego sprawę.

Ruby jednak nie ma najmniejszego zamiaru mnie zostawić. Zamiast tego pochyła się i przywiera do mnie ustami.

Zaskakuje mnie tak bardzo, że nie odwzajemniam pocałunku.

– Och, James – szepcze. Wyzwala dłoń z mojego uścisku i przesuwa po mojej klatce piersiowej, aż kładzie ją na moim sercu. – Ty... głuptasie.

No dobra, tego się nie spodziewałem.

– Dlaczego zawracasz sobie głowę przyszłością, skoro mamy teraz? – pyta

cicho.

– Bo zasłużyłaś na coś lepszego. Moja przyszłość jest już skreślona. Twoja nie.

Dotyka mojego policzka.

– Nieprawda – mówi stanowczo. – Masz takie same możliwości, jak wszyscy inni. Tylko musisz wyciągnąć po nie rękę, James.

Uwielbiam, kiedy wymawia moje imię. Jej głos otula poszczególne litery. Najchętniej zamknąłbym oczy i poprosił, by wypowiedziała je jeszcze raz.

– Dlaczego mi tego po prostu nie powiedziałaś? Zamiast bez słowa wyjaśnienia mnie odpychać? – Kręci głową z dezaprobatą.

W jej oczach widzę ból, który zapewne zadałem jej swoim zachowaniem. Przykrywam jej dłoń swoją i splatam nasze palce na mojej piersi.

– Bardzo mi przykro, Ruby. Naprawdę sądziłem, że tak będzie lepiej.

– Ale nie było – szepcze ochryple. – Olałeś mnie i zafundowałeś największego kosza w historii ludzkości.

– Wiem o tym. Jezu, Ruby. Tak bardzo mi przykro.

Zamykam oczy. Sam nie wiem, co zrobię, jeśli mi nie wybaczy. Jeżeli uzna, że wniosłem w jej życie zbyt dużo stresu.

Przytrzymuję jej dłoń, przyciskam do serca, które wali jak szalone, i nie mam odwagi na nią spojrzeć.

– James – mówi. Chce cofnąć dłoń. Choć za wszelką cenę chciałbym ją zatrzymać, wiem, że nie mam do tego prawa. Jeżeli chce odejść, muszę jej na to pozwolić. Wtedy jednak czuję jej palce we włosach. Gładzi je delikatnie, powoli.

Nie wiem, ile czasu tak leżymy, ale nie śmiem się poruszyć ze strachu, że wszystko zepsuję. Mieć ją tak blisko to najcudowniejsze uczucie pod słońcem. Oddałbym wszystko, byle to trwało. Nie wiem, czemu musiało upłynąć tyle czasu, zanim to sobie uświadomiłem.

– James – szepcze Ruby po dłuższej chwili. Całuje moją skroń. – Już dobrze. Wybaczam ci.

Nabieram głęboko tchu, by po raz kolejny ją przeprosić, milknę jednak, gdy dociera do mnie znaczenie jej słów. Otwieram szeroko oczy. Ruby odsuwa się odrobinę i patrzy na mnie stanowczo.

– Co takiego? – pytam zachrypniętym głosem.

– Już dobrze. Wybaczam ci – powtarza powoli i głaszcze mnie po piersi. – To jednak nie oznacza, że zapomnę, jak się zachowałeś. Jeżeli jeszcze raz

wykręcisz mi taki numer... – Wzrusza ramionami. Kiedy dociera do mnie, co przed chwilą powiedziała, co oznacza jej nieśmiały uśmiech, ogarnia mnie tak wielka ulga, że kręci mi się w głowie. Obejmuję ją, przyciągam do siebie i bez tchu szepczę w jej usta:

– Nie zrobię tego. Przysięgam, nie zrobię.

A potem ją całuję.

Chcę jej pokazać, jak bardzo jestem jej wdzięczny, podzielić się uczuciami, które mnie przepełniają. Ruby przesuwają się na mnie. Trzymam ją mocno. Całuje mnie głęboko, a potem przesuwają językiem po ciągle obolałej dolnej wardze. Mruczę gardłowo, ssę jej język, na co reaguje głośnym westchnieniem.

Nie mam pojęcia, jak tutaj dotarliśmy, ale w tej chwili czuję, że wzbijam się w powietrze, a nie spadam w przepaść. Ruby mi wybaczyła. Wybaczyła mi i chce zostać w moim życiu.

W następnej chwili odrywa się ode mnie i zaczyna rozpinać mi koszulę.

– Co ty robisz? – pytam ochryple.

– Rozbieram cię.

Nie przestaje, póki nie rozpina ostatniego guzika i ma swobodny dostęp do mojej klatki piersiowej. Zagryza dolną wargę i dotyka mojego brzucha, najpierw nieśmiało, potem bardziej odważnie. Kiedy widzę, jakim wzrokiem pochłania moje ciało, dziękuję sobie za dodatkowe godziny na siłowni w zeszłym miesiącu.

Ruby pochyla się i wędruje ustami po moim brzuchu. Głośno nabieram tchu. A potem czuję jej język na wysokości pępka i unoszę się na łokciach.

– Co ty robisz?

Zerka na mnie zza zasłony rzęs.

– Chyba to samo, co wszystkie pary, które się godzą.

– A jesteśmy parą?

– Cóż, na pewno nie będziesz moim *fuckbuddy*, co to, to nie.

– *Fuckbuddy*? – powtarzam z uśmiechem.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Jak to możliwe, że osoba o tak wysokim ilorazie inteligencji może zupełnie poważnie używać słowa *fuckbuddy*? – mamrocze rozbawiony, za co obrywam bolesny cios w żołądek. – Wolałem, kiedy dotykałaś mnie tam językiem.

Kolejny cios, a potem wraca do mnie, aż nasze twarze dzieli tylko kilka

centymetrów.

– Naprawdę myślisz, że już możesz pozwolić sobie na bezczelność?

Obawiam się, że serce lada chwila rozerwie mi klatkę piersiową. Ruby siedzi na mnie okrakiem, przywiera całym ciałem, guziki jej bluzki drapią mi skórę. Mój penis niemal boleśnie napiera na materiał spodni. Przymykam oczy, gdy Ruby porusza biodrami.

Pragnę jej.

Pragnę jej tak bardzo, jak jeszcze nigdy niczego nie pragnąłem.

– Będę, kim zechcesz – mówię ochryple, ale bardzo szczerze. – Chłopakiem, *fuckbuddy*, kim tylko chcesz. – Wszystko jedno, co powiedzą rodzice, co przyniesie przyszłość. Ruby ma rację: mamy tu i teraz. Nie mogę dłużej wypierać się tego, co do niej czuję.

– Naprawdę? – pyta szeptem.

– Naprawdę – odpowiadam i przesuwam dłońmi po jej udach. W jej zielonych jak mech oczach pojawia się błysk. Kiedy muskam kciukami wewnętrzną stronę jej ud, głośno nabiera tchu. Na moich ustach pojawia się triumfalny uśmiech. Jest cholernie wrażliwa. Powtarzam ruch, tym razem jeszcze wyżej. Ruby zamyka oczy. Wygląda cudownie z rozczochranymi włosami, długimi, ciemnymi rzęsami i w słodkiej bluzeczce, z przekrzywioną kokardką pod szyją. Najchętniej pociągnąłbym za czarną wstążkę, ale boję się. Jeżeli naprawdę mamy posunąć się dalej, ona powinna zrobić pierwszy krok.

Jakby czytała w moich myślach, Ruby pochyla się, aż jej usta znajdują się przy moim uchu. Obrysowuje je wargami, delikatnie chwytając płatek zębami. Reaguję błyskawicznie, cały okrywam się gęsią skórą, z podniecenia kręci mi się w głowie. Drażni mnie dalej, znaczący pocałunkami moją szyję, całuje obojczyk.

Klnę cicho.

Ruby odrywa się ode mnie i patrzy z poważną miną.

– Nie podoba ci się?

– Owszem, bardzo.

Chciałem dać jej czas, nie poganiać jej, chciałem być cierpliwy i zachować się jak dżentelmen, ale... dłużej nie mogę. Chcę jej pokazać, co ze mną wyprawia. Drżącymi dłońmi obejmuję jej twarz i przywieram ustami do jej warg. Ruby wzdycha zaskoczona, gdy przewracam się i przykrywam ją sobą. Napieram na nią nabrzmiałym członkiem, ona dyszy w moje usta i wbija mi

palce w plecy. Skoro już teraz jest taka, nie mogę się doczekać, co się będzie działo, gdy w nią wejść.

W następnej chwili zsuwa mi koszulę z barków, rzuca ją na podłogę przy łóżku. Wodzi dłońmi po moich plecach, najpierw nieśmiało, przesuwa paznokciami wzdłuż kręgosłupa, aż dociera do pośladków. Zaciska na nich dłonie.

– Jezu, Ruby – mruczę.

– Od dawna chciałam to zrobić – odpowiada i wymierza mi klapsa. Śmieję się bez tchu z ustami na jej szyi i za karę gryzę ją leciutko. W odpowiedzi oplata mi biodra nogami i przywiera do mnie. Jezus Maria, chce mnie wykończyć.

Odrywam się od niej na chwilę, ujmuję dwoma palcami skrawek wstążki. Patrzę jej w oczy, gdy lekko za niego pociągamy. Ruby z trudem przełyka ślinę i niczym zahipnotyzowana obserwuje, jak rozpinam kolejne guziki. Siada, żebym mógł zsunąć materiał z jej ramion. Nie wiem, dokąd rzucam jej bluzkę, bo widzę tylko Ruby. Światło z latarni za oknem kładzie się jasnymi smugami na jej skórze. Patrzę na beżowy stanik. Ruby ma cudowne ciało, miękkie i krągłe, i duże piersi.

W szkole widać po niej, że zawsze wie, czego chce. W łóżku najwyraźniej jest tak samo i na samą myśl zasycha mi w gardle.

Pochylam się, obsypuję pocałunkami jej dekolt. Dotykam piersi, głaszczę je, na co reaguje zaskoczonym westchnieniem. Najchętniej rozebrałbym ją do naga i zatopił się w niej, ale jeszcze się powstrzymuję.

To jest nasz pierwszy raz. Chcę, żebyśmy oboje jeszcze wiele lat później wspominali go jako coś pięknego.

I dlatego powoli pieścę jej piersi. Całuję każdy milimetr skóry, liżę, kąsam, dotykam. Schodzę coraz niżej, dotykam zębami jej żeber. Ciche westchnienia i napięcie w jej ciele są jak atlas, jak mapa. Kiedy znajduję się na wysokości paska od spodni, wplata mi palce we włosy. Podnoszę na nią pytający wzrok. Ona tu rządzi, tylko ona zdecyduje, co będzie dalej.

– Nie przestawaj – szepcze ledwie słyszalnym głosem.

To mi wystarczy.

Najpierw zdejmuję jej buty, potem skarpetki. Ruby patrzy na mnie z leciutkim uśmiechem. W końcu rozpinam jej spodnie i pomagam je ściągnąć. Leży przede mną w samej bieliźnie, a ja wstrzymuję oddech. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem. Nie mam pojęcia. Może na tym właśnie

polega karma, o której wszyscy tyle opowiadają. Na zasadzie: w twoim życiu wszystko jest do bani? Za to dostaniesz najfantastyczniejszą dziewczynę na świecie. Wybacz ci, będzie jej na tobie zależeć i pozwoli ci się rozebrać, chociaż wcale na to nie zasłużyłeś.

Czy coś w tym stylu.

Bez względu na to, dlaczego Ruby pozwala mi to robić, udowodnię jej, jak prawdziwe żywię do niej uczucia.

Pochyliam się i całuję jej nogi. Teraz nie ma czasu na myślenie, tylko na czucie. Przesuwam dłonie na jej uda. Delikatnie głaszczę jej boki, brzuch, aż zatrzymuję się na gumce majteczek. Oddycha coraz szybciej i ciężiej. *Nie przestawaj*. Cały czas mam w uszach jej słowa, więc nie przestaję. Wsuwam palce pod materiał majteczek i ściągam je. Leży przede mną naga. Nie jestem w stanie myśleć logicznie. Nie zwlekam ani chwili, znaczę jej ciało szlakiem pocałunków. Kiedy znajduję się między jej udami, przeklina głośno. Wplata mi palce we włosy i przez chwilę nie wiem, czy chce mnie do siebie przyciągnąć, czy odepchnąć. Poruszam ustami, całuję ją delikatnie. Kiedy wysuwam język, spina się, więc kładę jej rękę na brzuchu, żeby utrzymać ją w miejscu. Rozkoszuję się dotykiem jej palców na mojej głowie, gdy bez słów mówi mi, gdzie mnie chce i z jaką intensywnością.

Kiedy oddycha coraz szybciej i instynktownie napina mięśnie nóg, wsuwam palec w gorącą wilgoć. Ssę i liżę, i jednocześnie powoli, rytmicznie poruszam palcem.

Niedługo później wykrzykuje moje imię i wygina się w łuk.

Pieszczę ją, póki nie przestanie drzeć. Jest bez tchu, gdy w końcu odrywam się od niej i przesuwam na łóżku do góry, żeby na nią spojrzeć. Zmierzwiłone włosy i rumieńce na policzkach. Wpatruje się w sufit i musi upłynąć kilka minut, zanim odzyska normalny oddech.

Wtedy zarzuca mi ręce na szyję i uśmiecha się.

– Koniecznie musimy to kiedyś powtórzyć – mówi.

Odwzajemniam jej uśmiech i postanawiam, że już wkrótce spędzę całą noc z głową między jej udami.

– Przynajmniej jest jakiś pożytek z tego twojego niewyparzonego języka.

Leciutko kręcę głową i całuję ją. Ruby nie pozwala, by był to tylko przelotny pocałunek. Przeciwnie, przyciąga mnie do siebie i wsuwa mi język w usta. Zaskakuje mnie jej namiętność. Najwyraźniej kręci ją własny smak na moich ustach. Zarzuca mi nogę na biodra i przyciąga do siebie. Przeszywa

mnie gorący dreszcz, dyszę w jej usta, wysuwam biodra do przodu, na co reaguje cichym westchnieniem. W następnej chwili czuję jej dłonie na moim pasku. Porusza się niezdarnie, gorączkowo. Cholernie mi się podoba, że widzę ją w takim stanie.

Kiedy wreszcie rozpięła mi spodnie, chcę je zsunąć, ale powstrzymuję ją.

– Chwileczkę – mamrocze i wyjmuję portfel z tylnej kieszeni. Otwieram go, wyciągam prezerwatywę. Kładę ją koło poduszki i dopiero wtedy ściągam spodnie i skarpetki. Rzucam wszystko za łóżko, a potem wracam do niej. Wsuwam dłoń pod jej plecy, rozpinam stanik. Pomaga mi go zdjąć, aż nie dzieli nas już żaden materiał.

Wzdycha cicho, gdy obejmuję jej piersi i zaczynam głaskać. Uwielbiam, jak reaguje na mój dotyk. Jeszcze nigdy nie byłem z dziewczyną taką jak ona. Jej reakcje rozpalają mnie do tego stopnia, że z trudem nad sobą panuję.

Kiedy chwyta materiał moich bokserów i napina mi na pośladkach, boję się, że oszaleję.

– Jak mnie pragniesz? – pytam ochryple i całuję jej podbródek. Odgarniam jej włosy z czoła i przesuwam opuszkami palców po linii szczęki. Każdym gestem chcę jej pokazać, ile dla mnie znaczy.

– Właśnie tak – odpowiada szeptem i czule gładzi mnie po plecach. Kiwam głową i sięgam po plastikowe opakowanie.

Drżącymi rękami zakładam prezerwatywę. Ruby wspiera się na łokciach i obserwuje każdy mój ruch oczami błyszczącymi ciekawością. Instynktownie sięgam po jej dłoń i kładę na moim członku. Drży w jej ręce. Ruby patrzy na mnie ciemnymi oczami. Powoli poruszam naszymi dłońmi, zaciskam. Z trudem przełyka ślinę. Puszczam jej dłoń. Porusza nią sama, najpierw nieśmiało, potem coraz odważniej. Głośno nabieram tchu, gdy zaciska ją w odpowiednim miejscu.

– Ruby... – szepczę.

W następnej chwili puszcza mnie i układa się na pościeli.

Jej ciemne włosy rozsypują się na białych poduszkach jak wachlarz, jej zielone oczy błyszczą jak we śnie, gdy nakrywam ją sobą i układam się między jej nogami. Wszystko dzieje się jakby samo z siebie, wchodzę w nią powoli i wstrzymuję oddech, gdy wzdycha pode mną. Jest niewiarygodnie ciasna, ale na tyle wilgotna, że zdobywam się na odwagę i wsuwam dalej. Dotykam jej policzka, muskam kciukiem dolną wargę, a potem całuję ją, delikatnie, z uczuciem, i jednocześnie powoli się w niej poruszam, wchodzę

i wysuwam się o milimetr, z każdym kolejnym pchnięciem wchodzę odrobinę głębiej. Akurat w tym momencie Ruby lekko przesuwam biodra i nagle opór znika. Wchodzę w nią cały. Oboje wzdychamy głośno. Jakaś myśl chodzi mi po głowie, ale emocje nie dopuszczają jej do głosu, nie jestem w stanie się skoncentrować. W mojej głowie nie ma na nic miejsca, wypełnia ją Ruby, jej smak, jej żar, który mnie otacza. Kolejne pchnięcie i Ruby jęczy bez tchu. Zarzuca mi nogę na biodra, a ja zaciskam dłonie na jej udach.

Jest tak cudownie, że żałuję, że nie zrobiliśmy tego wcześniej, zamiast przed sobą uciekać. Wbijam palce w jej skórę, trzymam ją i jednocześnie usiłuję znaleźć równomierny rytm. Jej dłonie są wszędzie, ona sama unosi się i całuje moją klatkę piersiową, wychodzi naprzeciw każdego pchnięcia, jakby ciągle nie miała mnie dość. Czuję dokładnie to samo. Jest tak cudowna, że z najwyższym trudem udaje mi się zachować panowanie nad sobą.

– Drżysz – szepcze i gładzi mnie po plecach. Chwyta się moich barków, gdy ujmuję wargami skórę za jej uchem i po raz kolejny w nią wchodzę.

– Bo staram się nad sobą panować.

– I to mówi ten sam James Beaufort, który podczas seksu rozwała łóżko wodne? – pyta bez tchu.

Gryzę ją w szyję.

– Mówiłem ci przecież, że to nie było łóżko wodne.

Nie zwraca uwagi na moje słowa, oplata mnie też drugą nogą i porusza biodrami, tak że wchodzę w nią jeszcze głębiej. Wzdycha i moje ciało niejako samo słucha jej niewypowiedzianego polecenia. Obejmuję ją za szyję i trzymam, żeby głową nie uderzyła w ramę łóżka, a potem wchodzę w nią mocniej i szybciej niż przedtem. Ruby wbija mi palce w plecy i każdym gestem sprawia, że coraz trudniej mi się kontrolować. Już wkrótce wezglowie łóżka z całej siły wali o ścianę, a ja nie panuję nad odgłosami wyrywającymi się z piersi. Ruby oddycha coraz szybciej, wbija mi paznokcie w plecy. Zamknęła oczy, ale muszę wiedzieć, co się z nią dzieje.

– Spójrz na mnie – proszę ochryple.

Spełnia moją prośbę i nasze spojrzenia się odnajdują. Więż jest silna, jak nigdy. Nie jestem w stanie oderwać od niej wzroku. Ruby chyba czuje to samo. Poruszamy się równomiernie, jakbyśmy byli do tego stworzeni. Wchodzę w nią raz za razem, aż uderzam w czuły punkt i Ruby jęczy głośno. Zaciska na mnie mięśnie i nagle nie wytrzymuję. Łóżko skrzypi za cicho, by

nas zagłuszyć, gdy szczytujemy razem. Mój świat eksploduje, zostaje w nim wszechświat gwiazd i światła, i miejsce tylko dla niej. Dla Ruby.

Ruby

– Mogłaś mi powiedzieć. – James przesuwa palcem po moim kręgosłupie, aż przesywa mnie dreszcz.

– Ale dlaczego?

Leżę z głową na jego piersi i pogrążona w myślach gładzę jego twarde brzuch. Nasze nogi są splecione, cały czas jesteśmy nadzy, chociaż James przykrył nas kołdrą.

– Byłbym bardziej delikatny – szepcze z ustami w moich włosach.

– Bałam się, że to cię przerazi i uciekniesz.

– Bzdura. Po prostu byłbym bardziej ostrożny.

Odchylam głowę do tyłu i patrzę na jego twarz. Dostrzegam zmarszczkę między brwiami. Wydaje się naprawdę przejęty.

– A może wcale nie chciałam delikatnie i ostrożnie.

Kąciki jego ust unoszą się odrobinę, a w oczach pojawia się ciemny błysk, który znika równie szybko, jak się pojawił.

– Może też pomyślałbym o lepszym miejscu. Nie powinno się tracić dziewictwa w akademiku na skrzypiącym łóżku.

Oburzona, unoszę się gwałtownie. Przez ułamek sekundy jego wzrok zatrzymuje się na moich piersiach, ale natychmiast wraca do twarzy.

– Słucham? Jeżeli już mam gdzieś stracić dziewictwo, to tylko w Oksfordzie.

Ze śmiechem kręci głowę. W następnej chwili chwyta mnie za łokcie i pociąga do przodu, aż upadam na niego. Obejmuje mnie i mocno przyciska do swego ciepłego ciała.

– Ruby Bell, jesteś wariatką.

Może trochę, przyznaję w myślach.

Ale to wszystko wydaje się właściwe. James i ja... Może nigdy nie będzie

nam łatwo, może jego ojciec nadal będzie robił wszystko, co w jego mocy, bym zniknęła z życia jego syna, ale jestem gotowa walczyć o Jamesa. Łączy nas coś wyjątkowego. Od dzisiaj wiem to na pewno, a to, jak na mnie patrzy i dotyka, zdradza, że on czuje to samo. Uda się nam. Jeszcze nigdy nie byłam niczego równie pewna.

– Jak było u ciebie? – pytam, nie patrząc mu w oczy.

– Słucham?

Koncentruję się na wzorku, który kreślę palcami na jego brzuchu.

– No... Jaki był twój pierwszy raz?

Głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Teraz jednak na niego patrzę.

– Oczywiście.

– W porządku. Miałem czternaście lat, byłem pijany i wszystko spieprzyłem.

– Czternaście lat? – O Jezu, czyli ćwiczysz już od czterech. Wolę się nie zastanawiać, z iloma dziewczynami musiał spać, by być taki dobry.

– Założyłem się z Wrenem, więc to zrobiłem. Trwało mniej więcej dwie minuty i nie bardzo mi się podobało.

– Czyli nie masz kwalifikacji, by udzielać rad na temat tracenia dziewictwa – zauważam cicho.

– Mam nadzieję, że twoja historia będzie lepsza, jeżeli kiedykolwiek zechcesz ją opowiedzieć.

Całuję go w pierś.

– Zdecydowanie. Było cudownie.

Nie pojmuję, jak to możliwe, ale bycie z nim w łóżku wydaje mi się najnormalniejszą rzeczą na świecie. Jakby właśnie tu było moje miejsce. Od wielu tygodni się tak nie czułam. Nie przeszkadza mi nawet lekko bolesne pulsowanie między nogami. Mówiłam poważnie: było cudownie. Nie wyobrażam sobie lepszej chwili czy miejsca.

– Po południu wydawałaś się megarozbita – mówi nagle James i brutalnie ściga mnie na ziemię.

– Rozmowa kwalifikacyjna kiepsko mi poszła – mamroczę.

Znowu przywiera ustami do moich włosów, wędruje aż do czoła.

– Prowadzący to idioci. Obstawiam, że ich zadaniem było zbijać kandydatów z tropu. Na pewno poszło ci wspaniale. – Mówi to z takim

przejęciem, że prawie mu uwierzyłam. Ale tylko prawie.

– Na pewno nie. Na jedno pytanie odpowiedziałam zupełnie źle. Widziałam wyraźnie, że nie podobało im się to, co powiedziałam.

– Jak to?

Opowiadam o katastrofie z dzisiejszego ranka.

– Jak powiedziałem, jestem przekonany, że o to im chodziło. Nie zawracaj sobie tym głowy. Jeśli ty się nie dostaniesz do Oksfordu, nikomu się to nie uda. – Wydaje się bardziej przekonany niż ja, ale cieszę się, że mogę z kimkolwiek o tym porozmawiać. Zwłaszcza że James wie, ile Oksford dla mnie znaczy.

– Dzięki, że to mówisz.

W odpowiedzi całuje mnie w usta. Sporo mnie kosztuje, by się w nim nie zatracić, ale w pewnym momencie odrywam się od niego i pytam:

– A tobie jak poszło?

Mruczy coś niezrozumiale i nagle na jego twarzy pojawia się mina, którą już znam, która powraca, ilekroć w rozmowie pojawia się temat firmy Beaufort, Oksfordu, jego przyszłości. To wyraz beznadziei. A mi pęka serce.

– Porozmawiaj ze mną – proszę szeptem.

James odwzajemnia moje spojrzenie. W końcu kiwa głową i głęboko nabiera tchu.

– Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie Oksford jest najważniejszą rzeczą na świecie, dlatego akurat z tobą trudno będzie mi o tym rozmawiać, ale... uważam, że to jeden wielki cyrk i dużo hałasu o nic.

Staram się tym nie przejmować. Nie wszyscy mają te same cele i marzenia. Odczucia Jamesa nie dotyczą mnie, tylko jego.

– Podczas rozmowy kwalifikacyjnej... Nic mnie to nie obchodziło. To wszystko było jak czarno-biały film, który oglądasz na przyspieszeniu i tylko ja jeden trwam w tym samym miejscu.

– Skoro naprawdę nie chcesz tu studiować ani pracować w firmie rodziców, czym właściwie chciałbyś się zająć?

Kręci głową. Widzę panikę w jego wzroku.

– Nie pytaj o to, proszę.

– Dlaczego nie? – Gładzę go po policzku i wyczuwam pod palcami szorstką skórę. I cień zarostu, który rano zapewne zgoli. A szkoda, bo wyglądałby fantastycznie z kilkudniowym zarostem.

– Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że sam nie wiem, czego chcę od życia. Nie

zastanawiam się nad tym, co mógłbym robić, bo jeżeli pozwolę sobie na marzenia, później będzie tylko gorzej.

Nadal uważa, że nie może sam decydować o własnym życiu. Ale może naprawdę nie może, skoro czeka na niego takie dziedzictwo i tak ogromny ciężar spoczywa już teraz na jego barkach?

– Marzenia są ważne, James – szepczę.

– W takim razie ty jesteś moim marzeniem.

W pierwszej chwili zapiera mi dech w piersiach, zaraz jednak uświadamiam sobie, że to tylko bezczelna próba zmiany tematu.

– Nie ze mną takie numery.

Uśmiecha się krzywo.

– Fakt, byłoby za łatwo.

– Co cię interesuje? Co cię kręci?

Myśli intensywnie. Wyczuwam w nim nagłe napięcie, więc całuję go, żeby dać mu do zrozumienia, że to w porządku i że nie musi się spieszyć.

– Sport – zaczyna w końcu nieśmiało, z wahaniem. – Literatura. Sztuka. Dobra muzyka. I jeszcze dobre jedzenie. Dobre, ostre azjatyckie jedzenie, mówiąc konkretnie. Chciałbym pojechać do Bangkoku i skosztować wszystkiego, co serwują na ulicznych straganach.

Uśmiecham się, wtulona w niego.

– Na przykład smażoną szarańczę?

– Właśnie tak. – Rozluźnia się powoli.

– Ale przecież to wszystko jest w zasięgu ręki. To są rzeczy, które robi się na urlopie, a nie postrzega jako cel życiowy. – Delikatnie głaszczę go po brzuchu. – Ale to jakiś początek. Wszystko będzie możliwe, gdy sam dla siebie przestaniesz być przeszkodą.

James nie odpowiada.

Wpadam na pewien pomysł. Zrywam się z łóżka, zbieram moją bieliznę z podłogi, szybko wkładam majteczki i stanik. Na krześle widzę szarą koszulę Jamesa. Wkładam ją i podchodzę do biurka.

– Co ty wyprawiasz? – pyta za moimi plecami. Sięgam po jego czarny notes z zamaszystym „B” i długopis, i dopiero wtedy odwracam się do niego. On także włożył bokserki.

– Zrobimy listę – oznajmiam i z notesem pod pachą wracam na posłanie.

James przygląda mi się uważnie. Wskazuję mu miejsce obok siebie. Łóżko jest ciągle ciepłe, otacza mnie zapach Jamesa. Powoli, z nieufnością

w oczach chłopak podchodzi do mnie. Materac ugina się pod jego ciężarem, gdy w końcu siada.

Pochylam się nad nim i zapalam nocną lampkę na małym stoliku. Dopiero wtedy otwieram notes.

– Ilekroć czuję się kiepsko, sporządzam listę. Już w dzieciństwie pomagało mi to zachować motywację i jasność myślenia. Chociaż nie zawsze było łatwo – wyznaję. – Wyszukuję odpowiednie cytaty, wszystko, co chciałabym kiedyś zrobić, co chciałabym zmienić na świecie i tak dalej. Zazwyczaj staram się, by lista była bardziej kolorowa, ale dzisiaj to musi nam wystarczyć.

Z jego oczu znika nieufność, zamiast tego uśmiecha się leciutko.

– Czyli chcesz zrobić mi listę?

Przytakuję.

– Może i ciebie zmotywuje.

Wpatruję się w pustą kartkę i w końcu kiwa twierdząco głową.

– W porządku.

Z uśmiechem chwytam długopis i ozdobnymi literami z zawijasami piszę na środku kartki: „Do zrobienia”. Podkreślam tytuł zamasyście. I wpisuję punkt pierwszy.

1. Pojechać do Bangkoku.

Patrzę na Jamesa.

– Co dalej?

Z namysłem drapie się w podbródek.

– To może być naprawdę wszystko – przypominam mu.

– Chciałbym nadal grać w lacrosse – wyznaję w końcu cicho.

– O tak – mamroczę i zapisuję punkt drugi na liście:

2. Grać w lacrosse.

Obok niego rysujemy malutki kij do lacrosse i koszulkę Jamesa z siedemnastką. Kiedy ponownie podnoszę na niego wzrok, w jego oczach jest tyle ciepła, że robi mi się gorąco.

– Co dalej?

I znowu musi się zastanowić. Nie chcę go ponaglać, więc cierpliwie czekam.

– Chciałbym więcej czytać – mówi wreszcie. – Ale coś innego niż zwykle.

– A co zazwyczaj czytasz?

– Książki o biznesie, które podrzuca mi ojciec. Biografie słynnych

przedsiębiorców. – Marszczy czoło. – Ale przecież jest tyle innych rzeczy. Na przykład kiedyś chciałbym zajrzeć do jakiejś mangi. – Uśmiecha się znacząco.

– W każdej chwili służę listą lektur – odpowiadam i odwzajemniam jego uśmiech.

– Pochłonałbym wszystkie naraz.

Z uśmiechem pochylam się nad kartką i zapisuję punkt trzeci.

3. *Czytać więcej i bardziej różnorodnie pozycje.*

– Co jeszcze?

James z trudem przełyka ślinę.

– Oczywiście zawodowo chciałbym robić coś, co mi da spełnienie. Nie wiem jeszcze, co to mogłoby być, czy to w ogóle możliwe, ale... – Wzrusza ramionami. Ma taką minę, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale sam sobie na to nie pozwala. Odkładam długopis i gładzę go po policzku. Delikatnie przesuwam kciukiem po jego ciepłej skórze, pochylam się, żeby go pocałować. Zamyka oczy i wzdycha cicho.

– Nic nie jest niemożliwe, James – szepczę i wracam na miejsce. Sięgam po długopis i zapisuję punkt czwarty.

4. *Znaleźć spełnienie zawodowe.*

Podziwiam swoje dzieło.

– Musimy dopisać jeszcze jeden punkt – mówi nagle James i sięga po notes. Wyjmuje mi długopis z dłoni i pisze coś na kartce. – Już. – Po chwili odkłada notes. Przysuwam się bliżej, aż dotykam jego nagiego uda swoim, i czytam, co dopisał.

5. *Ruby.*

Wstrzymuję oddech i wodzę wzrokiem między listą a nim.

– Kiedy jesteś przy mnie, czuję, że mogę wszystko – wyznaje ochryple. – Dlatego nie może cię zabraknąć na liście wszystkiego, co mnie uszczęśliwia.

Nie wiem, co powiedzieć, więc siadam mu na kolanach i zarzucam ręce na szyję. Przytrzymuje moją głowę i mnie całuje. Razem opadamy na poduszki, połączeni ustami, z jego marzeniami w dłoni.

James

Zdecydowanie najpiękniejsza noc mojego życia niestety musi się kiedyś skończyć. Staraliśmy się nie zasnąć, ale około czwartej zmęczenie jednak wzięło górę. Zaledwie trzy godziny później obudziliśmy się w panice, bo przestraszyliśmy się, że zaspaliśmy i rodzice Ruby już czekają pod drzwiami. Na szczęście był to fałszywy alarm, ale nie mieliśmy już więcej czasu.

Cholernie trudno jest pozwolić jej odejść. Nie chcę się z nią rozstawać, co chwila przyciągam ją do siebie i całuję, jakbyśmy mieli się nie widzieć przez co najmniej miesiąc. A przecież zobaczymy się najpóźniej jutro w szkole, a może nawet już dzisiaj wieczorem, jeżeli uda mi się wyrwać z domu.

Szanse na to właściwie są: ojciec odbiera jako obelgę fakt, że zaproszono mnie do Świętej Hildy, i proponował nawet, żebyśmy z Lydią zamienili się miejscami, bo ona, w przeciwieństwie do mnie, została zaproszona do Balliol. Cały czas mam w uszach słowa „hańba” i „nieudacznik”. Chyba nie bardzo go interesuje, jak mi poszło.

Po śniadaniu przyjeżdża po mnie Percy. Wyjmuje mi walizkę z ręki i wkłada do bagażnika rolls-royce’a, zanim ponownie zajmie miejsce za kierownicą i pojedziemy po moją siostrę. Dzieli nas szyba, głośnik jest wyłączony, najwyraźniej on także nie ma ochoty na rozmowę. I bardzo dobrze, dzięki temu mogę jeszcze raz przejrzeć listę Ruby. Nie mam pojęcia, jak bardzo realne jest to, co na niej spisaliśmy, ale przynajmniej dzięki niej na zawsze zapamiętam ostatnią noc.

Włożyłem szarą koszulę, którą Ruby miała na sobie tego ranka, i dzięki temu otacza mnie jej zapach. Cały czas czuję na języku jej smak. Ciało okrywa się gęsią skórą, gdy sobie przypominę, jak wypowiadała moje imię. Chciałbym to wszystko powtórzyć. Najlepiej natychmiast.

Kiedy Lydia wsiada do samochodu, od razu zauważa, że coś się stało.

Przygląda mi się badawczo spod zmrużonych powiek. A potem na jej twarzy pojawia się znaczący uśmiezek.

– Wyglądasz, jakbyś spędził cudowną noc. – Za dobrze mnie zna.

Starannie składam listę i wsuwam z powrotem do portfela. Zastąpi tamten bilecik, który podarłem i wyrzuciłem jeszcze w akademiku.

– Doczekam się szczegółów?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Choć ostatnio opowiedziała mi o sobie i Suttonie, zazwyczaj nie rozmawiamy o swoim życiu uczuciowym.

Przyglądam się jej podejrzliwie.

– Od kiedy interesuje cię, jak spędzam noc?

Wzrusza ramionami.

– Odkąd bzykasz się z Ruby.

Słowo „bzykać” wydaje mi się absolutnie nie na miejscu, jeśli chodzi o Ruby i mnie.

– Po pierwsze, skąd ci przyszło do głowy, że to akurat z Ruby spędziłem noc? A po drugie, wydawało mi się, że jej nie znosisz.

Lydia przewraca oczami.

– Po pierwsze, nie jestem głupia. Po drugie, lubię ją, skoro ty ją lubisz. To proste.

– I bardzo dobrze. Bo wydaje mi się, że w przyszłości będziesz ją widywała nie tylko w szkole.

Lydia otwiera usta z wrażenia.

– Między wami to coś poważnego?

Nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu. W następnej sekundzie Lydia szturcha mnie w ramię.

– Nie wierzę! James!

– Co znowu?

– Ojciec oszaleje, kiedy się dowie – mówi cicho i kręci przy tym głową. Cały czas trzyma dłoń na moim ramieniu. Ściska je lekko. – Ale wydajesz się bardzo szczęśliwy. Cieszę się waszym szczęściem.

Nie wiedziałem, że tak będzie. Nie wiedziałem, co to za uczucie – być zakochanym. Nie sądziłem, że na samą myśl o Ruby serce będzie bić mi szybciej. Najchętniej powiedziałbym Percy’emu, żeby jechał od razu do niej, bo obawiam się, że nie wytrzymam bez niej ani sekundy dłużej.

– Co właściwie ugryzło Percy’ego? – Lydia zdaje się czytać w moich myślach. Mówi to ciszej i głową wskazuje fotel szofera.

- Nie mam pojęcia.
- Nawet mnie nie zapytał, jak mi poszło – zauważa.
- Możesz o tym opowiedzieć mnie – proponuję, ona jednak tylko się krzywi.
- Dziwny jesteś, kiedy się zakochasz.

Odpowiadam grymasem.

Reszta drogi upływa nam w przyjaznym milczeniu. Lydia sprawdza coś w telefonie, a ja wpatruję się w okno i myślę o minionej nocy. Po przyjeździe na miejsce wysiadam, obchodzę wóz i podchodzę do bagażnika, żeby pomóc Percy'emu z walizkami. Powstrzymuje mnie gestem i patrzy bardzo poważnie.

– Proszę iść do środka, panie Beaufort. – Ostatnio słyszałem ten ton, gdy jako siedmiolatek wylałem colę na nowiutką tapicerkę na tylnym siedzeniu. Wodzi wzrokiem między nami, a potem z trudem przełyka ślinę i pochyła się nad walizkami. Wymieniamy z Lydią zdumione spojrzenia i pokonujemy schody prowadzące do drzwi.

– Co go ugryzło? – Lydia ciągle mówi szeptem, choć Percy już nie może nas usłyszeć.

– Nie mam pojęcia. Rozmawiałaś z ojcem od wczoraj?

Przecząco kręci głową. Otwieram drzwi i razem z nią wchodzę do holu. Lydia odkłada torebkę na mały stolik przy drzwiach. W tym momencie pojawia się Mary, pokojówka. Na nasz widok gwałtownie blednie. Chcę się z nią przywitać, ale odwraca się na pięcie i szybko rusza w stronę salonu. Wymieniamy z Lydią kolejne zdumione spojrzenie. Razem kierujemy się do salonu.

Ojciec czeka przy kominku. Stoi odwrócony do nas plecami, ale widzę, że ma w dłoni szklaneczkę z jasnobrązowym płynem, choć jeszcze nawet nie ma południa. Ogień na kominku strzela cicho. Mary mamrocze coś, a potem oddala się szybkim krokiem.

– Tato? – odzywam się.

Ojciec się odwraca. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy, jak zawsze. Mimo to ogarnia mnie złe przecucie, gdy widzę cienie pod jego oczami.

– Siadajcie. – Wskazuje kanapę obitą zielonym aksamitem. Sam podchodzi do stojącego obok fotela.

Nie chcę siadać, chcę wiedzieć, co tu się do cholery dzieje. Lydia spełnia jego polecenie, ja natomiast nadal stoję w drzwiach salonu i mierzę go

wzrokiem. Ojciec unosi szklanę do ust i duszkiem wypija resztkę szkockiej. Potem odstawia ją na mały stolik.

– Siadaj, James. – To rozkaz, nie prośba.

Ale nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca. Napięcie jest zbyt wielkie. Coś się stało, wyczułem to, ledwie weszliśmy do domu.

– Gdzie mama? – pyta Lydia. Ciągłe sili się na radosny ton, jakby chciała załagodzić napięcie między mną a ojcem. A przecież ona też już zapewne wie, że coś jest nie tak.

– Wasza matka miała wylew.

Ojciec rozpiera się na fotelu, kładzie dłonie na podłokietnikach, zakłada nogę na nogę, tak że kostka spoczywa na kolanie. Wydaje się spokojny. Niewzruszony. Jak zawsze.

– Co...? Co? Jak to? – wydusza z siebie Lydia.

– Cordelia miała wylew krwi do mózgu – powtarza jak wyuczoną lekcję. – Nie żyje.

Lydia unosi dłonie do ust i zaczyna płakać.

Mam wrażenie, że znikam. Że moja dusza oddzieliła się od ciała. Obserwuję całe zajście z innej perspektywy.

Ojciec coś mówi, ale docierają do mnie tylko strzępy słów. Pęknięte naczynko... Przyjechali za późno... Szpital... Niczego nie dało się już zrobić.

Widzę, że jego usta się poruszają, ale słowa zagłusza szloch Lydii. Do tego dochodzi jeszcze jeden dźwięk. Szybkie, nerwowe dyszenie. Chyba moje.

Przyciskam sobie rękę do piersi i usiłuję nad tym zapanować. Nic z tego. Oddycham coraz szybciej, a mimo to ciągle brakuje mi powietrza. W tym momencie nie pomagają żadne dobre rady o sposobach radzenia sobie z napadami paniki, które kiedyś znalazłem w internecie. Moje ciało przechodzi na tryb autopilota, czuję, jak oblewam się lodowatym potem.

Mama nie żyje.

Nie żyje.

Wyraz twarzy ojca nie zmienia się. Może to tylko kiepski żart. Kara za to, że nie dostałem się do Balliol.

– Kiedy? – Muszę się czegoś przytrzymać, ale nie wiem, jak zmusić rękę, by się czegoś złapała.

Ojciec patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem.

– W poniedziałek po południu.

Serce. Lada chwila stanie mi albo pęknie w piersi. W pierwszej chwili nie dociera do mnie, co powiedział, do tego stopnia pochłania mnie nabieranie powietrza w płuca. Jednak po kilku oddechach w pełni rozumiem znaczenie jego słów.

W poniedziałek po południu.

Dzisiaj jest środa.

– Żeby wszystko było jasne – cedzę drżącym głosem. – Mama miała wylew dwa dni temu, a ty mówisz nam o tym dopiero teraz?

Niepotrzebnie zadałem to pytanie. Trzeba było podejść do siostry i ją objąć. Powinniśmy płakać razem. Jednak to wszystko wydaje mi się nierzeczywiste. Ciągle mam wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę, że spotyka kogoś innego, kto chwilowo panuje nad moim ciałem, a ja to wszystko tylko obserwuję. Bezradny, totalnie zagubiony.

Ojciec uderza plecami w oparcie fotela.

– Nie chciałem, żeby coś was rozpraszało przed rozmową kwalifikacyjną.

Nie bardzo wiem, co się dzieje później. Jakby uderzył we mnie piorun. W następnej chwili rzucam się na ojca i wymierzam cios prosto w twarz. Tak mocno, że fotel przewraca się do tyłu i obaj lecimy na ziemię. Lydia wrzeszczy na całe gardło. Coś z hukiem spada na podłogę. Moja pięść ponownie spada na twarz ojca. Nos mu krwawi, w mojej ręce podejrzenie chrzęści kość. Wokół nas leży stłuczone szkło. Ręka pulsuje mi boleśnie, ale i tak wymierzam trzeci cios.

– James, przestań! – wrzeszczy Lydia.

Ktoś chwytą mnie za barki i odciąga od ojca. Walczę z nim jak oszalałe zwierzę. Chcę, żeby ojciec zapłacił. Za wszystko.

Lydia pomaga mu wstać. Krew płynie mu z nosa i kącika ust. Dotyka twarzy opuszkami palców i patrzy na czerwoną plamę, a potem na Percy'ego, który cały czas trzyma mnie za ramiona.

– Proszę go stąd zabrać, dopóki się nie uspokoi.

Percy obraca mnie i prowadzi długim korytarzem. Obejmuje mnie tak mocno, że nie jestem w stanie oddychać. Ciągnie mnie do przedpokoju, po drodze wpadamy na komodę i kolejna rzecz rozbija się na kawałki. Dopiero na zewnątrz mnie puszcza. Odwracam się na pięcie i chcę natychmiast wrócić do domu.

– Panie Beaufort, spokojnie – mówi Percy i łapie mnie za barki. Odpycham jego dłoń, aż zatacza się do tyłu.

– Zejdź mi z drogi, Percy.

– Nie – mówi stanowczo i wbija palce w moją marynarkę.

– Zataił to przed nami. Ty to przed nami zataiłeś – rzucam. Odpycham go ponownie. – Moja matka nie żyje, a ty mi tego nie powiedziałeś. – Słowa są żrące jak kwas i nagle pali mnie wszystko: usta, gardło, klatka piersiowa i oczy. Przestaję widzieć wyraźnie. – Moja matka nie żyje.

Ciało błyskawicznie wypełnia tępy ból. Nie do wytrzymania. Nie dam rady. Cały czas nie mogę oddychać. Niech to się skończy. Niech ten ból zniknie.

Ręce drżą mi tak bardzo, że puszczam marynarkę Percy’ego. W następnej chwili odwracam się i biegnę w kierunku garażu.

– Panie Beaufort!

Zbывam go machnięciem ręki. Percy biegnie za mną do garażu. Podchodzę do mojego samochodu, drżącymi dłońmi wydaję kluczyk z kieszeni i otwieram drzwi od strony kierowcy. Widzę coraz mniej, mam wrażenie, że lada chwila zemdleję. Wszystko jedno. Wszystko mi jedno. Odpalam silnik. Percy stoi tuż przed maską. Wszystko jedno. Wciskam pedał gazu. Percy odskakuje w ostatniej chwili. Z piskiem opon wyjeżdżam z garażu, wierzchem dłoni ścierając łzy z policzków.

Ruby

Dzwonek do drzwi rozlega się w momencie, gdy podczas gry w Jengę przychodzi moja kolej wyciągnięcia drewnianego klocka. Wzdrygam się odruchowo i to wystarczy, by cała wieża runęła. Rodzice i Ember śmieją się ze mnie, a ja klnę pod nosem.

– Omijasz kolejkę – mówi mama i radośnie zaciera ręce. Jest z nas najlepsza i właściwie nigdy nie przegrywa.

Po powrocie z Oksfordu opowiedziałam najbliższym o rozmowach kwalifikacyjnych i urządziłam minipokaz slajdów, a potem zjedliśmy obiad i postanowiliśmy spędzić popołudnie na wspólnych grach. Zaczynaliśmy trzecią kolejkę Jengi, a ja zdążyłam już dwukrotnie przegrać. Godzę się z porażką i wstaję. Pozostali zajmują się grą, a ja podchodzę do drzwi. Otwieram szeroko oczy, gdy widzę, kto stoi na progu.

– Lydia?

Wydaje się zdruzgotana, ma czerwone policzki i zapuchnięte oczy. Robię krok w jej stronę, ale powstrzymuje mnie gestem.

– Jest u ciebie James?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie. Co się stało? – pytam niespokojnie.

Lydia chyba w ogóle mnie nie słyszy. Wyjmuje komórkę z kieszeni kurtki i szybko wybiera numer. Wychodzę w skarpetkach na zewnątrz i chwytam ją za ramię. Patrzę na nią przenikliwie.

– Co się stało?

Tylko kręci głową.

– Cyril? To ja – mówi nagle. – Jest u ciebie James?

Kiedy słyszy jego odpowiedź, na jej twarzy pojawia się wyraz ulgi.

– Bogu dzięki.

Cyril mówi coś jeszcze, czego nie słyszę, i Lydia znowu pochmurnieje.

– Dobrze. Nie, przyjadę.

Cyril wciąż mówi. Lydia zerka na mnie z ukosa.

– Tak. Dobrze. Zaraz.

Rozłącza się i chce odejść do samochodu, przy którym czeka Percy. On także ma tak ponurą minę, że ogarnia mnie bardzo złe przecucie.

– Lydia, proszę, powiedz, co się stało – powtarzam.

Zatrzymuje się, odwraca przez ramię.

– Nie mogę.

– Pozwól, że pojedę z tobą – proponuję.

Otwiera usta i zaraz zamyka je ponownie.

– To chyba nie jest dobry pomysł.

Gestem proszę, by poczekała, wracam biegiem do domu, wkładam kozaki, ściągam z wieszaka płaszcz i szal, który zrobił dla mnie tata, krzyczę do najbliższych, że muszę na chwilę wyjść, i zrywam klucze z haczyka przy drzwiach. W biegu owijam szyję szalikiem. Lydia ma taką minę, jakby chciała mnie powstrzymać, ale nie ma na to siły.

Bez słowa znika w samochodzie. Witam się z Percym, który leciutko kiwa mi głową, a potem on także wsiada do rolls-royce'a. Lydia zajmuje miejsce, na którym zazwyczaj siedzi James. Ma szkliste spojrzenie, nerwowo bawi się paskiem czerwonego płaszcza. Najchętniej chwyciłabym ją za rękę, ale brakuje mi odwagi.

– Moja propozycja jest nadal aktualna. No wiesz, jakbyś chciała pogadać.

Lydia kuli się w sobie, jakbym na nią nakrzyczała. Podnosi na mnie wzrok; widzę łzy w jej oczach. Z każdą chwilą narasta we mnie złe przecucie. Coś musiało się stać, skoro jest w tak fatalnej formie. Nagle przychodzi mi do głowy straszna myśl. Zerkam w górę. Czerwona lampka się nie świeci, a zatem Percy nas nie słyszy. Pochylam się w jej kierunku.

– Z dzieckiem wszystko w porządku?

Lydia gorączkowo zerka do przodu, ale cały czas od kierowcy oddziela nas szklana szyba. Dopiero wtedy wraca wzrokiem do mnie.

– Tak – odpowiada cicho. – Ale w domu... – Urywa, jakby chciała przemyśleć, ile może mi zdradzić. – Doszło do awantury.

Odkąd James opowiedział mi o ojcu, wyobrażam sobie, jak wygląda awantura u Beaufortów.

– Z Jamesem wszystko w porządku? – Nie udaje mi się ukryć paniki

w głosie.

Lydia bezradnie wzrusza ramionami.

– Cyril twierdzi, że tak.

Kolejny kwadrans ciągnie się jak cała wieczność. Wpijam palce w poły płaszcza i staram się nie zwariować ze zmartwienia. Nie wiem, co to ma wszystko znaczyć, a Lydia unika mojego wzroku i tylko machinalnie gładzi się po brzuchu. Co jakiś czas mruga nerwowo, jakby chciała powstrzymać łzy. W pewnym momencie wibruje jej telefon. Kiedy czyta wiadomość, zaciska usta w wąską kreskę i później już w ogóle nie ma ochoty na rozmowę.

Ledwie przyjeżdżamy do Cyrila, Lydia szybko wysiada z samochodu i rusza w kierunku domu. Potyka się na oszronionych stopniach i w ostatniej chwili udaje mi się ją podtrzymać, zanim upadnie. Dziękuje mi cicho.

Cyril czeka na progu. Wita ją z otwartymi ramionami.

– Proszę, proszę, kto zaszczyca moją imprezę swoją obecnością.

Obejmuje ją, ona jednak stoi nieruchomo i znosi to jak lalka bez życia. Cyril puszcza ją dopiero po dłuższej chwili. Wtedy zauważa także mnie.

– Masz nawet osobę towarzyszącą. Wspaniale. – Mówi to takim tonem, że od razu wiadomo, że myśli coś wręcz przeciwnego. Potem usuwa się na bok i wchodzimy do środka. Już tutaj słyhać muzykę dobiegającą z dalszej części domu. Cyril cały czas obejmuje Lydię ramieniem. Intryguje mnie, czy wie, co się stało, czy jest po prostu na tyle taktowny, że jej o to nie pyta.

Przechodzimy przez hol, ten sam, w którym byłam ostatnio. Tym razem na galerii nie ma żadnych gości, impreza najwyraźniej ogranicza się do salonu.

Ledwie tam wchodzimy, ogłusza nas muzyka. Rozglądam się wokół. Nie ma tu tylu ludzi, co poprzednio. Właściwie impreza jest dość skromna.

Nie wiem dlaczego, ale to budzi we mnie jeszcze większy niepokój. Kilka nieznanym mi osób tańczy w bieliźnie na środku pokoju. Alistair siedzi na kanapie i całuje się z wytatuowanym potężnym typem. Nieco dalej, przy barku, stoi Kesh, który przygląda im się spod zmrużonych powiek i jednym haustem wychyla zawartość szklanki.

Czuję łaskotanie w karku... A potem widzę Jamesa. Siedzi na kanapie niedaleko basenu. Spinam się, gdy na niego patrzę. Wydaje się w totalnej rozsypce. Ma rozczochrane włosy, zakasane rękawy koszuli, tej samej, którą miałam na sobie wczorajszej nocy. Dostrzegam na niej kilka czerwonych plam. Serce podchodzi mi do gardła.

Chcę do niego podejść, ale wtedy widzę, jak się pochyla. Zawisa nad stołem, zatyka palcem jedną dziurkę nosa, a drugą wciąga biały proszek. Otwieram usta z wrażenia. On chyba nie...

Blondynka, która wydaje mi się znajoma, wychodzi z basenu i idzie w jego kierunku. Przywołuje go zgiętym palcem. James wstaje, odchyła głowę. Dziewczyna pokonuje ostatnie dzielące ich metry i staje tuż przed nim. Podnosi ręce, zaczyna rozpinąć mu koszulę. W tej chwili ją rozpoznaję. Dziewczyna, która obmacuje mojego chłopaka, to Elaine Ellington. Przeszywa mnie zimny dreszcz, coś boleśnie ściska w żołądku. Stoję jak wryta.

– Od kiedy jest w takim stanie? – pyta Lydia Cyrila.

– Od południa.

Szum w uszach zagłusza ich słowa. Elaine zsuwa Jamesowi koszulę z barków, ta spada na ziemię. Teraz dziewczyna zabiera się do paska u jego spodni.

Tego już za wiele.

W tej chwili moja wściekłość jest większa niż strach przed wodą. Wystarczy parę kroków, bym znalazła się przy nich.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – syczę.

James odwraca głowę w moją stronę, ale nie patrzy na mnie, tylko przeze mnie.

Jest zupełnie obcy. Twarz jak z kamienia, źrenice tak rozszerzone, że zasłaniają niemal całą tęczówkę i właściwie nie widać turkusowego blasku. Jest śmiertelnie blady, ma zaczerwienione oczy.

To nie jest mój James. To ten typ, którym był kilka miesięcy temu, drań, który wszystkim proponował pieniądze, który co wieczór upijał się z przyjaciółmi i zaliczał kolejne dziewczyny. To typ, który niczego nie czuje i któremu jest wszystko jedno.

– James – szepczę i chwytam jego dłoń. Jest lodowata.

Przez sekundę widzę coś w jego spojrzeniu. Jest mroczne i rozpaczliwe, jakby coś zżerało go od środka. Oddycha głośno, na chwilę zamyka oczy... A gdy otwiera je ponownie, tamten błysk znika.

– Nie masz tu czego szukać, Ruby.

– Ale ja...

Jeszcze nie skończyłam mówić, a już odwraca się na pięcie i wskakuje do basenu. Wzdrygam się, słysząc głośny plusk. Krople wody opadają mi na

twarz. Odruchowo cofam się o krok. Elaine i kilka innych osób w bieliźnie idzie w jego ślady. Wśród nich jest także Wren. Wypływa na powierzchnię z krzykiem i dalej chłapie na Jamesa. Ten reaguje śmiechem.

To wszystko wydaje mi się wręcz niewiarygodnie fałszywe. Chciałabym porozmawiać z Jamesem, ale jest to niemożliwe z różnych powodów. Za bardzo boję się wody, by podejść jeszcze bliżej, a poza tym nie wierzę, by w tym stanie dotarło do niego cokolwiek z tego, co powiem. James jest nieobecny. Jakby świat istniał obok niego, a on oszołomiony dawał się ponieść.

Elaine podchodzi do niego. James płynie na plecach, aż dociera do ściany. Dziewczyna ze śmiechem podąża za nim.

Serce wali mi jak szalone. Nie pojmuję, co tu się dzieje. To wszystko przypomina zły sen. Pod wodą widzę niewyraźny zarys jej ciała. Przywiera do Jamesa, staje między jego nogami, pochyla się, szepcze mu coś do ucha. Wydają się sobie bardzo bliscy. Jakby to nie był ich pierwszy raz. Całą sobą chcę tam podbiec i oderwać ją od niego, ale nie jestem w stanie się ruszyć. James nie reaguje, gdy Elaine ujmuje jego twarz w dłoń i go całuje.

Coś we mnie pęka. Odłamki szkła przenikają przez moją klatkę piersiową, coraz głębiej, aż nie jestem w stanie oddychać.

Nagle ktoś kładzie mi rękę na ramieniu.

– To jest właśnie ten James Beaufort, którego znam – szepcze mi Cyril do ucha.

Chciałabym odpowiedzieć: ale nie ten James Beaufort, którego ja znam. Nie masz pojęcia, jaki jest naprawdę. To mój chłopak, ty durniu.

Ale to nieprawda. Gdyby James Beaufort był moim chłopakiem, nie zachowywałby się w ten sposób. Gdyby był moim chłopakiem, zwróciłby się do mnie ze swoim problemem i zwierzyłby się mnie, a nie uciekał do kumpli, alkoholu i narkotyków. Gdyby był moim chłopakiem, nie wpychałby w tej chwili języka w gardło innej dziewczyny.

Odwracam się na pięcie. Ślizgam się na mokrej posadzce, ale udaje mi się nie upaść. Najszybciej jak potrafię biegnę przez salon. Moje kroki niosą się echem po przestronnym holu, gdy biegnę do drzwi. Muszę stąd wyjść, najlepiej zaraz. Niestety chyba nie ma na tym świecie zakątka, w którym zapomniałabym o tym, co przed chwilą widziałam.

– Ruby! – krzyczy za mną Lydia. Zatrzymuję się i oglądam przez ramię. Na widok jej rozpaczy budzi się we mnie coś na kształt wyrzutów sumienia.

– Lydia, naprawdę mi przykro, że wasza sytuacja jest tak cholernie popieprzona – mówię drżącym głosem. – Ale ja nie mogę. Nie dam rady, nie po tym, jak... – Nie po czym? Po tym, jak wydawało mi się, że właśnie udało nam się ze wszystkim uporać? Po tym, jak ze sobą spaliśmy? Przecież tego nie powiem.

– On cię teraz potrzebuje – szepcze błagalnie Lydia.

Śmieję się gorzko i odchylam głowę do tyłu, by spojrzeć na sufit. Hol jest do bólu kiczowaty; złoto, gdzie okiem sięgnąć, niezliczone obrazy olejne, drogie antyczne wazy... I to wszystko nagle traci dla mnie znaczenie. Odwracam się i ruszam do drzwi. Lydia woła coś za mną, ale już jej nie słyszę.

Kiedy ciężkie drzwi zamykają się za moimi plecami, postrzegam to jako symbol.

Przez chwilę naprawdę sądziłam, że mamy z Jamesem szansę, że wystarczy tylko bardzo mocno chcieć. Teraz jednak coś innego jest dla mnie jasne: nigdy nie będę częścią jego świata.

Niestety uświadomiłam to sobie dopiero teraz, gdy jest już za późno.